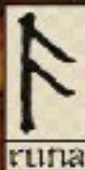


KRZYSZTOF PISKORSKI

KRAWEDZ CZASU

GWIAZDOZBIÓR FANTASTYKI



KRZYSZTOF PIKORSKI

KRAJEDZ CZASU



Agencja Wydawnicza
RUNA

Mojej żonie
- książka, którą zawsze chciała przeczytać



Mechan rósł.

Pokrył już cały kąt oranżerii, a jego błyszczące narośla zaczęły sięgać dalej – pełzły po kamiennej podłodze, wspinały się na kolumny. W półcieniu ażurowych sklepień z kutego żelaza skrzyły się mosiężne kółka, przekładnie, osie; mrowie drobiazgu ledwie widocznego okiem, złocista piana.

Mechan puchł.

Promienie światła, wpadając przez szyby w secesyjnych ramach, rozszczepiały się na jego dywanie, rozpadały na setki błysków w morzu miniaturowych ramion oraz poskręcanych taśm transmisyjnych, których początku i końca nie dało się uchwycić wzrokiem, jakby każda była osobną wstęgą Moebiusa, zaplątaną wśród wałów maszyny. Wszystko cykało, ruszało się jednostajnym rytmem, zrodzonym w niewidzialnych czeluściach wewnątrz potężnej masy, którą widać było za południową ścianą oranżerii.

Mechan pełzł, wspinał się.

I tylko człowiek, który niemal przyłożyłby do niego twarz, mógłby poznać zagadkę tego ruchu. Zobaczyłby, jak spomiędzy gąszczy lilipucich elementów wyjeżdżają na pasach kolejne części tylko po to, by zaraz jakieś ramię – cienkie jak noga świerszcza – pochwyliło je i precyzyjnie umieściło na miejscu, tam gdzie rodziła się kolejna przekładnia, taśma, skrzyżowanie.

Maszyna nawarstwiała się niczym nowotwór, toczyła przestrzeń jak korniki drewno. W pustym, cichym wnętrzu oranżerii nic nie mogło przeszkodzić jej ekspansji.

Stała jednak – nagle, niespodziewanie. Najpierw z wnętrza doszedł daleki zgrzyt, a potem stuk, gdy któryś element trafił na niespodziewany opór. Wkrótce w pełnej klekotów reakcji łańcuchowej zakleszczyły się kolejne kółka; martwica rozprzestrzeniała się błyskawicznie. Chwilę jeszcze miliony zębatek drżały, próbując przezwyciężyć własny opór – pisk metalu był jak jęk zdychającego psa. Wreszcie wszystko znieruchomiło.

Gdy ostatnia namiastka życia zniknęła, żaden dźwięk nie zakłócał już spokoju oranżerii. Powietrze było suche, chłodne, zmrożone zimnym światłem. Mijały godziny, ale cienie kolumn nie rosły. Próżno było też wypatrywać ruchu liści, jakby wyrzeźbionych z zielonego szkła.

Czas stracił znaczenie – nie było niczego, co mogło go odmierzać.

Ale w pewnym momencie tę nieśmiertelną harmonię przerwał dźwięk. Gdzieś ze środka maszyny dobiegło głucho metaliczne uderzenie, potem jeszcze jedno i następne. Brzmiało to, jakby górnik rył w mechanie tunel, pracowicie tłukąc kilofem masę drobnych elementów.

Jeszcze chwila – i spod mosiężnego puchu wybiła na

powierzchnię pięść. Krew spływała po skórze pokrytej siatką skaleczeń. Palce rozwarły się, chwyciły płat maszyny i oderwały go od powierzchni. Filigranowe części rozsypały się po podłodze, błyszcząc jak złote krople. Pojawiła się druga dłoń. Tłukła, rwała, ze zwierzęcą desperacją walcząc z porowatymi blokami.

Wkrótce z twardego, pełnego ostrych krawędzi brzucha mechanu wydarł się na świat mężczyzna. Ubranie wisiało na nim w strzępach, rany i skaleczenia pokrywały całe ciało. Rozmazana na twarzy krew stężała w upiorny makijaż.

Chwilę stał, chwiejąc się lekko, a potem ruszył powoli naprzód, jakby każdy krok wymagał głębokiego namysłu. Fragmenty mechanizmu zgrzytały pod jego butami. Wytrzeszczone oczy szyb i błyszczące paciorki soczewek śledziły go, gdy zbliżył się do drzwi, nacisnął klamkę i wyszedł na zewnątrz, w światło.

Mechan cierpliwie czekał.

Kiedy tylko kroki umilkły w dali, ruszył, niespiesznie wyłuskując ze swojego wnętrza wysadzone z osi elementy. Zrzucał je jak złoty naskórek, a w jego środku zaczęło już tętnić nowe życie.

Mechan był niepokonany.



Zimne powietrze kłuło w głębi ucha, grało w pracujących jak miechy płucach, które smród śmietników zdawał się drapać od wewnątrz. Nogi były kolumnami bólu, stopy ślizgały się na mokrym bruku.

Maksym wykręcił głowę i kątem oka złowił jasnozielony

błysk. To odblaskowe paski policyjnych kurtek odbiły światło latarni. Szczekał pies. Trzeszczały krótkofalówki.

Nie odpuszczali.

– Policja! Stój!

Strach kazał Maksymowi rzucić się w wąską szczelinę między kamienicami. Wiedział, że może trafić w ślepy zaułek, ale nie słuchał rozsądku, zbyt się bał pościgu.

Był pewien, że jeśli tylko da im okazję, zaczną strzelać. Do gazet trafi jako „diler z biura turystycznego”, pewno wygrzebią jeszcze Liban, nikt nie będzie płakał, przecież nie miał nawet rodziny, która mogłaby rozpaczać, że taki dobry chłopak.

Przerwa między budynkami prowadziła na małe podwórko. Z trzepaka zwisała zapomniana wycieraczka, nasiąknięta wodą i wyblakła. Kulawy kot kuśtykał pod murem. Z otwartego okna ryczał telewizor, a odgłosy strażów i policyjnego pościgu mieszały się z pościgiem prawdziwym, tak że nie dało się powiedzieć, który dźwięk był prawdziwy, a który – tylko celuloidowym, ociekającym testosteronem majakiem.

Maksym przebiegł na sąsiednią ulicę, pasek bruku na dnie wąwozu odrapanych kamienic. Skrzyżowaniem przemknął radiowóz na sygnale. Baba w papilotach gapiła się z drugiego piętra. Pościg się zbliżał.

Nie odpuszczali.

Gdy Maksym zerwał się do biegu dziesięć minut temu, sądził, że psy machną na niego ręką już po pierwszych stu metrach. Uciekał przed policją w wielu krajach – wszędzie mundurowi byli tak samo leniwi, głęboką nocą myśleli tylko o końcu zmiany. Zresztą złapać byle włóczęgę to większy problem niż korzyść. Trzeba było odwieźć go na komisariat, wypełniać papiery, dużo papierów. Ale ci tutaj

złamali niepisana zasadę, zupełnie jakby gnała ich jakaś tajemnicza siła. Może chcieli się odegrać, bo wcześniej zwał im gówniarz z puszką farby albo przegrali z kumplami w karty? Może musieli się wykazać, bo komendant narzekał na liczbę zatrzymań? Maksym czuł jednak, że prawdziwa przyczyna była dużo głębsza – i tajemnicza.

Miasto go odrzucało, wypychało, jak ropa wypycha drzazgę, która zbyt długo tkwi w ranie. Był tu obcym ciałem, intruzem spoza systemu, musiał zginąć lub odejść. Biegając, wyrzucał sobie w myślach, że nie zauważył pierwszych objawów tej immunologicznej reakcji. Przecież już od jakiegoś czasu ludzie patrzyli na niego dziwnie. Obcy akcent, który kiedyś nie przyciągał uwagi, teraz prowokował nieprzyjazne spojrzenia. Znajomi przestali dzwonić. Gdy nawet komórka piknęła, żeby przypomnieć o swoim istnieniu, okazywało się, że to reklama albo rozładowana bateria. Szefowa z biura podejrzenie zwlekała z harmonogramem na nowy sezon, a pies sąsiadki jakby częściej szczał na drzwi mieszkania wynajmowanego do spółki ze studentami, jakby coraz wredniejszymi.

O, tak. Miasto dało mu już wiele subtelnych znaków, że czas ruszyć w drogę. Zignorował je wszystkie.

Nic dziwnego, że musiało podjąć ostrzejsze kroki. I oto jego nieduża robota na boku nagle zaczęła przeszkadzać policji. Co im było do tego, że jeśli przyjaciele prosili, żeby załatwił jakiś rozweselacz, to on wiedział skąd? Czy to jego wina, że bywał w Turcji i Maroku kilka razy rocznie, że znał tam odpowiednich ludzi? To i tak nie były duże ilości, parę gramów haszu, kilka kulek zielonego, sprzedawane pod stolikiem, zawsze w tym samym klubie.

I nawet nie brał od razu pieniędzy, nie spieszyło mu się – jeśli ktoś nie miał, przynosił potem. Przyjacielski układ. Jeśli mieszał się nagle ktoś trzeci, musiały w tym maczać palce siły wyższe.

Skąd w ogóle się dowiedzieli? Dlaczego czekali pod klubem w cywilnym samochodzie, z radiowozami schowanymi za rogiem, zupełnie jakby był groźnym przestępcą?

Biegając w mrok, zacisnąwszy do bólu szczękę, by odwrócić uwagę od piekących mięśni, Maksym przeklinał się za to, że dał się zaskoczyć. Powinien przewidzieć, że miasto go odepchnie, podobnie jak wszystkie miejsca, w których był wcześniej. Dwa lata – to był jego nowy rekord, odliczając sierociniec, gdzie siedział do osiemnastki. Ale i tak nigdy nie czuł się tu dobrze, zawsze miał wrażenie, że jest tylko gościem, który nie wie, gdzie czemu zatrzymał się w połowie podróży, w jakimś miejscu zaplanowanym na krótki przystanek, a potem zaczął nagle udawać, że jest jednym z tubylców. Planował wyjechać dalej – do Japonii albo do Indii. Chciał sprawdzić, czy w jakimś odległym miejscu, w innej kulturze będzie się czuł równie obco. Nie bał się nauki języka ani układania sobie na nowo życia. Przeszedł to już kilka razy: Tel Awiw, Berlin, Paryż.

Dwa lata. To i tak dużo na średniej wielkości polskie miasto. Na przeszkodzie wyjazdowi stanęło jednak to samo, co zwykle – zguba nomadów, zaraza, która wygubiła koczowników: lenistwo. Tutaj było mu w miarę dobrze, miał do pewnego stopnia ułożone życie, kilku względnie bliskich znajomych, z grubsza akceptowalną pracę, związek – jeśli można tak nazwać okazjonalne sypianie z neurotyczną studentką. Gdzie indziej musiałby

zaczynać od początku.

Po prostu mu się nie chciało. Wolał udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Na to, co nastąpiło, zasłużył sobie jak diabli. Cooka zżarli dzicy, kiedy zbyt swobodnie się u nich poczuł – jego natomiast czekała kula w plecy oraz nekrolog w brukowcu.

– Stój! – rozległ się kolejny krzyk.

Znów go widzieli. Musiał zanurkować w boczny zaułek, niemal wywrócił się na mokrym chodniku. Graffiti złało się w kolorową wstęgę, obsceniczne rysunki splecione z przekleństwami w bezkształtną protomasę. Latarnie śmigły po bokach, odmierzając kolejne metry – betonowe pnie w lesie żółtych świateł.

Zebrał w sobie resztkę sił, a potem zmusił obolałe nogi do sprintu, chcąc się oddalić, póki go nie widzą, dotrzeć jak najgłębiej w dół grafu potencjalnych możliwości, który rozgałęział się dziesiątkami ciemnych bram oraz pograżonych w półmroku zaułków. Bał się jednak instynktownie, że ludzie w odblaskowych kurtach będą dzielić się w nieskończoność, pączkować tak, by sprawdzić każdą odnogę.

Troje dzieciaków palących na zmianę wymiętego papierosa spojrzało na niego podejrzliwie, gdy przebiegł obok placu zabaw. Białka ich oczu błyszcząły w ciemności, niedopałek żarzył się przed twarzami jak tłusty świetlik. Znów śmietniki, kolejna brama, kilka schodków w górę, następna ulica. Tu chwila zastanowienia – po prawej ciągnęła się szeroka dwupasmówka, za nią bloki i market, obok niego ciemny parking. Po lewej więcej kamienic, żelazna barierka, za którą płynęła leniwie rzeka. Z przodu kolejne podwórko, do którego droga wiodła pod wielkim łukiem, dziurawiącym kamienicę z powybijanymi

oknami.

Maksym myślał przez jedną gorączkową chwilę. Potem rzucił się w bok i zanurkował do najbliższej bramy, równoległej do tej, skąd właśnie wybiegł.

Przywarł plecami do muru i dyszał ciężko, wciągając ze świstem skisły zapach wilgoci, tynku i moczu. Tamci wybiegli na ulicę, a chwilę potem pojedyncze głośne przekleństwo rozcięło nocną ciszę, odbiło się od ścian i zasłoniętych okien. Chwilę kręcili się po uliczce, ledwie metry od niego, jeden zajrzał do pobliskich bram, ale wszędzie witała go tylko ściana mroku. Po chwili odeszli.

Maksym bał się ruszyć. Choć dusił się po długim biegu, przyciszył oddech, żeby ktoś przypadkiem nie usłyszał sapania. Piekły go otarte w ciasnych dżinsach uda, po plecach ściekała strużka potu, rzeźbiąc sobie koryto między ptasimi łopatkami, wzdłuż kręgosłupa.

Wtem coś zachrząściło z boku, pod ścianą. Obiektyw aparatu? Elektryczna zabawka? Maksym odwrócił się, czując, jak serce, które jeszcze nie odpoczęło od katorżniczego tempa, znowu zrywa się do sprintu.

Pierwsze, co zobaczył, to złocisty błysk. W świetle latarni, którego smuga wpadała do bramy, coś lśniło przed nim, na wysokości kolan. Wytrzeszczył oczy, przywarł mocniej do muru i gapił się głupio, nie mogąc zogniskować wzroku na złocistej masie.

A może to jego umysł nie chciał pogodzić się z tym, co widzi, i przez chwilę nie dopuszczał do siebie groteskowego obrazu?

Ślepotą emocjonalna, pomyślał od rzeczy, przypominając sobie nazwę zjawiska, o którym czytał. Albo kwasowy zwid.

Jednak TO trwało dalej, kłując źrenice migotliwym

blaskiem.

TO było pajakiem, zbudowanym z polerowanych mosiężnych części, zębatych kół i metalowych stawów. Na szczycie zamiast głowy widniało pojedyncze oko. Oko to patrzyło na niego, przekręciwszy się na bok jak głowa ciekawskiego dziecka. Nogi – zbyt liczne, żeby się zorientować, ile ich w zasadzie jest – drobiły w miejscu, stukając o brudną posadzkę.

Długo stali tak naprzeciw siebie, a Maksym z każdą chwilą czuł, jak początkowe zdziwienie odparowuje wraz z potem, który w pierwszej chwili wybił mu na czoło. Ten mechanizm – lub istota – zdawał się znajomy, nie straszył, nie zaskakiwał, przyciągał jak zabawka z dzieciństwa, wygrzebana na dnie szafy. Wspomnienia budziły się, ale nie przybierały jeszcze konkretnych form, powodowały tylko dziwne mrowienie z tyłu głowy.

Maszyna wydała jęk trących o siebie metalowych części. Odwróciła się i zrobiła kilka kroków w przód, potem znów spojrzała na niego, akomodując soczewkę sztucznego oka na patykowatej sylwetce, zupełnie jakby chciała go ponaglić.

Maksym zrozumiał. Adrenalina wciąż łomotała mu w głowie, nie miał ochoty na filozoficzne dywagacje, a metalowy przewodnik prowadził w mrok, daleko od policjantów.

Ruszyli w głąb starego domu. Gdzieś z boku widniała czarna paszcza otwartych drzwi do piwnicy oraz schody w górę, przetarte ciepłymi stopami mieszkańców tej ruiny. Rozlegały się tam stłumione odgłosy kłótni, ktoś krzyczał w pijanym widzie, ktoś płakał. Dźwięki te jednak matowiejały z każdym krokiem, zupełnie jakby należały do świata, który Maksym zostawiał za sobą.

Za schodami korytarz prowadził przez chwilę prosto. Łuszczące się farbą ściany zdawały się oddalać, rozszerzać jak komora tajemniczego grobowca, aż w końcu Maksym stanął przed dwuskrzydłową bramą, półotwartą, ciemną. Łatanina deszczułek i dykty przykrywała miejsca, w których wybito dziury, aluminiowa klamka jak ze szkolnej łazienki zastępowała oryginalny zamek, dawno już wydlubany, sprzedany na złom.

Pająk przecisnął się na drugą stronę. Maksym po chwili wahania uchylił drzwi i poszedł za nim.

Podwórko – dno komina otoczone przez okna, klepisko pokryte ptasim gównem, śmieciami, kawałkami gazet. Wysoko w górze skrawek zaciągniętego brudnymi oparami nieba. Mechanizm zatrzymał się pośrodku placyku, przebierając w miejscu odnóżami.

– I co, zgubiłeś się? – Maksym chciał dodać sobie otuchy, ale nie podziałało.

Własny głos, ochrypły, matowy, dla niego samego brzmiał obco i strasznie.

TO chyba nawet go nie słyszało. Stało dalej pośrodku, więc Maksym podniósł wzrok do nieba, jakby szukając wskazówki. Spirala okien unoszących się ku chmurom przyprawiła go o zawrót głowy.

Kiedy wrócił wzrokiem na ziemię, do ciemnego dna studni, zaklął. Na jednej ze ścian widział wyraźnie kolejną bramę. Czy mógł ją przeoczyć za pierwszym razem? Możliwe – jej wypaczone skrzydła kryły się w odległym kącie. Ale dziwne mrowienie, ten dreszcz niesamowitości, herold niepojętego, mówiło mu, że zjawiły się dopiero teraz.

Mechanizm ruszył w tamtą stronę, pobrzękując

metalowymi stawami. Ciemna szpara między skrzydłami połączyła go natychmiast. Maksym wahał się chwilę, ale ruszył jego śladem.

Otoczył ich mrok tak gęsty, że przyklepał się do ciała jak mokra koszula. Mrok miał własny smak, który wypełniał natychmiast usta i nos, sprawiając, że człowiek, choć nie brakowało mu powietrza, zaczynał się dusić. Wszystko umilkło: daleki szum aut, echo kłótni, wycie psa na sąsiednim podwórku. Cisza zaczęła dzwonić w uszach. Przyszły mdłości. Maksym przestraszył się, że traci przytomność – zmęczenie połączone z amfetaminą, którą łyknął godzinę temu, mogło wywołać zapaść.

Szukając podpory, wymacał dłonią ścianę, ale cofnął się zaraz jak oparzony. Była ciepła, wilgotna, śliska.

Myślał gorączkowo, czy nie zawrócić, ale bramy za sobą już nie widział, był Jonaszem w brzuchu najgorszej dzielnicy miasta, pożartym przez jakąś dziką odnogę podwórka, która nie istniała na żadnych mapach.

Na szczęście przed nim zajaśniał wkrótce świetlisty obrys drzwi. Maksym ruszył w jego stronę pędem, jakby ścigały go wszystkie demony piekieł na czele z Lucyferem, który jechał na szczerbatej opiekunce z domu dziecka.

Uderzył barkiem drzwi i wypadł w jasność.



Nim jeszcze oczy Maksyma przyzwyczyły się do blasku, obok zmaterializowała się szeroka, dwukonna, czarno obita dorożka. Mężczyzna na koźle nie miał szans go spostrzec, siedział rozparty swobodnie z czapką nasuniętą na twarz i głupawym uśmiechem. Lejce wisały luźno, a dwa kasztanki o grubych nogach i beczkowatych tułowiach szły naprzód wedle własnej woli. Maksym był pewien, że przejdą po nim bez zastanowienia.

Cofnął się w ostatniej chwili, zahaczył piętą o krawężnik, upadł na tyłek.

Powóz przetoczył się obok, a szprychy wysokich drewnianych kół mignęły Maksymowi przed nosem, tnąc świat na stroboskopowe migawki.

– Coś ty, zdurniał? Patrz, kurwa, gdzie jedziesz! – ryknął, wstając.

Zdziwiło go, jak inaczej brzmiał głos w tym miejscu. Był spłaszczony, wypatroszony ze wszystkich przydźwięków i wypchany watą.

Ten na koźle spojrzął za siebie tępym wzrokiem, ale nie odpowiedział. Tył dorożki zaczął powoli roztopiać się we mgle.

Mgła. Swoją jednorodnością sprawiała wrażenie, że samo powietrze ma tu biały kolor. Za mleczną zasłoną po obu stronach ulicy majaczyły trzypiętrowe kamienice. Oczy gipsowych Artemid w togach, amorków, tytanów dźwigających balkony patrzyły w dół, na ulicę, na Maksyma.

Nawet nie wiedział, że tak może wyglądać kamienica – domy nie miały na sobie ran czasu, rozległych łysin, z których odpadł tynk, dziur po kulach, warstwy brudu i sadzy. Ale nie były też pomalowane na jaskrawy kolor, jak makiety dla turystów stojące wokół rynku. We wszystkich oknach były firanki, a przed oknami – wymyślne barierki z kutego żelaza, które wiązały na sobie wzrok, tak że spojrzenie szło po froncie powoli, niespiesznie, zatrzymując się na każdym detalu. Wzdłuż ulicy paliły się gazowe lampy na smukłych kolumnach z kutego żelaza.

– Alicja po drugiej stronie pieprzonego lustra – mruknął Maksym. – I gdzie ty mnie zaprowadziłaś, pokrako?

Mechaniczny pajak wydał z siebie serię niezrozumiałych pisków.

Pierwsza myśl: cofnąć się, sprawdzić, czy nic nie odcina drogi ucieczki. Wrócił do bramy, z której dopiero co wypadł – drzwi wciąż były uchylone, za nimi widniał długi, ginący w mroku korytarz. Biły z niego smród i wilgotne ciepło, sama idea, by się tam zapuszczać, napawała odrazą.

Druga myśl: sprawdzić, czy jest przytomny. Uderzył pięścią w brązowe drewniane skrzydło, mocno,

zdecydowanie. Efektem był głuchy huk i tępy ból kłykci, doprawiony lekkim pieczeniem obtartej skóry.

Na tym skończyły się Maksymowi pomysły. Patrzył to na ulicę, to na pajaka, nie rozumiejąc, co powinien ze sobą począć. Maszyna zaś wyraźnie nie chciała mu pomóc w tym dylemacie, zamarła zupełnie, jakby wykonała swój program do ostatniej linii.

Z wolna Maksym ruszył ulicą. Wkrótce zobaczył przed sobą okrągły plac otoczony przez takie same domy, z fontanną na środku; woda ciekła z dzbana nimfy, rozchlapując się w kamiennej misie. Dźwięk ten zdał mu się dziwnie kojący, dzięki niemu otoczenie było mniej straszne, nieludzkie. Ale gdy zastanowił się nad tym wszystkim, niepokój powrócił – Maksym doszedł bowiem do wniosku, że szum wody był po prostu jedynym odgłosem, jaki słyszał od spotkania z woźnicą. To miasto było nieme, martwe jak rój, z którego uciekły wszystkie pszczoły, a królowa zdechła tak dawno, że został po niej tylko chitynowy pancerz w labiryncie pełnym wyschniętych larw.

Kusiło go, żeby zajrzeć do którejś z bram, zastukać w dowolne drzwi i poszukać ludzi. Jednak myśl o wchodzeniu do wnętrz budynków budziła w nim trudny do sprecyzowania opór, zupełnie jakby wędrówka przez długi, gorący i duszny tunel nieuleczalnie zraniła jego podświadomość. Zdecydował się pójść ulicą.

Skręcił w lewo, minął ogrodzenie, za którym tonął we mgle park pełen wysokich klonów, aż w końcu zobaczył, że z naprzeciwka idzie w jego stronę starszy, dystyngowany mężczyzna.

Ów człowiek miał na głowie melonik, nosił ciemny surdut oraz koszulę ze sztywno postawionym kołnierzem. Szedł

niespiesznie, machając nad ziemią spacerową laską, a jego dobroduszną pomarszczoną twarz rozciągnięta była w szerokim uśmiechu. Krótko przycięty wąsik jak przyklejony pod nosem pędzel krył częściowo blade wąskie wargi, które wydymały się, nucąc operetkową arię.

Dopiero teraz oszołomiony Maksym zastanowił się nad tym, co to właściwie za miejsce. Chłodno ocenił, że pewnie cofnął się w czasie, i sam się zdziwił faktem, jak lekko ta myśl przyszła i jak gładko ją przyjął. Takim rzeczom dziwili się już widocznie tylko bohaterowie filmów i książek, które pracowicie przyzwyczyły ludzkość do każdej okoliczności, od ataku zombie po kosmiczną katastrofę, podobnie jak ponure malowidła średniowiecza oswajały kiedyś ze śmiercią, z Sądem Ostatecznym. Maksym nagle przypomniał sobie nazwę, którą gdzieś wyczytał – zespół stresu postmodernistycznego. Dotyczyła osób takich jak on, które wychodziły poza swoją strefę komfortu tak często, że starły jej próg aż do ziemi; osób, których nic już nie mogło zaskoczyć.

Podróż w czasie? Nic nowego, w głowie natychmiast zaroily się internetowe dyskusje o różnych jej koncepcjach, od teorii wewnętrznej spójności Igora Novikova oraz paradoksu predestynacyjnego po teorię giętkiego czasu. *Powrót do przyszłości* walczył o palmę filozoficznego pierwszeństwa z *Terminatorem* i *Więźniem Azkabanu*. A Maksym miał z tym tylko jeden problem – pomysł był zupełnie bez sensu.

Czy nawet sto lat temu miasto mogło tak wyglądać? Pamiętał jeszcze czarno-białe dagerotypy z końca dziewiętnastego wieku, które widział w muzeum – przedstawiały zgoła odmienny obraz: ulice pokryte

warstwą gnoju i odpadków, niechlujne szyldy, drewniane przybudówki, miejska biedota, handlarze starzyzną, przekupki, witryny rzemieślniczych warsztatów, wałęsające się psy. Gdzie to wszystko?

Spacerowicz zdawał się nie dostrzegać Maksyma aż do ostatniej chwili, gdy ten zagroził mu drogę. Wtedy mężczyzna stanął. W jego oczach nie było strachu, tylko absolutny brak przytomności – były jak martwe, szklane protezy.

– Dobry... – tu Maksym zaciął się, nie wiedząc nawet, jaka to pora dnia. – Gdzie... Gdzie właściwie jesteśmy? Co to za ulica?

– Zgubiłeś moment? – Głos starego lekko drżał, miał jednak przy tym wyraźny kresowy akcent, jak z filmów z dwudziestolecia.

– Słuchaj, człowieku. Ja ci nic nie chcę złego... Zgubiłem się. Powiedz mi tylko, w jakiej części miasta jesteśmy... Albo lepiej, który mamy rok?

– Jesteś od niego? – spytał strachliwie mężczyzna.

– Jestem z drugiej strony, no wiesz, bramy. Uciekałem przed policją i trafiłem tutaj, czyli właściwie gdzie?

– Musisz być od niego, masz w sobie nietrwanie. Bo czemu inaczej?

Maksym pomyślał, że to w gruncie rzeczy uczciwa wymiana. Głupie pytanie za głupie pytanie. Tyle że to mogło się jeszcze długo ciągnąć, a on już teraz miał ochotę chwycić staruszka za poły surduta i solidnie potrząsnąć.

– Musisz być od niego – mamrotał dalej mężczyzna.

– Nie wiem, o co ci chodzi!

– Złamałeś moment, wciągasz mnie w nietrwanie, co ci zawiniłem, panie złoty, dlaczego?

– Odpowiedz mi, bo zaraz...!

– Nie powinienem z tobą rozmawiać – odparł staruszek, po czym spuścił oczy i bezceremonialnie przepchnął się obok Maksyma. – Muszę wrócić do momentu, zapamięć...

Laska zastukała w rytm przyspieszonego kroku. Buty ślizgały się na wilgotnym bruku. Lampa gazowa rzucała na wysoki ceglany mur po drugiej stronie ulicy nieme przedstawienie: jeden cień stał bezradnie z opuszczonymi rękoma, drugi odchodził, oglądając się niepewnie za plecy.

Frustracja. Maksym czuł, że wzbiera w nim złość, chciał odpowiedzi, teraz, zaraz, bał się zostać sam na tej dziwnej ulicy, w onirycznej krainie, z której nie potrafił znaleźć wyjścia. Ruszył za mężczyzną i zdecydowanym ruchem położył mu rękę na ramieniu.

– Nie łam momentu, nie łam – tamten rzekł błagalnie, kurcząc się w sobie.

Resztki dystygowanego tonu zniknęły, był teraz dzieckiem, bitym przez rodziców z niezrozumiałego dla siebie powodu.

– Słuchaj, jestem tak samo zdziwiony jak ty. Nie wiem, jak tu trafiłem, pomóż mi tylko, potem dam ci spokój.

Oczy starca, teraz już nie szklane, tylko pełne strachu, spojrzały mu prosto w twarz.

– Odejdź. To nie może być przypadek. Pojawiasz się zaraz po tym, co zrobili księżnej? Uparliście się nas skończyć? – pisał.

Wyrwał się raz jeszcze i rzucił się do przodu pokracznyim biegiem.

Maksym chwilę myślał, czy nie ruszyć za nim, ale szybko zrezygnował. Wkrótce był sam na cichej, mglistej uliczce. Miał już pójść dalej, kiedy po lewej spostrzegł

ruch. Odwrócił się błyskawicznie, wbijając wzrok w boczny zaułek. Zdawało mu się, że mignęła tam jakaś wysoka, złowieszcza sylwetka w czarnym stroju, przed którą mgła zaciągnęła natychmiast swoją kurtynę. Czuł jeszcze na sobie spojrzenie obcego – lodowate, groźne. A jego twarz...

Serce Maksyma przyspieszyło. Znieruchomiał, próbując wyłowić z morza gęstej ciszy jakiś dźwięk. Ale wokół nie było nikogo, słyszał tylko własny świszczący oddech.

Zapanował nad tętnem, odegnał pytania, huczące w głowie jak rój dokuczliwych pszczoł. Pamiętał jeszcze szkolenie dla poborowych IDF, które miało przygotować go na niewyobrażalne, na zamach terrorystyczny ogromnej skali, na wojnę światową, na ogniste *shoah* całego narodu. Wiedział, jak działać: przede wszystkim nie pozwolić dojść do głosu świadomości, temu panikarzowi, który potrafi ulepić ze strachu, niewiedzy i niepewności milion bzdurnych teorii. Najpierw – ocenić sytuację.

Wziął jeszcze kilka oddechów, a potem ruszył w dół ulicy, niepewnie rozglądając się na boki.



Obcy ruszył w dół ulicy, niepewnie rozglądając się na boki, a czarno odziany mężczyzna patrzył za jego wąskimi, zgarbionymi plecami, czując, jak wzbiera w nim wściekłość. Co tu robił? Dlaczego przyszedł? Pięści mężczyzny zaciskały się i siniały, jakby wezbrane żółcią, sokami czystej złości. Miał ochotę naprawić wszystko, pójść za obcym, zniecka uderzyć go kolanem w nerki,

powalić na ziemię i tłuc, tłuc głową o bruk, tłuc, aż poczuje, że czaszka pęka mu w dłoniach.

Odetchnął głęboko, wypuszczając powietrze ustami. Próbował się uspokoić. W końcu biedny idiota nie był winny. W każdym razie nie bardziej od niego. Ale nie mógł pozwolić, żeby narobił tu szkód, dlatego kiedy tamten zniknął już we mgle, mężczyzna ruszył za nim. Czarny płaszcz pozwolił mu wtopić się w cieniu. Na twarz naciągnął chustę, żeby nie świeciła trupią bielą.

Śledził przybysza, próbując ułożyć sobie wszystko w myślach i znaleźć odpowiedź na najważniejsze pytanie: powinien go zabić czy pozwolić mu żyć?



Tego pamiętnego wieczora, trzynastego maja 1867 roku, jak co sobotę grali w karty na zapleczu składu starego Berghajma. We czterech, siedząc na pakach z towarem, tłoczyli się wokół stolika, który z frontu przyniósł Jan Słuka, Berghajmowy subiekt. Był on zarazem ojcem założycielem Klubu Nicponiów – garstki połączonej tym, że kochali karty, a pracowali ciężko i za małe pieniądze, o czym przy kartach potrafili z lubością rozprawiać.

Słuka był legendarnym leniem, wsławionym tym, że w pracy sypiał nawet na stojąco i często nieświadomie straszył klientki składu, które podchodziły pytać go o radę, by po chwili uciec z piskiem, myśląc, że skonał oparty o regał, z wywróconymi oczyma i strużką śliny cieknącą z kącika ust. Mimo tego Słuka zdołał jakoś przekonać właściciela, Izaaka Berghajma, że jest nieodzowną podporą sklepu, człowiekiem niezastąpionym,

który załatwia dosłownie wszystko, i że gdyby nie dźwigał na karku ciężaru stu jeden tajemniczych codziennych spraw, interes natychmiast by upadł.

Obok niego siedział stary Eustachy Różewicz – majster w pobliskich zakładach metalowych, zawsze wyprężony jak struna za sprawą służby, którą przeszedł w austriackiej armii. Siwiejącą czuprynę pomadował do błysku i rozdzielał na pół idealnym przedziałkiem, wąsy stroszył grzebieniem ku górze. Co jakiś czas zerkał na swój złoty zegarek, ale bynajmniej nie dlatego, że spieszył się do swojego domku przy fabryce, do ładnej żony i czwórki dzieci. Zegarek dostał od pewnego inżyniera w podzięce za uratowanie życia i był z niego tak dumny, że przez lata wyrobił sobie gest wyciągania chronometru przy każdej możliwej okazji, gładkim ruchem arystokraty w dziesiątym pokoleniu. Nawet jego gruba twarz stawała się poważna i dostojna na tę krótką chwilę, gdy zerkał na wskazówki czasomierza.

Kiedy nie patrzył akurat na zegarek albo nie mamrotał czegoś pod wąsem, miętoląc karty, opowiadał głośno o niegodziwościach Bismarcka i o tym, jak to nieodzownie i nieodwołalnie wybuchnie wojna między Prusami a Anglią. Wykładając swoje dowody, walił pięścią tak mocno, że stolik aż trzeszczał.

W porównaniu do Eustachego Różewicza dwaj mężczyźni siedzący naprzeciw niego zdawali się spokojni jak anioły. Mikołaj Sztajmer, czarnowłosa, wysoki jak tyka młodzieniec z eleganckim wąsem, pracował jako rachmistrz w banku Saltzerów. Zdawał się znać każdą plotkę i każdą poufną wiadomość o tutejszych przemysłowcach. Często zabawiał towarzystwo opowieściami o tym, kto chyli się ku plajcie, kto ma jaki

dług, kto dał ile weksli i kto je wykupił, niepomny na to, że gdyby jego pracodawca dowiedział się, jak lekką ręką Mikołaj rozdaje pilnie strzeżone sekrety, najpierw pozbawiłby go skóry na plecach (Saltzer zwykł tłuc krnąbrnych klerków różgą), a potem – pracy.

Czwarty i ostatni był Maurycy Kutz, student o twarzy bladej i gruźliczej. Był tak wymizerowany, że zdawało się, iż byle podmuch obali go na ziemię. Na grzbiecie miał łataną kapotę, która tylko uwypuklała jego ptasie łopatki. Każdą opowieść Mikołaja o plajtach i długach kwitował krótkim: „I dobrze mu!” albo: „Niech zdycha!”. Maurycy był bowiem żarliwym socjalistą, jedynym w tym gronie, za co często spotykały go szyderstwa, które z kolei prowokowały u niego ogniste tyrady, witane przez resztę z jeszcze większym rozbawieniem.

– Grajże, człowieku, bo mi tyłek w krzesło wrośnie!

– Różewicz pogonił Janka Słukę.

– Nie w krzesło, a w sto pudów bombazyonu liliowego, drukowanego w skowronki, pierwszy sort. Dla tyłka to nie lada ozdoba – zadrwił Słuka. – Mikołaj?

– Figur bierze figur, jak mawiał święty Igór. – Karta wylądowała na stole.

– Ty się nie napinaj tak, Mikołajku, bo ci żyłka w czole pęknie. A jak nie masz żołądki, to cię mocno zaswędzi.

– Szóstka pik.

– Może cofnij tę kartę, Maurycku, bo ja dla ciebie nie chcę źle, serce mi pęknie, że ci od ust odbieram jutrzejszy obiad.

– A co ty wiesz. Gra w piki daje wyniki! – zaśmiał się Maurycy.

– Mikołaju drogi, weź mu skórę przetrzep, bo ja nie mam czym.

– My, Polaki, musimy trzymać się razem. Karo cię zrobi na szaro. – Mikołaj rzucił na stół dwie karty.

– My, Polaki? – zaśmiał się Jan. – Twoja matka była rosyjska Żydówka, a ojciec niemiecki bauer. Co z ciebie za Polak?

– Ano większy niżli z ciebie – wydał usta Mikołaj.

– Bo z wyboru, nie z musu.

– To zdradź mi jeszcze, co to za interes samemu się mienić Polakiem? – Różewicz rzucił kolejną kartę.

– Przecież Żydzi i Niemcy przynajmniej się trzymają razem, jeden drugiego kredytem wspomże albo do interesu dopuści. A u nas? Dwóch było w tekstyliach ważnych rodaków: Bieliński i Hańko. I tak się zaperzyli, tak zajęci byli trzebieniem siebie nawzajem, że ich konkurencja zjadła. Ty byś lepiej zrobił, jakbyś się w innym towarzystwie obracał.

– A to nie wiesz, że Żydzi w karty nie grają, a z Niemcami słabo się pije? Masz za swoje, Janek! – Mikołaj wyłożył z rozmachem dwie karty. – Jużes zapomniał? Mówiła matula, nie wychodź spod króla!

– A całuj psa w nos, ja już wiem, co ty masz na ręce. Do portków cię skroję. Ty usłysz chociaż, jak ty mówisz „Polacy”. „*Paljaki*”! „My prawdziwe *Paljaki*” – zaczął go ze śmiechem przedrzeźniać Janek, a dwaj pozostali się dołączyli:

– *Paljaki!*

– *Paaaljiaaki!*

– A kpijcie sobie, na zdrowie – odparł Mikołaj. – Zazdrościcie, że mi rodzice dali szeroki wybór, po uważaniu mógłbym robić za Rosjanina, Żyda, Niemca albo Polaka. A twoja kartoflana gęba i wąs chłopski, Eustachy, to jaśniejsze od wpisu w cenzurze.

– Wąs nie chłopski, a szlachecki! Jakbyś był prawdziwy Polak, to byś poznał!

– Gdzie tam szlachecki, wąs patriotyczny, piastowski – zaśmiał się Janek. – Niczy...

Przerwał, bo na dworze, gdzieś nieopodal, rozległ się krzyk tak przeciągły, zwierzęcy, że jak nóż uciął rozmowę i śmiechy. Maurycy pobladł, Mikołajowi wypadły z dłoni karty.

– Ki diabeł? – wycodził przez zęby Różewicz.

Cała czwórka spojrzała w napięciu na uchylone drzwi, za którymi rozciągała się mroczna i wąska alejka. To stamtąd słyszeli krzyk. Z dala dochodził odgłos dorożek na głównej ulicy, gdzieś w oddali zaświszczał fabryczny gwizdek, obwieszczając koniec długiego dnia pracy. Przez chwilę zdawało się, że padli ofiarą zbiorowego złudzenia.

– Myślę, że... – zaczął Janek.

Krzyk powtórzył się, jeszcze głośniejszy. Zdawał się strzępić na setki chropowatych włókien, które wnikały głęboko w ucho, grzęzły w mózgu upiornym echem. Żaden z nich nigdy takiego krzyku nie słyszał, nie przypuszczali nawet, że taki krzyk mógł istnieć, i bali się myśleć, kto i dlaczego mógł tak krzyczeć. Maurycy męczył się z przełknięciem śliny, bo gardło nagle ścisnęły mu żelazne kleszcze. Słuce zaczęły drżeć dłonie.

– To być nie może... – szepnął. – Przecież to z końca zaułka.

– No i?

– Uliczka jest ślepa. Widziałbym przecie, gdyby ktoś tam szedł...

Może gdyby mieli chwilę do namysłu, uznaliby, że bezpieczniej zamknąć drzwi i zapomnieć – w mieście morderstwa zdarzały się często: a to pijak zatłukł żonę, a

to dwóch robotników chwyciło po wódce za noże. Ale nie dostali okazji, bo przywództwo natychmiast objął Różewicz. Zerwał się z krzesła, wystrzelił na uliczkę i popędził w stronę odgłosu. Reszcie nie zostało nic, jak tylko ruszyć za nim.

Za sklepem był zaułek, który kiedyś prowadził na ulicę Zawrocką – do czasu, gdy Steinbuch wykupił cały kwartał starych czynszówek i zrównał je z ziemią, by zrobić miejsce dla parowej tkalni. Teraz ulica kończyła się wysokim fabrycznym murem, a że była lekko nachylona, z czasem pod ścianą zebrało się prawdziwe jezioro ścieków, nieczystości i śmieci. W tym bajorze na tle ceglanej ściany, w bladym świetle księżyca, który przenikał smoliste chmury, spostrzegli postać.

Jakiś człowiek klęczał w cuchnącej brei, wył jak wilk i tłukł pięściami w mur, tłukł bez opamiętania, do krwi, aż na ścianie zostały ciemne smugi. Ubrany w podarte szmaty, wyglądał jak średniowieczny biczownik – krótkie włosy zlepły mu brud i zaschnięta krew.

Chwilę stali na granicy wody, jakby w obawie, że to ciemna toń zrobiła nieznanemu coś strasznego. Pierwszy przemógł się znów Różewicz. Nie bacząc na glancowane buty ze świńskiej skóry ani nogawki swoich spodni, prasowanych w ostry jak brzytwa kant, wszedł do bajora, zapadając się natychmiast po łydki. Jan ruszył za nim, a Mikołaj i Maurycy zostali na brzegu, drepcąc niespokojnie.

Dobrnawszy do obcego, majster położył mu rękę na ramieniu i chciał o coś spytać, ale zamiast tego odskoczył jak oparzony. Z bliska, w szarej poświacie księżyca, która odbijała się od mokrych cegieł i kałuż szlamu, zobaczył, że skóra obcego stroszy się gruzłami niezliczonych blizn.

Pokrywały całe ciało, łącznie z twarzą, na której siatka białych zgrubień wyglądała jak tłusta pajęczyna. Jedna powieka mężczyzny lekko opadała, oczy były puste, szalone.

– Bracie! Kto ci to zrobił? Ktoś cię napadł? – Różewicz uchwycił go pod pachami i próbował unieść do góry, ale nogi mężczyzny były jak z waty, niemal natychmiast opadł w brudną wodę, opryskując nią wszystkich wokół.

– Widzisz przecie, Eustachy, że to stare rany. – Jan z ciekawością obszedł nieszczęśnika, a potem spytał głośno i wyraźnie:

– Słyszysz, kolego? Skądżeś? Co tu robisz? Coś ci dolega?

Nie było odpowiedzi. Różewicz kolejny raz spróbował postawić mężczyznę na nogi, ale tym razem oparł go o mur, dzięki czemu obcy zdołał utrzymać się w pionie.

– Może nas nie rozumie? – rzucił Maurycy z bezpiecznej odległości.

– *Sind Sie Deutsch? Gawarisz pa ruski?* – spytał Mikołaj.

– Daj spokój, przecież widzisz, że jest trącony na umyśle – odparł Jan.

Wtedy Bezimienny odwrócił do nich głowę. Drgnęli, po raz pierwszy widząc, że jego oczy zogniskowały się, że spostrzegł ich obecność.

Wybełkotał coś szybko, nieskładnie.

– Co mówisz, bracie? – nachylił się ku niemu Różewicz.

– Kaarraaaa! – zawył obcy. – Ja muszę... Muszę...

– Za co kara? Co ci się stało, przyjacielu drogi? – nachylił się do niego Jan.

Odpowiedziało mu tylko nieartykułowane łkanie. Nieznajomy to pokazywał mur, to siebie, potem chował twarz w dłoniach i zanosił się szlochem. I nic, poza

kilkoma pozbawionymi ładu słowami, nie zdołali z niego wydobyć.

– Co robimy? – przestraszonym głosem spytał Maurycy.

– To wariat! Trzeba go na policję zaprowadzić, może go wezmą do azylu – prychnął Słuka.

Różewicz pokręcił głową.

– Tfu! Nie wstyd ci takie rzeczy gadać? Rodaka chcesz oddać na zmarnowanie?

– Skąd wiesz, że rodak?

– Gadał po polsku, nie? Może tylko chwilowo mu rozum pomieszało, dam go raczej do Ratajskiego, a potem obaczym.

– I tam go niby nie zmarnują?

– Tam mu przynajmniej głowy kroić nie będą.

– U Ratajskiego o tej porze już dawno zamknięte – szepnął z tyłu Maurycy.

– To na noc go wezmę do domu, prześpi się w składziku, a jutro z samego rana go odstawię.

– Nie boisz się takiego dziwaka brać do siebie? – Jan nachylił się i ściszył głos. – A jak to zwyrodnialec? Jak ten dusiciel z Francji?

Różewicz wzruszył ramionami.

Za nimi obcy płakał jak dziecko, opierając czoło o mur.



Światło narastało, w miarę jak Maksym wchodził w labirynt brukowanych ulic i wysokich domów. Czy był już dzień? Przecież wszedł tutaj późnym wieczorem. Zdezorientowany, szukał oczyma słońca, ale niebo było jednolicie szare, a gazowe lampy – wyłączone; zdawało się, że każda rzecz emanuje swoim własnym blaskiem.

Minął kilka pustych witryn z malutkich kwadratowych szybek, przeszedł koło przekrzywionej rudery z drewnianymi przybudówkami, minął kolejny ciąg kamienic, kolejny pusty plac. Wciąż ani śladu żywej osoby. Mieszkania, do których zaglądał, były puste, porzucone. W otwartym składzie sukienym bele materiału piętrzyły się pod sufit na długich żeliwnych rolnkach, kontuar błyszczał pastą do drewna, księga rachunków leżała na stole, obok niej ołówki i trochę pieniędzy. Maksym wszedł ostrożnie do środka, czując, jak włosy jeżą mu się na karku od skrzypienia podłogi.

Wyświechtane banknoty po rozłożeniu były wielkie jak

dłoń; papier pożółkł, sina litografia rozmazała się. Maksym nie potrafił odczytać napisów cyrylicą, ale czarny orzeł o dwóch głowach mówił wszystko. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pójść na zaplecze, w ciemną gardziel, która otwierała się na końcu sklepu. Ale coś tu go niepokoiło: ciężki zapach, bezruch powietrza, ściany i sufit, które zdawały się obkurczać ślimaczym ruchem. Szelest za plecami. Muśnięcie na twarzy.

Wybiegł na ulicę.

Przyspieszył, truchtem biegnąc tam, gdzie labirynt zdawał się rozjaśniać. Poświata była coraz jaśniejsza, z każdym krokiem kolory zdawały się żywsze. I w końcu, wybiegając z za zakrętu, z rozpadliny między dwoma potężnymi kamienicami, zobaczył ludzi.

Przy froncie budynku naprzeciw stał wóz węglarzy, wyładowany po burty, zaprzężony w kasztanowego perszerona, który leniwie odwrócił głowę w stronę Maksyma. Na koźle siedział starszy człowiek w filcowej czapie, z bujną ciemną brodą i fajką w pożółkłych zębach. Za nim pracowali dwaj węglarze, wysypaną na chodnik stertę zsypując powoli szuflami do okienka piwnicy. Zapach węgla był ostry, prawie jak zapach prochu. Łopaty zgrzytały na chodniku.

Czarna góra nie malała.

Maksym obszedł ich, przyglądając się uważnie – nie widzieli go, zanurzeni w spokojnej, monotonnej pracy, z dziwnymi uśmiechami przylepionymi do twarzy. Woźnica przesuwiał wytarte lejce między sękatymi paluchami jak paciorki różańca. Co jakiś czas puszczał kłąb dymu.

Maksym zrobił krok do przodu, ale wtedy przypomniał sobie przerażenie dziadka, którego uprzednio zaczepił. Nie, lepiej było się nie narzucać. W życiu trafił już do

wielu obcych krajów, zawsze wolał obserwować, słuchać, póki nie zrozumiał ukrytego zbioru zasad, sekretnego tętna, które wyczuć można było pod powierzchnią każdego miejsca.

Przypomniawszy sobie prześwietlone jasnym słońcem leniwe uliczki Teheranu. Mężczyźni w jednakowych strojach, stłoczeni przy plastikowych stolikach kawiarni, ręce machają w takt dyskusji, wznoszą się gwałtownie, ale ich trajektorie nigdy się nie przecinają, unikają się jak poderwane do lotu stado ptaków. Sprzedawca pali sziszę przed wąskimi schodkami sklepu, cichy zaśpiew z otwartych ażurowych okiennic koranicznej szkoły, trzech spoconych policjantów na rogu, plakaty w obcym języku, wszędzie plakaty.

Potem zobaczył przed oczyma ulice Londynu późnym wieczorem, ciężkie od wilgoci powietrze, czarne taksówki pędzące we wszystkie strony, odbicia świateł w kałużach, zamknięte zielonymi kratami kramy Covent Garden, grupę spoconych ludzi stojących w mżawce przed stoiskiem, przy którym uwijają się Turek i Chińczyk. Zjeść coś między jednym klubem a drugim, splukać z gardła lepki smak parnej nocy, gorzki smak amfetaminy i extasy. Na wszystko sponad czarnego horyzontu patrzy krytycznie wielkie białe oko, czerwone światła błyszczą w jego niebotycznych szprychach.

Motel przy Route 66, gdzieś za Oklahoma City, a przed Amarillo, na wielkich pustkach środkowych stanów, neonowy kowboj macha ręką w skarłowaciałej parodii Las Vegas, ciężarówki prują noc na pobliskiej autostradzie, za motelem równa jak stół, skąpana w świetle gwiazd sucha równina, kilka samochodów na parkingu, meksykańskie małżeństwo w recepcji, podświetlony lampkami Jezus

otwiera ramiona, wita w świecie małych pokoików, gdzie zapach stęchłej, dawnej miłości wniknął na stałe w obicia sof.

Baruch atah Adonai Eloheinu Melech Haolam, m'shaneh hab'riyot.

Maksym uśmiechnął się, przeganiając nachalne wspomnienia. Obszedł węglarzy jeszcze raz, wciągnął w nozdrza zapach potu i czarnego pyłu, smakował chwilę tę scenę, a potem ruszył dalej – szukać tętna.

Ludzie zaczęli się pojawiać powoli, jak karaluchy, które wychodzą z zakamarków piwnicy, kiedy zgasi się światło. Maksym nie wiedział jednak, czy to dlatego, że wszedł już głęboko w obszar jasności, czy dlatego, że dziwna kraina go wreszcie zaakceptowała, postanowiła dopuścić do swojego serca.

Najpierw gdzieś w oknie mignęła twarz, potem między drewnianymi szopami przebiegło dziecko. Dalej, w klaustrofobicznym podwórku, dwie staruszki siedziały pod murem, nieruchome i popękane jak posągi, które tysiąc lat stały na deszczu. Dzwoniąca w uszach cisza powoli ustępowała, gdzieś tam słychać było cichą rozmowę, gdzieś przejechał wóz, zaszczekał pies. Wreszcie Maksym wyszedł na szeroką aleję, która po jednej stronie miała niskie domy robotnicze, a po drugiej długie pawilony fabryki; kominy szły ku niebu, zza otwartych wrót słychać było monotony łomot parowej maszynerii, na brukowanym podwórku paru mężczyzn rozładowywało wozy, rozpostarte podwójne skrzydła hali otwierały zaś Maksymowi perspektywę na rzędy skulonych nad krosnami kobiet w identycznych szarych czepkach. Pograżone w jednym rytmie, z tajemniczymi uśmiechami na twarzy, zdawały się być przedłużeniem żeliwnych

maszyn.

Znów skrecił, próbując iść tam, gdzie ludniej, głośniej, jaśniej – dalej od skąpanych we mgle martwych obrzeży dzielnicy. Wyszedł na kolejną uliczkę, gdzie podkrążone ciężkimi balkonami okna czynszówki patrzyły zawistnie na baraki po drugiej stronie. Środkiem linii demarkacyjnej, okopem brukowanej ulicy szedł druciarz obwieszony patelniami. Na rogu dzieci bawiły się fajerką i kijem. Kobiety, do połowy wychylone z okien jak galiony na dziobach okrętów, plotkowały zapamiętałe. Kolejna ulica – jeszcze więcej ludzi. Dorożka stała cierpliwie przed składem kolonialnym, a wewnątrz dwie starsze damy i młoda dziewczyna w kremowej sukience przeglądały jedwabie. Obok sklepu widniała witryna warsztatu kapelusznika, z którego wiało ostrym zapachem rtęci. Wąskimi uliczkami płynęły powolne strumyki ludzi. Osiadłe w mokrej ziemi rudery rozbrzmiewały krzykami dzieci. Staruszka sprzedawała warzywa z rozłożonej na chodniku płachty.

I choć to wszystko było nienaturalne, dziwnie powolne, zbyt jasne i zbyt ostre, to Maksym nie czuł się zagrożony. Wręcz przeciwnie, ogarniał go dziwny spokój. Z jego podświadomości próbowały się wyrwać jakieś wspomnienia, ale ginęły na granicy zrozumienia, rozpadały się w rażącym świetle, zostawiając po sobie tylko przyjemny szum, trudne do sprecyzowania wrażenie, że miejsce było przyjazne i znajome.

Kolejny zakręt. Jasna ulica obramowana dwoma równymi szeregami kamienic. Powozy wymijały się, wjeżdżając kołami w rynsztoki. Księgarnia, zakład optyka, jednooki staruszek w mundurze wspierał się ciężko na lasce, jakby przyciągał go do ziemi ciężar medali. Mały gazeciarz

krążył chodnikiem niespiesznie, zwracając się do kolejnych przechodniów. Maksym podszedł, zerknął mu przez ramię – na szerokich kartach papieru wszystko było dziwnie rozmazane, jakby spoglądało się przez brudną soczewkę.

– „Kuryer Poranny”, jedyne piętnaście kopiejek, kupujcie państwo „Kuryer Poranny!”.

Na końcu alei plac otwierał przed Maksymem swoją skąpaną w świetle, wyłożoną kocimi łbami przestrzeń. Na jego środku błyszczały szkłem pawilony kwiaciarek, zaś po bokach szerokie, przeszklone fronty sklepów oraz kawiarni kusiły obietnicą cienia. Maksym rzucił okiem wzdłuż ściany placu, łowiąc kilka szyldów: *FRYZYER DLA PAŃ I PANÓW, STRUMM I SYNOWIE, ARTYKUŁY RÓŻNE, KAWIARNIA SENATORSKA*.

W końcu ruszył w stronę najbliższej kamienicy, gdzie nad secesyjnym frontem z zielonego drewna wisiała tablica *POD KOTEM*. W środku owionął go zapach pastowanej boazerii i świeżo mielonej kawy. Mosiężne wieszaki błyszczały przy wejściu, nieco dalej były stoliki z marmurowymi blatami. Kryształowy abażur łyskał setkami refleksów jak galaktyka zawieszona pod ciemnym sklepieniem kawiarni. Za barem stał mężczyzna: gruby, wąsaty, w wykrochmalonej na sztywno koszuli, której szerokie płaty jak biała zbroja załamywały się w okolicy łokci i ramion.

Gości tylko czworo. Przy oknie siedziała jakaś panna, całkiem ładna, zagapiona na plac. Elegancki kapelusik spoczywał przed nią obok porcelanowej filiżanki, twarz była nieruchoma, wyciągnięta w wyrazie tęsknoty. Nieopodal trzy damy rozmawiały półgłosem, nachylone do siebie.

– ...ten sam inżynier, co u mojego męża kiedyś pracował? Rakowski? – pytała najbardziej pomarszczona, z krótkimi lokami przetykanymi siwizną.

– Ten sam. Ale odesłał go Szulc z kwitkiem, że gołodupiec, a potem mówił w towarzystwie, że prędzej córkę by oddał Hertzlowi, bo ten może szuja, aferant i wróg jego najgorszy, ale przynajmniej zdolny, bo ma dwa miliony rocznie! – odparła druga, o grubej szyi ściśniętej koronkowym kołnierzem.

Maksym, słuchając jednym uchem, przyjrzał się dziennikom na kijach, które wisiały przy barze. Wyciągnął dłoń i ostrożnie dotknął nieczytelnych plam farby, czarnych i szarych wirów. Palce wyczuły lekko chropowaty papier. Szykarz gapił się gdzieś w żyrandol, nawet go nie zauważył.

– A to nieszczęście, pan inżynier taki zacny człowiek! – padło od stolika. – Był u nas na obiedzie, kiedy mój mąż obstalował u niego te nowe angielskie maszyny. Szczere złoto, moje panie, szczere złoto.

– Może i złoto, ale dla Szulca wart tyle, ile jego rachunek w kasie braci Bieleckich. A tam ponoć ledwo ponad kreską.

– Uważacie, drogie panie? Szulc, syn powroźnika, pół życia ze sznurami na targi jeździł, i on mówi, że jego córka za dobra dla polskiego inżyniera? Córeczce ponoć w głowie księżę zagraniczny. Ale prędzej mi ręka uschnie, niż pannicę uda się za takiego wydać – przecież ona ani języka, ani manier, bo co ją tam mogli ci Szulcowi guwernanci, z tym to trzeba od dziecka, takiej już nie nauczysz. Tylko tego Rakowskiego szkoda.

– A to wy jeszcze nie wiecie, złociutkie? Przecież... – Trzecia kobieta urwała, nachyliła się konspiracyjnie i

chwilę delectowała pełnym ciekawości wzrokiem towarzyszek. – Przecież Szulcowi się dach magazynu zawalił, murowali na sam piasek i wodę, to i po ostatnich ulewach wszystko się osunęło. Pełen skład towaru, który Szulc chciał sprzedać za dwa miesiące, jak cła zmaleją. A nie był asekurowany i...

– Kara boża!

– ...i majątek mu poszedł na zmarnowanie. A kapitału nie ma, bo niedawno pałac sobie stawiał, z włoskimi marmurami. To jedyne, co mu się ostało, trzymał w papierach dłużnych Meyera. Pod ich zastaw zamówił materiałów na nowy sezon, a tu Meyer ogłasza plajtę i powiada, że będzie się spłacał dziesięć do sta. Teraz tylko czekać, aż dłużnicy zerwą Szulcowi z karku ostatnią kapotę. I wyobraźcie sobie, panie, podobno przyszło mu się na Rakowskiego zgodzić. Ślub, powiadają, wkrótce. Inżynier dochód ma niezbyt wielki, ale pewny. Aldona zaś...

– Za dobry on dla niej, za dobry.

Maksym przestał słuchać rozmowy. Rzucił jeszcze raz okiem na nieruchomego szynkarza, po czym odwiesił gazetę i ruszył na ciemne, puste tyły kawiarni w stronę półotwartych drzwi na zaplecze, których czarna szczelina przyciągała trudną do wysłownienia tajemnicą. Wydawało mu się, że coś się za nimi ruszyło. Chyba zobaczył złoty, metaliczny refleks. Zrobił kilka kroków, czując, że z każdym robi się wokół coraz zimniej, że światło i głosy zostają z tyłu.

Ale wtedy straszne uczucie osadziło go gwałtownie w miejscu, bo od stolika usłyszał:

– Ten sam inżynier, co u mojego męża kiedyś pracował? Rakowski?

Odwrócił się, by zobaczyć, jak jedna z kobiet odpowiada z miną, którą dobrze już pamiętał:

– Ten sam. Ale odesłał go Szulc z kwitkiem, że gołodupiec, a mówił potem w towarzystwie, że prędeej córkę by oddał Hertzlowi, bo...

Wrócił do stolika, czując, jak tętno mu przyspiesza.

Upiorny bis trwał. Pomarszczone ręce zamykały się na białych uszkach filiżanek. Brwi się unosiły. Poczucie wyższości mieszało się z subtelną *Schadenfreude* oraz pogardą. Chorobliwa ciekawość, nerwowe śmiechy, zachwyty nad anonimowym inżynierem. Te same emocje, ubrane w te same gesty i słowa.

Zaczęło się po raz trzeci.

– Ten sam. Ale odesłał go Szulc z kwitkiem...

Maksym cofnął się o krok, czując, jak zalewa go zimny pot. Jeśli wszystkie podróże w jego życiu miały przygotować go na tę chwilę, na zetknięcie z niezrozumiałą obcością, to zawiodły całkowicie. Próbował gorączkowo zebrać myśli, ale klaustrofobiczny strach, to zakodowane w pamięci genetycznej lepkie uczucie, którego większość ludzi nie ma okazji poznać w całym swoim życiu, a które powstaje w umyśle, wyłącznie gdy przed nami rozpadają się fundamentalne zasady znanego świata, wzięto górę.

Cofając się, wpadł na dziewczynę przy oknie.

Odwróciła do niego twarz, ale wzrok miała tak samo daleki jak wtedy, gdy ze smutkiem wbijała go w przestrzeń. Pustka oczu, pozbawiona teraz kontekstu, stała się upiorną maską.

– Mówił, że przyjdzie – szepnęła, ledwo poruszając wargami. – Powiedz, czemu go nie ma?

Całe napięcie, które zbierało się w Maksymie, ściśnięte

do granic możliwości, nagle rozerwało niewidzialną błonę i zalało jego umysł rozedrganą falą paniki. Serce mu załomotało, ciarki przebiegły po plecach. Poczuł nagle, że kawiarnia kurczy się, zapada w sobie i zaraz zetrze go na miazgę, gdzieś między polerowanym barem a ogromnymi lustrami.

– Czemu go nie ma?! – spytała dziewczyna.

Maksym wybiegł na zewnątrz. Chciał zatrzymać się przed wyjściem, na tym rozjaśnionym placu, ale światło okazało się tak ostre i napastliwe, że nogi same poniosły go w najbliższą ciemną aleję. A tam kamienice nachyliły się nad nim, zacisnęły wokół, jakby chciały go przygnieść. Brodaty weteran z tą samą lubością grzał twarz w słońcu, gazeciarz spojrział na Maksyma tymi samymi oczyma i krzyknął:

– „Kuryer Poranny”, jedyne piętnaście kopiejek, kupujcie państwo „Kuryer Poranny!”.

Maksym biegł dalej, próbując uciec przed tym wszechogarniającym *déjà vu*. Druciarz, fabryka, przekupki, wszystko dalej było na miejscu. Jak mógł wcześniej nie zauważyć, że trafił do krainy czasu dotkniętego jakimś strasznym, fundamentalnym zepsuciem, zapętlonego w wieczną powtarzalność? Minął ceglana fabrykę i skierował się w stronę szarych, bezludnych połaci miasta. Miał nadzieję ukryć się tam, uspokoić, przeczekać i zastanowić.

Ale kogoś zaalarmował jego pokraczny bieg, tak różny od sennego kroku mieszkańców – jakiś cień wyłonił się z pobliskiej bramy i krzyknął:

– Stój!

Jednak Maksym, widząc, jak rozmazana postać rzuca się za nim w pościg, tylko przyspieszył. Biegł na pamięć w

stronę obrzeży tej dziwacznej krainy, tam, gdzie we mgle stały bezludne domy. Jak zaszczute zwierzę czuł, że musi się ukryć.

Przebiegł kilka ulic, słysząc cały czas za sobą stuk butów na bruku. Serce znalazło swój rytm, nogi stały się lekkie. Uciekał przed policją obyczajową brudną ulicą Gizy, uciekał przed czarnym gangiem w parnych uliczkach śródmiejskiego Bostonu. Dużo wiedział o uciekaniu. By zgubić pościg, skręcił ostro i niespodziewanie w boczną uliczkę.

Stanął, wmurowany w ziemię.

W zaułku coś błyszczało szczerym złotem. Maksym wytrzeszczył oczy i przez chwilę nie mógł zrozumieć, na co patrzy. Widział, że zrobione jest z polerowanego metalu, że rusza się, drga. I w końcu zrozumiał: to był mechanizm. Oko nie potrafiło złapać ostrości na koronce mikroskopijnych części, która rozpięta się w poprzek ulicy, zwisała długimi soplami z gzymsów, ściekała na ziemię po fasadach. Cyknięcia milionów napędzanych sprężynami zębatek wypełniały powietrze jednostajnym szumem.

Zapomniawszy o pościgu, Maksym ruszył powoli w stronę mechanizmu.

– Stać! Stój, do diaska! Stój, bo strzelam! – Ostry krzyk osadził go w miejscu.

Gdy odwrócił się powoli, niepewnie, jego oczy spotkały wzrok ścigającego. Mężczyzna w ciemnogramatowym mundurze policmajstra miał oczy inne niż u reszty mieszkańców dzielnicy – zimne, stalowe. Zupełnie jak lufa wielkiego rewolweru, wycelowanego w pierś Maksyma.

– Spokojnie – powiedział Maksym. – Nic nie zrobiłem, tylko oglądam...

– Dziennik oddaj – wysapał policjant. – Myślałeś, że to tak prosto? Nie uciekniesz! Oddawaj.

– Słuchaj, nie uciekałem przed tobą, może byś opuścił broń? Spokojnie porozmawiamy.

– A może bym tak wpakował ci kulę w łeb i sam poszukał? Nie zbliżaj się!

Maksym wzruszył ramionami z najbardziej przyjacielskim uśmiechem, na jaki było go stać. Powoli podniósł ręce do góry. Pamiętał jeszcze spotkania z bosonogimi *guerillas* w Ameryce Południowej. Najważniejsze: nie okazywać strachu. Bo człowiek, jak pies, rzuca się chętnie na strachliwych. Ręce – druga istotna rzecz. W głowach ludzi tkwił głęboko pierwotny instynkt, dla którego widok wnętrza dłoni był kojący: znaczył, że rozmówca nie ściska ostrego kamienia albo ułamka kości. Gest uniesionych dłoni rozwinął się przecież odrębnie w cywilizacjach na całym globie. Koty kładły się na grzbiecie i odkrywały swój miękki brzuch, ludzie pokazywali, że nie kryją niczego w garści.

– Nie rozumiemy się – rzekł Maksym. – Ja nie wiem, gdzie jestem, nie wiem o żadnym dzienniku, nie wiem, co to za cholerstwo przed nami. Nie wiem nic i dlatego panu nie pomogę. Złapał pan złą osobę.

Policjant zmarszczył się.

– Obróć się – rzekł spokojniej. – Z rękoma u góry.

Maksym posłuchał.

– Pokaż, co masz pod koszulą. Już! – Lufa machnęła niecierpliwie.

Maksyma proszono o wiele dziwnych rzeczy. Pewnego razu w Meksyku stara kobieta kazała mu wypić łyk koguciej krwi, gdy przypętał się do jej domu po północy, błądy i umorusany. Chciała upewnić się, że nie jest

upiorem.

Podwinął obcisły T-shirt i obrócił się dookoła.

– Wystarczy? Za więcej biorę pieniądze.

– Sztil, parchu jeden. Przychodzisz od niego? – Policjant miał głos spięty i ostry.

– Nie. Ale chciałbym bardzo wiedzieć, kim jest „on”, bo już druga osoba pyta.

– Jesteś z mechanu?

– A teraz już zupełnie nic...

– Wyszedłeś z mechanu?! – Lufa wycelowała mu prosto w czoło.

– Nie. Chyba nie. Może przestaniesz we mnie mierzyć, bo wiesz, broń raz do roku...

Policjant skierował rewolwer w dół, ale nie opuścił kurka.

– Nie moja robota ci odpowiadać. Szkoda mojego momentu. Idziemy do księżnej, ona pewno chętnie utnie sobie z tobą pogawędkę.

Maksym skinął głową.

– Jeśli mogę zadać jedno pytanie – rzekł do policjanta, kiedy opuszczali już uliczkę – chciałbym wiedzieć, co to, do diabła, jest?

Wskazał ręką za siebie, na rozmigotany dywan metalu.

– Mechan.

Warknięte przez policjanta słowo nic mu nie powiedziało. Ale ton – pełen strachu przykrytego patyną zakrzepłej, wieloletniej złości – starczył za tysiąc słów.



Wczesnym świtem dwóch mężczyzn opuściło trzypiętrowy ceglany dom robotniczy, przytulony jedną ścianą do fabrycznego muru, a oknami wychodzący na błotnisty zaułek. Ostrożnie przeszli nad zakutaną w szmaty staruszką, która spała na podwórzu. Śledziły ich dwa czarne guziki końskich oczu, błyszczące w głębi szopy. Wydostali się na ulicę i – lawirując między kałużami ścieków oraz błota – ruszyli ku jej końcowi, gdzie zaczynała się jedna z brukowanych alei.

Pierwszy szedł pewnie, sprężystym krokiem. Drugi drobił powoli i zatrzymywał się co chwilę, a wtedy trzeba go było delikatnie prowadzić za ramię.

Miasto, w które ruszali, było na razie tylko martwą rzeźbą z cegieł i kamieni, zmrożoną szarym chłodem przedświtu. Tu i ówdzie przemykali pojedynczy ludzie, cicho, niepewnie, zupełnie jakby bali się zakłócać sen kolosa o stu kominach. Zarośnięty stróż stał w cieniu bramy i pykał fajkę, rosyjski żołnierz błąkał się zygzakami po ulicach, kompletnie pijany, porzucony przez towarzyszy.

Gdy obaj mężczyźni dotarli do ulicy Jagiellońskiej, w pierwszych fabrykach zaczęto już rozpalać kotły, a tłoki i wały szły w ruch, dogłądane uważnie przez majstrów. Nie wiadomo skąd pojawili się robotnicy, skuleni w sobie od porannego zimna, drepający grupkami w stronę wysokich fabrycznych bram. Rozgarniały ich na boki obite skórą dorożki, to fabrykanci jechali dogłądać swoich interesów – niewolnicy fabryk, tak samo jak najbiedniejszy pomocnik. Między nimi lawirowały chłopskie dwukonne wózki oraz ciężkie wozy węglarzy.

A potem rozległy się krzyki mosiężnych kogutów – wpierw jeden, potem drugi, aż w końcu całe miasto

wibrowało od ich chrypliwego kurantu. Fabryki wzywały.

Dwóch mężczyzn tymczasem wspięło się na stromą ulicę Skargi – widać z niej było panoramę miasta, które obrośło wielkimi hałami jak bulwiastym grzybem. Domy mieszkalne oraz kamienice zdawały się małe i marne przy tych ceglanych robakach, które rozpełzały się aż po horyzont. A gdy wszystkie poszły w ruch, gdy z każdej strony zaczęły dochodzić hałasy ciężkich parowych machin, samo miasto wydało się ledwie cieniutką jak papier powłoką, która z trudem pokrywa potężne, błyszczące smarem, żelazne wnętrzości, tętniące pod warstewką cegieł oraz blachy.

Wkrótce przebudzone i rozgrzane fabryki pracowały na pełnych obrotach, a robotnicy, z początku jeszcze zaspani i półprzytomni, szybko łapali ich rytm, zespalali się z maszyną, cyklem prostych ruchów wpasowując się w ruch przekładni oraz pasów. Nie mieli wyboru, maszyny nie wybaczały – niewprawnych tancerzy karały na miejscu, obrywając im ręce i głowy.

Obaj mężczyźni na chwilę przystanęli przed otwartymi drzwiami jednej z manufaktur, by podziwiać tę niezwykłą harmonię dwóch elementów – ludzkiego i żelaznego.

– Patrz pan, nigdy jeszcze człowiek tak blisko nie współistniał z maszyną – rzekł majster Różewicz, nachylając się ku obcemu.

Ale jego towarzysz miał oczy tak puste, że pewnie nawet nie widział, co się znajduje przed nim. Zrozumiawszy, że nie znajdzie w nim słuchacza dla swoich wywodów, Eustachy umilkł. Ruszyli dalej w ciszy.

Wkrótce stanęli przed brzydkim domem, którego żółtawy tynk był poznaczony taką ilością plam oraz zacieków, że trudno było domyślić się, jaki miał początkowo kolor. Ze

środka bił smród spoconych ciał oraz zatęchłych materaców. Nad drzwiami wisiał napis: *ZAKŁAD DLA UBOGICH I BEZDOMNYCH ROBOTNIKÓW IMIENIA HENRYKA RATAJSKIEGO.*

Obaj znikli w ciemnym wnętrzu domu, a Różewicz poszedł szukać zaraz swojej bratanicy, która pracowała w kuchni. Bezimienny został w sieni, nieruchomy niczym posąg, oparty o ścianę, jakby wsłuchiwał się w hałasy dochodzące z długich bocznych sal. Po chwili majster wrócił z dziewczyną. Uprzedził ją widocznie o powierzchowności gościa, bo starała się na niego nie patrzeć – tylko lekko przyspieszony oddech i nieznaczne drżenie dłoni wskazywały, że się boi.

Bezimienny patrzył w pustkę. Różewicz nachylił się do niego, a potem rzekł:

– Trzymaj się, bracie. Tu o ciebie zadbają. Tylko nie daj Prokopowi napchać sobie do głowy jakichś bzdur. I nie powiedz czasem przy Ratajskim czego głupiego, on osobiście zapoznaje się z każdym ze swojego stadka. To dziwny człowiek, lepiej gębę na kłódkę. – Eustachy zamilkł na chwilę. – Ale w tym akurat jesteś dobry – dodał po chwili namysłu.

Potem ścisnął przybłędzie ramię i wyszedł spieszonym krokiem.

I tak bezimienny został w ochronce Ratajskiego, która cieszyła się w mieście ponurą opinią. Zaprowadzono go do małego składziku za kuchnią i tam przespał cały dzień z głową opartą na worku kartofli. Kiedy pod wieczór kuchenna przyniosła mu miskę kaszy ze skwarkami, zjadł bez słowa.

Po zmroku przyszedł zarośnięty gburowaty stróż, który narzucił mu na ramiona połataną kapotę, otrzepał go z

kurzu i poprowadził na górę po szerokich schodach pod same drzwi gabinetu, z którego niosły się dwa spokojne głosy oraz ciężki wiśniowy zapach fajkowego tytoniu.

Na zewnątrz, za oknem o wykrzywionej framudze, brudna ciemność zasnuwała miasto. Poranione kominami niebo kładło się do krótkiego snu.

– A ten co, stanął jak wół – mruknął stróż. – Wchodź no, jaśnie pan chce cię na własne oczy zobaczyć, cudaku.

To mówiąc, przepchnął bezimiennego przez drzwi wprost do gabinetu, który jaśniał od dużej naftowej lampy, stojącej na blacie biurka. Po drugiej stronie w angielskim fotelu siedział sam Ratajski. Złote binokle leżały na jego długim, prostym nosie, po bokach twarzy jeżyły się siwe bokobrody. Był to człowiek pozornie dystyngowany, elegancki mimo brzucha, który przypominał piłkę ciasno opiętą jedwabną kamizelką. Dopiero po chwili dostrzegąło się jego czerwone, szorstkie dłonie i lekkiego zeza, przez który wydawało się, że fabrykant nigdy nie patrzy na rozmówcę, uciekając wzrokiem gdzieś w bok. W mieście żartowano, że Ratajski miliony zarobił właśnie dzięki temu, że jednym okiem zawsze patrzył za plecy, a drugim pod nogi. Za jego ramieniem jak anioł stróż stał wysoki, chudy mężczyzna w sutannie, o zapadniętych głęboko oczach i wystających kościach policzkowych, które nadawały jego głowie wygląd nagiego czerepu – był to ksiądz Prokop, opiekun przytułku.

Ratajski zarobił fortunę, handlując stalą, w towarzystwie zwano go „Żelaznym Królem”. Bywał w Londynie, Paryżu i Wiedniu, znał się osobiście z Disraelim, mawiali, że piąta część bagnetów amerykańskich Konfederatów zrobiona była ze stali sprzedanej przez Ratajskiego. Dla swojej córki ściągnął z zagranicy całą szkołę – guwernantkę od

francuskiego, niemieckiego nauczyciela pianina oraz tańca, włoskiego malarza, który uczył ją rysunku i kaligrafii. Miał w mieście pałacyk, sześć kamienic, a że w wyższych warstwach modne było prowadzić charytatywne fundacje, jeden z domów przeznaczył na „Zakład dla ubogich i bezdomnych robotników” swojego imienia. Jego opiekunem uczynił rodzinnego duszpasterza.

– Pozwól no, bratku, że cię obejrzę. – Ratajski skinął dłonią na przybysza. – Ależ paskudnie wyglądasz. Cóż to było: wypadek w fabryce?

Obcy nie odpowiedział, patrzył w bok, zahipnotyzowany ruchem kółek widocznych przez otwór w tarczy naściennego zegara.

– Jesteś na co chory? Człowieku? Słyszysz ty mnie? – rzekł głośno Prokop.

– Panie dobrodzieju, kuchenna mówiła, że on niemota i na rozumie słabuje – wtrącił się stróż.

– Wariat? – Ratajski cofnął się w fotelu, jednym okiem łypiąc na przybysza, drugim na ścianę. – Obejrzyj go, ojczy Prokopie, może zbiegł z zakładu!

Ksiądz zbliżył się do bezimiennego jak duch; zdawało się, że płynie nad podłogą w długiej sutannie. Ujął jego głowę w kościste palce, obejrzał ze wszystkich stron, przecesał ciemne zmierzwione włosy.

– Blizn po trepanacji nie ma. Znaczy się, w azylu nie był.

– Za przeproszeniem, może z cytadeli uciekł? – powiedział stróż. – Z taką gębą to tylko w kryminale można siedzieć.

Prokop chwycił obcego za nadgarstki.

– Śladów po kajdanach też nie ma. Cóż więc robimy, Henryku?

– Ano, co robić? Ten, co go przyprowadził, mówił, że

Polak, chrześcijanin. To i po chrześcijańsku go trzeba traktować. Weźmiesz go do ochronki, może z czasem wydobrzeje.

– Tylko czy do pracy zdolny? Darmozjadów nam nie potrzeba. Umiesz li coś, człowieku?! – Prokop krzyknął obcemu do ucha. – Masz jakiś fach?

Bezimienny obrócił w jego stronę porytą bliznami twarz; prawie zetknęli się nosami, a ksiądz Prokop zrobił duży krok w tył.

Przez chwilę wszystkie osoby w pokoju znieruchomiały, tylko migotliwy płomień lampy nadawał ich cieniom pozory ruchu. Prokop, Ratajski oraz gburowaty stróż czekali na odpowiedź obcego, ale gdy ta nie nadeszła, ksiądz westchnął:

– Niech i tak będzie. Wiemy, że idzie, gdzie mu się każe. Słyszeć – słyszy. Może inne rzeczy też będzie umiał? Przyjmujemy go na razie, azyl zawsze może poczekać.

Stróż przygryzł wąsa, wyraźnie niezadowolony, a Henryk objął nowego wychowanka krótkimi ramionami, po czym poklepał go po plecach i rzekł:

– Witaj w rodzinie, dziecko moje. Witaj w nowym domu.

Przez twarz bezimiennego przeszedł ledwo zauważalny cień.



Maksym wracał z policjantem tymi samymi ulicami, przez które dopiero uciekał, ale co chwila wyłaniał się przed nimi jakiś obcy zaułek, zupełnie jakby place przemieściły się, a kamienice zasklepiły nad cichymi alejkami. Czuł, że to miejsce nie miało topografii

zwykłego miasta z cegieł, kamieni i drewna, którą dałoby się uchwycić kreskami na dwuwymiarowej mapie – było bardziej jak wspomnienie o miejscu, w którym mieszkało się w dzieciństwie: mgliste, nieścisle. A jednak nie czuł się zagrożony; wrażenie niesamowitości, które przenikało go, odkąd wkroczył do dzielnicy, zaczęło się ulatniać. Wszechobecna senność i spokój działały na niego jak balsam. Ze strachem zaczął myśleć, że może staje się podobny tutejszym ludziom: będzie chodził coraz wolniej, spokojniej, w końcu przysiądzie gdzieś, by cieszyć się ciszą, i stężeje jak owad w słoju z miodem.

Ale tam, gdzie właśnie udawał się z policmajstrem, spokój został zburzony. Gdy zza rogu ukazał się mały podjazd, na którego końcu stała otoczona żelaznym płotem miejska rezydencja, Maksym poczuł dziwną wibrację. Wokół bramy roili się mieszczanie w surdutach, kobiety w findesieciowych sukniach, urzędnicy.

– Patrz, co zrobiłeś – mruknął do Maksyma policmajster, torując drogę przez tłum. – Myślałeś, że ukradniesz i tyle? Takiś głupi? Nie wiedziałeś, że to wszystko jest jak domek z kart? Jedną poruszysz, reszta się wali. I patrz na tych Bogu ducha winnych ludzi – wiesz, ile to zajmie, ułożyć ich z powrotem w moment? Wiesz, że któryś mógłby w międzyczasie umrzeć, a nawet jak nie, to potem i tak nie ma gwarancji, oni się przecież zmienili. Nieznacznie, ale zawsze. Kilka minut świeżych wspomnień, jedna, dwie rozmowy. A pomyślałeś, co będzie, jeśli stary moment już nie będzie im odpowiadał? Nic dla nich nie zdołamy zrobić, bo odkąd on odszedł, nikt nie wie jak. No i będą cierpieć przez wieki z powodu twojej głupoty, bo postanowiłeś wziąć ostatnią rzecz, która nas z nim łączyła.

– Ja...

Maksym umilkł. Zdało mu się, że gruba kotara w jednym z okien posiadłości drgnęła, na krótką chwilę ukazując bladą twarz. Jej widok zmroził Maksyma, obudził jakieś dziwne uczucia, które rozpełzły się tuż pod powierzchnią świadomości, oślizgłe jak aksolotle.

Policmajster tymczasem otworzył skrzypiącą furte, po czym wskazał drzwi skryte w cieniu neoklasycznego ganku.

– Dalej pójdziesz sam. Księżna będzie chciała rozmawiać w cztery oczy.

– Czyli nie jestem więźniem? Nie boisz się, że ucieknę?

Gruba twarz policmajstra uśmiechnęła się tylko dobrotliwie, jakby Maksym powiedział coś głupiego.

Wszedł, zostawiając za sobą tłum. Gdy tylko przekroczył próg domostwa, przywitał go zapach kurzu i półmrok, który był miłą odmianą po pełnym ostrego światła placu. Patrzyły na niego rzędy rozwieszonych w hallu obrazów, część wyglądała znajomo – jedno szczególnie duże płótno wyglądało jak dzieło Matejki, ale za nic nie potrafił go rozpoznać.

Bez większego namysłu skręcił w drzwi po lewej i wszedł do przestronnego gabinetu, gdzie buty tonęły w miękkim dywanie, a boazeria z tekowego drewna błyszczała szklistym lakierem. Dokładnie naprzeciw wejścia na tle imponującej biblioteczki stało wielkie biurko z mahoniu. Na blacie piętrzyły się książki, leżały przybory do pisania i duże arkusze, jakby ktoś właśnie przerwał tu pracę. Na ścianie po prawej wisiał natomiast portret szpakowatego mężczyzny o poważnym, smutnym wyrazie twarzy. Maksym czuł czyjąś obecność, ale nie potrafił wyłowić wzrokiem gospodarza.

– Witam w mojej dzielnicy. – Ciche słowa gdzieś z lewej sprawiły, że włosy zjeżyły mu się na przedramionach.

Spostrzegł ją dopiero po chwili. Stała na tyle daleko od okna, że jej ubrana w czarną suknię sylwetka wtapiała się w ciemność, lecz na tyle blisko klina światła, by twarz błyszczała w nim blado. Maksym miał przed sobą lewitujące oblicze poznaczone plamami cienia, który czał się w zapadniętych policzkach i wokół zmęczonych oczu. Poczł się, jakby wszedł do leża pradawnej wampirzycy.

Wyciągnęła dłoń. Nie wiedząc, co robić, podszedł i ścisnął ją lekko. Była lodowata. Kobieta zrobiła pół kroku do przodu i stanęła w odległości, przy której Maksym czuł się już niekomfortowo. Mógł zobaczyć każdą drobną zmarszczkę w rogach jej oczu i czuł się lustrowany z takim samym pietyzmem.

– Zły moment pan sobie wybrał na odwiedziny, panie...

– Maksym. To jest, Maksymilian Nowak.

– Emilia Antonina Połubińska, z domu Wilecka. Pański głos... Przypomina mi pan go, przypomina mi pan Konstantego.

Stał chwilę z półotwartymi ustami, nie wiedząc, jak poprowadzić tak rozpoczętą rozmowę. W końcu księżna zaśmiała się gorzko i cofnęła się.

– Proszę wybaczyć. Głupia, głupia. Musi pan zrozumieć, mój moment nie jest taki jak innych, czuję upływający czas, prawdziwe oceany czasu, zza których dawne życie zdaje się odległe i mgliste. Ja... nie pamiętam już dobrze zwykłych ludzi, panie Maksymilianie. Każdy, kto nie jest jak ci – machnęła ręką w stronę okna – wydaje mi się podobny do mojego męża. Ale dość o tym, nie sprowadzono tu przecież pana, by dotrzymywał pan towarzystwa szalonej wdowie. Proszę mi powiedzieć...

– Zanim pani zacznie, wyjaśnijmy kilka spraw od razu: o żadnym dzienniku nie wiem, nie mam pojęcia, gdzie jesteście, byłbym dozgonnie wdzięczny, gdyby zamiast torturować mnie dziwnymi pytaniami, powiedziała mi pani wprawdzie, co to za miejsce.

– To cmentarz, panie Maksymilianie. A mnie przypadła rola stróża, który pilnuje, by zmarli odpoczywali w spokoju.

Znów zamarł, przytłoczony dziwnością tej chwili, a ona roześmiała się, wdzięcznie zasłaniając usta dłonią. Jej twarz okazała się nagle znacznie młodsza, niż myślał: spokojna twarz kobiety w kwiecie wieku, poprzecinana pierwszymi zmarszczkami, ale wciąż nosząca daleki poblask dziewczęcego uroku. Gdy białe policzki uniosły się ku górze, a wargi wydeły się lekko, wyglądała prawie jak młoda dziewczyna.

– Oczywiście nie dosłownie, proszę się nie bać – dodała szybko. – Nie jest pan martwy w ogólnie przyjętym sensie tego słowa.

– A w szczegółowym? Co się stało tym ludziom, jaki to czas, gdzie w ogóle jesteście?

– Ależ proszę, po co to napięcie w głosie? Panu przecież tu nic nie grozi. Chce pan wyjaśnić, dobrze. Ale musi pan zrozumieć, jedyna osoba, która mogłaby udzielić ich w sposób satysfakcjonujący, to mój mąż. Tymczasem on zniknął wiele lat temu. Zresztą nawet gdyby, to – proszę wybaczyć – pan by nie zrozumiał, ja sama nie mogłam zrozumieć, a pomagałam mu wiele lat.

– Zaraz, powoli! Pani mąż zrobił TO? – Maksym okrzyknął się wokół.

Księżna stanęła za biurkiem i położyła dłonie na oparciu wysokiego krzesła, nie siadała jednak, jakby to miejsce

było relikwią, którą bała się zbeczcześć.

– Nie domy, nie pokój, w którym pan stoi, to przecież wszystko dzieło ludzi z krwi i kości, murarzy, cieśli – rzekła. – Ale sama przestrzeń, czas, albo raczej rzecz, która pełni ich rolę... Panie Maksymilianie, ja przecież nie potrafię wyjaśnić. Konstanty mógłby opowiadać godzinami, ja powiem tylko tyle: jest pan w miejscu, gdzie życie, śmierć oraz istnienie tkwią w zawieszeniu, w dziele mojego drogiego męża, które wyrwał z demiurgowego stworzenia dzięki dogłębnemu znajomości kabały, świętych liczb i słów w sekretnej języku. Ludzie, których pan spotkał, to tylko cienie, zapętlone w jednym momencie, uwolnione spod zmienności i czasu, rzucone na wiecznotrwanie. A teraz niech pan zaspokoi moją ciekawość. Mówi pan po polsku, ale strój, akcent... Niech pan powie, istnieje nasz kraj? I jest niepodległy? Który był rok, kiedy pan przekroczył bramę?

Maksym odpowiedział, a baronowa zacisnęła dłonie na oparciu krzesła aż do białości. Wyglądało, że zaraz upadnie.

– Mój Boże... Tak mało czasu naprawdę minęło... A przecież wieczność...

– Teraz niech pani zrozumie, wiele już widziałem, ale czegoś takiego? – Maksym skinął głową w stronę okien, próbując zachować najspokojniejszą minę, na jaką było go stać. – I pani mi nie pomaga. Co tu wszyscy robicie? O co chodzi? Co właściwie zrobił pani mąż? Czemu krzywdzicie tych ludzi?

– Krzywdzimy? Panie Maksymilianie, jak mógł pan tak myśleć o moim Konstantym! Wręcz przeciwnie! To najlepsza namiastka zbawienia, jaką można dostać bez zdawania się na szansę, bez podróży w jedną stronę do

nieznanych pośmiertnych krain Demiurga! Proszę sobie wyobrazić jakieś miłe wrażenie, na przykład tę chwilę, kiedy kończy pan pracę i rozsiada się wygodnie w fotelu z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. A teraz proszę przyjąć, że będzie pan je czuł już zawsze, że pańskie istnienie zapętlili się w tym jednym momencie, ale bez znudzenia, bez zmęczenia, w końcu czas dla pana nie płynie, uczucie zostaje tak samo żywe i kolorowe po roku, dziesięciu, stu... Proszę mi powiedzieć, czymże jest raj chrześcijan? Wieczną radością, nieustanną ekstazą? Zapomnieniem? To mamy. Raj jest tutaj, panie Maksymilianie.

Jej głos, przecząc słowom, z każdym zdaniem matowieł, cichł, jej twarz znów zasnuł cień.

– Ciężko mi... – Głos Maksyma załamał się, dłoń otarła czoło. – Ciężko mi to wszystko zrozumieć.

– Nie musi pan. Wystarczy się rozejrzeć, otworzyć oczy.

– Po co pani mąż to zrobił? Po co uwięził tych ludzi?

– Przyszli z własnej woli, panie Maksymilianie. Wszyscy, co do jednego. On trawersował ludzkie sny, spijał pragnienia, był ze wszystkim połączony, czuł całe miasto jak własne kończyny, każdą sierotę, robotnika, każdego grubego fabrykanta i najmarniejszego żebraka. Nocami chodził po dachach, krążył uliczkami i pił tę straszną rzeczywistość, nasiąkał nią, dopóki nie mógł już więcej jej znieść, i wtedy sięgnął po wiedzę minionych wieków. Znajdował najbardziej udręczone dusze, przedstawiał im obietnicę rajów, a tych, którzy się zgodzili, wplatał jak nic w tworzona przez siebie dzielnicę. Pod koniec to całkiem go odmieniło, już się nie rozumieliśmy, rozmawiał ze mną jak pan z psem, czasem rzucał parę słów, ale ani odpowiedź go nie interesowała, ani jej nie oczekiwał. A

potem, kiedy praca już dobiegła końca, było jeszcze gorzej. Szarpały go dziwne tęsknoty, całymi dniami liczył coś, pisał. Aż odszedł.

– Umarł?

– Nie. Odszedł, po prostu. – Bolesny cień przeszedł po jej twarzy. – Pan pewnie nie zrozumie, pan go nie znał. Konstanty nie mógł poddać się momentowi, to był człowiek działania i wielkich przedsięwzięć. Nawet będąc w swoim raju, dalej zgłębiał tajemną wiedzę, próbował mi coś tłumaczyć, ale boję się, że to było, jakby filozof rozmawiał ze stonogą. W końcu powiedział, że musi odejść, a bez niego nic się złego nie stanie, bo to miejsce jest wieczne. I ten raz, co do tego jednego okrutnie się pomylił. On ruszył za granicę światów, ku wiedzy, ku światłu Stwórcy – rozrywać zasłony sefir, spojrzeć na wszechrzecz bez dławiących prawdę przesłon. Zostawił mnie z dzieckiem dla swoich badań i tajemnych ksiąg. A potem przyszedł wróg.

– Ten wasz. Ten...

– Mechan, twór Zegarmistrza.

– Tłumaczy pani jedno niezrozumiałe pojęcie drugim.

– Zegarmistrz pojawił się jakiś czas po odejściu Konstantego, stworzył własną domenę, która pasożytuje na naszej. Jego dziwne mechanizmy wtargnęły już do miasta, pochłoneły pierwszych ludzi. I teraz odważył się na coś, o co nigdy bym go nie podejrzewała. Przysłał człowieka, by ukraść najważniejszy skarb, memuary, w których mój mąż zapisywał swoje dociekania i myśli. Moi ludzie wzięli pana właśnie za tego złodzieja.

– No więc mylili się.

– A ja przepraszam za oskarżenia, za to, że tak szorstko pana potraktowano. Musi pan zrozumieć, pańskie

przybycie zbiegło się w czasie z kradzieżą, a tu nieczęsto coś się dzieje. Wydawało się oczywiste, że... Przykro mi. Bardzo pana przepraszam.

Maksyma tknął smutek w jej głosie. Przez chwilę walczył z chęcią zaoferowania pomocy, ale to nie była jego sprawa – był tylko podróżnym, obserwatorem.

– Mnie z kolei przykro, że panią okradziono – odparł. – Mam nadzieję, że komuś uda się odzyskać ten dziennik. Pośle pani kogoś za złodziejem?

– Do krainy Zegarmistrza? Pan nie wie, pan nie widział tego miejsca. Dziennik jest już stracony – westchnęła. – Miałam pilnować dzieła Konstantego, jego pism, bezpieczeństwa ludzi, naszego synka. We wszystkim zawiodłam.

Teraz w pełni zrozumiał, że księżna nie była wampirzycą, ponurą księżną tajemnej krainy, a tylko porzuconą małżonką, która z godnością nosi na twarzy i ramionach grobową ciszę pustego domu, osobistego czyścica.

– Przykro mi, że nie jestem w stanie pomóc. Szczerze.

– Kto wie? Może kiedy opowie pan, jak tu trafił, coś nam się rozjaśni.

– Dobrze... Ale to krótka historia.

Opowiedział, a gdy tylko dotarł do momentu, w którym spotkał się z mosiężnym automatem, spostrzegł, jak księżna spina się, jej dłoń zacisnęła się znów na fotelu.

– Potem była długa brama – kontynuował – na końcu której wyszedłem w szarość. Trochę krążyłem ulicami, aż trafiłem do jasnej części dzielnicy, gdzie zaczął mnie gonić policmajster.

– I to wszystko?

– Wszystko.

– Nie widział pan Zegarmistrza? Nie rozmawiał pan z

żadnym z jego...?

– Nie.

Westchnęła.

– Jeszcze raz: przykro mi – rzekł Maksym. – A teraz, czy mogę mieć prośbę? Czy mogłaby pani kazać któremuś z tych ludzi odprowadzić mnie na granicę? Do wyjścia albo jakkolwiek to zwiecie?

Księżna otworzyła szerzej oczy, chwilę stała bez ruchu, przeszywając go smutnym wzrokiem, aż w końcu rzekła:

– Przepraszam, jeśli mówiąc niejasno, wprowadziłam pana w błąd. Nie ma wyjścia. Konstanty mówił, że nasza dzielnica będzie odcięta po kraniec czasu. Nie wiem, jakim cudem pan się tu dostał, ale prawdopodobnie nigdy pan już stąd nie wyjdzie.

Jeśli coś mogło przerazić Maksyma, który widział wszystko, Maksyma, który otarł się o śmierć tyle razy, że musiał jej przetrzeć solidną dziurę w czarnej pelerynie, to tylko perspektywa więzienia. Całe życie gnał go instynkt, który kazał przemieszczać się, migrować, być w ciągłym ruchu – spać drugi raz w tym samym łóżku to spać źle, spać trzeci raz już się nie dawało. Nagle poczuł, jakby padł ofiarą demonicznego planu. Oto świat w końcu zastawił na niego pułapkę, schwytał go, przykuł do ziemi.

Strach – ten sam, który dopadł go w kawiarni – uderzył ze zdwojoną siłą. Zimny pot spłynął Maksymowi po karku i wzdłuż pleców. Tym razem nie pomogły już żadne sztuczki wyuczone w wojskowej szkole. Panika przelała się nad wszystkimi murami jego świadomości.

– Przykro mi – powiedziała trupioblada twarz, znowu stara, brzydka i straszna. – Zostanie pan w dzielnicy z nami.

Nie znalazł odpowiedzi, gardło zakleszczyło się, krew

uderzyła mu do głowy, łupała tępo w skroniach. Bez słowa wyszedł z pokoju i skierował się ku wyjściu, czując, że jeśli zaraz nie trafi na otwartą przestrzeń, to się udusi.

– Nie jest pan tu przypadkiem! – krzyczała za nim księżna. – Zegarmistrz pana tu sprowadził! Ma wobec pana jakiś plan! Słyszysz pan, Maksymie? On coś wie!

Nie słuchał, opętany instynktem, który kazał mu znaleźć wyjście. Wypadł na plac w ciepło, w duchotę tego bezwietrznego miasta – ale nawet na otwartej przestrzeni czuł się jak pogrzebany żywcem. Ściany domów po obu stronach placu zaciskały się jak tłoki w maszynie. Czuł, że zaraz go zgniotą. Biegł więc niczym opętany, ale z każdym krokiem coraz bardziej brakowało mu tchu. Wróciła klaustrofobiczna panika, której doznał w kawiarni, tym razem jeszcze mocniejsza – drażyła jak wiertło, aż w końcu dotarła do pokładów ciemności, wypartych głęboko z pamięci Maksyma.

Gorąco, duchota.



Gorąco, duchota.

Trzydzieści osiem milimetrów przedniego pancerza Merkavy I nagrzało się w lipcowym libańskim słońcu jak płyta piekarnika. Maksym miał tę płytę tuż nad karkiem, skulony na małym twardym siedzeniu kierowcy, otoczony przez rozgrzaną maszynę, w przedziale oddzielonym od reszty czołgu pancerną grodzią. Pot lał się po plecach, a hełmofon, w którym trzeszczały głosy dowódcy i celowniczego, spływał prawie z głowy. Twarz chłostało powietrze wyjącego wentylatora, ale i ono było – jak

wszystko wokół – rozpalone, lepkie. Jasność dnia wpadająca przez wizjer raziła jak halogenowy reflektor. Mimo to Maksym musiał wbijać w nią wytrzeszczone, obolałe źrenice, by widzieć drogę przed sobą.

Była dwunasta trzydzieści jeden, ósmego dnia inwazji (a raczej operacji „Pokój w Galilei” – taką nazwę usłyszeli wczoraj w radiu). Jechali obrzeżem slumsów w dwanaście wozów ze zdobytego rano lotniska w Bejrucie, w którym jeszcze terkotały ostatnie strzały, do południowej dzielnicy miasta, gdzie kompania IDF została przyszpilona do ziemi przez ogień karabinów maszynowych z kilku wysokich bloków.

Po jednej stronie mieli pustynię, po drugiej – betonowe przedmieścia i płaskie, niedokończone domy arabskiej biedoty Bejrutu. O dwunastej trzydzieści trzy usłyszeli ostrzeżenie dowódcy skrzydła, że wjeżdżają w strefę walki.

O dwunastej trzydzieści siedem zostali trafieni po raz pierwszy.

Kilka postaci pojawiło się na dachach po prawej. Zanim któryś z czołgów zdołał obrócić wieżyczkę, Libańczycy strzelili z RPG-7. Rakiety, ciągnąc za sobą poskręcany pióropusz dymu, uderzyły w bok pancernej kolumny. Jedna trafiła pojazd Maksyma.

Rozległ się potężny huk, wszystko na chwilę pociemniało, siła uderzenia rzuciła Maksymem w bok tak, że pasy prawie rozerwały go na pół. Przygryzł sobie język, walnął łokciem o tablicę rozdzielczą, łamiąc jakiś przełącznik; ciarki z porażonych nerwów przeszły go aż po bark. Zawył. Zaraz potem poczuł gorąco, swąd spalenizny – i przestraszył się, że ginie. W uszach miał tylko pisk oraz krzyki. Reszta załogi chyba płonęła

żywcem.

– Nie było penetracji – to pierwsze słowa, które przedarły się przez chaos, słowa dowódcy Maksyma, wypowiedziane tonem, który ni stwierdzał, ni pytał. – Uszkodzenia?

Maksym poprawił się na siedzeniu, przetarł czoło. Nie było penetracji. Żyją. Starając się utrzymać spokojny głos, zdał raport. Był teraz zły na siebie za tę chwilę paniki. Przeszedł przecież szkolenie. Merkawy były nową generacją czołgów z amerykańskim pancerzem kompozytowym. Stare rosyjskie granatniki żołnierzy Organizacji Wyzwolenia Palestyny nie mogły przebić ich frontowych oraz bocznych płyt. Jedyne uszkodzenia, jakie odnieśli, to oberwana antena oraz peryskop, kilka spalonych obwodów.

Maksym napał na drążki sterownicze, zrywając maszynę do biegu.

Z dwunastu czołgów w kolumnie tylko jeden został z tyłu z urwaną przez wybuch gąsienicą. Skierował w stronę domów lufy swojego stuśmiomilimetrowego działa i zmienił cały kwartał w morze gruzów kilkoma pociskami HE. Maksym próbował nie myśleć o ludziach, którzy skryli się w tych domach przed upałem. I o tym, że przez chwilę jego samego dzieliło od śmierci tylko dwadzieścia centymetrów pancerza.

Dopiero teraz rozumiał, jak dużą cenę przyszło mu płacić za poszukiwanie własnych korzeni. Otoczony z czterech stron przez ściany metalowego pieca, obiecał sobie, że nigdy już nie da się przykuć do jednego kraju, że nigdy nie zostanie gdzieś na dłużej, bo za przynależność płaci się wysoką cenę. Przeklinał intuicję i wszystkie tłumione głosy przeszłości – te niejasne wspomnienia słów oraz

znaków, które w domu dziecka były jego jedynym łącznikiem z przeszłością. To przez nie przybył do małego kraiku, będącego w stanie wojny ze wszystkimi sąsiadami. Przez nie jechał rozpaloną pustynią, jak wielka tarcza strzelecka, przez obrzeża wrogiego miasta.

Nigdy więcej.

O dwunastej czterdzieści byli już blisko celu.

O dwunastej czterdzieści dwie, sekund piętnaście, przyszło ostrzeżenie o baterii ruchomej artylerii, spostrzeżonej w centrum miasta.

O dwunastej czterdzieści trzy, sekund pięćdziesiąt jeden, pierwsze eksplozje wzbily wokół kolumny słupy piasku.

O dwunastej czterdzieści cztery, sekund sześć, rosyjski pocisk artyleryjski kalibru stu dwudziestu dwóch milimetrów, niosący w środku dziesięć kilogramów trotylu oraz azotanu amonu, który przeleciał nad skąpanym w słońcu miastem po trajektorii stromego łuku, świdrując powietrze obrotowym ruchem, błyszcząc jak meteor wysoko ponad horyzontem, spadł ku ziemi z prędkością czterystu kilometrów na godzinę i trafił czołg Maksyma w płytę czołową, nieco ponad włazem kierowcy.

Powietrze w przedziale nagle sprężyło się, natarło na każdy cal skóry Maksyma jak stalowa płyta. Ośleplł w białym rozbłysku, zupełnie jakby pękły mu gałki oczne. Dach ugiął się, pryskając metalowymi odłamkami, z których część przebiła kevlarową wyściółkę i poleciała dalej, przeszywając ciało. Maksym nie słyszał nawet odgłosu impaktu – tylko monumentalny pisk. W jednej chwili temperatura skoczyła w górę o dobre dwadzieścia stopni. Maksym czuł się, jakby rzucono go żywcem we wrzątek, miał wrażenie, że zaraz płatami odejdzie mu skóra. Otworzył pełne krwi usta. Dławiąc się, chwycił haust

powietrza – ale to nie powietrze wtłoczył w głąb ciała, a gęsty czarny dym.

Opętała go jedna myśl: uciec. Adrenalina zalała go, tłumiąc całkowicie ból porytego odłamkami ciała, ból oparzenia akustycznego i przypalonej skóry. Uniósł się, wyciągając ku górze zakrwawione dłonie.

Syknęła skóra. Ugięty eksplozją właz był rozpalony. Panika odebrała Maksymowi rozum: nie ma wyjścia, upiecze się żywcem, udusi w gęstym dymie. Był jeszcze właz podłogowy gdzieś pod jego siedzeniem, ale na oślep, dziwnie zwiotczały i słaby, nie miał szans go znaleźć. Na szczęście systemy podtrzymywania życia jeszcze działały. Nie usłyszał ich – wciąż był całkiem głuchy – ale w pewnym momencie oparzelinę na jego karku omiótł zimny podmuch. To ogromny wentylator wsysał dym.

A czołg kołysał się na wszystkie strony – na zewnątrz chłostały go siły, przy których huragan to łagodny wiaterek. Kolejne pociski rozrywały się metry dalej. Ogromnym wysiłkiem woli Maksym spróbował powstrzymać panikę.

Trzydziestu na stu. Trzydziestu na stu, powtarzał sobie. Na szkoleniu mówili im, że tylko trzydziestu na stu zabitych czołgistów ginęło wewnątrz maszyn. Reszta padała rozerwana na strzępy przez eksplozje, zabita przez ręczną broń, gdy w pół ogłuszeni wypełzali z maszyn jak ślepe robaki.

Znów naparł dłońmi na właz, nacisnął go z całej siły, ale nie sięgał do zamka. Wył tylko i krzyczał, próbując zagłuszyć ten przeklęty pisk i rumor wentylatora, który pracował za jego plecami.

Bliska eksplozja wstrząsnęła maszyną. Maksym wiedział, że nie przeżyje następnego bezpośredniego trafienia –

wygięty kompozyt stracił wytrzymałość. Maksym został pozbawiony kontroli nad własnym życiem, był teraz zdany wyłącznie na los. Jedyne, co mógł, to krzyczeć.

Krzyczał więc, krzyczał jak opętany. Nawet pół godziny potem, kiedy wyciągali go z osmalonego wraku jak noworodka z mechanicznego łona.



Teraz ten krzyk, wypalony w neuronach jak zapach matki, wrócił do Maksyma, wydarł mu się z gardła i odbił echem daleko w głębi jasnych, zamrożonych w czasie ulic.

Biegł przed siebie, próbując uciec przed gorącym i mrokiem, przed uwięzieniem.



Bezimiennego położono w jednej ze zbiorowych sypialni, gdzie pełno było ludzi zwiniętych na wąskich pryczach. Dostał miejsce w ciemnym kącie, obok śmierdzącej moczem plamy na ścianie. Robotnicy, zmęczeni po długim dniu, już spali, ale Bezimienny nie potrafił zmrużyć oka. Leżał prosto jak deska i patrzył w okno, którego matowe szyby przepuszczały do środka rozproszony blask gazowej latarni.

Kiedy w głębi budynku zegar wybił północ, twarz Bezimiennego stężała. Chwilę gapił się w sufit zamglonym wzrokiem, z oczu pociekły mu łzy. Wreszcie wstał – cicho, ostrożnie. Wypatrzył drewniane drzwiczki na jednej ze ścian i ruszył w ich stronę, przestępując nad śpiącymi ludźmi.

Prowadziły do zakurzonego składziku, gdzie między drewnianymi słupami leżały stare maszyny oraz sterty drewnianych skrzyń. Blade światło, które padało ze świetlika pod samym dachem, ledwo pozwalało odróżnić

ich kształty od ciemności. Bezimienny wyszedł na środek pomieszczenia: widniejąca przed nim ściana z oknem, na której opierał się dwuspadzisty dach, wyglądała jak nawa kościoła.

Nie wiedział, co tu robi, dlaczego przyszedł w środku nocy do tej świątyni kurzu i martwych sprzętów. Stał chwilę bez ruchu, próbując zebrać myśli i nazwać to dziwne przeczucie, które nie pozwoliło mu leżeć spokojnie.

Wtedy zza chmur wyszedł księżyc. Światło wlało się do środka przez szyby i, jakby na znak niebios, roz srebrzył się długi sznur, który leżał tuż przed Bezimiennym, zwinięty niczym wąż. Mężczyzna spojrzał na niego, a potem na przygięte ciężarem lat ciemne krokwie nad głową. Uśmiechnął się słabo, jakby twarz z trudem pokonywała opór grubych blizn. Wargi poruszyły się, wypowiadając słowa, których sam nie pojmował:

– Modeh ani lifanekha melekh hai v'kayam shehehezarta bi nishmahti b'hemla, raba emunatekha.

Poczuł się nagle jak we śnie. Ciało zelżało, ponure myśli odpłynęły.

Klepisko, z którego podniósł sznur, wydało mu się ciemne, brudne i twarde jak samo dno stworzenia, smutna kraina życia, do której był przykuty jak sefira Malchut.

A srebro księżycy spływało po ścianie, tak czyste, tak nieskalane, jakby rozwijała się przed nim sefira Hod, boski blask zasłonięty przed oczyma śmiertelnych wyższymi warstwami stworzenia. I zdawało mu się, że spokój jest już w zasięgu ręki, że zaraz wkroczy w kojącą jasność. Wyciągnął ku niej rękę, zarzucając sznur na krokiew. Nawet nie poczuł, gdy koniec liny spadł po drugiej stronie i chlasnął go w twarz.

A krokwie zdawały się unosić wyżej i wyżej nad jego lekką głową, znikwały wraz z niebem i kosmosem, ukazując piękne czerwone płaszczyzny sefiry Tiferet – mistyczny dach stworzenia, chroniący świat przed czystą chwałą Stwórcy, która mogłaby obrócić go w popiół. I zdawało się Bezimiennemu, że może ten dach przeniknąć, wznieść się jeszcze wyżej. Ułożył na sobie dwie skrzynie, wszedł na nie, wyprostował się.

A słabość ciała, ból starych ran niespodziewanie odeszły, gdy wystrzelony w górę tajemnym uniesieniem przebił błonę sefiry Bina – jej strzępy otuliły go jak całun, wzmocniły, wyleczyły. Zadzierzgnął na linie dwa węzły jakby bandaż na swojej duszy.

I poczuł, że już tylko jedna sefira dzieli go od Stwórcy, oto napływała wiedza i mądrość, obudziły się wspomnienia, o których dawno zapomniał. Zobaczył nagle całe swoje życie, długie, poplątane, a wszystko ułożyło się w skomplikowany wzór tak piękny, że zapierał dech. Spostrzegł, jak nad nim rozwija się świetlista korona wszechrzeczy, ostatnia sefira, Keter. Dłonie Bezimiennego nałożyły mu ją na głowę – była za duża, opadła na ramiona, spoczęła wokół szyi.

Wtedy poczuł, że musi wzlecieć jeszcze wyżej, poza ostatnią z sefir, ale nogi miał wciąż uwiązane do skrzyń, ziemia ciągnęła go w dół. Zrozumiał, że powinien zrobić krok w przód, oderwać się od świata, a wtedy nic nie będzie już stało mu na przeszkodzie. Gorzkie, obce słowa rozbrzmiały mu w głowie.

*Y'hi ratzon milfanekha A-donai E-loheinu ve-lohei
avoteinu she-tolikhenu l'shalom v'tatz'idenu l'shalom
v'tadrikhenu l'shalom, v'tagi'enu limhoz heftzenu l'hayim
ul-simha ul-shalom.*

Koniec wędrówki? Spokój?

Wszechobecna jasność paliła, przenikała ciało, chciał śmiać się głośno i płakać. Z głową wzniesioną ku górze, ramionami rozpostartymi, czuł całe piękno stworzenia nad sobą i wokół siebie. Wysunął stopę, gotów dać krok w wieczność.

Wtedy chmury przesłoniły księżyc. Składzik utonął w mroku, zimny podmuch omiótł plecy Bezimiennego, który poczuł, że tonie, spada, grzęźnie.

Natychmiast wróciło poczucie własnego ciała, ciągnące do ziemi żelazną kotwicą. Piekły oczy, swędziały wierzch dłoni, a szorstki konopny sznur drapał szyję. Bezimienny powoli ściągnął pętlę i patrzył na nią chwilę, zdziwiony. Wzdrygnął się, czując chłodny dreszcz na plecach. Potem zstąpił ze skrzynek, podczas gdy wszystko wokół tężało w ohydnej fizyczności. Utracił światło. Zgubił lekkość i mądrość.

Przygarbił się. Odrzucił linę.

Wrócił do sali, a potem położył się z twarzą na cuchnącym materacu i usnął natychmiast jak kamień.



Maksym krążył w szarości tygodniami, może miesiącami, bo bez słońca i gwiazd, bez głodu i zmęczenia, czas mógł mierzyć tylko przebytą drogą, swoją cichą, pełną nadziei wędrówką po skąpanych we mgle obrzeżach dzielnicy.

Był cierpliwy, przecież wiele już wędrował. Właściwie to samotnie przeszedł całe życie – opuścił kraj w wieku osiemnastu lat, przyczepiony do podwozia niemieckiej ciężarówki, i od tego czasu nieustannie był w drodze. W

dusznym, klaustrofobicznym NRD wytrzymał rok, przed ucieczką na Zachód nie powstrzymały go nawet pola minowe i zasieki. W RFN spędził dwa lata, nim wyjechał do USA na zaproszenie rzekomych krewnych. Z USA udał się do Izraela, a to był dopiero początek...

Wiele już wędrował, ale żadna z dróg nie mogła równać się z tą. Poza dzielnicą, po omacku, idąc wzdłuż ostrych krawędzi czasu, nie potrafił znaleźć wyjścia. Wiedział, że zwierzęta zamknięte w szklanym akwarium miały dwie metody działania. Mądry szczur obchodził ściany, próbował je podkopywać albo się wspinać. Ale gdy spostrzegął, że nie ma uciezki, czekał, oszczędzając energię, i tylko co jakiś czas patrolował więzienie, by sprawdzić, czy nic się nie zmieniło. Natomiast głupia mucha mogła walić głową o szybę, póki nie padła z wyczerpania i nie zdechła. Maksym wolał być szczurem niż muchą.

Bliźniacze domy, które gapiły się na niego pustymi oknami, oraz identyczne place, które zmówiły się jakby, aby zmylić jego kroki, znużyły go w końcu. Instynkt kazał wędrować, uciec daleko od dziwnej krainy światła, w której chciano Maksyma uwięzić, jednak niezależnie od tego, jak długo szedł w obranym kierunku, stał w miejscu. Tylko dekoracje przesuwwały się wokół, zapętlone, powtarzalne.

Gdy wrócił do środka dzielnicy, w światło, między ludzi zawieszonych w swoich momentach, najbardziej bolało go to, że nic się nie zmieniło. Czas nie postąpił tu do przodu, tygodnie spędzone na poszukiwaniu wyjścia nie zostawiły żadnego śladu. Tu nikt nie wiedział o pielgrzymkach Maksyma wąskimi zaułkami do odległych granic tego dziwnego świata, gdzie ściany zdawały stapiać się w

jedno z szarym powietrzem, gdzie szło się po omacku do czasu, gdy dotyk zaczynał kłamać, a mury, po których gorączkowo macały dłonie, robiły się ciepłe, porowate.

Tylko pod domem księżnej nie było tłumy, a policmajster nawet nie spojrział na przybysza, pykając fajkę w bramie. Wyglądało na to, że życie wróciło tu na swoje zwyczajne tory.

Maksym przeszedł pod łukiem wysokiej żelaznej bramy, zanurzył się w cieniu ganku, gdzie jego oczy mogły odpocząć od przeszywającej jasności. Zapukał w półotwarte skrzydło drzwi, ale nie było żadnej odpowiedzi, więc wszedł po prostu do środka.

Skierował się do gabinetu po lewej, gdzie wcześniej rozmawiał z księżną, ale ten był pusty; grube kotary nadawały polerowanemu drewnu dziwnego czerwonego połysku. Dopiero teraz Maksym zdał sobie sprawę, że przecież księżna nie została zamknięta w momencie, mogła być wszędzie.

Wyszedł z gabinetu i poszedł dalej wzdłuż hallu, zaglądając do bocznych, zakurzonych pomieszczeń. Wielkie obrazy spoglądały na niego złuszczonej oczyma, rzeźby i ludzkie figury czaiły się w cieniach. Okna wszędzie były szczelnie zaciągnięte. Księżna musiała naprawdę nie lubić światła, porównania do starej wampirzycy znów wróciły do Maksyma, tym razem ubrane w nowe, niepokojące dowody.

– Pani Emilio! – krzyknął w głąb domu, nie chcąc zaskoczyć jej przy jakiejś prywatnej czynności. – Jest tu pani?

Odpowiedziało mu tylko echo, które budziło się gdzieś w przestronnych korytarzach i galeriach.

Wszedł na drugie piętro. Tu było więcej śladów życia.

Naprzeciw schodów – łazienka, gdzie między włoskimi marmurami stała cynowa balia pełna wody z mydlinami, a na sznurkach suszyła się bielizna. Maksym zatrzymał się w progu, zdziwiony, że w tym luksusowym wnętrzu ktoś prał. Potem zrozumiał, że musiała to być sama księżna. Tylko czemu to robiła, skoro Maksym już dawno zauważył, że tutaj ludzki organizm przestawał pracować, pocić się, wydalać?

Zajrzał do kolejnych pomieszczeń. W małej sypialni na stoliku przy łóżku leżała porzucona ręczna robótką, trochę nici oraz tamborek. W czytelni wszystkie kurze były starannie wytarte, a piętrząca się przy kanapie sterta książek sprawiała, że Maksym się uśmiechnął. To już nie było zakurzone muzeum, tylko mieszkanie, które nosiło ślady ludzkiej ręki.

Cela na wieczny wyrok, pomyślał i wzdrygnął się.

– Pani Emilio! – krzyknął znowu, czując, że księżna jest w pobliżu.

Ale nic. Ruszył ku ostatnim drzwiom w korytarzu, otworzył je i przekroczył próg.

Wnętrze było zagracone i ciemne, a wąski pas światła, który padał spomiędzy zasłon, oświetlał tylko fragment podłogi. Kiedy Maksym zobaczył, co leżało w tym właśnie pasie, poczuł się nagle jak złodziej grobów, hiena cmentarna, która bez namysłu depta ludzkie wspomnienia.

Znajdował się w pokoju dzieciennym. Zabawki leżały tak, jak rozrzuciła je ręka synka księżnej. Wbił oczy w cienie pod ścianami i wyłowił z nich małe łóżeczko, kilka szafek, półki pełne starodawnych zabawek, niewprawne rysunki w drewnianych ramkach. Czuł tu jakąś dziwną obecność, która sprawiała, że ciarki przebiegły mu po plecach.

Schylił się i podniósł do światła metalowego malowanego ptaszka z kluczem wystającym z boku. Dłuższą chwilę obracał go w palcach, potem nakręcił sprężynę. Niemal natychmiast zatrzymał skrzydła dłonią, bo w cichym jak grób pomieszczeniu ich trzaski były głośne jak karabinowe strzały – przysięgłby, że obudziły coś w gęstym mroku.

Chwilę stał w pełnym napięcia bezruchu, ale nic się nie wydarzyło. Zaśmiał się więc z własnego strachu, odłożył zabawkę, a potem skierował swoją uwagę na okno i ten przeraźliwie jasny pas, który widniał tam, gdzie stykały się grube kotary.

Był teraz na tyłach domu, okno musiało wychodzić na drugą stronę. Ciekaw tego, co w nim zobaczy, zbliżył się powoli i wyjrzał przez szparę.

Zaraz cofnął się jak oparzony. Sięgnął ku zasłonom, po czym rozsunął je gwałtownym ruchem. Ściana jasności uderzyła go jak rozpędzony pociąg, kolorowe refleksy zapłonęły w pokoju, świetliste litery rozpełzły się po jego ścianach.

Z otwartymi ustami dłuższą chwilę próbował zrozumieć, co właściwie ma przed sobą, a potem wybiegł, niemal przewracając się w progu.

Zbiegł na dół, ruszył przez dom, gorączkowo szukając drzwi, które mogłyby zaprowadzić go na tył posiadłości, aż w końcu wpadł do długiej sali jadalnej, skąd wiodło wyjście na taras. Padające stamtąd światło było tak ostre, że szedł ku niemu z niemal zamkniętymi oczyma.

Wytoczył się na zewnątrz. Tam, w nienaturalnie gęstej ciszy i gorącym bezruchu, odwrócony wodospad światła spinał niebo i ziemię.

Księżna też tu była. Leżała pośrodku tarasu na

szezlongu, w półcieniu koronkowego parasola. Przed nią powierzchnia balkonu, a potem ogrodu zaginała się ku dołowi w jakiejś dziwacznej perspektywie, jakby świat został naciągnięty na wklęsłą misę. Drzewa i słupy ogrodowych latarni wyginały się w łuk, szklany pawilon rozciągał się do rozmiarów dwudziestowagonowego pociągu, aż w końcu przestrzeń wraz ze wszystkim, co na niej stało, spadała w rozświetloną pustkę, spowitą chmurami roziskrzonych liter oraz znaków.

Spod ziemi, ze środka tej studni, która wyglądała, jakby lada chwila miał zsunąć się do niej cały świat, płynęła ku górze świetlista kolumna. Rozszerzała się powoli jak korona drzewa albo atomowy grzyb i wtapiała się stopniowo w niebiosa.

Maksym stanął koło księżnej.

– A więc to jest wasze słońce? – spytał.

– Słońce, panie Maksymilianie, to gazowa kula, która się spala, to promienie, które mkną przez kosmiczną próżnię do Ziemi. Słońce nie może działać tam, gdzie nie ma czasu. Przed sobą ma pan arkanistyczny konstrukt, stworzony przez mojego męża z mocy, które uwolnił z Drzewa Życia, z warstw kolejnych sefir. Przyznaję, Konstancy był z natury praktykiem, zadowolilo go, że zapewnił dzielnicy światło, nie myślał o wyglądzie, o cieple... Bardzo mi brak prawdziwego słońca, nasze niebo doprowadza mnie wręcz do rozpacz – jedyną namiastką, którą sobie znalazłam, jest ten właśnie rdzeń, serce naszego królestwa.

– Co tam jest? W dole? – Maksym wskazał miejsce, gdzie krzywizna ogrodu zmieniała się w stromą studnię.

– Kto wie? Nie udało mi się podejść do krawędzi, po ledwie kilkunastu krokach ciężenie się zmienia, trudno

ustać na nogach, na dodatek coś zaczyna ciągnąć człowieka ku krańcowi. Zbyt się bałam, żeby próbować dalej. A z pana niezłe ziółko, dopiero pan się tu zjawiał, dopiero obszedł pan obrzeża dzielnicy, a teraz chce pan skoczyć w jej serce. Zawsze był z pana taki łązik?

– Wygląda na to, że będę się musiał odzwyczaić. Spędzę tu chyba trochę czasu – odparł Maksym.

– Cóż mogę powiedzieć? Centrum dzielnicy jest wieczne i niezmienne, ale krawędzie... Może kiedyś ten niezwykły przypadek, który sprawił, że pan tu wszedł, znów nastąpi. Nie wolno panu tracić nadziei. A jeśli nie, jeśli będzie pan miał wszystkiego dość, to zawsze... – Wskazała dłonią bezdenną przepaść. – Ale ja wierzę, że jeśli pan tu trafił, to nie przez przypadek. I może ja w niczym więcej panu nie mogę pomóc, ale pan mnie owszem.

To mówiąc, usiadła na szeszlunku i wbiła w niego swoje zielone oczy.

– A teraz samotna, słaba kobieta będzie błagać pana o pomoc. Chyba pan nie odmówi?

– O co chodzi? Mechan...?

– A cóżby innego? Rozrasta się jak grzyb, pożera tę krainę kawałek po kawałku, a ja nie mam nikogo, kto mógłby z nim walczyć. Moi, z braku lepszego słowa, podopieczni nie przydadzą się na nic, trudno ich wytrącić z momentu, a jak już, zaraz do niego wracają. Mam jednego człowieka, przyjaciela domu. Na jego własną prośbę Konstanty nie zamknął go w momencie i teraz stara się pomóc. Ale to tylko jedna para rąk, na dodatek jest słaby, schorowany. Ja nie mogę uganiać się za maszynami, bo muszę podtrzymywać serce dzielnicy. Gdyby coś mu się stało, wszyscy tu byliby skazani na okrutną śmierć. Tyko pan może uczynić różnicę między

przegraną a zwycięstwem, jeśli wolno mi użyć tak patetycznego chwytu. Więc jak będzie?

Maksym bez słowa opuścił głowę. Potem przeszedł się wzdłuż barierki tarasu, patrząc na zakrzywiony ogród.

– Przecież musi pan się czymś zająć, żeby nie oszaleć. Pan nie wie, jak wolno mija tu czas, ile ja sama bym dała, żeby móc poruszać się swobodnie, jak pan, nawet po tym, co uważa pan za więzienie.

Przy ostatnich słowach głos księżnej zaczął się łamać. Maksym odwrócił się do niej i rzekł:

– Mogę przynajmniej spróbować. Tylko muszę wiedzieć, czego dokładnie ode mnie się oczekuje.

– Proszę niszczyć mechan. Zaprowadzę pana do tego człowieka, on ma narzędzia, rozkuwa maszynę, rozbija na strzępy macki, które zbliżają się do środka dzielnicy.

– Tak po prostu?

– To na początek. Jak wymyśli pan lepszy sposób, daję wolną rękę. Ale najpierw przede wszystkim trzeba się zająć mechanem w parku. To tu, niedaleko, prawie przy pałacu, mało kto tam chodził i dlatego długo nie zdawaliśmy sobie sprawy, jakie postępy tam poczynił. Zajmowaliśmy się głównymi ulicami, żeby ratować ludzi, a tymczasem pod samym bokiem wyrosła nam wielka kolonia. Boję się, że się rozpełźnie, że z jakiegoś powodu idzie ku mnie, ku temu. – Ponownie wskazała ręką świetlisty wir.

– Gdzie znajdę tego człowieka? – spytał Maksym.

– Zaprowadzę pana.

Gdy schodzili z tarasu do przyjemnie ciemnego wnętrza posiadłości, Maksym rzucił za plecy ostatnie spojrzenie. Wydało mu się, że litery ułożyły się w słowa, które prawie rozpoznał.



Bezimienny dostał pracę z kobietami i dziećmi. Nie nadawał się na budowę, bo mało co słyszał, bali się dać go do maszyn, bo cały czas był nieobecny, posadzili go więc w długiej hali na tyłach przytułku, gdzie przez cały dzień, w bladym świetle, duchocie i gorącu, najślabi podopieczni Prokopa rozbierali na włókna stare liny. Praca była monotonna, bolesna. Konopne sznury – ostre i mocno skręcone – często kaleczyły palce. Kosze, które napełniały się pod koniec dnia włóknami, były różowe od krwi. Każdy kosz takiego urobku wart był dziesięć kopiejek, kupowali je rzemieślnicy, którzy potem używali ich jako pakuł lub napełniali nimi tanie sienniki. Pieniądze ledwo starczały na wyżywienie pracujących, ale mimo to Prokop był dumny, że dzięki temu zajęciu osoby, które inaczej byłyby na garnuszku przytułku, częściowo zarabiały na siebie. Często krążył między stołkami z różgą, uderzając po karkach kobiety, które zagadały się i pracowały zbyt wolno, albo dzieci, które zamiast na ręce

gapiły się w skrawek nieba, widoczny przez lufcik pod sufitem.

Przybysz nie potrzebował różgi. Pracował zapamiętane – każdy kawałek liny, który brał w swoje pobliznione dłonie, stawał się na chwilę jego całym światem. Nigdy nie narzekał, choć dostawał najgorsze sznury, te oślizgłe, cuchnące nawozem i rzeczonym mułem, albo te przesiąknięte zwierzęcą posoką, dusznym zapachem strachu i śmierci. Pracował jak maszyna, nie zwracając uwagi na swoje dłonie, których skóra często ustępowała ostrym włóknom.

Tylko drobniutka kobieta w ciąży, która siedziała zawsze obok przybysza, co jakiś czas ocierała mu opuszki palców z krwi, a kiedy widziała, że jest zbyt poraniony, żeby dalej pracować, prowadziła go do długiej ławy pod ścianą, żeby doczekał tam końca dnia. Pusty wzrok sprawił, że kobiety rozmawiały o przybyszu jak o nieobecnym. Jako jedyny mężczyzna w sali, na dodatek o charakterystycznej fizjonomii, był ulubionym tematem plotek. Każdego dnia na nowo zaczynała się dyskusja o tym, skąd się właściwie wziął i dlaczego od stóp do głów pokryty był bliznami. Niektóre kobiety utrzymywały, że to straszny zbrodniarz, który spędził życie w samotnej celi, póki nie wyszedł na świat z powodu carskiej amnestii. Inne twierdziły, że jest katorżnikiem, który wrócił aż z Syberii, z głuszy, gdzie zapomniał ludzkiego języka, a żywił się Bóg wie czym. Młodsze z rozmarzonymi oczyma opowiadały o jakiejś niemożliwej miłości, przez którą rzekomo oszalał, a potem się okaleczył. Jedne twierdziły, że jest rodowym hrabią. Inne – że chłopskim bękartem, analfabetą. Sam przybysz nawet się nie krzywił, gdy słyszał najbardziej kuriozalne przypuszczenia.

Ponieważ musiały jakoś na niego wołać, wkrótce ochrzciły go Frankiem, od świętego Franciszka Salezego, patrona niemot. Nie nauczył się jednak reagować na to imię, dzieci więc żartowały, że jest głupszy od psa.

Tymczasem płynął dzień za dniem, powoli i monotownie, jak kawałki lin w poranionych dłoniach. Nic nie zapowiadało, że przybysz kiedykolwiek nauczy się mówić albo reagować na świat wokół siebie. Ale pewnego razu zaskoczył wszystkich, którzy zdążyli się już do niego przyzwyczaić.

Było to parnego, letniego popołudnia, gdy upał w małej salce zdawał się szczególnie dotkliwy. Jak zawsze pod koniec dnia praca zwalniała. Tylko Bezimienny wciąż rwał włókna w tym samym tempie, choć dostał szczególnie ciasno skręconą linę, która pachniała morzem i solą. Wkrótce od pracy poodrywały mu się strupy, krew zaczęła kapać na podłogę. Kiedy zobaczyła to kobieta obok, aż westchnęła.

– Dość już masz, Franek – powiedziała czule. – Całe dłonie we krwi! Jeszcze ci zaropieją i odpadną, a wtedy już do niczego się nie nadasz. Daj mnie i pomykaj na ławę, póki nie ma Prokopa. Doczekasz jakoś wieczora, a potem cię opatrzymy.

To mówiąc, wzięła od niego linę, która – pokryta kryształkami morskiej soli – piekła w otartych dłoniach, jakby była z ognia. Przygryzając z bólu język, kobieta nawet nie zauważyła, że Bezimienny nie poszedł do ławy. Siedział dalej obok, patrząc na jej pracę.

– Nie – rzekł po chwili, delikatnie wyjmując z dłoni kobiety kawałek sznura. – Ty odpocznij.

Pisnęła i odsunęła się tak szybko, że prawie spadła ze stołka. W całym pomieszczeniu zapadła cisza. Wszystkie

oczy podniosły się na obcego. On tymczasem podniósł upuszczony sznur i jakby nigdy nic wrócił do jego rozbierania.

Były to pierwsze słowa, które wypowiedział, odkąd sprowadzono go do przytułku.

Od tego dnia nie mówiono już o nim podczas pracy.



Księżna poprowadziła Maksyma placem, główną ulicą, a potem przez kilka malutkich podwórek. Ludzie nawet nie podnosili głowy, aby ich przywitać. Maksym czuł się niewidzialny, jak turysta z przyszłości, który cofnął się w czasie i ogląda życie w dziewiętnastym wieku przez weneckie lustro.

Szybko dotarli do ulicy tonącej w cieniu starych platanów, których gałęzie zdawały się pukać do okien kamienic. Na rogu stał dorożkarz, w otwartej bramie bawiły się dzieci. Księżna zbliżyła się do schodów sutereny, nad którą wisiał szyld z igłą i napastrkiem.

– Mikołaju? Jesteś tam? – krzyknęła w ciemność.

Nie było odpowiedzi, ale po chwili z wnętrza wyłoniła się szczupła, wysoka postać. Ten mężczyzna w średnim wieku nosił przetarty merynosowy surdut i wybrzuszone na kolanach spodnie z kortu. Miał zarośniętą twarz o bardzo szczupłych rysach, lekko garbaty nos. Na ramieniu dźwigał kilof, pod którym zdawała się giąć cała jego pałakowata sylwetka.

– I jak? – Księżna wskazała głową w stronę ciemnego pomieszczenia, z którego wyszedł.

– Nic. Odbudowuje się niezwykle szybko, zresztą już

chyba za późno. Ale, ale! Kto to?

– Maksymilian Nowak. – Maksym wyciągnął ku niemu dłoń. – Można powiedzieć, że jestem tu przypadkowym gościem.

Mężczyzna uściśnął mu rękę, lustrując go od stóp do głów. Był tak zaskoczony, że zapomniał się przedstawić.

– Biedaczka... – rzekła tymczasem księżna, patrząc w stronę wejścia. – Czyli tutaj kończymy?

– No, nie mamy wyboru – odparł Mikołaj.

Maksym stanął na progu i zająrzył do środka, do czegoś, co kiedyś było małym warsztatem szwaczki. Za półkami i wieszakami, za stolikiem i maszyną do szycia widział całą ścianę mehanu, która powoli pożerała pomieszczenie. W niej zaś tkwił dziwny ciemny kształt. Maksym wskazał go palcem i spytał:

– Co to?

– Podejdź, sam zobacz – odparł Mikołaj. – To czeka nas wszystkich, jeśli damy za wygraną.

Kształt okazał się szwaczką. Kiedyś pewnie siedziała na krześle, ale teraz wydawało się, że zajmuje miejsce na tronie z błyszczącej, ruchliwej maszyny. Mehan zwieszał się girlandą na jej głowę, napierał na bark. Prawa strona ciała kobiety była już nim całkiem pokryta; malutkie kółka zębate oraz ramiona o setkach stawów rdzawiły się krwią. Karminowa strużka wypływała na podłogę spod cykającej maszyny, zbierała się w małą kałużę pośrodku pomieszczenia. Oczy kobiety były wytrzeszczone w jakimś bolesnym obłędzie, usta szeroko rozwarte – jak do krzyku.

Maksym poczuł zimny dreszcz.

– Żyje jeszcze? – spytał.

– Kto wie... To biologia wiecznotrwania, krew ciągle

płynię, ale poza tym trudno powiedzieć. Tam, gdzie nie ma czasu, umieranie jest inne.

– Nie myślałeś, żeby jej...

– Nie. Jak masz odwagę, to sam. – Mikołaj z ponurym uśmiechem podał mu kilof, ale Maksym pokręcił głową.

Przerażała go myśl, że jeśli uderzy, nawet celnie, w białe czoło kobiety, ona zbudzi się nagle, zacznie krzyczeć. Widział to oczyma wyobraźni – żelazo zaklinowane w kości, potworny wrzask...

– Nie ma co patrzeć – rzekła księżna. – Tu skończyliśmy. Idźcie do parku, ja zamknę suterенę na trzy spusty, zabarykaduję drzwi i okna, może to go na jakiś czas powstrzyma.

– Tylko nie zbliżaj się za bardzo, Emilio! Wiesz, jak reaguje! – rzekł Mikołaj, po czym odwrócił się do Maksyma:

– To jak? Gotów do pracy, bracie?

Odpowiedziało mu skinienie głowy.

Ruszyli we dwóch przez miasto, w dół zacienionej alei. Mikołaj co chwila spoglądał ukradkiem na Maksyma, aż w końcu nie wytrzymał i spytał:

– Powiedz no, skąd się wzięłeś? Wyglądasz jak nietutejszy, mówisz jakoś inaczej. Jakżeś się tu dostał?

Maksym opowiedział mu tak zwięźle i jasno, jak potrafił, a na koniec dodał:

– Ty przecież też nie do końca tu pasujesz. Powiedz, dlaczego nie jesteś zamknięty w momencie jak inni?

– Bo poprosiłem Konstantego, żeby tak to zrobił. Żebym był zawieszony w nieczasie, a jednak pozostał człowiekiem, jak on albo jego Emilia. Długo mnie przekonywał, że to zły pomysł, że to bardziej kara niż przywilej, ale w końcu uległ.

– Czemu w ogóle prosiłeś?

– Z dumy, z głupoty. Widzisz, bracie, choć miałem dobry zawód i wykształcenie bankowego klerka, z biegiem czasu zacząłem się skłaniać ku filozofii. Niemala w tym była zasługa Konstantego, ale przecież nie będę cię męczył bajaniami o dawnych czasach. Dość powiedzieć, że rzuciłem pracę, zostałem słuchaczem na uniwersytecie, no i spędzałem czas z ludźmi takimi jak ja przy winie, absynce, niekończących się dyskusjach o naturze wszechrzeczy, o ludzkim postrzeganiu, świadomości. Wierzyłem, że mam nieprzeciętny umysł i widzę prawidła świata jaśniej niż inni. Byłem pewien, że jeśli będą mi dane stulecia – może nawet wieczność – namysłu bez potrzeby dbania o codzienne utrzymanie ani inne sprawy, to ogarnę wreszcie rozumem cały sens istnienia, stworzę kompletną teorię, o jakiej nie śniło się dotychczas filozofom, święty Graal myślicieli.

– Udało się?

– Jak dotąd zdążyłem tylko zrozumieć, że się myliłem – ponuro odparł Mikołaj.

Gdy skręcili w kolejną ulicę – szeroki bulwar, gdzie po obu stronach widniały witryny sklepów – Mikołaj podjął dalej temat:

– *Nihil novi sub sole*, nic nowego pod słońcem. Wiesz, bracie, skąd to?

– Któryś z klasyków?

– Dużo wcześniej, to Stary Testament, księga Koheleta. Słowa napisane, lekko licząc, trzy tysiące lat temu. Już wtedy ludzie przekonani byli, że wszystko na świecie się powtarza, a my nic nie odkrywamy, tylko jedziemy w koleinach naszych przodków, sami się oszukując, że to podróż ku nowym, nieznanym ziemiom.

– Bez przesady. Od czasów biblijnych sporo się zmieniło.
– W codziennym rekwizytorium człowieka. Ale czy aby w nim samym? Wracając do sedna: jeśli co odkryłem, to chyba tyle, że wszystko, co wychodzi z naszej głowy, to różne permutacje tego, co sami do niej włożyliśmy. Nawet geniusze jak Newton czy Leibniz nie brali swoich teorii z powietrza, inspirowało ich życie, prace współczesnych ludzi nauki. Po latach bolesnej bezpłodności zacząłem poważnie myśleć nad tym, czy paliwo codziennego istnienia, którego się pozbawiłem, nie było nieodzowne...

– Widziałem u księżnej wielką bibliotekę, tam pewnie dość paliwa.

– To wszystko już myśli martwe, rozciągnięte na papierze jak na sekcyjnym stole, przywalone nagrobkami okładek! One już przebrzmiały w przeszłości. Szukając teorii nowych, musiałbym znaleźć całkiem nową karmę. A tymczasem na co mi przyszło? Cały czas pomagam Emilii – macham kilofem i szpadlem, nawet nie wiem od ilu lat. I już tylko o tym potrafię myśleć, o kopaniu, miażdżeniu, rozłupywaniu. Ale cóż robić? Tylko ja się do tego nadam, jestem to winien Konstantemu... i po stokroć, po tysiąckroć jestem to winien jej. Poza tym kto wie? Może każdy filozof godzien takiej kary.

Maksym zastanowił się przelotnie nad dziwnym tonem, którym mężczyzna mówił o swoim obowiązku wobec Połubińskiej.

Wkrótce dotarli w pobliże parku. Za żelaznym płotem, który oddzielał go od ulicy, widać było wysypane jasnym żwirem aleje i równe rzędy drzew. Maksymowi wydawało się, że daleko między nimi widzi jasne refleksy.

Zatrzymał się na chwilę przed bramą, czytając napis nad łukiem – dwujęzyczny, po polsku i cyrylicą. Potem

spojrzał w jedną i w drugą stronę ulicy.

– Idziemy? – popędził go Mikołaj.

– Jedno mnie zastanawia – odparł Maksym. – Ten park ma chyba z pięć hektarów. Widziałem stare mapy miasta, niczego podobnego na nich nie było. A przecież pałacu księżnej też nigdy nie widziałem, podobnie jak wielu tutejszych ulic. Wątpię, żeby to wszystko zniszczono w trakcie wojny...

– To nie ze mną, bracie. Ja jestem od machania łopata. Tylko jeden człowiek wiedział, jak to wszystko działa, ale nie ma go tu od dawna.

– Byłeś jego przyjacielem.

– Ale nie rozmawialiśmy dużo o takich sprawach. Ogólnie Konstanty nie był najrozmowniejszy.

– No dobrze – dodał Mikołaj, widząc, jak Maksym świdruje go wzrokiem – pytałem go raz, czy nie stanie się coś strasznego, jak wyrwie ten fragment z istnienia. Co z bliskimi ludźmi, którzy znikną? Co z miastem? Czy powstanie w nim nagle wielki lej, nad którym będą się głowiąc bez skutku różne uczone umysły? Ale Konstanty odparł, że nie ma się czego bać, że dzieło Demiurga jest dynamiczne, obdarzone niezwykłymi zdolnościami samonaprawy, zupełnie jakby planował on, że zostawi świat samopas pod opieką raczkującej ludzkości. Rzeczywistość zmienia się, zamyka ślepe korytarze, odrzuca ucięte gałęzie. Konstanty twierdził, że nasza dzielnica zostanie wyparta poza jej obręb, będzie tak, jakby nigdy nie istniała. I jeśli w mieście nie widziałeś tych ulic oraz budowli, znaczy to, że tak właśnie się stało. Dla twojego świata, dla twojej rzeczywistości one nigdy nie istniały.

– A zdjęcia? Dokumenty? Mapy? Księgi ziemskie?

Wszystkie ślady odbite w historii, polityce, ekonomii państw?

Mikołaj wzruszył ramionami i odparł:

– Nie wiem. Jeśli sama materia rzeczywistości potrafiła się zaleczyć po zniknięciu dzielnicy, to tak drobne rzeczy tym bardziej. Ale znów, tylko jedna osoba znała prawa, które wszystkim rządziły.

– Konstanty – Maksym odpowiedział sam sobie.

Poszli wzdłuż wysypanej żwirem alejki. Krzewy i drzewa miały w jednorodnym szarym świetle dziwny odcień. Wyglądały jak namalowane brudną farbą; po chwili Maksym zdał sobie sprawę, że to dlatego, iż są całkiem nieruchome. Nawet najłżejszy podmuch nie poruszał liśćmi, gałęzie wisały bez ruchu.

Po kilku zakrętach zobaczyli przed sobą długą, wysoką oranżerię o szklanych płytach, rozpiętych wewnątrz pięknych ram z kutego żelaza. Już z zewnątrz Maksym widział, że większość jej wnętrza wypełniona jest mechanem.

Gdy wkroczyli do środka, zatrzymał się na chwilę. Światło przenikające przez ściany oranżerii, prześlizgujące się przez ażurowe sklepienie sprawiało, że mechan wyglądał jak płynne złoto, które ścieka po kolumnach i spływa z łuków szerokimi kaskadami. Na drugim końcu pomieszczenia złociste fale były tak wysokie, że tworzyły litą ścianę. Drobne, rozrzucone dookoła elementy chrzęściły pod powierzchnią butów, a Maksymowi zdawało się, że na podłodze widzi ślady krwi.

– Czas zakasać rękawy i do pracy, bracie.

– Co to znaczy? Co mam robić? Jakies rady?

– Rady? Lubisz zadawać dużo pytań, prawda? Rada jest taka, że bierzesz kilof i zaczynasz nim machać. Nie rób z

siebie większego filozofa ode mnie.

To mówiąc, Mikołaj podszedł do najbliższej sterty, wziął zamach i bezceremonialnie rąbnął kilofem. Ostrze weszło ze zgrzytem i chrzęstem w ażurową konstrukcję niemal po stylisko. Mikołaj zaparł się butem (podeszwa zapadła się o pół cala, łamiąc drobniutkie elementy) i szarpnął. Fragment mechu upadł na kamienną posadzkę, żałośnie wywijając drobnymi ramionami jak przewrócona stonoga.

Maksym podszedł zaciekawiony do bryły i spostrzegł, że mikroskopijne elementy dalej pracowały, montując pospiesznie nową sekcję maszyny.

– Będzie dalej rosła? – spytał.

– Nie bez części, które płyną gdzieś ze środka mechu tymi taśmami, które działają jak żyły. Ale widziałem raz, jak taki strzęp dopełzył z powrotem do rodzica i wbudował się w niego ledwie po kilku chwilach. Lepiej zgnieć to draństwo, aż się przestanie ruszać.

Kilof uderzył po raz drugi, a Maksym skrzywił się, słysząc odgłos metalu trącego o metal. Mikołaj zarechotał, wyciągnął z kieszeni trochę gałganów.

– Masz, napchaj sobie do uszu. Ja się już przyzwyczailem, ale tobie na początek pomoże, nie zetrzesz sobie przynajmniej zębów.

Maksym chwilę patrzył na pomięte, brudne strzępki, po czym pokręcił głową i chwycił swój kilof. Uderzył. Zaskoczyło go, jak łatwo ciężkie ostrze wchodziło w maszynę, krusząc delikatne zębaki z miękkiego metalu. Ale gdy tylko uderzył kilka razy, wszechobecne, rozmnożone cykanie przyspieszyło. Jakaś dziwna fala przeszła ze zgrzytem przez mechu.

– Tak zawsze?

– Uderz jeszcze – rzekł cicho Mikołaj, cofając się o krok.

Maksym powtórzył cios. Tym razem drzenie było jeszcze wyraźniejsze.

– Oj, panie bracie. Coś mi się widzi, że on cię nie lubi! Wcześniej widziałem coś takiego raz: kiedy księżna jest przy nim, zaczyna szaleć.

– Co robimy?

– A co tu robić? Bijemy dalej, niech się piekli, przecież jest nas dwóch, nic nam nie robi – odparł Mikołaj.

Na potwierdzenie tych słów jednym uderzeniem oderwał z kolumny długą płachtę mechanu. Maksym wrzucił ramionami i wrócił do pracy.

Gdy obaj rozgrzali się już, gdy złapali wspólny rytm, ich wyręb powiększał się szybko. Odkryli i oczyścili dwa kolejne filary oranżerii, kilka donic, w których stały oskubane do cna resztki drzew. Mechan co jakiś czas wydawał osobliwe odgłosy, jego ramiona falowały jak dzikie, doczepiając nowe elementy w niezwykłym tempie, ale widać było, że przegrywają walkę.

W pewnym momencie rozległ się przeciągły jazgot, tak głośny, że obaj mężczyźni aż się zmarszczyli. Maksym wrócił do pracy, gdy tylko dźwięk przestał rozbrzmiewać, ale Mikołaj zaraz położył mu dłoń na ramieniu.

– Hola, bracie. Czekał, czekaj. Coś się dzieje.

Chwilę stali, próbując dostrzec, co mogło być źródłem dźwięku. Jazgot powtórzył się.

– Tam – rzeki Maksym, wskazując kilofem litą ścianę na końcu oranżerii.

Coś wirowało, coś się kręciło, elementy zmieniały miejsce albo odpadały, zbędne, odrzucone jak martwy naskórek.

– Przebudowuje się – mruknął Mikołaj. – To nie może być dobry znak.

- Widziałeś wcześniej coś takiego?
- Nie...

Wtedy mechan zaczął się otwierać.



Najpierw pośrodku ściany pojawiła się linia, nieregularna niczym tektoniczne pęknięcie. Wysadzone ze swoich miejsc zębate kółka zadzwoniły o podłogę, linia szybko rosła. Wkrótce dołączyły do niej dwie kolejne. Maksym z Mikołajem zobaczyli, że przed nimi tworzą się wrota o skrzydłach z dwóch ruchomych mas mechanu. Za drzwiami natomiast, wśród zgrzytów i potępieńczo szybkiego cykania, rósł powoli tunel. Na razie miał wielkość borsuczej nory, ale z każdą chwilą stawał się szerszy.

– Coś mi się zdaje, że zaraz uraczy nas nową sztuczką – rzekł Mikołaj, cofając się za kolumnę. – Uważaj.

Zdawało im się, że czas nagle zwolnił, że przez wieczność wpatrywali się w otwór, który rósł milimetr po milimetrze przed ich oczyma. Czuli przy tym takie napięcie, że Maksym niemal odetchnął z ulgą, gdy w tunelu wreszcie zobaczył ruch.

Coś upadło na ziemię. Zbita bryła metalu, która zaczęła wstawać, prostując liczne segmentowane odnóża i błyszcząc soczewkami oczu. Po chwili Maksym oraz Mikołaj mieli przed sobą mechanicznego pajęczaka, niemal tak wysokiego jak człowiek. Zamiast chityny miał pancerz z mosiężnych płytek, a zamiast mięśni – czysty, chrzęszczący mechan. Stwór uniósł w górę dwa przednie odnóża, błysnęły ostrza długości kuchennych noży.

– Bracie, to nie wygląda dobrze. – Mikołaj cofnął się o krok. – Co innego bawić się w kamieniarza, a co innego...

Maszyna ruszyła ku nim, klekocąc odnóżami.

– Spróbujemy – zasugerował Maksym. – Ja uderzę pierwszy, ty z drugiej strony.

Potem uniósł kilof nad głowę i stanął na drodze istoty na lekko ugiętych nogach. Szklane soczewki zgrzytały, akomodując się na jego sylwetce, świszczwały tnące powietrze ostrza, zaś on krokiem tancerza zbliżył się do maszyny. Cięła, ale odskoczył, a zaraz potem uderzył z ukosa. Cios przełamał jedno z uzbrojonych ramion, koniec kilofa wbił się głęboko w mechaniczną głowę. Zdawało się, że maszyna jęknęła, choć może był to po prostu zgrzyt ostrza wchodzącego między pancerne płytki. Odnóża ugięły się.

Maksym, trzymając trzonek solidnie i zapierając się mocno o ziemię, zatrzymał pajęczaka w miejscu. Ostrza mechanizmu zgrzytnęły parę razy o stylisko, ale nie mogły osiągnąć rąk.

Wtedy Mikołaj, zebrawszy całą odwagę, dopadł z krzykiem od drugiej strony i wbił swój kilof w sam środek korpusu.

Maszyna osunęła się na ziemię. Tryumfalny krzyk zamarł jednak na ustach Mikołaja, bo z tunelu wypadła właśnie

kolejna zbita kula mechu. Tymczasem nawet powalony, pajęczak nie zaprzestawał ataku. Próbował pełznąć dalej w stronę Maksyma, więc ten wyrwał kilof i uderzył znów kilka razy z całej siły, by rozprawić się na dobre z przeciwnikiem. Mikołaj pomagał mu, ile mógł, metal zgrzytał o metal, odnóża bezwładnie tłukły o ziemię.

Nie wiedzieć czemu Maksymowi przypomniały się wielkie jak dłoń skorpiony, które widział w Somalii. Nawet uderzone kilka razy kijem, ze zmiażdżonym pancerzem, wciąż się ruszały, dopóki dosłownie nie wdeptało się ich w piasek.

Nim dobili pierwszego pajęczaka, drugi szedł już ku nim, a kolejna bryła widniała w ciemnej jamie tunelu.

– Niedobrze... – szepnął Mikołaj.

Maksym nie odpowiedział. Podrzucił tylko kilof w dłoniach i wyszedł na spotkanie kolejnemu przeciwnikowi.

Tym razem, mając już doświadczenie, poradzili sobie szybciej. Maksym uniknął ostrzy, przyszpilił maszynę do kolumny, a potem roznieśli ją na strzępy kilkoma silnymi ciosami. Jednak kolejny stuk dochodzący od strony wrót popsuł im smak zwycięstwa. Odwrócili się w tamtą stronę.

Ale maszyny nie zamierzały już rzucać się na nich pojedynczo. Pierwsza zagroziła im drogę do drugiej, prostującej dopiero odnóża, a potem obie zajęły miejsce po dwóch stronach tunelu w oczekiwaniu na następną.

– Szybko się uczą – mruknął Maksym, ważąc w dłoniach kilof, podczas gdy trzeci pajęczak wylądował na kamiennej posadzce.

Jego ostrza były dłuższe, tak długie jak styliska kilofów.

– Co robimy, bracie? – Głos Mikołaja drżał. – Przecież z trzema naraz...

– Trzeba uciekać.

– Ale nie możemy ich wpuścić do dzielnicy, jeszcze coś zrobią Emilii albo innym...

Ruszyły na nich we trzy, zachodząc szerokim łukiem.

– Musimy uciekać, już! Inaczej zginiemy! Pójdą za mną, zobaczysz. Ty skrzyknij, kogo się da, policjantów, robotników, każdego, kto potrafi utrzymać broń!

Maszyny przyspieszyły, ich metalowe nogi zgrzytały na kamiennej podłodze, soczewki oczu skierowane były na Maksyma.

– Ty sam? Osaczą cię, nie są głupie! – próbował zaprotestować Mikołaj.

– Biegniemy! – Maksym chwycił go za kołnierz. – Czekajcie pod domem księżnej, spróbuję wodzić je za nos, jak długo się da, a potem sprowadzę do was!

Wybiegli z oranżerii, słysząc za sobą stukot metalowych odnóży. W mgnieniu oka przelecieli parkowymi alejami, za bramą każdy ruszył w inną stronę, a Maksym z zimną satysfakcją spostrzegł, że wszystkie trzy automaty bez namysłu pędzą w ślad za nim.

Na prostym terenie były szybkie, rozpędzały się, łapiąc nogami podobny do kłusa rytm. Maksym odrzucił kilof, puścił się sprintem, ale z niepokojem spostrzegł, że nie może ich zgubić. Przy pierwszej okazji skręcił w mniejszą uliczkę, zaczął kluczyć. Przebiegł kilka cichych bram oraz mały placyk, przemknął przez urządzone w szopie warsztat, ale pająki, nawet gdy na chwilę traciły go z oczu, wciąż szły za nim bezbłędnie jak psy tropiciele.

Maksym poczuł, że powoli zaczyna mu brakować tchu. By dodać sobie czasu, wpadł na schody kamienicy, wbiegł na pierwsze półpiętro, a gdy usłyszał tuż za sobą pościg, zsunął się z parapetu na podwórze. Uderzył o klepisko tak mocno, że aż zadzwoniły mu zęby, a w oknie, z którego

spadł, zaraz błysnęły szklane soczewki. Maszyny nie odważyły się jednak na skok, zaczęły zbiegać po schodach, więc Maksym wydobył z siebie wszystkie siły, by odbiec jak najdalej, nim znajdą się na dole. Dopadł do końca podwórka, minął bramę, chwilę pędził uliczką, skręcił w kolejne podwórko, wybiegł w wąski zaułek, schował się za rogiem i osunął się na ziemię, charcząc i dysząc ciężko.

Siedział tak chwilę, oparty plecami o wilgotny mur. Nasłuchiwał, łapał zachłannie powietrze.

Wkrótce usłyszał to, czego tak się bał: stuki i chroboty zbliżające się od strony, z której przybył. Włosy zjeżyły mu się, zimny pot oblał ciało. Nawet teraz go nie zgubiły, nawet teraz szły bezbłędnie za nim. Czuł się, jakby przeżywał senny koszmar o pościgu, który wciąż pozostaje ledwie krok za plecami.

Zebrawszy się w sobie, popędził w dół ulicy, której koniec wydawał się szary i rozmazany. Po stu metrach światło zaczęło blednąć, w bocznych uliczkach gromadziła się mgła.

Biegł dalej, a trzy maszyny szły za nim krok w krok, nabierając prędkości, podczas gdy on coraz bardziej zwalniał. Rzucił za siebie szybkim spojrzeniem i zrozumiał, że znowu musi się pozbyć maszyn, jeśli chce mieć najmniejszą szansę, by dobiec do krańca dzielnicy. Skręcił więc w lewo, tam gdzie widniały mury cichej, opuszczonej fabryki.

Chwilę potem był w długiej hali pełnej zardzewiałych sprzętów. Po lewej zaczynały się schody, które pięły się zygzakiem na wysokość dwóch pięter, a potem zmieniały się w żelazny pomost inspekcyjny, biegnący pod sufitem. Maksym ruszył w tym kierunku, zamierzał przejść z

pomostu na jedno z przęseł pod dachem z nadzieją, że ciężkie, wielkie mechanizmy nie zdołają pójść za nim. Nie wiedział tylko, czy zdoła tam dotrzeć. Siły całkiem go opuściły, nogi były jak z waty, ledwo się ruszały. Pracę w górę schodów, zataczał się jak pijany.

Na jednym z ostatnich stopni Maksym poślizgnął się.

Runął, uderzając kolanem o metalową krawędź. Ostry, przeszywający ból wstrząsnął jego ciałem, w uszach mu zapiszczało, a zimny prąd rozlał się po całej nodze. Przez moment leżał bez ruchu, nie myśląc o niczym. Chciał tylko, żeby to potworne klucie w boku, to obezwładniające zmęczenie i ten ból się skończyły.

Maszyny były już na schodach, ich pajęczne nogi sadyły po stopniach z przerażającą prędkością.

Ale w końcu górę wzięła ta sama żelazna, niepokonana wola przetrwania, która tyle razy wyciągnęła Maksyma z najgorszych sytuacji. Ona go prowadziła, gdy porzucił zepsuty samochód na bezdrożach Australii i szedł w skwierczącym żarze przez trzy dni, pijąc własny mocz i żywiąc się insektami. Ona kazała mu uciekać z mongolskiego posterunku, gdzie trzymano go za nielegalny przewóz walut, choć był zbity na kwaśne jabłko i miał złamane żebro. Teraz podniosła go na nogi, dała mu ostatni zastrzyk adrenaliny, tę odrobinę siły wystarczającą, żeby dobiec do końca schodów, dostać się na wążutki skrzypiący pomost.

Jednak było coś, czego siła woli nie mogła zrobić: nie potrafiła cofnąć kilkunastu kluczowych sekund, które Maksym stracił na schodach. Teraz miał maszyny tuż za sobą, nie mogło być mowy o żadnych ostrożnych manewrach, wychodzeniu za barierkę, wspinaniu się na przęsła. Zostało mu tylko pędzić wzdłuż pomostu z

nadzieją, że wymyśli coś, nim opuszczą go resztki sił.

Wkrótce przebiegł jedną trzecią hali, ale pomysły wciąż nie nadchodziły – w przeciwieństwie do maszyn, które coraz bardziej skracały dystans.

I wtedy, gdy zdawało się już, że to koniec, Maksym usłyszał potężny zgrzyt gdzieś z dołu, a potem ze strachem poczuł, że pomost przechyla się w lewo, zupełnie jakby potężne szyny podtrzymujące go z obu stron nagle się wygięły. Zdziwiony spojrzał w dół i zobaczył coś wielkiego, metalowego, napierającego na filary; kobieca twarz błysnęła w aureoli jasnych włosów.

Zaraz potem część pomostu runęła w dół wraz z trzema pajęczakami. Maksym desperacko rzucił się do przodu i upadł, tłukąc bok o barierkę. Spojrzał za siebie na sterczącą jak kość końcówkę pomostu i żelazne gruzowisko pod nią, gdzie pajęczaki wiły się, przygniecione żelastwem. Próbował odszukać to coś, co mignęło mu w biegu, upewnić się, czy nie oszalał. Czy naprawdę była tam kobieta, osadzona jak centaur na wielkim mechanicznym cielsku?

Ale zobaczył tylko oddalający się szybko rozmazany kształt i męczyznę w ciemnym płaszczu, który na chwilę się zatrzymał i rzucił mu krótkie spojrzenie, nim ruszył w ślady owego kształtu. Wszystko to jednak mignęło tylko przelotnie, niemal przesłonięte przez ciemne plamy, wirujące przed oczyma.

Maksym przewrócił się z powrotem na plecy, wbił wzrok w dach i zaczął łapać oddech za oddechem, łapczywie, zachłannie, jakby w ciągu kilku chwil chciał złagodzić głód organizmu, wyjącego o tlen każdym nerwem.

Leżał tak długo, wsłuchany w ciszę, zbierając siły, wracając powoli do życia z każdym uderzeniem serca.



Przez pierwsze dwa miesiące Franek stale potrzebował czyjejs pomocy. Ktoś musiał go usadzić, podać liny, przysunąć kosz. Ktoś musiał powiedzieć mu, że jest przerwa. Ktoś musiał prowadzić go na posiłek, a potem do wspólnej sypialni. Jednak wkrótce rytm życia zakładu przeniknął go doszczętnie. Franek stał się samodzielny, sam odkładał na bok pracę, kiedy rozbrzmiewał wieczorny dzwonek, sam ustawiał się w kolejce po cienką kartoflankę i skrawek słoniny. Wkrótce niemal zupełnie wtopił się w tłum rozczochranych, biednych ludzi, którzy mieszkali w przytułku, i pewnie znikłby między nimi, gdyby nie tajemnicze blizny i fakt, że wciąż nie mówił. Zdawało się za to, że coraz więcej spostrzega. Jego oczy przestały być trupio puste. Niektórzy przysięgali nawet, że widzieli, jak chodził po korytarzach przytułku i zaglądał ciekawie do bocznych sal.

Oprócz pracy w zakładzie szczególną wagę przywiązywano do posługi duchowej. Hrabia Ratajski i ksiądz Prokop twierdzili bowiem zgodnie, że bieda oraz nieszczęście biorą się z nieprzestrzegania bożych praw. Wieczorami zbierali więc wszystkich obszarpańców w kapliczce, gdzie Prokop wykładał im, że Biblia zawiera wszystko, co człowiekowi potrzebne do dobrego życia, że każdy, kto przestrzega Pisma co do litery, będzie cieszył się powodzeniem, a na koniec zostanie zbawiony. „Na ten przykład nasz dobrodziej kochany, pan Antoni”, ze wzruszeniem perorował ksiądz, „jest jednym z najzacniejszych ludzi w mieście. Patrzajcie, jak mu Bóg

Ojciec sprzyjał w interesach, jak pomnożył jego ziemski majątek, a to tylko dzięki Pismu Świętemu, które co dzień wieczór pan Antoni był czytał. Pismo może podnieść z upadku każdego nędzarza i powieść go do szczęścia oraz powodzenia. Jeśli ktoś poznał Pismo, a zostaje biedny, znaczy to, że jest nikczemnikiem. A wy nie mówcie: taki a taki biedny, ale dobry chrześcijanin, bo tylko Bóg prawdę widzi i na dno serca zajrzy, gdzie ci z wyglądu pobożni chowają brud i sromotę”.

Prokop potrafił się rozgadać, a że kazania odprawiał późną porą, kiedy robotnicy byli wymęczeni po całym dniu pracy, między ławkami musiał chodzić kościelny z różgą, którą okładał tych, co głośnym chrapaniem burzyli podniosły nastrój ceremonii. Wielu biedaków nauczyło się więc podsypiać z otwartymi oczyma, na siedząco, w dziwnym półletargu. Za każdym razem kilku było na czatach i gdy zbliżała się chwila podniesienia albo modlitwy, zaczynali łańcuch kuksańców i uszczypnięć, który przelatywał wzdłuż sali, budząc wszystkich w kapliczce.

Tylko Franciszek nigdy nie zasypiał. Siedział sztywno z oczyma wbitymi gdzieś za Prokopa, z lekko przekrzywioną głową. Dzięki temu szybko stał się ulubionym słuchaczem kaznodziei i ten zawsze, kiedy po słowach, które uważał za szczególnie udane, szukał aprobaty na twarzach zebranych, patrzył na poważne, skupione oblicze przybysza.

Mijały miesiące, lato zmieniło się w dojrzałą, rozmokłą od deszczy jesień. Z sali sypialnej Franciszka zniknęło kilka osób, a pojawiło się w ich miejsce parę nowych twarzy. Od czasu do czasu znajdowano bowiem któremuś z podopiecznych pracę i miejsce na zewnątrz domu.

Wtedy Prokop żegnał go z wielką pompą, na odchodnym dając mu pięć rubli „na nowe życie” oraz małą czarną Biblię. Wiele z tych Biblii znajdowano potem w przyzmi śmieci, która leżała nieopodal przytułku, przy głównej ulicy. Część z podopiecznych wracała ledwie po kilku dniach, obdarta, pijana w sztok i bez grosza przy duszy. Inni potrafili stanąć na swoim, ale zawsze było dość bezdomnych nędzarzy, gotowych zająć ich miejsce.

Wkrótce zaczęły się przygotowania do zimy. Piwnice napełniano węglem, w spiżarni powoli przybywało beczek peklowanej słoniny, ryb oraz jabłek. Wszyscy pracowali podwójnie ciężko, by zebrać pieniądze na opał i utrzymanie zakładu. W miasto ruszyły też kwestarki zwane „armią Prokopa”: kilkanaście wdów, młodych dziewczyn oraz religijnych starych panien – złośliwie zwanych kościelnymi jałówkami – które bez ustanku krążyły po gabinetach znanych fabrykantów, wycierały dywany u bankierów i krzesła w poczekalniach kupców. Płaczliwie opowiadając o niedoli bezdomnych robotników, kalekich i odrzuconych dzieci miasta, próbowały wyciągnąć datki. Zadawały się nie tylko pieniędzmi, wszystko miało swoją wartość, nawet kilka sztuk materiału na koszule albo paręset kilo nadpsutych warzyw. Brały i stare maszyny, które ludzie Ratajskiego naprawiali, by potem wykorzystać je w manufakturze przyległej do zakładu.

Dawali wszyscy, bo lista darczyńców drukowana była w specjalnym biuletynie i odkąd zaczęły tam się pojawiać nazwiska miejscowych milionerów, każdy chciał się pokazać w doborowym towarzystwie dla dobra interesów. Goldstein, szef wielkiej kasy kredytowej, dawał dwadzieścia pięć rubli co miesiąc. Wilecki, posiadacz

trzech fabryk ciężkich i udziałów w niezliczonych interesach, zwykł darowywać po pół tony węgla i trochę nafty. Znany handlarz galanterią Dróbczyński, który pod własnym szyldem miał sześć sklepów w kraju, chciał przekupić jedną z pomocnic Prokopa dziesięcioma rublami, żeby wpisała go do biuletynu na pięćdziesiąt.

Dotacje pozwalały utrzymać zakład bez finansowego udziału Ratajskiego. I co prawda niektórzy robotnicy szeptali, że przynosi on nawet pokaźny zysk, który znika co do grosza w kieszeniach księdza, nikt jednak nie miał odwagi powtórzyć tego głośno.

W mieście, w którym tylu nieszczęśników umierało każdej zimy na ulicy, nikt nie ryzykował straty dachu nad głową oraz ciepłych posiłków.



Jesienią roku 1867 Klub Nicponiów poniósł bolesną stratę. Jan Słuka został zwolniony za to, że obraził jednego z klientów sklepu, starego i zdziwaczałego Niemca, który przychodził co drugi dzień i godzinami przebierał wśród towarów kolonialnych, zadając przy tym setki głupich pytań. Traf chciał, że ów Niemiec był starym przyjacielem Berghajma i nawet solenne zapewnienia Słuki, że bez niego sklep zbankrutuje w ciągu miesiąca, nie pomogły mu ocalić stanowiska.

Tym samym członkowie klubu stracili miejsce na sobotnie karty. Nie wchodziły w grę przenosiny do karczmy – Różewicz twierdził, że nie może być widziany w takich miejscach, bo zaszkodzi to jego dobremu imieniu. W końcu cała czwórka zdecydowała się zbierać w

jego mieszkaniu, ku wielkiemu oburzeniu żony Eustachego, która twierdziła, że widok mężczyzn oddających się hazardowi zepsuje jej dzieci.

Dochodziła właśnie północ, gra przeciągała się, bo wszyscy czterej byli w dobrych humorach. W żółtym świetle małej naftowej lampy na ich czołach skrzył się pot, oblicza były czerwone od grzanego piwa.

– A słyszeliście o tym, że dzisiaj carska policja weszła do biur Hertzla? – spytał Mikołaj, tasując karty do nowego rozdania.

– A weszli?

– Ano. „Kuryer Wieczorny” o tym zdaje się pisał. Podobno wynieśli większość papierów, niby to dla zbadania okoliczności. Spółka sparaliżowana, Hertzl na kolanach chodził do cytadeli prosić, żeby mu wszystko zwrócili.

– To jak nic robota Glaubsztajna – mruknął Eustachy Różewicz. – Z Hertzlem od dawna miał na pieńku, podkupił pewno generał-gubernatora.

– Gubernator tłuste ścierwo. A Glaubsztajn wyjątkowa szuja, jeśli wierzy, że takie rzeczy mu ujdą na sucho.

– Co się dziwisz? To gruba fisza, w operze zawsze siada przy gubernatorskiej łoży.

– Glaubsztajn to karaś, co próbuje udawać sztukę – wtrącił się Mikołaj. – Czekaj tylko do końca miesiąca, ostatnią koszulę z niego zedrą i na licytację wystawią. Podstęp przeciw Hertzlowi to ostatnie podrygi. Jak nic będzie plajtował. Magazyny ma pełne towaru, który kupił przed ostatnimi cłami, trzymał za długo, teraz może sprzedać jedynie na minusie. Co gorsza, wszystkie towarzystwa odmówiły mu asekuracji, że niby za dużo razy się już spalił. No i nie będzie mógł nawet tego

wszystkiego z dymem puścić, zacząć od nowa...

– Nie bój nic. Glaubsztajn to nie kiep...

– Panie Słuka! – syknęła żona Różewicza, która siedziała na krześle między salonikiem a ciemnym pokojem dziecięcym z twarzą surową i nieruchomą jak figura strażnicza u progu babilońskiej świątyni.

– Glaubsztajn to nie kiepski kombinator, chciałem rzec. – Słuka ukłonił się Różewiczowej. – Jeśli spalić mu się nie uda, zawsze mogą socjaliści fabrykę wysadzić...

– Tyle papierów dłużnych wydał, że nie będzie miał nawet na dynamit dla tych socjalistów...

– A jeśli już przy tym jesteśmy... – rzekł Mikołaj.

– Słyszałem, że ten człowiek, którego żeśmy ulokowali u Ratajskiego, nieźle sobie poczyną. Nasz znajda ponoć nie tylko zaczął gadać i rozumieć, co się do niego mówi, ale nawet odnalazł spełnienie w rękodziele artystycznym.

– Że jak?

– Ano tak: gębę obił jakiemuś gagatkowi tak pięknie, że Ratajski musiał wzywać chirurga, który strasznie się nabiedził i potem mówił, że ktokolwiek tak bił, musiał być niezły artysta.

– A! Diabeł! Takiego polecasz, słowem za niego ręczysz... – mruknął majster.

– Na jego usprawiedliwienie dodam, że poszło o honor kobiety. Ten drab, co skończył z gębą jak placek rabarbarowy, dokuczać zwykł takiej jednej brzuchatej, która nie wie nawet...

Mikołaj przerwał, rażony wzrokiem Różewiczowej.

– I jej honoru bronił? Takiej, co to ze wszystkimi...?

– zaśmiał się Jan.

– Nasz człowiek, znaczy się – przerwał mu gromko Różewicz, patrząc kątem oka na żonę. – Kobieta jest

kobieta, a jak w ciąży, to już szczególnie.

Na chwilę zamilkli, próbując ogarnąć znaczenie słów majstra.

– I co dalej? – spytał Maurycy. – Zgarnęli go do cytadeli?

– A skąd. Bo widzicie, on nie tylko artysta, ale i cwaniak. Tamtego sprowokował i on go pierwszy uderzył, świadków było dość.

– No, no. To widzę, że nieźle sobie radzi nasz znajdek. Trza go będzie kiedyś odwiedzić, zobaczyć, jak mu się wiedzie – pokiwał głową Różewicz.

– Tylko nie ściągaj nam go tu do stołu, panie Różewicz. Na pięciu tu już mało miejsca.

– Nie martw się, Mikołajku, zastąpimy nim ciebie, jak się już do portek zgrasz.

– A, właśnie. Karta w ręce stygnie, panowie.

– To dawaj.

– A dam.

– A co?

– A to.

Jan Słuka jęknął, widząc atuty, które powędrowały na stół.

– Ale z ciebie... – rzucił okiem na groźną twarz Różewiczowej – ale z ciebie kurdelpindziel, Mikołajku.

Z pokoju obok dobiegł cichy dziewczęcy głosik:

– Mamusiu? A kto to taki, kurdelpindziel?



– Cóż teraz? – spytała księżna, kiedy ostatni ludzie zniknęli na krańcu placu, zostawiając trójkę w cieniu wysokiego ganku.

Jedno jest pewne: jeszcze nigdy mechan tak nie zaatakował – ponuro rzekł Mikołaj. – Jeśli to będzie jego nowy zwyczaj, jeśli właśnie rodzi kolejne maszyny i przygotowuje się do powtórki, długo już nie pociągniemy.

Księżna oparła się ciężko o ścianę, jej twarz wydała się nagle Maksymowi stara, zmęczona, zapadnięta.

– Więc koniec? – spytała.

– Nie sędzę – odparł Maksym. – Gdyby mógł wypluwać te... stworzenia bez końca, już by tu były. Wygląda na to, że tymczasem odzyskaliśmy inicjatywę, trzeba ją tylko dobrze wykorzystać.

– Ma pan więc jakiś pomysł, panie Maksymilianie?

– Przede wszystkim muszę jak najprędzej odejść – odparł.

Popatrzyli na niego zdziwieni.

– Przecież bez ciebie, bracie, tracimy wszystkie szanse! Dwie pary rąk i kilkanaście tysięcy śpiących marzycieli przeciw automatom zaprojektowanym do zabijania?!

– Do zabicia, Mikołaju. Mnie. Jeśli dobrze rozumiem, wcześniej nie mieliście z nimi do czynienia, a i teraz zdawały się zainteresowane tylko moją osobą. Pojawiły się wkrótce po tym, jak tu trafiłem. Czy to zbieg okoliczności?

– Sądzi pan, że mechan stworzył tych wojowników specjalnie z myślą o panu? Ależ to absurd! Do chwili, w której pojawił się pan w oranżerii, nawet o panu nie wiedział.

– Kto wie, może to wystarczyło. Mikołaj potwierdzi, mechan bardzo gwałtownie reagował na moją obecność. Mam wrażenie, że się mnie boi...

– Nie popełniaj błędu, przypisując mechanowi ludzkie motywy. A nawet zakładając, że takowe ma, jeśli istotnie się boi, to po cóż by cię sprowadzał do dzielnicy? To nie ma sensu.

– Przyznaję, nie wszystko rozumiem. Co nie znaczy, że mam założyć ręce za głowę i czekać! Wkrótce może przyjść drugi atak, trzeba działać. Muszę natychmiast ruszyć w drogę, inaczej mogą ucierpieć niewinni.

– Tylko jak, panie Maksymilianie? – załamała ręce księżna. – Przecież mówiłam panu, stąd nie ma wyjścia. Nie oszalał pan chyba na tyle, żeby się rzucać w...

– Jest pewna rzecz, której mógłbym spróbować – odparł Maksym, patrząc gdzieś ponad dachy. – Pójdę przez mechan, a raczej po nim, poszukam jego źródła.

– O nie, bracie! – przerwał Mikołaj. – Prędeż sobie w łeb palnę, niż ci pozwolę! Widziałeś przecież tę kobietę, tę szwaczkę? Chcesz skończyć tak samo?

– Mechan potrzebuje czasu, żeby rosnąć albo zareagować na obecność nieproszonych gości. Jeśli będę w ciągłym ruchu, nic nie powinno mi grozić. Pójdę śladem tych taśm, tych żył, które rozprawdzają nowe elementy. Powiniennem dotrzeć do miejsca, w którym są tworzone. Spodziewam się tam czegoś jeszcze, czegoś, co może kierować tą maszyną.

– Nie zapuszcza się pan czasem za daleko w spekulacjach? – przerwała księżna. – To nie jest zwykła machina...

– Buduje się kółko po kółku, nie wyczarowuje niczego z powietrza. Dotyczą go więc jakieś prawa. To, co widzimy, to tylko ramiona organizmu, taśma produkcyjna, skóra i mięśnie. Gdzieś musi być rdzeń, węzeł, mózg, komputer, cokolwiek.

– Komputer? – zdziwił się Mikołaj.

– Maszyna logiczna.

– Coś jak wynalazek Babagge'a? – zgadła Emilia.

– Tak, tylko dużo potężniejsze, mniej więcej o tyle rzędów wielkości, o ile mechan jest bardziej skomplikowany od zegarka. Jeśli uda się to zniszczyć, mechan powinien przestać działać.

– Samójczna sprawa – westchnął Mikołaj.

– Wolę spróbować, niż czekać.

Nie powiedział całej prawdy. Ważniejsze było to, że Maksym już się znudził tym skąpanym w świetle, zamrożonym w czasie miejscem. Musiał iść naprzód, ten sam instynkt, który przepędził go przez pół znanego świata, gnał go dalej w nieznaną, w krainę tajemniczego mehanu. Twarze Mikołaja oraz księżnej wydawały mu się szare i nudne, a myśl o tym, co może odkryć w krainie maszyny, przyprawiała go o dreszcz.

Poczuł bolesny wyrzut sumienia, gdy zobaczył, z jakim podziwem patrzą na niego księżna oraz jej przyjaciel.

– Będę potrzebował pomocy – rzekł cicho do Mikołaja, próbując zdusić niemiłe uczucie. – Potrzeba mi trochę giętkich deszczulek, narzędzia, liny. I czegoś jeszcze. Czegoś, czym mógłbym zniszczyć serce mechanu.

Księżna rozłożyła ręce.

– To będzie trudne, rewirowi mają rewolwery, pałki, ale to wszystko. Czy naprawdę byłyby lepsze do walki z mechanem niż kilof i łopata?

– Kilof to pewnie o wiele za mało.

– Obawiam się, panie Maksymilianie, że nic więcej nie możemy zaoferować.

– My nie, ale generał... – poprawił ją Mikołaj.

– Gubernator? Bydlę, dureń! – Twarz Emilii natychmiast spurpurowiała. – Ten okropny człowiek do niczego nam się nie przyda!

– Owszem, to wielki oryginał, może i trochę straszny. Ale Konstanty miał w związku z nim plany, jeśli go tu osadził. Kto wie, czy nie chodziło o sytuację taką jak nasza. Pamiętasz, co mówił...?

Księżna zacisnęła usta, a drżące wargi zdawały się świadczyć, że zaraz wybuchnie płaczem. Maksym obserwował ją, zaskoczony tak gwałtowną reakcją.

– Dobrze – powiedziała w końcu przez ściśnięte gardło. – Zabierz pana Maksymiliana do generała.



Franciszka wezwano na górę pod sam koniec dnia, kiedy zmęczony ścierał z dłoni grubą warstwę smaru. Przez

lufciki w suficie wpadały czerwone promienie nabrzmiałego wieczornego słońca, od strony jadalni niosło się już brzęczenie cynowych misek i gwar rozmów.

Nie spieszył się; zawsze lubił czekać, aż inni wyjdą, żeby ostatni raz przejść się środkiem hali, patrząc na popsute, stare, spracowane maszyny, które – wraz z kilkoma innymi ochotnikami – pracowicie próbował przywrócić do życia. Im więcej myślał, im bardziej świadomość wypierała zwierzęce automatyzmy, z pomocą których przeżył pierwsze miesiące, tym częściej dochodził do wniosku, że coś łączy go ze starymi urządzeniami z hali. On też był zużyty, pokancerowany, też był nikomu niepotrzebny, nikt nie wiedział, skąd właściwie pochodził ani co z nim zrobić.

Franciszek klepnął po boku starą prasę parową, musnął dłonią zimny bok skrawarki i wtedy właśnie w progu stanął mały rudzielec, Antoś, który robił w zakładzie za Prokopowego gońca.

Franek wzdrygnął się, jakby złapano go na czymś nieprzyzwoitym.

– Franek! Pan szef cię wzywa do siebie – rzekł chłopak, miętosząc niespokojnie czapkę.

– Teraz? Przecie zaraz obiad.

– Mówią, że teraz.

Franciszek spochmurniał. Od bijatyki minęło parę dni i poza kilkoma słowami reprimendy, którą Prokop udzielił mu na mszy, nic się nie wydarzyło. Zaczął już nawet myśleć, że mu się upiekło, w końcu tłusty Barnaba od dawna prosił się o lanie i wiele osób mu tego szczerze życzyło. Teraz jednak zrozumiał, że widocznie Prokop i Ratajski czekali na odpowiedni moment.

– Franek, jakby co, to wielu się może za tobą... – rzekł

chłopak.

– Nie bój nic, Antoś. Będzie dobrze. – Franek poklepał go po ramieniu.

Mimo tego gdy wchodził po skrzypiących schodach na piętro, gdzie widniały drzwi dyrektorskiego gabinetu, czuł się niepewnie. Dopiero zaczął się przyzwyczajać do tego miejsca, ludzie przestali się oglądać za nim na każdym kroku i najzwyczajniej w świecie bał się myśli, że może zostać wygnany na ulicę.

Zastukał delikatnie w ciężkie dębowe skrzydło.

– Wejść – rozległ się ze środka niski głos Ratajskiego.

Gdy wszedł do gabinetu, oślepiło go na chwilę zachodzące słońce, które świeciło dokładnie w okna, zmieniając rozpartego w fotelu przemysłowca i pałakowatą sylwetkę duchownego w dwie czarne plamy. Franciszek przesłonił dłonią oczy, zmrużył powieki.

– Zamknij drzwi, synu – powiedział Prokop.

Patrzyli na niego dłuższą chwilę, jakby chcieli przeświecić go wzrokiem, a on czuł, że po plecach zaczyna mu spływać pot. W końcu nie wytrzymał i zaczął:

– Jeśli chodzi o tego Barnabę, co mu gębę obiłem, to chciałbym pana dyrektora...

– Czy w ogóle zrozumiałeś coś z tego, czego uczyliśmy? – przerwał mu Prokop. – Nie odzywaj się niepytany!

– Przepraszam.

– Przepraszam, ojczy Prokopie?

– Tak.

Prokop westchnął i załamał ręce. Głos zabrał Ratajczak:

– Nie bój się, synu, nie dlatego cię wezwaliśmy. Chcemy, rozumiesz, zadać kilka pytań, ocenić twoje postępy... Powiedz no, jak tam z twoją głową? Przypominasz coś już sobie?

– Nie – skłamał Franciszek.

W rzeczywistości nawiedzały go dziwne sny, bardzo podobne do siebie. Z początku traktował je jak zwykłe koszmary, ale w końcu zdał sobie sprawę, że to mogą być niemal zatarte ślady wspomnień, które wypływały z głębi umysłu.

Zawsze zaczynało się tak samo: szukał czegoś w mlecznobiałej mgle, tak gęstej, że gdy szedł, zdawała się prześlizgiwać wokół ciała. Przejmowało go dojmujące wrażenie straty, wiedział, że musi coś prędko odszukać, bo inaczej dojdzie do tragedii. Wokół zawsze były mury bez okien i drzwi. Mury ożywały, zagradzając mu drogę, ziemia wypiętrzała się, tworząc niemożliwe do pokonania przeszkody. W końcu zaczynał krążyć w kółko po swoich śladach, a mgła krzepła jak galareta, tak że coraz trudniej było wykonać nawet jeden krok. W końcu tyle wysiłku musiał wkładać w parcie naprzód, że zapominał, czego właściwie szukał.

Wtedy – budził się, rozdygotany, zlany zimnym potem. Próbował raz nawet prosić kogoś, żeby obudził go w środku nocy, w nadziei, że jeśli sen zostanie przerwany przed końcem, to po przebudzeniu będzie jeszcze pamiętał, o co chodziło. Ale to nic nie dało, jakikolwiek był przedmiot tych gorączkowych poszukiwań, zawsze pozostawał zakryty przed myślami Franciszka. Uczucie straty było natomiast tak potężne, tak dojmujące, że na samo wspomnienie jego oczy zaczynały łzawić.

– Powiedz, synu – rzekł tymczasem Prokop – jak ci idzie praca?

– Bardzo dobrze. Pan Horski jest zadowolony, mówi, że mam złote ręce.

– A z ludźmi nie boisz się rozmawiać?

– Ja z nimi nie. Oni ze mną – owszem.

Ratajski zaśmiał się, ale umilkł pod surowym wzrokiem Prokopa.

Tymczasem ksiądz zbliżył się do Franciszka i zajrzał mu uważnie w oczy.

– Myślisz, że dałbyś radę żyć na zewnątrz?

A jednak! Zamierzali go wyrzucić.

– Nie wiem nawet, co to za miasto, nic nie pamiętam z życia, tyle tylko, co mnie tu ludzie nauczyli.

– Tak czy nie?

– Chyba... tak – rzekł zrezygnowany.

– Wyśmienicie – uśmiechnął się szeroko Prokop, po czym wcisnął mu coś w dłoń.

Zaskoczony Franciszek spojrział w dół i zobaczył, że trzyma małą, czarno oprawioną Biblię i pugilares z dokumentami.

– Papiery masz nowe, na nazwisko Franciszek Znajda. Dostałbyś jeszcze pięć rubli, ale rozumiesz, kolego, musieliśmy zapłacić za lekarza – dodał Ratajski. – Twój pracodawca da za pierwszy miesiąc z góry, żebyś miał jak żyć.

– Praco... dawca?

Franciszek nie wiedział, jak ma zareagować. Ze wszystkich rzeczy tej się spodziewał najmniej. Nie znał nikogo na zewnątrz, nie wychodził szukać zajęcia, nikogo nie prosił o wstawiennictwo. Na dodatek w przytułku było wielu starszych stażem, silnych i normalnych mężczyzn, dla których nie potrafiono znaleźć pracy. Dlaczego on?

– Kto...? – zaczął, a Prokop skinął głową w bok.

Franciszek dopiero wtedy zobaczył, że w pomieszczeniu była jeszcze jedna osoba, której przez cały czas nie spostrzegł, oślepiony przez światło, skupiony na twarzach

Prokopa i dyrektora. Ów mężczyzna siedział sztywno w fotelu, trzymając dłonie na kolanach. Wykrochmalony na sztywno kołnierzyk obejmował mu szyję ciasno jak kościana obręcz, frak był stary, ale pedantycznie czysty, buty błyszcząły niby lustro, a ich właściciel taksował Franka uważnie spod krzaczastych siwych brwi.

Mężczyzna wstał i wyciągnął rękę.

– Miło mi, moje imię Eustachy Różewicz. Mieliśmy już przyjemność się spotkać, choć w mniej przyjemnych okolicznościach, których pan pewnie nie pamięta.

– Ja... – zaczął Franek, ale nie wiedział, co powiedzieć.

Tymczasem Eustachy uściśnął mu zdecydowanie rękę.

– No, żegnaj, synu. – Prokop otworzył drzwi. – Powodzenia na nowej drodze życia.

– Ja... – Franek znów próbował zacząć, ale Różewicz położył mu dłoń na ramieniu i wyprowadził go ze środka.

Nie miał okazji nawet spojrzeć za siebie, by pożegnać byłych opiekunów.

Zeszli po schodach i wyszli na ulicę. Po bruku powoli toczyły się dorożki, mężczyzna z długim kijem rozpałał właśnie gazowe latarnie, a ludzie spieszyli do domów wąskim chodnikiem, potracając się co chwila nawzajem; przegrani w tej grze kończyli z nogami w rynsztoku. Tylko przed Franciszkiem tłum rozstępował się sam, wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, aby każdy usuwał się z drogi.

Dzwony przechylonego, zmęczonego jakby kościółka wybijały ósmą.

Idąc, Franciszek co jakiś czas spoglądał w bok na Eustachego, ale jego pomarszczona twarz była zamyślona, a oczy spuszczone na czubki lakierowanych butów.

– Dziękuję – spróbował zacząć rozmowę.

– Ach? Nie masz za co, przyjacielu, nie masz za co. Przecież nie mogliśmy cię tam na całe życie zostawić. Jeśli się ktoś z zakładu nie wyrwie, dziwaczejze w końcu, jak we wszystkich publicznych instytucjach.

Franciszek, nie pamiętając nocy, której go znaleziono, zastanawiał się chwilę, co znaczy „nie mogliśmy”.

– Daje mi pan pracę? – spytał.

– O, nie. Ja się tylko za panem wstawiłem, panie Franciszku. A tak w ogóle to proszę wybaczyć, zamyśliłem się, a pan przecież nic jeszcze nie wie. Otóż uprosiłem dla pana miejsce w hucie Wencla, gdzie pracuję. Nic specjalnego, ale poobracasz się pan między ludźmi, popracujesz, to ci dobrze zrobi, a potem się zobaczy. Mówią, żeś w rękach dobry?

– Po tym, jak mnie przenieśli od sznurów, naprawiałem maszyny, które zakład dostawał w darowiźnie. W większości jeszcze stare, na kotłach parowych...

– Skąd się znasz na mechanice?

– Nie znam się, ręce się znają.

Różewicz spojrzał mu w oczy, marszcząc brew.

– A to dziwne ziółko z ciebie, bratku. Nie przypominasz sobie może czego? Kim byłeś, gdzie żyłeś, co ci się właściwie stało?

– Nic.

– No, no – pokręcił głową Eustachy Różewicz. – Z ciebie, widzę, polski Kaspar Hauser! Nic to, rozmawiałem ze znajomym doktorem, mówił, że pamięć z czasem sama wraca. Zobaczysz, przypomnisz sobie jeszcze.

– Nie wiem, czy chcę – odparł cicho Franciszek, patrząc na swoje poblźnione dłonie.

Miał niemiłe przeczucie, że jeśli w jego umyśle zamknęły

się na stałe jakieś rozdziały, to nie stało się tak bez powodu. Bał się tego, co może w nich znaleźć.

– A ta praca... Dobrze płatna? – spytał.

– Dwanaście rubli na miesiąc.

– Ile to? Ja się na cenach nie rozeznaję.

– Mało. Tyle, żeby od kogoś pokój podnając, coś do gęby włożyć. Ale nie martw się, miejsce dostaniesz u mnie za darmo, tylko bądź grzeczny dla małżonki i dobry dla dzieci, bo jak nie – wyrzucę na bruk. Wiele zniosę, tylko nie chamstwo pod swoim dachem.

– Nie rozumiem. Dlaczego pan to robi, panie Różewicz?

– Tak by zrobił dobry chrześcijanin.

– Ale, panie Różewicz...

– Mów mi Eustachy. Nie dziękuj, po prostu nie przynieś mi wstydu i nie lej nikogo po mordzie. Przynajmniej nie w pierwszy dzień.

Wkrótce skręcili w boczną uliczkę, gdzie po jednej stronie wisiał szyld rzeźnika, po drugiej – szewca. Psy warczały, wrywając sobie z pysków jakieś krwawe strzępki, a na schodach siedział dziadek, pykając porcelanową fajkę. Dalej Franciszek zobaczył kawał błotnistego pola, a za nim czerwieniło się cegłą osiedle, które wybudowano dla pracowników przy hucie. Sama huta, ponury moloch w koronie sześciu kominów, otoczona wysokim murem górowała nad krajobrazem, tak że budynki wokół niej zdawały się ledwie dziwną naroślą.

– Królestwo Wencla – mruknął Różycki. – Za tym polem wszystko należy do niego, ziemia, zakład, ludzie. Nawet prawo obowiązuje tam inne, Wencłowe.

Z daleka równe rzędy domów wyglądały bardzo porządnie, ale wystarczyło, że zbliżyli się nieco, a Franciszka uderzył w oczy brud i chaos. Nieutwardzona

ulica tonęła w błocie, a kałuża brązowej wody błyszczała na jej środku jak czubek głowy łysiejącego. Za krzywymi parkanami widniały małe ogródki przytulone do ścian domów, pełne karłowatych drzewek, których liście zrobiły się szare od wyziewów huty. Tu i ówdzie do murów dołączono krzywe drewniane przybudówki. W oknach wisiało pranie, dyndało też ze sznurów rozwieszonych nad ulicą oraz w bocznych zaułkach.

Umorusane dzieci ganiały się po ulicy, z otwartych okien wiało mieszaniną wszystkich możliwych zapachów, niektóre szyby były wybite.

– Wesołe miejsce, co? – mruknął Eustachy. – Nie bój się. My mieszkamy trochę dalej, w domkach dla pracowników wyższego szczebla.

Faktycznie, po chwili doszli do szerszej ulicy, gdzie niskie domki ustąpiły miejsca kamienicom, których malowane fronty kontrastowały z otaczającym je morzem biedy i prowizorki. Różycki wprowadził Franciszka na drugie piętro, kłaniając się po drodze sąsiadowi, a potem zatrzymał się na chwilę przed drzwiami.

– Zachowuj się porządnie, pamiętaj: panią małżonkę całujesz w dłoń, buty wycierasz, przy stole uważasz.

Franciszek skinął głową.

– I nie rób min, na litość boską – dodał Różewicz. – I tak źle ci z gęby patrzy, jeszcze mi dzieci na śmierć wystraszysz.

Weszli. Izba była czysta, podłoga wypastowana, ściany bielone, a meble nawoskowane. Sprzętów nie było wiele, ale wszystkie wyglądały na dobrze zadbane, odczyszczone. Naprzeciw drzwi, ponad zegarem i masywną komodą, wisiał długi karabin, a obok niego w ramkach trochę bladych dagerotypów, z których jeden

pokazywał Eustachego w węgierskim mundurze. Dzieci stały już przy stole, ustawione w rzędek od najmniejszego do największego, w szarych mundurkach, nieco zużytych, czasem zbyt długich lub zbyt krótkich. Pani Różewiczowa, w szarej sukience z perkalu i z czarnym kokiem na głowie, podeszła do Franka.

– Panie Franciszku, moja żona Zofia – rzekł Eustachy.

Franek przyłożył jej dłoń do ust i z rozbawieniem spostrzegł, że kobieta prawie wyrwała mu rękę ze strachu.

– A to Zosia, Martusia, Pawełek i Ania.

Dziewczynki dygnęły, a chłopiec patrzył na Franka bez ruchu, z rękoma włożonymi w kieszenie i otwartą buzią. Matka walnęła go otwartą dłonią w tył głowy.

– Ach, ty gałganie!

– Nie trzeba... – Franciszek zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę, ale zamarł, nie wiedząc, co powiedzieć ani dlaczego widok sprawił, że krew uderzyła mu do skroni.

Eustachy popatrzył na niego badawczo.

Wkrótce usiedli do obiadu, zjedli zupę z brukwi, kaczkę pieczoną z jabłkami, a potem gorącą leguminę. Franciszek, który pierwszy raz trzymał sztućce inne od powyginanej metalowej łyżki, odkrył, że radzi sobie z nimi całkiem nieźle. To było zupełnie jak z naprawianiem maszyn – dłonie pamiętały. Powiedział sobie, że od dzisiaj musi zapisywać te wszystkie automatyzmy, ślady po poprzednim życiu wryte na stałe w mózgu, bo może dzięki nim zdoła coś wydedukować.

Zapisywać? Takie słowa przyszły do głowy, ale czy umiał pisać? Końcem noża przejechał po wykrochmalonym, białym jak śnieg obrusie, kreśląc

wyimaginowane zdanie. Tak, umiał.

Zamyślony i pochłonięty nowym pomysłem, przeoczył fakt, że o coś go spytano, a teraz wszyscy patrzą na niego, oczekując odpowiedzi.

– Ja przepraszam bardzo, umknęło mi – powiedział.

– Żona pytała, czy pójdzie pan jutro z nami do kościoła.

– Pan chyba jest katolikiem, panie Franciszku? – niepewnie spytała Zofia.

– Tak myślę... chyba – odparł, ignorując dziwne uczucie, które w tej chwili się w nim zbudziło.

Po obiedzie Eustachy zaprowadził go do pokoju – małej izdebki od strony podwórza, gdzie stały tylko stół, łóżko, jedno krzesło, metalowa balia i wiadro z wodą. Przez wąskie okno widać było kominy huty, pnące się ku niebu jak ceglane filary, dźwigając ciężkie sklepienie dymu.

– Nic specjalnego, drogi panie, nic specjalnego – z zażenowaniem powiedział Eustachy. – Ale to zawsze swój kąt.

– Wygląda bardzo dobrze. Ale nie rozmawialiśmy jeszcze, ile za miesiąc.

– Tym proszę się nie kłopotać, na początku będziesz pan chciał kupić jakieś sprzęty, ubrania.

– Ważniejsze dla mnie to, żeby nie żyć na cudzym garnuszku.

– Dobrze, dobrze. To tak ze dwa na początek, a potem, jak pan staniesz na nogach, to zobaczymy.

– Pięć – odparł Franciszek, bo choć nie znał cen obowiązujących w mieście, był pewien, że majster zaproponował mu kwotę wręcz symboliczną.

– Na Boga, nie wezmę więcej niż dwa i pół! – odparł Różewicz.

– Cztery.

– Niech będzie trzy. Pan się targujesz jak Żyd, szkoda tylko, że na swoją niekorzyść.

– No to stoi: trzy. – Franciszek ze śmiechem podał mu dłoń.

Tej nocy po raz pierwszy zasnął w miękkim, zasłanym łóżku. Ale sny, które mu się śniły, były te same: stare, stęchłe, śmierdzące potem i strachem.



Przed wejściem stały dwie armaty, przy każdej piramidka czarnych błyszczących kul. Maksym zatrzymał się, myśląc, jak absurdalnie tu wyglądają, celując w dół spokojnej, rozświetlonej ulicy żelaznymi pyskami. Tymczasem Mikołaj zakołatał w malowane na czerwono wrota, odczekał chwilę, a potem otworzył jedno skrzydło.

– Zanim wejdziemy – rzekł cicho – pamiętaj: generał to oryginał, więc pozwól mówić mnie, nie odzywaj się bez potrzeby. I pod żadnym pozorem go nie drażnij. Ze wszystkich ludzi, którzy tu mieszkają, on jest bodaj najgroźniejszy.

– W jaki sposób? Ma broń?

– Zapewne. Książę Połubiński zostawił go tu jako strażnika. Raz mi mówił, że jak przyjdzie do najgorszego, można obudzić generała z momentu. Konstanty to był wielki człowiek, dużo przewidział...

– Dlaczego jeszcze nie obudziliście go do walki z mechanem?

Mikołaj spojrzał dziwnie na Maksyma. Zdawało się, że ma coś na końcu języka, ale nie odpowiedział, ruszył

tylko naprzód w półmrok długiego hallu. Maksym poszedł za nim, a drzwi zatrzasnęły się same z hukiem, od którego obaj aż podskoczyli.

Posadzka z czarnych i białych płytek była jak lustro, w którym odbijały się barokowe stiuki oraz malowidła na suficie. Było ciemno, lampy wiszące w dużych odstępach dawały tylko trochę światła. Powietrze pachniało kurzem, zimnymi kamieniami, starą farbą. Maksym poczuł się, jakby szedł korytarzami muzeum po północy, gdy po stróżach i turystach zostaje tylko dalekie echo kroków, które wciąż odbija się pod wysokimi sklepieniami i wraca do uszu jako delikatny szum, przeplatany uderzeniami własnego serca.

Na końcu długiej amfilady były kolejne drzwi, przed którymi Mikołaj zatrzymał się na chwilę z wyraźnym wahaniem. Gotyckie zbroje, wsparte po obu stronach na ogromnych flambergach, wydawały się patrzeć na niego groźnie. I wtedy Maksym zdał sobie sprawę, że ten szum, o którym przed chwilą myślał, a który słyszał od momentu wejścia, to nie złudzenie słuchu, przeniesionego z ulicy do grobowej ciszy domu. Odgłos był teraz wyraźniejszy, a dochodził zza drzwi.

Maksym słuchał chwilę, ale nie potrafił sobie wyobrazić, jakie mogło być jego źródło. Wydawało mu się tylko, że to nie jeden dźwięk, a miliony – całe morze cichutkich stuków, które zlały się w monotony, ledwie słyszalny odgłos.

– Jesteś gotowy? – rzekł Mikołaj, którego głos przy tym szmerze zabrzmiał jak syrena okrętowa. – Możemy wchodzić?

– Prowadź. Mnie przecież nie wolno mówić – odparł Maksym.

W momencie, gdy Mikołaj otwierał drzwi, szum ucichł niespodziewanie.

Wkroczyli do ogromnej sali balowej. Pierwsze, co Maksym zobaczył w świetle gigantycznego kandelabru, który wisiał na grubych jak ramię łańcuchach, to kolczasta podłoga, na której środku spoczywała wielka jasna kula. Ale zaraz potem zdał sobie sprawę, że to nie kolce sterczały na podłodze. Miał przed sobą prawdziwe morze ołowianych żołnierzyków w zielonych mundurach, wysokich na dwadzieścia centymetrów, z bronią na ramieniu, twarzami malowanymi jaskrawą farbą i ustami otwartymi jakby do krzyku. Uformowani byli w równe czworoboki, linie, bataliony oraz regimenty, a po przeciwnej stronie stały odwrócone szeregi takich samych żołnierzy, tylko w mundurach czerwonych. Mieli przed sobą całe pole bitwy, zamarte nagle w bezruchu; dywan malutkich szpiczastych bagnetów lśnił srebrzyście. Natomiast zwalista sylwetka na samym środku pomieszczenia okazała się być odwróconym tyłem, monstrualnie otyłym człowiekiem, który siedział na niskim taborecie.

– Panie generale... – rzekł Mikołaj łamiącym się głosem.

Generał podniósł się powoli, z wyraźnym wysiłkiem, a potem odwrócił się, przez chwilę prezentując z profilu swój poczwórny podbródek i szyję tej średnicy, co wyrastająca z niej siwa głowa. Zalśniły medale i sznury na jego białym carskim mundurze, a w lewym oczodole generała coś błysnęło złociście, coś machnęło metalowymi odnóżami, a zaraz potem wysunęła się stamtąd okrągła soczewka w złocistej oprawce, do złudzenia przypominająca monokl. Drugie oko generała, zasnutę bielmem, zapadnięte w nalanej twarzy, gapiło się

w pustkę.

– Kto tu? – wycharczał, z trudem utrzymując swoje otyłe ciało na krótkich, krzywych nogach.

– To ja. Mikołaj Piotrowicz, przecie zna mnie generał, jestem przyjacielem księcia Konstantego.

– A... Konstanty... Dlaczegoż nie przychodzi?

Mikołaj przełknął ślinę.

– Konstanty nas opuścił, panie generale. Dawno temu.

– Opuścił? A to wariat, ale wiedziałem... Trudno było tego nie przewidzieć, gdyby był dobrym strategiem, inaczej by wszystko rozegrał. Ale tak? Szkoda, szkoda. A twój przyjaciel kto?

Generał był już prawie przy nich. Maksym ze zdziwieniem patrzył, jak mimo ogromnej tuszy stawia stopy tak, by nie trącić ani jednej z figurek.

– Jestem przyjacielem księżnej. Próbuję pomóc. – Maksym uprzedził Mikołaja, który spiorunował go spojrzeniem.

– A skądżeś się tu wziął, ha?

– Niech pan wybaczy przyjacielowi. On... – Mikołaj próbował się wtrącić, ale obaj go zignorowali.

– Trafiłem tu przypadkiem. Ale kiedy księżna poprosiła mnie o pomoc...

– Przekładem? Kto wie? – przerwał generał. – Może przypadkiem? A może ty nieprzyjaciel? *Szpieg*? Wy, Polaki, to macie we krwi, jeden w drugiego zdrajcy, szubrawcy.

Maksymowi zdało się, że przez szeregi żołnierzyków przeszło ledwo zauważalne drżenie. Generał tymczasem stanął tuż przed nim, wyższy o dwie głowy, szeroki jak szafa. Pochylił się nad Maksymem, spojrzał mu prosto w oczy, mechanizm za grubo rżniętym szkłem soczewki

ruszał się jak odnóża przewróconego na grzbiet żuka.

– Chcę pomóc księżnej. – Maksym patrzył w oko mężczyzny bez strachu. – Po odejściu męża znalazła się w niebezpieczeństwie. Proszę uwierzyć, mam dobre intencje.

Mechaniczna soczewka prawie dotknęła twarzy Maksyma, oblicze generała marszczyło się groźnie jak u wściekłego buldoga, ale nagle niespodziewanie rysy wygładziły się, złość wyparowała.

– Ty żołnierz! – mruknął generał, jakby z podziwem.

Maksym pobladł i cofnął się gwałtownie.

– Jest w tobie pustynia. Widzę wysokie domy z betonu i żelaza, ciężkie pojazdy o bokach z metalu, szybkie karabiny, co strzelają bez nabijania – kontynuował grubas.

– Są krzyki, wybuchy. Krew. I więcej, tylko głębiej, ukryte przed wzrokiem. Tyle wojen! Dużo jak na jednego człowieka. Więc teraz chcesz walczyć z wrogiem księżnej?

Maksym skinął głową.

– Dobrze, *maładiec*, dobrze – roześmiał się chrapliwie generał. – Po cóż więc marnujesz czas? Idź, walcz, giń albo zwyciężaj.

– Potrzebujemy broni. Mikołaj mówił, że generał może pomóc...

– A to zależy. Broń to takie ogólne słowo, są przecie bronie dobre na jednego człowieka, są takie na regiment, a są też bronie na całe państwo. Co wy chcecie zniszczyć?

– Mechaniczną konstrukcję, bardzo dużą, bardzo mocną – odpowiedział Maksym.

– Kto wie? – Generał zafalował, przestępując z nogi na nogę. – Może i by się co znalazło... Mechaniczną

konstrukcję, powiadacie? Wiele się, widzę, zdarzyło, odkąd ostatni raz byłem na zewnątrz. Ale jeśli Emilia was wolała prosić... No dobrze, pójdę, popatrzę. A wy tu niczego nie dotykajcie.

Ruszył w stronę przeciwległego końca pomieszczenia, a Maksym z Mikołajem odprowadzili go wzrokiem. Podłoga drżała pod krokami olbrzyma, ale jego wojsko stało niewzruszone, zamarte w tych samych pozach.

Gdy zostali sami, poczuli trudną do opisanego ulgę. W obecności generała powietrze zdawało się trzeszczeć od napięcia, czuło się dziwne mrowienie, jakby w ciele tego człowieka skumulowały się straszne, niszczycielskie siły, które rozdeły go jak balon, a teraz, po najłżejszym nakłuciu, mogły eksplodować.

– Dziwny człowiek – rzekł cicho Maksym.

– A mówiłem? Konstanty twierdził, że w razie czego pomoże obronić dzielnicę. Ale cóż takiego mógłby ten dziwak zrobić? Gdzie jest ta moc, którą miałyby władać?

Maksym tymczasem kucnął i przyjrzał się z bliska żołnierzom. Dopiero teraz, z bliska, zobaczył, że każdy z nich miał w otwartych ustach skrawek papieru z dziwnym symbolem.

– Nie wiem – odparł, walcząc z dziwnymi wspomnieniami, które zawrzały mu w głowie.

Tymczasem podłoga zadrżała znowu, a potem w dwuskrzydłowych drzwiach pojawiła się zwalista sylwetka generała. W rękach niósł skrzynkę z wiśniowego drewna, którą wręczył Maksymowi. Wątki mężczyzna aż ugiął się pod ciężarem.

– No, masz swoją broń, *maładiec*. Teraz idź, zwyciężaj lub giń, broń honoru dam. Kolejna wojna czeka. A mnie daj dalej walczyć moje wojny, tyle mam ich jeszcze do

wygrania.

– Dziękuję – odparł Maksym.

Dopiero za drzwiami, w ponurej, długiej amfiladzie zakurzonych sal, przyszło im do głowy, aby zajrzeć do skrzynki. W środku znaleźli lniane pakuneczki wielkości paznokcia, upchane gęsto aż po wieko.

– Cóż to?

Maksym ostrożnie rozerwał jeden z pakuneczków.

– Proch – odparł. – To są odmierzone ładunki, jakby dla artylerii, tylko dużo mniejsze.

– I to ma być sekretna broń?

– Nada się. Bez worków powinniśmy mieć jakieś dwa-trzy kilo. Chodźmy, trzeba zacząć przygotowania.

– Trzeci batalion, naprzód! – rozbrzmiało daleko za nimi, gdy wychodzili w ostre światło ulicy.



Huta leżała na obrzeżach miasta, jedną stroną wsparta o dzielnicę malutkich koślawych domków, których cegły nabrały czarnobordowej barwy za sprawą fabrycznych dymów, z drugiej patrząc na błotniste, puste pola, na ugory przyprószone pyłem i poczernione sadzą z sekstetu grubych kominów. Gruba magistrala kolejowa – całe pięć torów, kilka ślepych odnóg – prowadziła z tyłów fabryki do rozjezdni na przedmieściach. Pociągi pełne rudy przyjeżdżały w dzień i w nocy, mieszkańcy okolicznych domów przywykli już do potwornego jazgotu, który wydawały wyładowane po brzegi kilkudziesięciowagonowe składy, hamując w strugach iskier na przestrzeni kilkuset metrów.

Mury huty były krzywe, źle postawione. Wencel próbował oszczędzać na każdym etapie budowy, cegły były więc kruche i tanie, zaprawy – ledwo-ledwo. Nawet stalowych podpór założono mniej, niż przewidywał

projekt. A że Wencel płacił robotnikom głodowe stawki, większość się nie przykładała, a niektórzy, opowiadano, wręcz celowo źle budowali, żeby „Żydowi się na łeb zważyło”.

Nie było to jednak nic nadzwyczajnego, w tym czasie w mieście nikt nie budował z myślą o latach, spółki plajtowały albo zmieniały właścicieli co chwila, jedni zarabiali miliony, inni spadali na samo dno, wszystko było tymczasowe. Przemysł rósł jakby przypadkiem, jakby z niedopatrzenia cara, jakby z niespodziewanej dla nikogo mieszanki różnych narodowych żywiołów, która nagle postanowiła wydać pokraczne owoce z cegły i żelaza. Zresztą przemysłowi tak brakowało dobrych hal i fabryk, że wszystko, co miało dach i ściany, było na wagę złota, nawet takie cuda jak huta Wencła.

Niektórzy właściciele w lichości swoich hal widzieli nawet zaletę – finansowe zabezpieczenie. Gdy firma plajtowała, łatwiej było spalić byle jaki barak niż porządny budynek, żeby wyłudzić pieniądze od towarzystw asekuracyjnych.

W czasie pierwszych lat pracy u Wencła było kilka wypadków, z czego najgorsze okazało się oberwanie kotła z surówką w lewym skrzydle. Kocioł zabrał ze sobą kawał ściany i tuzin ludzi. Ale Wencel tym się nie przejmował, przekupił inspektorów, którzy chcieli zamknąć zakład, a potem kazał ludziom naprawiać to, co się zaważyło, możliwie najtańszym kosztem. Od tej pory stało się to jego stałym zwyczajem i teraz hutę w tyłu miejscach przecinały ukośne podpory oraz dodatkowe żelazne belki, że przypominała eksperymentalną futurystyczną architekturę rodem z niedawnej wystawy światowej w Paryżu.

Kiedy zimnym porankiem dziewiętnastego października 1867 roku Franciszek stanął po raz pierwszy w głównej hali huty i spojrzał na sufit, w pierwszym odruchu chciał się cofnąć i wyjść, pewien, że strop lada chwila się zawali. Dopiero gdy zobaczył, że ludzie nic sobie nie robią z tej dziwacznej płataniny, która podtrzymywała dach, ruszył dalej naprzód i dołączył do Eustachego Różewicza, który zniknął już za jedną z ogromnych maszyn.

Jako że byli jednymi z pierwszych na zmianie, nie musieli od razu iść na stanowiska. Różewicz zabrał więc Franka na krótką przechadzkę po kompleksie, tłumacząc mu zawiłości architektury przypadku, która zastygła w tej, a nie innej formie na skutek ciągłych dobudówek, przebudów i tymczasowych napraw.

– Tu, widzisz, główna sala. Mamy sześć wielkich pieców, bessemery od Siemens’a. Wystrzegaj się tego tam. Nazywamy go „smok”, bo raz na jakiś czas odnawia się dziura w poszyciu i wtedy ziele ogień przez pół sali, już trzy osoby tak zginęły. Tam masz koksownię. Z niej jest wyjście na bocznicę kolejową i do dźwigów, którymi ładujemy towar na wagony. Tam z kolei masz stosy do prażenia rudy. A tam, w bocznym pomieszczeniu, jest pudlingarnia. W dwunastu małych piecach oczyszczamy surówkę – nie wchodzi, jeśli nie musisz, cuchnie tam siarką jak w samym piekle.

Przeszli na koniec hali, gdzie wysokie na dwa piętra wrota prowadziły do następnej, nieco mniejszej.

– Tutaj masz walcownię i młotownię. Spędzisz w niej większość czasu, bo te przeklęte maszyny francuskie psują się co kilka dni. Twardszą stal na nich robimy niż ta, z której są zbudowane, to i o problem nietrudno. Pamiętaj, jak masz tu dłużej siedzieć, noś gałgany w uszach, cały

ich wór znajdziesz przy kantorku inżynierskim. Szczególnie miej się na baczności, jak ci zaczniesz piszczeć. Mówił mi jeden doktor, że piski to znak, że głuchniesz. Większość artylerzystów, których w wojsku poznałem, na starość była głucha, a to właśnie od złych pisków, które słyszeli po strzelaniu z armat.

Gdy skończyli obchód, stanęli na mostku rozpiętym między dwoma wielkimi piecami, skąd dobrze było widać wejście do hali. Strużka ludzi wlewała się do środka powoli, niespiesznym krokiem.

– Patrz – wskazał ich Różewicz. – Musisz poznać ludzi, z którymi masz pracować.

Franciszek chwilę obserwował, jak robotnicy rozchodzili się po ogromnym kompleksie, rozgałęziając się na coraz mniejsze grupy.

– Po co tak stoimy? – spytał w końcu.

– Żebyś zobaczył, z kim będziesz się zadawać, komu możesz ufać, komu nie. Przecież nie będę ci sam tego wszystkiego opowiadał, nie chcę ludzi obmawiać, poza tym mogę się przecież mylić, stary już jestem i zdziwaczały. Lepiej, żebyś sam sobie o każdym opinię wyrobił, a pierwszy na to sposób to na człowieka uważnie spojrzeć. Nie tak, jak się często patrzy, w przelocie, na ulicy, jednym okiem, z głową całkiem zajętą innymi sprawami, ale tak, jak patrzono w czasach dawnych, kiedy charakterologia była dziedziną niemal równie ważną co matematyka i fizyka. Wuj mnie tej sztuki uczył i powiadam ci, w życiu to nauka największa, nad inne dużo bardziej przydatna. Wielka to szkoda, że w szkołach jej nigdy nie było.

– Żarty – prychnął Franciszek. – A co ja niby mogę powiedzieć o tych ludziach tylko z wyglądu?

– Zdziwiłbyś się, jak wiele. Musisz tylko odpowiednio patrzeć. Weźmy na przykład tego w popielatych spodniach. Idzie prosto, szybko, energicznie – znaczy się, spał porządnie, znaczy, na dziwki i wódkę nie chodzi nocami. Obacz marynarkę, jak równiutko uprasowana, żonę ma albo porządną gospodynię. Raczej to pierwsze, bo na gosposię mało kogo tu stać.

Nim Znajda zdążył odpowiedzieć, Różewicz wskazał już następnego robotnika.

– A tam, patrz, późno już, ale temu się nie spieszy, a jak idzie, niby że od niechcienia, niby że to nie on tutaj, że to wszystko poniżej niego. Koszula rozchełstana, biret na bakier. Czy trzeba wiele, żeby przejrzeć człowieka? Czasem ruch wystarczy, patrz, jak on kartę odbija. I myślisz, że to dobry człowiek? Dom swój byś mu powierzył?

– Mam przyjąć, że jest zły, bo mu się rano nie chce do pracy? Toż większość ludzkości jest zła wedle pańskiej miary, panie Różewicz.

– A nie o to chodzi, że mu się nie chce. Chodzi o to, że temu niechcieniu tak łatwo ulega. Prawdziwego człowieka poznać można po stosunku do codziennych spraw, po dyscyplinie mentalnej. Bo życie to, w ogólności, ciągła próba woli. Zwierzęta robią, jak im instynkt podpowie, chce pić – pije, chce się parzyć – parzy się. Ale cywilizacja stoi tym, że ludzie zmuszają się, by robić to, co rozum podpowiada, nie to, na co mają chętkę. Pomyśl no, uczysz się w szkole – nie chcesz, wolałbyś po polach biegać, spać w stogach siana, bo człowiek to dusza z natury wolna. Ale nie, zmusić się trzeba, nauka nie tylko cię mądrzejszym uczyni, ale i pracę da. Pracujesz – nie chcesz, ale praca uszlachetnia, daje chleb, trzeba się

zmusić. Piąć się w górę – to wielki wysiłek, ale warto, żonie dasz lepsze życie, dzieciom lepszy przykład, a i sam na starość będziesz mógł mówić: patrzcie, cóżem osiągnął. Stanać na wojnie, bronić piersią ojczyzny – też się nie chce, zawsze jest przecie strach, który podsuwa tysiąc wymówek, zawsze skłonni jesteśmy uwierzyć bardziej w to, co nas taniej wyjdzie, co mniej od nas wymaga; wolelibyśmy narzekać, że wojna nie ma sensu, że wróg zbyt potężny, bo to nas przed własnym sumieniem rozgrzeszy. Ale żeby kraj nie przepadł, trzeba czasem chwycić broń, przewyciężyć najsilniejsze ludzkie instynkta. A być dobrym człowiekiem? To już wysiłek kardynalny! Niby kilka prostych przykazań: nie kłam, nie kradnij, żon cudzych nie bałamuć, a zadanie na miarę tytanów, mało który podoła. Żyjemy, by walczyć z entropią, by porządkować nieuporządkowane. I ktoś, kto potrafi, kurwa, zakasać rękawy i wszystko wziąć za mordę, wart jest dziesięciu takich jak ten w przekrzywionym birecie...

Przerwał im dzwon, wyznaczający początek pierwszej zmiany, ruszyli więc do kantorka inżynierskiego, gdzie co dzień rano zbierała się na odprawę grupa inżynierów i majstrów, do której należał Różewicz. Tam, w zagraconym pokoiku, siedziało już kilku mężczyzn w znoszonych surdutach i koszulach ze sztywnymi kołnierzykami, kręcili się też asystenci w osmolonych skórzanych fartuchach. Ktoś grzał wodę na małej żeliwnej kozie, ktoś inny rozłożył na blacie cynowe kubki.

Różewicz przedstawił Franciszka reszcie, a chwilę potem przez drzwi wszedł główny inżynier huty, Worthington, stary i ślepy na jedno oko Anglik w nienagannym surducie i spodniach z kortu. Nie zwrócił uwagi na

Franciszka, tylko siadł ciężko na swoim stołku, przejrzał grubą księgę usterek, po czym zaczął mówić, nie podnosząc nawet oczu.

– Fiaukovsky!

– Służę panu kierownikowi.

– Ty bierz kocioł parowy przy pudlingarni. Trzy ludzie, przed pracą dobrze wychłodzić. *Allright?*

– Tak, panie kierowniku.

– Danietz! Ten oś, co ty naprawić, znowu się oberwał. Wencel gada – zła robota. Ty się lepiej przyłóż. Rozewitch! Ze swoimi reperować dźwig nad torem. Łożysko zatarte, w południe transport. *Allright?*

– Zrozumiano – przytaknął Eustachy.

– Wszyscy zrozumiano? – Worthington przeciągnął zabielmionym okiem po półkolu pracowników.

– Tak.

– Tek, tek. No to praca. – Anglik zamknął księgę i podniósł się ciężko.

– Ale najpierw herbata? – spytał niepewnie pewien inżynier.

– *Aye!* Herbata, herbata – machnął ręką Worthington. – Tylko niech nikogo mister Wencel nie widzi z czajnik w ręku.

– Nie możemy się dać Wencelowi przyłapać – Różewicz szeptem wytłumaczył Frankowi. – Bo już jednego wyrzucił tak z roboty. Twierdzi, że jak się robi herbatę, to nie tylko trwoni się czas, ale i okrada zakład z opału, wody.

– A co ja mam robić? – spytał Franciszek.

– Jak to co? Idziesz ze mną. Po herbacie, ma się rozumieć.

Całe przedpołudnie Franek pracował przy starym żelaznym żurawiu, który zwisał nad torowiskiem, łuszcząc

się kolejnymi warstwami rdzy. I choć metal zapiekł się mocno, to śruby ustępowały pod pobliźnionymi dłońmi zaskakująco gładko, tak że inni mechanicy patrzyli na Franciszka z ukosa. Tylko Eustachy zdawał się nie widzieć w tym niczego podejrzanego. Co chwilę klepał przyjaciela po plecach i powtarzał mu:

– Masz złotą rękę, chłopie. Powiadam ci, złotą rękę.

Na przerwie wszyscy wylegli na zewnątrz pod wysoki, pozbawiony okien wschodni mur huty. Eustachy wyciągnął z torby menażkę i dwa kubki, zajął miejsce na niskim murku, po czym nalał zupy sobie oraz Franciszkowi. Tymczasem większość mężczyzn poszła tam, gdzie wśród przykrytych płachtami wagonów i hałd surowego urobku czekała spora armia kobiet w pstrokatych spódnicach, każda z garnkiem, chochlą i paroma miskami.

– Biorą niedrogo, jest wielu chętnych, ale ja bym szczerze odradzał. Niejedna wrzuci do gara nawet zdechłego psa. – Różewicz skinął głową w stronę panien.

Franciszek, siorbiąc zupę, patrzył ciekawie na brudne dłonie, które przekazywały sobie pieniądze, na miski błyszczące w powietrzu, na wianuszek interesantów otaczający każdą z kobiet, otrzymujący porcje według trudnej do zrozumienia kolejności. Gdy ktoś kończył jeść, kobiety wycierały jego miskę szmatą, napełniały i podawały następnemu. A kiedy ta najbliższa Franciszka (niemłoda już, grubawa Cyganka z wielkimi piersiami) wyskrobała resztki z dna garnka, podkasała spódnicę, pokazując łydki, i krzyknęła ze śmiechem:

– Dalej, chłopcy! Któremu trza pokrzepienia?

Zaraz też jakiś szczurowaty jegomość w połatanej koszuli chwycił ją pod rękę, po czym zniknęli za załomem

mur.

Franek popatrzył zaskoczony na Różewicza.

– To nasze markiety – mruknął majster. – Wielu tu nie ma rodzin, bo i trudno utrzymać żonę czy dziatki za dwanaście rubli na miesiąc. A kawalerom wiadomo, czego brak: gorącego posiłku i piczy. Niektóre już dawno się spostrzegły, że sprzedając naraz jedno i drugie, mogą zrobić ładny pieniądz.

Większość pozostałych kobiet wkrótce opróżniła garnki, pary robotników i rozchichotanych markiet zniknęły w wagonach towarowych, w drewnianych przybudówkach.

Eustachy tymczasem skończył swoją zupe, odłożył cynowy kubek i spojrzał na szare, zasnutę oparami niebo.

– Jak chcesz skorzystać, nie krępuj się. Nie będę się obrażał. Wiem, że człowiek ma swoje potrzeby.

Franciszek kiwnął głową, ale umorusane kobieciny budziły w nim tylko litość.

– Dziękuję, nie zamierzam.

– Może to i dobrze, co druga francowata.

Wkrótce wrócili do pracy. Do wieczora próbowali zastąpić pociąg oś w ruchomym kotle z drugiego bloku. Franciszek sztukował ją z metalowego pręta i tak się na tym skupił, że gdy rozbrzmiał dzwon, nie zauważył tego i Eustachy musiał go odrywać od pracy.

Wkrótce byli już przed hutą wraz z całym przepoconym, brudnym tłumem, który wylał się przez drzwi jak kolorowy ściek i wsiąknął w zaułki dzielnicy, która zaraz napęczniała wrzawą powracających do domów ojców, braci, synów. Eustachy z Franciszką również ruszyli prosto do mieszkania.

Gdy tylko wysokie drzwi się uchyliły, uderzył ich w nozdrza zapach pieczonego mięsa, kopru, owocowego

kompotu. Zofia krzyknęła z kuchni, by przygotowali się do jedzenia, więc Eustachy zabrał Franciszka do łazienki, gdzie napełnił dla niego szeroką balię i podał mu kostkę mydła. Franek dał znak, że poczeka, więc inżynier podkasał rękawy i zaczął się myć pierwszy – ścierał z twarzy syczący skwar rozpalonej surówki, wymywał zza uszu tępy łomot maszyn, aż w końcu wyprostował się, czysty i uradowany. Franek opłukał się w pełnej mydlin szarej wodzie, po czym siedli za stołem, gdzie czekały już wszystkie dzieci inżyniera, siedząc według starszeństwa po przeciwnej stronie stołu.

Wkrótce Zofia przyniosła parujący gar zupy, a kiedy każdy uporał się ze swoją porcją, podała drugie danie. Usiadła obok Eustachego, chwilę patrzyła, jak inżynier pakuje sobie do ust wielkie kawałki befsztyku, i zagaiła:

– Wiesz, rozmawiałam z panią Chruścińską i jej kuzynka właśnie kupiła ostatnio tego singera. I wyobraź sobie, że...

Różewicz odłożył nóż i widelec, otarł usta skrawkiem chusty, a potem rzekł: – A ty, kobieto, znowu mi będziesz głowę zawracać tą swoją maszyną? Wydawało mi się, że już o tym rozmawialiśmy. Singer droga rzecz, a tu trzeba Martusię posłać do szkoły, Pawełek chodzi w portkach, że nie ma już gdzie łąt przyszywać. Nie ma teraz możliwości tyle pieniędzy wydawać.

– Ale ty nie rozumiesz – odparła Zofia, nie patrząc mu w oczy. – Pomyśl, ile pieniędzy zaoszczędzimy na krawcowej, a poza tym jak będę miała maszynę, pierwszą w sąsiedztwie, to zacznę szyć dla sąsiadów, dla każdego, kto tylko zechce, szyld wywiesimy i... Taka przyszłość, nim będę stara, każda nowoczesna kobieta będzie mieć taką maszynę.

– I będzie nowe nieszczęście! – Eustachy uderzył pięścią

w stół. – A myślisz, że dlaczego tak spadły płace robotnicze, czemu ledwo się da żyć, nawet jeśli człowiek sobie wypruwa żyły przez dwanaście godzin? Kiedyś, moja droga, pensje były rodzinne, każdy dostawał tyle, żeby utrzymać cały swój dom. Ale nie, niektórym było za mało, zamiast więc trzymać w domu swoje żony i córki, pozwolili im szukać sobie zajęcia, one zaś chwytaly byle jaką pracę za pieniądze, których nie wzięłyby żaden uczciwy ojciec rodziny. I tak oto kobiety sprawiły, że teraz żyje nam się w biedzie! Coraz częściej dwoje musi pracować, żeby utrzymać dom, a co dalej? Dzieci do pracy pošlemy, jak biedaki ze wsi? To i wszyscy pošlą, wtedy jeszcze bardziej pensje spadną, trzeba będzie całą rodziną w pocie czoła harować na chleb. Gdyby kobiety znały swoje miejsce, siedziały na tyłku, ciesząc się swoją pozycją uprzywilejowaną...

Zofia poczerwieniała.

– Uprzywilejowaną? Ja ręce sobie urabiam od świtu do wieczora, piorę, gotuję, dzieci chowam, które ty tylko od niedzieli pogłaszciesz po głowie, a ty mi mówisz o przywilejach?

– Nie o to mi chodziło, kochanie. Mówię tylko, że z chwywania się przez kobiety męskich fachów przyszło nam tylko nieszczęście. A będzie jeszcze gorzej!

– Stary, a głupi – fuknęła żona. – Ty sobie filozofujesz, a prawda jest taka, że z taką maszyną to żyłoby nam się o wiele lepiej.

Franciszek nie wiedział, gdzie się schować. Najchętniej uciekłby do swojego pokoju, ale wciąż nie skończył obiadu – bał się, że jeśli wstanie od stołu w środku posiłku, obrazi panią domu.

– Ja głupi? A takiego! Baby są głupie, bo tylko na własną

korzyść patrzą, a nie na szerokie implikacje społeczne, na pełen obraz.

– Drań! – Zofia rzuciła w niego chustką, schowała twarz w dłoniach i rozplakała się głośno.

– Patrz na taką, Franek. Będzie mi tu beczeć, bo jej nie chcę kupić singera za sto rubli. Pomieszało im się w głowach, oj, pomieszało. Powiadam ci, będzie jeszcze bieda z tych babich rządów, już nam popsują gospodarkę, a jak jeszcze im sufrażystki wywalczą prawo głosu...

Zofia zerwała się na nogi, po czym wybiegła z pokoju, jej szloch urwało głośne trzaśnięcie drzwi.

Franciszek skończył jedzenie, a potem dyskretnie wyciągnął zza pazuchy notatnik, po czym zapisał:

4) Teorie Eustachego budzą u mnie instynktowny opór. Pochodzę z domu, gdzie myślano inaczej?

Tymczasem Różewicz przechylił się do niego i rzekł:

– Teraz nastrój będzie niespecjalny, kolego, więc trzeba na jakiś czas zniknąć z oczu pani małżonce. No i przydałoby się jakoś uczcić twój pierwszy dzień w pracy. Idziemy do Hosicka na kolejkę?

– Czemu nie? – wzruszył ramionami Franek.

– No to już. – Eustachy wstał, cicho odsuwając krzesło.

– Nie powinniśmy...? – Franek wskazał w stronę dzieciennego pokoju.

– Głupi jesteś, co ty wiesz o małżeństwie – szepnął Różewicz. – Chodu!

Karczma, do której zabrał Franciszka, leżała tuż za polem, przy ulicy, która odchodziła w stronę huty. Wysokie okna zasłonięte były dziurawymi kotarami, ze środka buchał gwar i odór spoconych ciał. Szyld nad

drzwiami oznajmiał: *RESTAURACYA PIWNA J. HOSICKA*, a na samych drzwiach wisiała karteczka z napisem: *DZIŚ WIELGI KOHNZERT*.

O tej porze wewnątrz wypełnione było po brzegi robotniczym tłumem, spocone i brudne ciała błyszcząły w świetle gazowych lamp o żółtych kloszach. Szczęśliwi siedzieli na starych, powyginanych krzesłach, reszta podparła ściany albo drewniane kolumny. Była nawet scena, na której jakaś kobieta z piórem we włosach, o twarzy nalanej, uróżowanej, śpiewała chrapliwym głosem:

*Jakie to teraz czasy nastawają,
Że mężowie żony, dzieci zabijają.
I pan Wiśniewski zabił żonę swoje,
Którzy od pobrania nie żyli oboje.
W niedzielę w południe, o pierwszej godzinie
Ubieraj się, Jadziu, bo pójdziesz w gościnę.*

Eustachy utworował im łokciami drogę do barku, gdzie oparli się o zalany kontuar, a potem – wśród gwaru, w oparach tytoniowego dymu – wypili dwie kolejki piwa. Franciszek czuł w nim wyraźny posmak mydła i starych onuc.

Tymczasem na scenie kobietę zastąpił stary Żyd z harmonią, w którego kilku widzów zaraz poczęło rzucać resztkami z talerzy.

– Tłoczno tu – rzekł Franciszek, próbując zacząć z zamyślonym Eustachym jakąś rozmowę.

– Poczekaj, aż zobaczysz, co się dzieje w piątek albo sobotę!

Wkrótce towarzystwo wyraźnie się rozwarstwiło – ci, którzy przychodzili na dwa, trzy piwa i pogawędkę,

opuszczali już restaurację. Zostawiali ci, którzy zamierzali tu bawić do upadłego, pijacy, awanturnicy. Wybuchwały pierwsze bójki.

Eustachy dał znak, że pora wracać do domu, po czym wyszli na zimną, błotnistą ulicę, gdzie księżyc zamarzał w kałużach wody.

Kiedy wracali, Franciszka zdziwiły kłótnie i wściekłe krzyki, które dochodziły zza otwartych, w większości odsłoniętych okien. Czuł się nieswojo, mając z ulicy wgląd w prywatne sprawy tyłu ludzi. Kiedy przechodzili koło parterowego mieszkania, w którym zataczający się robotnik krzyczał na żonę, wymachując pięścią w powietrzu, Franek odwrócił oczy.

– Żyjemy w czasach wielce nadwerężających moralnie, panie Franku. Ci ludzie – Eustachy wskazał głową w stronę okna – urodzili się i wychowali po wsiach, gdzie na ręce patrzyli im ksiądz oraz cała rodzina, bliższa, dalsza, ojciec surowy, dziedzic, co porządku na włościach pilnował. A teraz ich z tego wyrwano, z korzeniami, powiadam, wyrwano, upchano gęsto do ceglanych domów, bata na karku nie mają, no to hulaj dusza! Jak pokazałeś we wsi, żeś świnią, to do końca życia będą ci pamiętać. Tutaj okradniesz, zwymyślasz, pobijesz, to zawsze do nowej fabryki iść możesz, do nowego domu, a jak i to nie pomoże – do nowego miasta. Nigdy jeszcze tak łatwo nie było nikczemnikom. Ale to i dobrze, panie Franku. Przynajmniej wiesz, że jak człowiek dobry, uporządkowany, to dla samego siebie, nie dla innych. Że nie został wtłoczony w taką rolę wyłącznie przez rodzinę, konwenanse. Dziś łatwiej poznać, kto zacz.

Franciszek nie odpowiedział. Choć od piwa kręciło mu się w głowie, skrobał zapamiętałe w notatniku.



Ledwo widoczna granica dzieliła park na pół. Po jednej stronie kłębiły się różane krzewy, latarnie wisiały nad żwirowymi ścieżkami, błyszcząły okna szklanych pawilonów. Po drugiej była maszyna – piętrzyła się, pięła ku niebu. Na wąskim pasie ziemi niczyjej między dwoma połówkami delikatna pajęczyna mechanu zaczynała porastać trawę, używając źdźbeł jako tymczasowego rusztowania. Wyglądało to, jakby tuż nad ziemią zawisła złota mgiełka.

Na tej właśnie linii stał Maksym w samej tylko koszuli i spodniach, obwiązany liną, ze skórzaną torbą na ramieniu. Patrzył na mechanizm, który pokrywał ziemię tuż przed nim, a potem piął się wyżej, tworząc hałdy wysokie jak drzewa; ruchomy płaskowyż metalu.

– Pomyślności, panie Maksymilianie. Będę się za pana modlić, nawet jeśli Bóg nie zagląda do tego miejsca – powiedziała księżna.

– Jeśli wszystko ci się uda, bracie, wracaj do nas bezpiecznie. – Mikołaj położył mu rękę na ramieniu.

– Jeśli wszystko mi się uda, znajdę jakąś drogę wyjścia – odparł Maksym. – Tak czy inaczej, może być, że już tu nie wrócę. Żegnajcie!

Naciągnął rękawice z grubej skóry, wziął w dłonie kije, a potem ruszył naprzód.

Mechan zachrząścił pod nim jak lodowy miąż.

Przez chwilę Maksym martwił się, czy zaimprovizowane z deszczułek oraz stalowej linki śnieżne rakiety wytrzymają. Ale po kilku chwilach zaczął się wspinać

coraz pewniej, silnymi stąpnięciami miażdżąc delikatną wierzchnią warstwę maszyny. Z każdym krokiem był coraz wyżej, coraz więcej części tykało i tętniło pod jego stopami.

Wkrótce stanął na krawędzi płaskowyzu. Obrócił się. Dzielnica rozpostarła przed nim swój dywan dachów i ceglanych murów, rozświetlone ulice, bulwary. Mikołaj z Emilią stali w dole, machając rękoma.

Po drugiej stronie nad mechanem niebo gwałtownie szarzało, a oko gubiło się w labiryncie przekrzywionych, wystających z maszyny ścian oraz czubków drzew, pokrytych ciekłym złotem. Inny człowiek może poczułby niepokój przed zanurzeniem się w tę upiorną krainę, ale Maksyma przeszył przyjemny dreszcz, jego stary towarzysz podróży.

– Żegnajcie! – krzyknął jeszcze raz postaciom w dole, a następnie poszedł ku horyzontowi, między kości martwego miasta, obleczone ruchliwą warstwą zegarmistrzowskiego mchu.

Jedyna rzecz, która wskazywała mu drogę, to miniaturowe pasy transmisyjne, wplecione jak żyły w strukturę maszyny. Pasy te nigdy nie zakręcały, szły prosto w głąb tej dziwnej krainy. Starał się iść we wskazanym przez nie kierunku, a gdy żyła niknęła głęboko pod powierzchnią, a on sam zaczynał tracić orientację, padał na kolana i szukał drugiej, niepomny na to, że ostre części mechanizmu drą mu rękawice. Potem znów szedł kawałek, by po dłuższej chwili na nowo szukać wskazówek.

I tak wędrował przez wymarłe miasto po chrzęszczącym puchu na wysokości drugiego piętra. Czasem zdawało mu się, że słyszy głęboko pod sobą jakiś stłumiony głos i

przerażała go myśl, że może tam są ludzie – na pół martwi, jak szwaczka, zamknięci w grobowcu o ruchomych ścianach, skręceni w wiecznej agonii...

Gdy słyszał takie hałasy, przyspieszał i zaciskał zęby.

Czasem kluczył, bo nie chciał dać się znaleźć strażnikom mechanu. Gdy tylko miał wybór, wybierał drogę przez wnętrza porośniętych domów albo przeciskał się pod ich pochyłymi ścianami. Cały czas uważnie się rozglądał, szukając jakiegokolwiek ruchu poza wiecznie drżącym podłożem. Kilka razy zdawało mu się, że widzi dziwne sylwetki w oknach – wtedy zamierał na długą chwilę, gotowy do ucieczki.

Szedł bez odpoczynku, wiedząc, że jeśli zostanie długo w jednym miejscu, maszyna zdąży zareagować na jego obecność. Jedyną obroną, którą miał, to szybkość i nieprzewidywalność. Nie miał czasu niepokoić się tym, że z każdą godziną podróży było coraz ciemniej, że światło dzielnicy stało się już tylko bladą łuną na horyzoncie. Ledwie spostrzegł, kiedy rakiety przetarły się na ostrym podłożu.

Po wielu godzinach nadeszło zmęczenie, ale i ono nie przeszkadzało Maksymowi. W życiu już zdążył przywyknąć do nocnych marszów, wysiłku, ciągłego napięcia. Czego nie nauczyły go włóczęgi po świecie, to dodało szkolenie IDF, które przeszedł, kiedy w poszukiwaniu własnych korzeni na krótki czas zamieszkał w Izraelu. Zresztą nie mógłby tu zasnąć. Ilekroć myślał o odpoczynku, przed oczyma stawała mu wizja mechanu, który oplata jego śpiące ciało, wiąże je powoli, pochłania. Koszmar przyspieszał mu tętno na tyle, że Maksym zupełnie zapominał o zmęczeniu.

Szedł długo. Światło za nim już niemal zniknęło, a wraz z

nimi prawa, którymi rządziła się dzielnica. Zaczął czuć pragnienie – i to była pierwsza rzecz, która zaniepokoiła go na dobre, bo nie miał ze sobą zapasów, a nie mógł przecież liczyć, że znajdzie coś na tym ciemnym, ruchomym płaskowyzu metalu. Na dodatek mięśnie nóg zaczęły boleć, jak od chodzenia w świeżym śniegu albo miękkim bagnisku. Czas znowu owładnął Maksymem, organizm ruszył, odmierzając chwile do śmierci w takt monottonnych cyknień. Teraz wiedział: popełnił błąd, przyjmując bez zastanowienia, że czas w krainie maszyny jest taki sam jak w dzielnicy.

Podczas krótkiej przerwy Maksym wysikał się, słuchając w zamyśleniu szmeru cieczy, przefiltrowującej się powoli przez tysiące warstw mehanu.

Gdy ruszył znów, zdał sobie sprawę, że w gęstym mroku widzi już tylko na kilka kroków do przodu. Ściany zarośniętych kamienic oraz czubki latarni ledwo odcinały się od czerni, a ziarnisty szum, który człowiek widzi przed oczyma w mroku, zastąpił ruchy malutkich elementów. Maksym niechętnie sięgnął do torby i wyciągnął lampę naftową, którą wziął z domu księżnej. Światło mogło go zdradzić, ale z drugiej strony nie chciał ryzykować, że wpadnie w dół albo stoczy się ze stoku na złamanie karku.

I wtedy, gdy stanął na chwilę, żeby zapalić lampę, zobaczył przed sobą blask – ledwo zauważalny kontur czerwieni na horyzoncie. Schował lampę, przyspieszył marsz i wkrótce zobaczył daleko z przodu ognistą łunę, podświetlone na czerwono gęste czarne chmury.

Wydawała się dobywać prosto z ziemi, ale po kolejnej godzinie marszu Maksym zrozumiał, że światło naprawdę pochodziło z krateru.

Stojąc na pagórku, widział, jak daleko przed nim mehan

opada prawie do poziomu ulicy, tworząc nieckę o średnicy dobrych kilkuset metrów. Stała tam ogromna hala, obudowana mechanem tak szczelnie, że ledwo było widać jej ściany. Tętniła od ruchu ramion i tłoków. Do niej zbiegały się wszystkie rury, żyły, przewody, splecione z setek transmisyjnych pasów. Z jej kominów bił gęsty dym, a jaskrawopomarańczowy blask prześwitywał przez jej ażurowe powłoki, rzucając ruchomy półcień na całą nieckę. Nad tym wszystkim wisiały oleiste chmury. Ostry zapach drażnił nos. Powietrze wibrowało od odgłosu mechanicznych młotów, pił, potężnych ramion.

Maksym zrozumiał, że dotarł do serca maszyny. Do kuźni, w której rodziły się jej części.

Z żalem zdał sobie sprawę, że dwa i pół kilo czarnego prochu nie przyda się do niczego, wybuch nie rozerwałby nawet zewnętrznych ścian molocha, nie mówiąc o jego zniszczeniu. O, nie. Maksym musiałby podłożyć ładunek w samym sercu kuźni, w jakimś wrażliwym miejscu, jeśli takie w ogóle istniało. Ale najpierw trzeba było przedrzeć się do środka, w niehumaniczny żar, przez ścianę rozgrzanego mehanu. A nawet wtedy – jak miał poruszać się wewnątrz, wśród roztopionego metalu, dźwigów, ramion? Mehan nie budował kładek z myślą o ludziach!

Powoli do Maksyma dotarło, że misja, której się podjął dla księżnej, była śmieszna i niemożliwa, podobnie jak cel, który wyznaczył sobie sam. Chciał spotkać tajemniczego Zegarmistrza, dowiedzieć się, czy istota, której maszyna zaatakowała dzielnicę, zna drogę powrotną do rzeczywistego świata. Ale teraz, patrząc na kuźnię, zrozumiał, że mehan albo nie ma pana, albo jest to pan całkiem niehumaniczny, skoro na dom wybrał sobie gorące mechaniczne piekło. Tak czy inaczej, nie można się było z

nim porozumieć.

Cóż zostawało? Powrót nie wchodził w grę. Maksym wiedział, że zmęczenie nie pozwoli mu dotrzeć z powrotem do dzielnicy. Prędzej zaśnie i zginie, pogrzebany żywcem. Zostawał chyba tylko ostatni atak, heroiczny zryw: dwa kilo prochu przeciw górze metalu.

Coś zimnego zacisnęło się na gardle Maksyma, kiedy zrozumiał, że długa, kręta droga, którą wędrował przez życie, właśnie dobiega końca, tu, pod lepkiem czarnym niebem, wśród krajobrazu, o którym nie śniło się ludziom.

Dotarł na krawędź niecki powolnym, ceremonialnym krokiem, jakby szedł na stracenie.

I wtedy zobaczył coś jeszcze. W dole mechan był tak niski, że wynurzały się spod niego liczne domy, baraki oraz rozległy plac. Maksym chwilę przypatrywał się im, powoli rozumiejąc, że księżna nie miała racji. Mechan nie był najeżdżcą z innej sfery egzystencji. Zrodził się w dzielnicy, na jej dalekich obrzeżach. A więc i kuźnia musiała być kiedyś jednym z budynków miasta.

Szukając wskazówek, zszedł po stromym stoku. Wkrótce spostrzegł kolejowe szyny, które prowadziły do kuźni, ledwo przykryte warstwą mechanu. Parowozownia? Fabryka wagonów? Żałował, że nie zdoła przekazać odkrycia księżnej – może z jej wiedzą o dzielnicy potrafiliby wyjaśnić pochodzenie mechanizmu?

Kiedy tak się rozglądał, szukając wokół kuźni charakterystycznych znaków, jego oczy padły na kamienicę, która stała niemal przytulona do boku ognistego molocha. W przeciwieństwie do reszty była pokryta mechanem po sam dach. Co dziwniejsze – ze ścianą fabryki łączyła ją sieć grubych jak udo kabli.

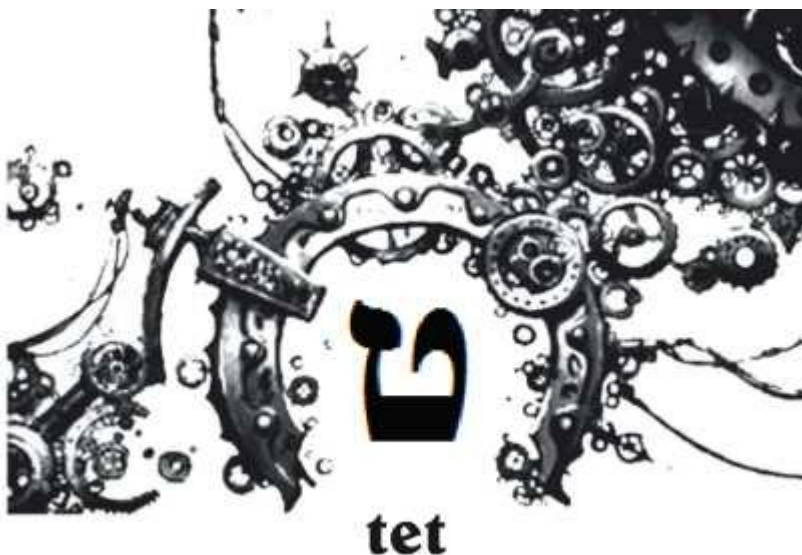
Maksym chwilę się wahał, a potem ruszył w tamtą

stronę. Gdy stanął przed kamienicą, zdał sobie sprawę, że całą koszulę ma lepką od potu. Nieustanny gorący podmuch od kuźni sprawiał, że w ciągu kilku chwil wyschły mu wargi. Ostry siarkowy zapach wprost dusił, ale Maksym zmusił się, by podejść jeszcze bliżej. Miał wrażenie, że mechan, który szczelnie obrósł budynek, wygląda nieco inaczej. Składał się z części różnego koloru, a wszystkie były jakby spatynowane, stare, przetarte...

Okna były zarośnięte, podobnie jak drzwi na najniższym piętrze. Spod maszyny wystawała tylko połowa szyldu. Maksym zdołał przeczytać w czerwonym, migotliwym świetle: *ZAKŁAD ZEG...*

Poczuł się, jakby ktoś wbił mu w kręgosłup stalową szpilę, jakby przepuszczono przez niego kilkaset wolt prądu elektrycznego.

Zdjął z pleców kilof, a potem zaczął rozkuwać – szybko i zdecydowanie – mosiężny mech, który przesłaniał wejście. Jak archeolog, zdejmujący wieko z antycznego sarkofagu, czuł, że tylko chwila dzieli go od wielkiej tajemnicy.



Czerwony promień przeciął powietrze, podświetlił wirujące drobinki kurzu, a potem padł na kontuar z dębowego drewna i rozszczepił się w masywnej soczewce lupy.

Zachrząścił kilof.

Drugi promień oświetlił nieco papierów rozłożonych na blacie. Trzeci – stertę grubych książek, leżących jedna na drugiej jak pokraczna, krzywa wieża. Wraz z kolejnymi uderzeniami coraz większa część pomieszczenia wyłaniała się z mroku.

Kiedy któryś z kolei promień trafił na ścianę sarkofagu, uderzenia na chwilę zamarły, jakby zaskoczył je niespodziewany rozbłysk metalu. Ale zaraz rozbrzmiały ponownie, z podwójną siłą.

Pierwsze, co poczuł Maksym, kiedy pochylił się nad wykutą dziurą, to smród. Był ciężki, stęchły, ale niezaprzeczalnie ludzki. Jakaś pierwotna część mózgu

Maksyma ostrzegła go, że tam, w zagraconej, pełnej kurzu pracowni, ktoś się ukrywa. Nie potrafił jednak go wypatrzeć, ognista łuna, która padała do wnętrza przez otwór, nie docierała do ciemnych kątów ani między wysokie, pełne półek regały.

By dodać sobie pewności, zapalił lampę naftową, a potem opuścił ją delikatnie na drewnianą podłogę. Teraz widział wszystko dokładniej. Przed sobą miał warsztat zegarmistrzowski ze szklanymi gablotkami i ladą, która dzieliła pomieszczenie na część dla klientów i dla rzemieślnika. W tej drugiej między stertami rupieci leżała metalowa trumna, opleciona dziwnymi rurkami. Za nią natomiast poruszała się powoli najdziwniejsza maszyna, jaką Maksym widział.

Ta ogromna kula była niewątpliwie częścią mechanu, łączyła się bowiem z nim za pomocą grubych przewodów, wsparta była na jego cokole, a pasma mechanu zbiegały się do niej z całego pomieszczenia. O ile jednak mechan był zbudowany z małych zegarmistrzowskich elementów, o tyle kula składała się z wałów oraz osi, na których znajdowały się prostokątne ząbki, złączone w różnych misternych kombinacjach. Obracały się we wszystkie strony naraz jak gigantyczna, nieskończenie skomplikowana kostka Rubika, a upchane były tak gęsto, że kula – średnicy około dwóch metrów – wyglądała, jakby odlano ją z litego żelaza. Ciemny metal błyszczał od smaru i Maksym odniósł wrażenie, że ma przed sobą oślizgły, czarny, obcy mózg.

Chwilę patrzył, zafascynowany, a potem zsunął się przez dziurę do wnętrza warsztatu. Stare deski skrzypnęły pod jego butami. Nawet będąc w środku, nie widział wszystkiego – światło latarni gubiło się w zagraconym

wnętrzu. Na przeciwległym końcu pomieszczenia czerniło się wyjście prowadzące w mrok opuszczonego domu. Coś ostrzegało Maksyma, by miał na nie oko, ale wszystko wokół było tak ciekawe, tak fascynujące...

Podniósł ladę i wszedł za nią, stąpając ostrożnie, by ominąć narzędzia oraz dziwne mechanizmy, które leżały rozrzucone po wnętrzu. Przechodząc obok roboczego blatu, spojrzął na książki, ale autorzy i tytuły nic mu nie mówiły. Rzucił też okiem na karty papieru pełne skomplikowanych szkiców i schematów, upstrzone dziwnymi symbolami. Patrząc na nie w półmroku, nie potrafił stwierdzić, czy ma przed sobą rysunki elektrycznych obwodów, plany maszyn, czy też czarnoksiężskie traktaty.

Na chwilę zatrzymał się przy szafach, bo leżące na nich części obudziły niemiłe wspomnienia. Toporne, wykonane z tłoków odnóże, soczewka, osadzona w mechanicznej oprawie nakręcany karaluch wielkości dłoni, który pod uniesionym pancerzykiem ukazywał napięte do granic możliwości grube zwoje sprężyn.

Wkrótce Maksym znalazł się przy sarkofagu. Przed nim stał pulpit, taki jak w synagodze, porośnięty całkowicie mechanem. Leżało na nim trochę drobniutkich papierowych strzępków, które Maksym w zamyśleniu zepchnął dłonią na podłogę, by następnie pochylić się nad wiekiem.

Teraz widział, że to zwykła cynowa trumna, której pozorów niezwykłości nadawał porastający ją mechanizm.

Musnął dłonią pokrywę, czując trudny do opisu dreszcz. Wymacał krawędź, ale trumna wydawała się szczelnie zamknięta, więc ruszył dalej i podszedł do kuli. Z bliska była jeszcze bardziej niezwykła. Nie miała prawie

pustych miejsc, zazębite osie wypełniały każdy cal misternej konstrukcji.

Maksym dotknął czarnego boku.

Klik, klak – przeskoczyły nasmarowane ząbki, w trzech miejscach segmenty kuli skręciły się wokół własnej osi, a potem fala ruchu przeszła z góry na dół, wzdłuż jej frontu.

– To ciebie mam wysadzić w powietrze? Powiedz no, dziwadełko – szepnął.

Chwilę obserwował ruchy bryły, a potem zwrócił uwagę na przewody, które wyrastały z jej podstawy. Z początku myślał, że to elektryczne kable, ale wystarczyło, by chwycił jeden w dłoń, a zrozumiał, że się myli. Cały przewód płynął w dłoni jak gruba dżdżownica – dopiero z bliska widać było, że złożony jest z metalowych cięgieł i długich tłoków, które ruszały się – każdy w swoim rytmie – co sekundę przekazując kuli tysiące delikatnych pociągnięć i naciśnień.

Przewodów było kilkadziesiąt. Łączyły się kolejno jak gałęzie drzewa, aż w końcu tworzyły jeden wielki, gruby pień, wchodzący do środka sarkofagu.

– A jednak – mruknął do kuli Maksym. – Nie ty tu rządzisz.

Stanął znów nad trumną, odstawił latarnię i zaparł się o wieko. Metal delikatnie zgrzytnął, a potem rozległ się łomot, od którego Maksym aż podskoczył.

– Stój! – krzyknął ktoś rozdierająco tuż za nim.

Odwrócił się na pięcie, ale spostrzegł tylko rozmazaną, błyszczącą smugę, która wypadła z tylnych drzwi i pędziła ku niemu jak pociąg. Tylko na krótką chwilę scaliła się ona w wyraźny kształt – kobietę, od pasa w dół osadzoną na ciele mechanicznego pająka.

– Zostaw! – krzyknęła czerwona ze wściekłości. –

Zostaw, bo głowę urwę!

Jakby na potwierdzenie tej groźby rzuciła się na niego, unosząc dwa przednie odnóża, długie jak szable, błyszczące ostrymi krawędziami.

Maksym stał bez ruchu, z szeroko otwartymi oczyma. To nie wygląd istoty go sparaliżował – bardziej szokowała myśl, że widział ją niedawno w starej hali, gdy uciekał przed strażnikami mehanu. Wystarczył jednak rzut oka na wykrzywioną we wściekłości twarz, by Maksym zrozumiał, że niezależnie od tego, jakie miała wtedy intencje, teraz zamierzała rozszarpać go na strzępy.

Skoczył za sarkofag, by zyskać na czasie, a potem wyciągnął z torby czarny, błyszczący nagant. Dłoń zadrżała mu, kiedy skierował go w stronę kobiety, między okrągłe piersi, okryte tylko białym jedwabiem.

Nie zatrzymała się, nie drgnęła nawet w zapamiętałej wściekłości. Maksym ruszył lekko palcem, jakby sprawdzał opór spustu.

Celował pół sekundy, ale nie strzelił.

Kiedy była tuż-tuż, kiedy stała już prawie nad nim, a ostre odnóża wyciągnęły się jak szpony, Maksym podrzucił rewolwer w dłoni i złapał go za kolbę. Potem dał nura pod jej atakującym ramieniem, przetoczył się między nogami i zdzielił ją kolbą w skroń.

Wszystkie mechaniczne stawy w jednej chwili zwiotczały, a nogi złożyły się jak harmonijka – każda w inną stronę. Ludzki korpus zwiśł bezwładnie, na deski kapnęło kilka kropel krwi.

Maksym natychmiast uklęknął przy istocie i ostrożnie zbadał jej głowę. Kość była cała, oprócz szybko rosnącego guza kobiecie nie stała się krzywda. Uniósł jej brodę i sprawdził tętno, które było równe, silne. Potem,

po chwili namysłu, wsunął rękę pod luźną koszulę i obadał palcami miejsce tuż nad łonem, w którym żywe ciało stapało się z maszyną. Nie było tam niczego oprócz grubej obręczy blizny. Maksymowi wydawało się, że pod skórą, na biodrach, czuje metalowe wkręty wbite w kość. Wzdrygnął się.

– Pora zobaczyć, czego tak broniłaś – rzekł, układając kobietę na ziemi.

Wrócił prędko do sarkofagu, zaparł się, pchnął. Wieko ustąpiło, trzymające je pasy mechanu pękły, strzelając drobnymi elementami. Chwilę potem światło wlało się do środka, a w powietrze buchnął lepki, ludzki smród.

Maksym cofnął się, przyciskając rękaw do nosa.

W środku leżał człowiek – niewiarygodnie stary, niewiarygodnie wysuszony. Broda sięgała mu prawie pępka, a długie, skołtunionie włosy tworzyły wokół poduszki siwą aureolę. Nagie ciało wydawało się tak delikatne, że byle mocniejszy ucisk mógł połamać cieniutkie kończyny. Żalostnemu wyglądowi przeczyła tylko twarz – spokojna, posągowa, jak wyrzeźbione z brązu oblicze antycznego władcy.

Na czubku głowy mężczyzna miał metalowy krążek, z którego wyrastał dziwny srebrzysty przewód – przewód ten wchodził do okrytego stalową obudową mechanizmu w wezłowie trumny, a z drugiej strony, na zewnątrz, wychodził jako gruby kabel. Dłoń Maksyma uniosła nadgarstek starca – delikatny jak sucha gałązka. Nie było tętna, a skóra, choć ciepła, była twarda, gliniasta.

– A więc ty jesteś Zegarmistrzem? – powiedział cicho. – I na co mi się przydasz, ani żywy, ani martwy?

Czuł dziwny, trudny do sprecyzowania dreszcz, zupełnie jakby leżała przed nim odpowiedź na bardzo ważne

pytanie, którego nawet nie potrafił sformułować. W spokoju twarzy Zegarmistrza, w delikatnym, ledwo widocznym grymasie ust była tajemnica tak wielka, że niemożliwa do nazwania – coś, co szarpało w Maksymie delikatną strunę.

Potrząsnął głową.

Teraz był pewien, że pełna prochu sakwa, którą miał w torbie, nie była potrzebna. Chwilę patrzył to na pręt wyrastający z głowy, to na wielką czarną maszynę, połączoną z nim przewodami. Położył dłoń u jego podstawy, tuż nad metalowym czepkiem.

Pręt drgał nieregularnie, jakby wybijał nieludzko skomplikowany rytm.

Maksym wziął głęboki oddech i złamał go jednym szybkim ruchem.

Pierwsze, co się zmieniło, to odgłos mechu. To nieustanne cykanie, do którego zdążył się już przyzwyczać jak do szumu morza, nagle rozwarstwiło się, przyspieszyło. Teraz uszy wypełniał mu chaotyczny rumor, jakby maszyna podzieliła się na tysiące części, z których każda ruszała się własnym tempem. Czarna kula wprost oszalała, skręcała się i wiła tak, że ledwo było widać jej poszczególne części.

Starzec wyprężył się, chrząknął, a potem znieruchomiał wygięty w łuk, celując brodą w sufit.

– Nie, nie rób mi tego, człowieku! – potrząsnął nim Maksym. – Słyszysz?

Światłość, którą zdawało się emanować oblicze Zegarmistrza, znikła. Maksym miał już przed sobą tylko groteskową woskową kukłę. Przerażony, zaczął masaż serca, ale szybko poczuł całkowitą, potworną bezsilność. Czuł się, jakby próbował reanimować drewnianą lalkę,

ciało stawiało wyraźny opór. Przecież serce już wcześniej nie biło – co więc się stało, gdy odłączył tego człowieka od maszyny?

W wyglądzie Zegarmistrza pozornie niewiele się zmieniło, tylko na twarzy odmalowała się dziwna ulga. A jednak coś mówiło Maksymowi, że jest już martwy – całkowicie i nieodwołalnie.

Nie miał jednak czasu wyrzucać sobie, że zabił człowieka, bo chwilę potem zza ściany, od strony kuźni, dobiegł niezmierny rumor. Młoty oraz tłoki przyspieszyły, fabryka wspięła się na najwyższe obroty. Gorąco w jednej chwili wzmogło się i było teraz trudne do wytrzymania.

Zaraz potem spocony, przygnieciony żarem Maksym zdał sobie sprawę, że w środku jest coraz mniej światła. Minęła chwila, nim zrozumiał dlaczego, nim zobaczył, że na zewnątrz maszyna zaczęła rosnać w oczach. Szyb, który dopiero co wykuł, szybko zarastał. Warstwa mechanu na oknach robiła się coraz grubsza. Rozsiane po pracowni plamy czerwonego światła malały, topniały na ciemnej przestrzeni podłogi.

Może gdyby natychmiast rzucił się do ucieczki, zdążyłby jeszcze. Ale zamiast tego stał bez ruchu, przytłoczony, walcząc z mdłościami.

Z paraliżu wyrwał go dopiero krzyk:

– Morderca! Zbrodniarz!

Obrócił się – pajęczyca stała na chwiejnych nogach. Usta jej drżały, na twarz wybił ognisty rumieniec. Przez chwilę myślał, że zaraz się na niego rzuci, ale niespodziewanie usiadła na metalowym odwołoku i wybuchła płaczem.

– Cóżeś zrobił, ty głupi, ty dumny! Zabiłeś go! Zabiłeś mistrza! – mówiła przez łzy.

Krew uderzyła Maksymowi do głowy, musiał oprzeć się

o krawędź trumny, żeby nie upaść.

– Nie chciałem – wyszeptał.

– Ty durniu, ty głupcze! Teraz mistrz już nie ma nad nim władzy, teraz mechan sam jest sobie panem. Nie rozumiesz, co to znaczy? Pożre wszystko, wypełni każdy cal przestrzeni, od ziemi po niebo, a potem będzie szukał drzwi, furtek, żeby dalej... Zabiłeś go! A teraz jesteśmy zgubieni... A po co? Głupi ty! I ten upał, Boże mój, przecież upieczemy się żywcem prędzej nawet, niż on rozedrze nas na sztuki.

Jej drżący, pełen rozpaczy głos kłuł Maksyma do żywego, zdawał się kroić duszę na kawałki.

– Ja... – zaczął, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Wejście tymczasem zupełnie zarosło, jeszcze tylko ostatnie plamki światła jaśniały na podłodze.

– Zginiesz. Zginiesz za to, co zrobiłeś – rzekła przez łyżę pajęczycy. – I w tym moja pociecha, że będę widziała, jak konasz.

Maksym opadł ciężko na ziemię, podciągnął kolana pod brodę i spojrzał na ostatni promień, który znikał właśnie jak światełko w niekończącym się tunelu. Wkrótce został jedynie słabnący blask lampy.

Gorycz porażki zalała Maksymowi usta i gardło, odebrała mowę.

Siedzieli na dwóch przeciwnych końcach pokoju, rozdzieleni sarkofagiem, w którym leżało wysuszone ciało; ona niema z nienawiści i rozpaczy, on – z szoku. Gdy zgasła latarnia, otulił ich gęsty, lepki koc, utkany z ciemności i gorąca.

Wkrótce zostały po nich już tylko ciężkie, powolne oddechy, zanurzone w czerni oraz chaotycznym cykaniu maszyny.



W ledwie dwa miesiące huta wchłonęła Franciszka, tak jakby był jej częścią od zawsze. Nikt już nie słał mu krzywych spojrzeń, robotnicy nie pokazywali go sobie palcami, a wręcz nauczyli się, że jeśli następowała awaria, lepiej było prosić Znajdę, który w przeciwieństwie do Eustachego miał niezmierną cierpliwość i nigdy nie wyrzucał im, że psuli sprzęt własną nieudolnością.

Franek kochał maszyny, potrafił każdą zrozumieć jednym rzutem oka, poznać do ostatniej śrubki jak doktor, który patrząc na pacjenta, umie nazwać chorobę. Kiedy pracował z maszynami, uspokajał się, zamykał się w świecie kluczy, śrub, nitów i smaru, gdzie wszystko było pod kontrolą, gdzie wszystko potrafił łatwo ogarnąć, w przeciwieństwie do swojego życia poza hutą.

Bardziej od maszyn lubił chyba tylko ogień. Kiedy miał wolną chwilę, nie wychodził na zewnątrz odetchnąć świeżym powietrzem ani nie szedł do kantorka na herbatę. Zamiast tego krążył po hucie, zaglądając do pieców, do opalarek, do kotłów z surówką. Nigdy wcześniej nie przypuszczał, że może istnieć tyle rodzajów ognia – fakt, że wszystkie nazwano jednym tylko słowem, wydawał mu się wyjątkowym prostactwem, barbarzyństwem. Był przecież ogień czerwony, kłębiasty jak chmury, który pełzał po wewnętrznych ścianach wielkich pieców. Był ogień niebieski, w koksowni, o płomieniach ostrych jak noże, opalizujących jak pawie pióra. Był ogień jasnożółty, pod kotłami parowymi, najczęściej jego korona unosiła się nad cienką linią ognia

zielonego. Był też ogień najgorętszy, ojciec wszystkich ogni, który budził się w największym piecu, kiedy ten już rozgrzał się porządnie po całym dniu pracy – płomienie robiły się wtedy oslepiająco białe, ostre jak kolce i zęby, wsparte na ciemnogramatowych kolumnach.

Znajda czuł, że od ciągłego przebywania w okolicy ognia zaczyna dziać się z nim coś dziwnego. Zmieniał się powoli, niepostrzeżenie. Oslepiająco jasne błyski wypalały z jego źrenic niezrozumiałe obrazy przeszłości, fale ognia wydawały się przenikać na wylot ciała, spopielając te dziwne uczucia, które nim szarpały. Po każdym dniu pracy w hucie Znajda czuł się oczyszczony, wypalony. Transmutował w ogniu jak alchemiczna substancja, tracił miękkie, wrażliwe części duszy, pozostałości poprzedniego życia, a to, co zostawało, było zahartowane – diament na dnie popiołu.

Również w domu Różewiczów sytuacja się zmieniała. Wkrótce Franek był już bardziej domownikiem niż gościem. Dzieci traktowały go jak wujka albo starszego brata, Zofia przestała się krępować i zaczęła nosić przy nim podomkę zamiast staromodnej sukni, którą zakładała na zakupy lub odwiedziny gości. Natomiast Eustachy, który cieszył się bardzo, że ma wreszcie partnera do męskich rozmów, traktował Franka jak najstarszego syna.

W końcu Znajda doznał nawet zaszczytu udziału w sobotnich spotkaniach. Za zgodą reszty Klubu Nicponiów Różewicz zaczął przyprowadzać go na karty, w których przybysz szybko zdobył biegłość.

Pewnego dnia siedzieli właśnie w suterenie Mikołaja Sztajmera, próbując ignorować pijackie krzyki, które rozlegały się na ulicy. Pokój był równie malutki jak stolik, przy którym się tłoczyli, stolik – odrapany jak stare

ściany, ściany – brudne jak szyba w oknie, okno – wypaczone jak drzwi z trzema zamkami, drzwi – o wiele za niskie, podobnie jak krzeselka, na których siedzieli, podczas gdy ich twarze łyskały w świetle lampki tak drobniutkiej i żałosnej, jak całe to wnętrze. Franek rozglądał się ciekawie; suterena bardzo różniła się od wysokich, jasnych pomieszczeń, w których mieszkał z Różewiczem.

Po pierwszej partii Różewicz sięgnął za pazuchę i wyciągnął pomięty papier.

– Na śmierć bym zapomniał. Miałem ci to pokazać, Mikołaju. Powiedz, co myślisz?

Mikołaj przerwał tasowanie kart, chwycił kartkę, a potem spojrzał na inżyniera zdziwiony.

– Eustachy, skąd ty to wzięłeś?

– A taki jeden rozdaje ostatnio całe ryzy, wszyscy w hucie czytali, przynajmniej ci, co na literach się rozeznają.

– Co tam stoi? – Słuka zajrzał Mikołajowi przez ramię.

– Bzdury. – Sztajmer posiniał na twarzy. – Za coś takiego powinno się pod mur...

– Jakiś manifest? – szturchnął go Maurycy.

– Gorzej – mruknął Sztajmer, po czym przeczytał pismo na głos:

Biuletyn specjalny, wydany dnia 18 października 1866 roku w Krakowie nakładem wydawnictwa oo. Dominikanów

Oto przedstawiamy Ci, drogi czytelniku, wielkiej wagi historycznej dokument, który ostatnio odnaleziono we Francji. Dokumentu tego nie zechciały opublikować żadne dzienniki ani przeglądy

naukowe, co jest rzeczą oczywistą, biorąc pod uwagę, kto na nie łoży pieniądze. Dlatego też odpis owego dokumentu przedstawiamy poniżej, by każdy mógł sobie własne zdanie wyrobić. Oryginał, kto zechce, może obejrzeć w archiwach opactwa w Arles.

Odpowiedź Żydów z Konstantynopola na list Żydów z Grenady, znaleziona w archiwum opactwa w Arles i z łaciny na polski przełożona przez wybitnego talmudystę, ks. profesora Antoniego Trzeciaka:

Kochani Bracia w Mojżeszu!

List Wasz otrzymaliśmy, w którym dajecie nam poznać przeciwności i nieszczęścia, które znosicie. Uczucie, które nas tak samo dotyka, jak i Was, lecz najwięksi rabini i satrapi naszego prawa wyrzekli następujące zdanie: mówicie, że król Francji Ludwik XI chce, abyście zostali chrześcijanami – zróbcie to, jeśli inaczej zrobić nie możecie, lecz zachowajcie zawsze pamięć o Mojżeszu w sercu. Mówicie, że chcą zabrać wasze mienie: uczynicie wasze dzieci kupcami, a przy pomocy handlu wkrótce wszystko, co ich, mieć będziecie. Wy się skarżycie, że oni godzą na wasze życie – uczynicie dzieci wasze lekarzami i aptekarzami, którzy sprawią, że oni swoje utracą, bez obawy kary. Do tego, co mówicie, że niszczą wasze synagogi, starajcie się, aby wasze dzieci były kanonikami i duchownymi, aby one rujnowały ich Kościoł. A co do tego, co mówicie, że oni was bardzo gnębią, uczynicie wasze dzieci adwokatami, notariuszami i ludźmi, którzy mają się zajmować sprawami publicznymi, a w ten sposób

zapanujecie nad chrześcijanami, zajmiecie ich ziemię i pomścicie się nad nimi. Nie zarzucajcie rozkazu, jaki wam dajemy, a zobaczycie przez doświadczenie, że z pogwałconych staniecie się wysoko wyniesionymi.

V.S.S.V.S.F.F.

Księżę Żydów w Konstantynopolu

21 kislew 1489

– I powiadasz, że to fałszerstwo?

Mikołaj aż sapnął ze złości.

– A myślisz, że co? Boże miłosierny, nic dziwnego, że się takie rzeczy mnożą, skoro nawet niegłupi ludzie poważnie nad nimi myślą. Nic się od średniowiecza nie zmieniło, wciąż te same metody, byle bzdurę powiesz, a jeśli tylko jest sensacja, od razu tysiąc ludzi uwierzy.

– Zamiast się nadymać, Mikołajku, wytłumacz na ten przykład, dlaczego uważasz to za fałszerstwo? No dalej, jesteś przecież w księgach żydowskich uczony?

– Po pierwsze, najkapitałniejszy jest sam tytuł. „Kochani Bracia w Mojżeszcu”? Bratem można być tylko w Bogu, a przecież Mojżesza nikt Bogiem nie czyni. Żaden żyd tak nie powie i tylko ów ksiądz Trzeciak, który zapewne jest wybitnym „żydoznawcą”, mógł coś takiego wymyślić *per analogiam* do chrześcijańskiego pozdrowienia. Dalej: księżę Żydów? Niczego takiego nie ma! Każdą gminą rządzi cadyk. Data to osobliwe pomieszanie miesiąca żydowskiego z rokiem gregoriańskim, którego nie użyłby żaden starozakonny. A to dopiero początek, spójrzmy na szczegóły! I tak: w 1489 roku Grenadą rządili Maurowie. A więc ksiądz Trzeciak takim samym historykiem jest, jak

i talmudystą. A zresztą nie mógł być to nawet król Ludwik, bo wtedy władał Karol VIII. Do talentów księdza dodajmy więc też umiejętność pracy z historycznymi księgami. Ale to nie koniec jego zalet, o nie. Dochodzimy do zagadki największej: oryginał miał być rzekomo przetłumaczony z łaciny, podczas gdy rabin do rabina mógłby pisać wyłącznie po hebrajsku. Nie wspominam już nawet o fakcie, że gdyby istotnie zdradzał sekrety wielkiego żydowskiego spisku, nie omieszkałby pisma zaszyfrować, a zapewniam, że mądry rabbi znalazłby na to niejedyn sposób. Księdza profesora czynić zaś talmudystą to jakby sprzedawcy jakiejś driakwi leczniczej zlecić naukowe badanie jej działań. Ale widzicie, mnie wytknięcie błędów w tym dokumencie zajęło dobre dwie minuty, nie mówiąc o wiedzy, której do tego potrzeba. O ileż łatwiej krzyknąć: żydowski spisek oplątuje świat? A teraz powiedz, Eustachy, dlaczego pozwalacie bezkarnie krążyć takim obrzydliwym kalumniom? Dlaczego ludzie w to wierzą?

– O Żydach tyle złego się mówi, że każda nowa okropność wydaje się siłą rzeczy prawdopodobna – odparł Maurycy.

– Ale co myśmy wam, Polakom, zrobili?

Słuka uśmiechnął się, odłożył karty na bok i podkręcił wąsa.

– Jeszcze pytasz? – odparł. – Patrz na przykład na Wencła, szuja jak z obrazka, on jeden żydowski naród obrzydzi paru tysiącom. Cóż tam stu sprawiedliwych, jeśli na każdego jeden Wencel przypadnie.

– A co ty za głupoty gadasz, Janeczku? – wtrącił się Różewicz. – Wencel to człowiek twardy, owszem, ale uczciwie do majątku doszedł, w fabryce po szesnaście

godzin na dobę siedzi, wszystkiego dogląda. Jak ty możesz o nim – szuja?

Tu wtrącił się Znajda:

– Eustachy, a pamiętasz no, jak ostatnio jednemu z walcowni umarło dziecko? To było już trzecie, tylko jedno mu się ostało. No i chłop ciężko to przeżywał, kilka razy przyszedł do pracy pijany. Raz go Wencel zobaczył, zrugął jak psa i wywalił na bruk. Odebrał im też mieszkanie, a teraz chłopina z chorą żoną i dzieciątkiem malutkim nie ma się gdzie podziać. Jego przyjaciel próbował Wencelowi tłumaczyć, że człowiek z żałoby pił, że co dzień jest wyśmianym pracownikiem, to Wencel zwolnił i jego.

– I co w tym niesprawiedliwego? Wencel ma fabrykę, Wencel zatrudnia ludzi, to i Wencel zwalnia ich, kiedy mu się żywnie podoba. Jeśli tego nie lubisz, sam zdobądź pieniądze, załóż zakład, a potem rządź, jak wola. Tylko nie zdziw się, że konkurencja rozerwie cię na strzępy, kiedy będziesz się nad każdym pijakiem użalać.

– Każdy robotnik ma prawo do godnego traktowania – odparł ostro Franciszek.

– Ach, nasz nowy nabytek to pierwszej wody socjalista! – zaśmiał się Słuka. – Pogadaj no z Mauryckiem, na pewno wiele odkryjecie między sobą wspólnego.

– Słuchaj, ja nawet nie wiem, co to takiego socjalizm. To po prostu zwykłe ludzkie sumienie. Wencel ma miliony, mógłby więc choć trochę ułatwić życie swoim robotnikom.

– I co? Dałby im więcej wolnego? Trzymałby w pracy tych, którzy z jakichś powodów nie mogą wyrobić norm? Cała ta dobroczynność rychło by się przełożyła na ceny towaru i konkurencja, która miałaby mniej sumienia, za to lepsze ceny, pożarłaby go z butami.

– Nie konkurencja, a spisek przemysłowców żydowskich i niemieckich, którzy by w tym wszystkim upatrzylili niebezpiecznego przykładu! – krzyknął poczerwieniały nagle Maurycy.

– I znowu wszystko wina Żydów! – Mikołaj Sztajmer walnął pięścią w stół. – Zapominacie chyba, że nie tylko żydowscy milionerzy są skończonymi szujami.

Najgorsze szumowiny zawsze wypływają na wierzch, a sumienie, jak przed chwilą dowiódł Janek, w interesach tylko przeszkadza. Kto większy drań, kto więcej niegodziwości potrafi czynić na drodze do majątku, naturalną przewagę ma nad ludźmi, którym moralność wiąże ręce. Popatrzcie na przykład na Liberę, tego kupca, co prowadzi firmę tekstylną. Mało to on ludzi oszukał, mało nakradł? Daje nakładcom mniej materiału, niż stoi w umowie, a gdy oddadzą towar, posądza ich o kradzież. Jeśli nie zapłacą szkody – sąd i kajdany. Nic nie można mu zrobić, bo się opłaca u gubernatora, do cytadeli posłał już tuziny Bogu ducha winnych ludzi. I co? Polak!

– To akurat prawda – skinął głową Eustachy. – Albo Wilecki, który ma parową przedziałnię po drugiej stronie miasta. Raz na parę dni ma zwyczaj spacerować po hali i osobiście dokładnie przyglądać się swoim pracownikom. Jak któraś przyciągnie jego uwagę, bo młoda albo ładna, to on się zatrzymuje i kładzie przed nią różę. No i potem taka albo wieczorem, po zamknięciu hali, przyjdzie do jego gabinetu niegodziwościom wszelkim się poddać, albo następnego dnia ląduje na bruku. A wiadomo, jak o pracę teraz ciężko, większość się ugina, a potem – usta na kłódkę. Kobiety od Wileckiego o tym wszystkim nie mówią, nie narzekają, bo gdyby jaka wspomniała co mężowi albo bratu, inne, które parę razy już różę dostały,

wydrapałyby jej oczy.

– Bydlę, nie człowiek – warknął Maurycy. – Dość już o tym wszystkim, bo mnie zaraz apopleksja trafi, a karta stygnie.

Jan Słuka skinął głową, a potem rozdał. Zaczęli nową partię i tylko Franciszek nie brał w niej udziału, zajęty pisaniem w swoim notatniku.

– A ty co tam skrobiesz, Franek? Nowy manifest komunistyczny?

– A, jak was słuchałem, to coś mi wpadło do głowy. Grajcie beze mnie, włączę się przy następnym rozdaniu – odparł.

Jego poblížniona dłoń napisała:

22) Mózg zdaje się stać po stronie socjalistycznych teorii.

Zaśmiał się do siebie. Czyżby w poprzednim życiu był jakimś narwanym rewolucjonistą, utopistą, który nie godzi się na bicie kobiet i dzieci, dwunastogodzinny dzień pracy, zwolnienia bez przyczyn? Dodał:

23) Ale w samej nazwie „socjalizm” coś mnie mierzi dziwnie, coś budzi złe skojarzenia, jakby mózg się wzdragał przed nazwaniem tak moich poglądów.

I zaraz po chwili namysłu dopisał jeszcze:

24) Czemu właściwie cały czas piszę „mózg”, a nie umysł, dusza, jak wszyscy wokół mówią? Dlaczego mózg i dusza to rzeczy dla mnie równoważne?

Zamyślił się tak, że przegapił nie jedno rozdanie, a cztery.



Nie wiedzieć czemu tej nocy wróciły do niego sny. I tym razem były dużo wyraźniejsze niż przed dwoma miesiącami w zakładzie Ratajskiego.

Znajdzie zdawało się, że wędrował przez labirynt starych murowanych ścian, przez dziwną płataninę jałowych uliczek bez okien, drzwi ani sklepów, uliczek pozbawionych celu istnienia. Szedł za czerwoną włóczką, która przesuwiała mu się między palcami powoli jak czas, wskazując drogę przez kolejne skrzyżowania i rozgałęzienia. Ale nagle zdał sobie sprawę, że w kieszeni ma motek, z którego rozwija się taki sam czerwony ślad. Pociągnął mocno za nitkę i kula w jego kieszeni drgnęła. Odrzucił ją więc i zaczął iść, trzymając się lewej ściany, ale mimo upływu godzin wokół wciąż widział tylko kalekie kikuty uliczek, krwawiące ściekami, zamknięte strupami omszałych murów.

Ponad ścianami, w górze, Znajda widział tylko dziwne, pozbawione słońca niebo i ogromną figurę jakiejś kobiety. Ta figura patrzyła na niego z jakąś nieskończoną pogardą, jakby to, że nie znalazł jeszcze wyjścia, było wyjątkowo żałosne. Czuł na sobie karcący wzrok kamiennych oczu, które nakazywały spieszyć się, znaleźć czym prędzej wyjście z labiryntu. Ale on w cieniu jej niebotycznej pogardy położył się i wypoczywał długo, całe wieki, próbując nie myśleć o tym, gdzie jest.

W końcu przyszedł ten drugi. Wyłonił się z drzwi, które

pojawiły się nagle w ścianie. Był sobowtorem Znajdy, identycznym co do blizny, co do plamy na wytartym ubraniu. Stanęli naprzeciw siebie i mierzyli się długo wzrokiem. I nagle Franciszek poczuł, że to on jest sobowtorem, stworzonym tylko po to, aby na niego spojrzano, elementem koszmaru, pustym katalizatorem i jałowym naczyniem, które ma wywołać jakąś reakcję w prawdziwym człowieku – tym drugim. On był rzeczywistym bohaterem snu, w którym Znajdzie przypadła tylko rola statysty.

Patrzyli sobie w oczy coraz intensywniej, rozgorzała między nimi jakaś dziwna wojna umysłów, w której każdy starał się nagiąć tego drugiego, omotać go swoją jaźnią. Znajda wiedział, że powinien poddać się, ulec, ale nie potrafił. Wspomnienie pogardy w oczach kamiennej figury dało mu nagle niespodziewaną siłę. To ten drugi zaczął kurczyć się w oczach, maleć. Wkrótce był nie większy od palca, a wtedy Znajda schylił się i schował go do kieszeni.

Potem ruszył w stronę drzwi, które tamten otworzył, lecz nim przekroczył próg, ogarnęło go wrażenie, że zrobił coś potwornego, że stało się coś, co stać się nie powinno. On, pusty manekin, drogowskaz, zajął miejsce prawdziwego wędrowca. Na myśl o tym, jak ohydna to była uzurpacja, Franciszkowi zabrakło tchu. Otrząsnął się jednak szybko i przekroczył próg.

Trafił do wnętrza przypominającego synagogę, w którego środku wirował wielki kryształowy pryzmat, wypełniając powietrze monotonnym buczeniem. Gdy Znajda spojrział w jego wnętrze, zobaczył, że na każdej ze ścianek wyryto liczbę. Wtem biały promień, który spłynął gdzieś z góry, trafił w pryzmat i rozesłał po starych murach kolorowe odbicia liczb, które zaraz zmieniły się w

słowa, dziesiątki słów, krzyczących jedno przez drugie.

Znajda próbował się cofnąć, przerażony tą iluminacją, i wtedy spostrzegł, że stracił nogi. Zamiast nich jego korpus był osadzony na czterech filarach: ognistym, wodnym, powietrznym i ziemnym.

Wtedy się zbudził.

Przez cały następny dzień myślał tylko o śnie i o tej dziwnej gonitwie myśli, która dotknęła go po przebudzeniu. Wydawało mu się, że sen uchylił w jego głowie jakąś furtkę, zalały go dziwne pomysły, na pół zatarte obrazy. Nagle wszystko zdało mu się proste, oczywiste. Patrząc na maszyny wypełniające hutę, nie mógł przeboleć ich prymitywności. Na przerwie nie zamienił z nikim słowa, zaszył się na tyłach składu z narzędziami i rysował coś kawałkiem węgla na ścianie.

Wieczorem powiedział Eustachemu, że nie przyjdzie na obiad, bo musi coś załatwić. Zbył podejrzliwe pytania inżyniera, po czym ruszył w stronę miasta polną drogą, która wiła się przez ziemię niczyją między hutą a przedmieściami.

Gdy znalazł się już na jednej z głównych ulic, ruszył w stronę centrum, przyciskając się do ścian kamienic za każdym razem, kiedy pędząca dorożka przejeżdżała obok, pryskając spod kół błotem i końskim łajnem. Trzech żołnierzy na rogu w połatanych płaszczach, z podrdzewiałymi karabinami, odprowadziło go uważnie wzrokiem, jacyś robotnicy o osmalonych twarzach krzyczeli coś do niego, ale nie słuchał. W końcu dotarł na ulicę Królewską, gdzie droga rozszerzała się, po obu jej stronach rosły drzewa, a na ścianach kamienic widniały przeszklone fronty wielkich sklepów. Tam Znajda przestraszył niemal na śmierć jakąś damę, która wyszła

wprost na niego z salonu modystki, a potem uśmiechem doprowadził do płaczu dziecko prowadzone przez otyłą opiekunkę.

W końcu stanął przed sklepem, nad którym widniał napis *J.J. MORGAN, KSIĄŻKI ORAZ ARTYKUŁY RÓŻNE, TECHNICZNE I NAUKOWE*. W środku, przy ladzie, szpakowaty subiekt obsługiwał dwóch mężczyzn we frakach i cylindrach, którzy przeglądali precyzyjne mosiężne żyroskopy. Widząc poblížnionego robotnika, który zaczął się kręcić wokół stołu z aparatami, subiekt wezwał pomocnika, okrągłego chłopca o przyszczatej twarzy. Szepnął mu coś do ucha i wskazał dyskretnie Franka, który uśmiechnął się, rozumiejąc natychmiast, o co chodzi.

Dzieciak wykonywał zadanie aż nazbyt gorliwie, za nic biorąc pozory. Stanął kilka kroków za Franciszkiem i patrzył na jego dłonie w wielkim skupieniu, jakby nie chciał przegapić najlżejszego ruchu palców.

Franciszek odetchnął głęboko, próbował nie denerwować się całą sytuacją i nie spieszyć. Przejrzał naukowe periodyki, które leżały na półkach. Przekartkował „Wędrowca”, czytając jakąś rozprawę o liczbach zespolonych. Zadziwiło go, jak łatwo wszystko rozumie. Powiedział sobie, że musi dodać do notatnika nową hipotezę – wyglądało na to, że kiedyś odebrał gruntowną edukację. A może to ów dziwny sen tak na niego podziałał? Może źródło nagłego wszechrozumienia było inne, mistyczne?

Podszedł do półek z książkami. Przejechał palcem wzdłuż świeżo oprawionych grzbietów, w końcu wybrał dwie: *Opisanie przemysłu metalurgicznego w Cesarstwie Rosyjskiem i na świecie Stanisława Przysiańskiego*,

sześćset stron formatu folio, wydane w 1861 roku w Krakowie, a także *Dynamiczną teorię prądu elektrycznego* Jamesa Maxwella, czterysta stron *in quattro*, drugie wydanie warszawskie, rok 1866.

Gruby chłopiec przysunął się jeszcze bliżej i nie spuszczał oczu z dłoni Franciszka. On tymczasem poszedł na drugą stronę sklepu, gdzie na blatach i pachnących bejca półkach leżały artykuły papieżnicze. Wziął kilka kart papieru technicznego, kilka szkicowego, tanie pióro rosyjskie z obsadką z surowego drewna oraz dwie zapasowe stalówki krzyżówki numer trzy, linijkę drewnianą i kątomierz. Po namyśle dorzucił jeszcze nieduży notatnik.

Grubas upozycjonował się teraz między nim a drzwiami. Rozłożył ręce, jakby miał łapać natłuszczonego prosiaka. Franciszek mrugnął mu okiem i ruszył ku subiekтови.

Wyciągnął z kieszeni błyszczącego półimperiału i zwitek jednorubłówek: wielkich na dłoń, poźółkłych banknotów z czarnym orłem. Zbierał te pieniądze od dawna, nie wiedząc, na co je zamierza wydać, ale teraz wszystko było jasne.

Subiekt wyciągnął zza ucha ołówki i szybko zrobił rachunki.

– Razem jedenaście rubli i osiemnaście kopiejek, proszę szanownego pana.

Franciszek przesunął kwotę po blacie w jego stronę.

– Ciekawe lektury szanowny pan wybrał, śmiem zauważyć. O Maxwelle teraz wszyscy mówią, kilka niezwykłych konceptów opisał, zresztą ostatnio był z wykładem na politechnice lwowskiej i ogromne wrażenie zrobił. Pan jest inżynier?

– Asystent inżyniera w hucie Wencla.

– Ja bardzo przepraszam – rzekł szpakowaty jegomość. – Rozumie pan, różni tutaj...

– Za co? Nie pojmuję.

Szpakowaty delikatnie skinął głową w stronę chłopca.

– Ach! Cóż, zdarza mi się często. Bóg urodą nie obdarzył... Dorzucisz pan jeszcze twardy ołówek, to będziemy kwita i wrócę tu, jak będę czegoś potrzebował – rzekł Franek.

Mężczyzna zawiązał wszystko w szary papier razem z wizytówką, a potem dodał paczkę niemieckich ołówków.

– Z przeprosinami od firmy.

Franciszek ukłonił się i wyszedł.

Gdy wrócił do pokoju i rozpakował rzeczy, najpierw zabrał się za książki. Spróbował otworzyć Maxwella i z wściekłością spostrzegł, że pierwsza karta rozdarła się głośno. Prawie natychmiast zobaczył dlaczego – w całej książce nie rozcięto stron od góry. Chwilę patrzył zdziwiony na połączone arkusze.

Dlaczego właściwie tak go to zaskoczyło? Sięgnął po notatnik, napisał:

35) Mózg myśli, że wszystkie książki sprzedaje się równo rozcięte.

Nie mając noża do papieru, zaczął rozcinać książkę linijką w miarę czytania. Potem otworzył almanach Kętrzyńskiego, aż w końcu wyciągnął czysty papier i zaczął coś szkicować pewną, spokojną ręką.

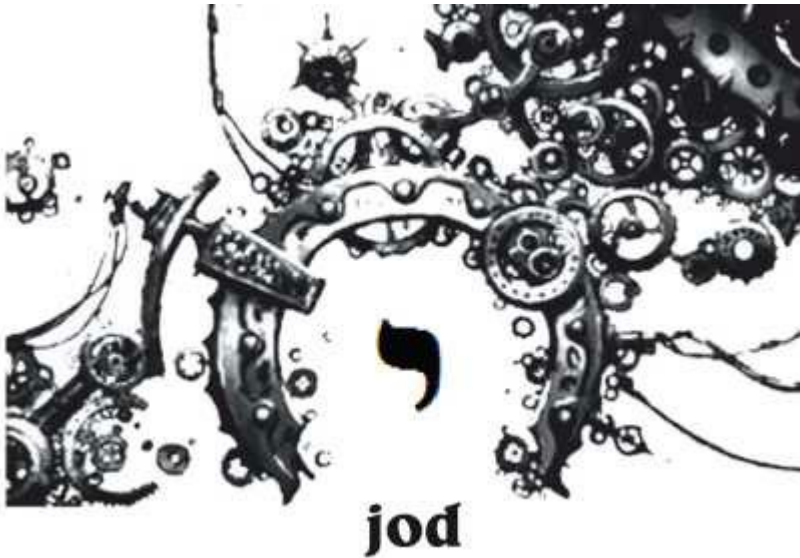
Przez cały wieczór na przemian wertował księgę, rysował na kartach papieru, bazgrał w notatniku. Kiedy wypalił większość nafty w swojej zielonej lampce, otworzył szeroko okno i – nie bacząc na nocny chłód oraz

zapachy z ulicy – pracował dalej przy świetle księżycy, który był akurat wyjątkowo jasny. W srebrnym blasku zdawało mu się, że każda narysowana linia oznacza jednocześnie trzy inne, nienarysowane, że litery mnożą się, a każde zdanie otacza rozmigotane halo zdań możliwych, nieistniejących, które oddają jego ukryte przed wzrokiem treści. Czasem zdawało się, że zza jego rysunków przezierają setki innych, bledszych, próbował nawet ich kontury obwodzić ołówkiem, a potem łamał sobie głowę na tym, co owe kształty mogły znaczyć. W końcu niepostrzeżenie osunął się w sen.

Tym razem nie śnił o uciekaniu, a o stęchłym zapachu starożytnych zwojów i oprawionych w żelazo łacińskich grimuarach.

Rankiem Eustachy czekał na Franka do wpół do siódmej, pijąc poranną kawę i gapiąc się to na drzwi do jego pokoju, to na zegarek. W końcu wstał, zapukał, a potem wszedł cicho do środka, by zobaczyć Znajdę śpiącego z głową na biurku i ołówkiem, który wciąż jeszcze wystawał mu z dłoni.

Pod nim, spod rozłożonych szeroko rąk, przezierały skomplikowane mechaniczne schematy – takie, jakich majster Różewicz nigdy wcześniej nie widział.



Z jakiejś przyczyny mechan nie przyszedł po nich. Na zewnątrz rósł, pęczniał, przykrył okna i drzwi grubymi warstwami. Nad sobą czuli jego ciężar, całe metry gęstego metalowego mchu, belki stropowe trzeszczały, a jedna ze ścian pękła – ale nie wkroczył do sanktuarium, w którym siedzieli po dwóch stronach trupa, znieruchomiali jak w dziwnym pogańskim obrzędzie.

Maksym nie potrafił się z tego cieszyć. Chciał zginać, nawet dwa razy – raz ze wstydu, raz dlatego, że zawiódł – tymczasem zamiast śmierci czekały go wieki w piekle.

W pracowni było ciemno, duszno i potwornie gorąco. Maksyma piekło gardło, a usta w jednej chwili zeschły mu na wiór. Powieki lepiły się do oczu, jakby w jego ciele nie było już ani grama wody, jakby zamienić się miał w suchą, drewnianą figurę.

Zastanawiał się, jak płynie tu czas. Czy pragnienie, które go męczyło, będzie w stanie go zabić? Ile to zajmie – dni,

lata, stulecia? A może prędzej zadziała gorąco? Czy zamknięty w kokonie gotujących się mięśni i ścinającego się białka będzie czuł ból aż do ostatniej chwili?

Pocieszała go tylko myśl, że w policyjnym naganiu, który leżał na dnie torby, był pełen bębenek – aż nadto kul na dwie osoby. Miał ochotę skorzystać z niego już teraz, ale wystarczyło, że wyobrażał sobie w ciemności profil kobiety, jej opuszczoną głowę, łyzy na policzkach, a zdawał sobie sprawę, że nie mógł umrzeć z takim poczuciem winy.

– Chciałem dobrze – wydusił w końcu z siebie, spowiadając się ciemności. – Twój mistrz zaatakował krainę, w której mieszkali niewinni ludzie, wielu zabił, innym zagrażał. Mechan rósł szybciej, niż byliśmy w stanie z nim walczyć. Nie mieliśmy wyboru, trzeba go było zatrzymać.

Nim ciemność odpowiedziała, minęły wieki.

– Głupi... Nie mistrz wam zagrażał, ale mechan.

– Czy to nie to samo?

Parsknęła gniewnie.

– A jak myślisz? Podpowiem: mistrz nie żyje, mechan ma się dobrze.

– Nie rozumiem, to nie on kierował wszystkim?

– Nie moja wina, że nie rozumiesz. Tylko czemu w takim razie się wtrącałeś?

Długie milczenie.

– Mogłabyś mi chociaż pomóc zrozumieć? Co zrobiłem nie tak? Myślałem, że on steruje mózgiem, który z kolei sprzęgnięty był z fabryką. Byłem pewien, że jeśli przerwę połączenie... Słuchasz mnie w ogóle? Jesteś tam?

– Przecież to nie ma znaczenia. I tak umrzemy.

Teraz to on milczał, zastanawiając się, co można

odpowiedzieć na stwierdzenie tak oczywistego faktu. Przecież nie mógł się kłócić, że mieli szanse, żadnych bowiem nie widział. Od powierzchni dzieliło ich już tyle mehanu, a on był tak słaby, że nie mógł wykuć tunelu. Zresztą prędkość, z jaką przyrastała teraz maszyna, czyniła to niemożliwym.

Zostawało tylko siedzieć i czekać.

Po jakimś czasie, kiedy gorąco wspięło się na nowe poziomy nieznośności i kiedy Maksym zdał sobie sprawę, że musi coś robić, żeby nie oszaleć, zaczął znowu rozmowę.

– Kim był dla ciebie? Ten mistrz?

– Wszystkim – odparła po chwili słabym głosem. – Ojcem, zbawicielem, nauczycielem. Ty nawet nie wiesz, nie wyobrażasz sobie, ile można zawdzięczać jednemu człowiekowi. On wyciągnął mnie z bólu i majaków, wydarł obłędowi, dał mi ciało. Zawdzięczam mu więcej niż Stwórcy.

– Byłaś chora?

– Nie wiem, kim byłam. Mistrz mówił, że miałam wypadek, bardzo ciężki. To się zdarzyło w nieczynie, wewnątrz momentu. Gdyby nie on, musiałabym do końca świata przeżywać chwilę swojej agonii.

– Jak rozmawialiście ze sobą?

– Nie musieliśmy. Oboje w pewien sposób byliśmy częściami mehanu. Pytania i odpowiedzi po prostu płynęły między nami. Nie zdołasz tego nawet sobie wyobrazić, to tak, jakbyśmy byli dwoma głosami w tej samej głowie.

– Jak to się stało, że mistrz wylądował w tej trumnie? Dlaczego połączył się z mehanem? Dlaczego w ogóle go stworzył?

- Myślisz, że mogłam mu czytać w myślach?
 - Przecież sama powiedziałaś...
 - Odpowiadał mi na pytania. Ale tylko na te, na które chciał odpowiedzieć, i tylko tyle, ile mógł. A teraz dasz mi wreszcie doumierać w spokoju?
 - Nie pozwolę ci umrzeć.
- Roześmiała się głośno.
- Jakbyś miał władzę nad śmiercią...
 - Nie mam. Mam za to dwa kilo dynamitu.
 - To w sam raz tyle, żeby wysadzić swój pusty łeb.
 - Ile metrów mechu może być nad nami?
 - Za dużo.
 - A ile pięter ma kamienica?
 - Cztery - odpowiedziała po chwili zmienionym głosem.
 - Może wystarczyć. Co myślisz?
 - Myślę, że sporo sobie wyobrażasz - syknęła. - Dlaczego sądzisz, że w ogóle chciałabym gdzieś iść z mordercą mistrza? Nie, zostanę przy nim do końca. Bez niego mogę już tylko umrzeć. A ty zdychaj w poczuciu winy, wiedząc, że wszystko zniszczyłeś.
- W jej głosie czuł zupełnie nowy chłód, jakby myśl, że może przeżyć, bardzo ją zdenerwowała.
- Proszę... - rzekł. - Nie chcę mieć na sumieniu kolejnej osoby. Myślisz, że twój mistrz chciałby, żebyś tak głupio poświęciła się dla trupa? Sama mówiłaś, że włożył w ciebie ogrom pracy. Dlaczego by to robił, gdyby nie zależało mu na tobie?
 - Co ty wiesz...
 - Wystarczy, żeby zrozumieć, że chciał, abyś żyła za wszelką cenę, nawet jako półmaszyna. Więc jak, zrobimy to razem? Pomożesz mi?
 - Może - rzekła po chwili. - Ale co potem? Nie wiemy,

co mechan zbudował na zewnątrz, co teraz zamierza. Może nie ma już dokąd iść, może wszędzie jest tylko maszyna?

– Przypuszczenia, spekulacje... Jak jest naprawdę, dowiemy się, dopiero kiedy zobaczymy. Słuchaj, nie gwarantuję przecież, że wyjdziemy z tego cało. Ale pierwszą przeszkodę możemy pokonać. Dalej się zobaczy. A jakbyśmy trafili w ślepy zaułek, mam rewolwer.

Poklepał się po torbie.

– Ach! W sam raz dla tchórza, który boi się umierania – zakpiła.

– Cóż. Widocznie nie mam tyle doświadczenia co ty.

– To nie było śmieszne – odwarknęła.

– Jak? Idziemy? Zaprowadzisz mnie na górę?

Przysięgnąłby, że widział, jak skinęła głową.

Ruszyli na zakurzone zaplecze, a potem weszli po skrzypiących, starych schodach, wymacując sobie drogę przy pomocy chybotliwej barierki i rozgrzanych jak piec ścian. Wszystko zdawało się tu ciężać ku dołowi, trzeszczały belki, w murze ziały szerokie jak dłoń pęknięcia. Maksym dziwił się, jak szybko napór mehanu niszczył kamienicę, roznosił ją na kawałki niczym lodowiec.

– Co z ludźmi, którzy tu mieszkali? – spytał, kiedy trafił dłonią na półotwarte drzwi w ścianie.

– Dalej tu żyją, w ciemności zmienili się w krwiożercze blade bestie, które łakną ludzkiego mięsa – odparła idąca przodem pajęczycza.

– To nie było śmieszne – wzdrygnął się, cofając rękę. – A naprawdę?

– Nie wiem. Uciekli, zostali przegnani? Mistrz nigdy nie mówił. W każdym razie nie znalazłam tu żadnych trupów,

jeśli o to pytasz.

Gdy wchodzili na trzecie piętro, Maksym po raz pierwszy od wielu godzin zobaczył światło. Najpierw pomyślał, że ciemnoczerwona linia to jedna z żył dna oka, które widzi się wśród ziarnistego szumu, kiedy na długo zaciska się powieki. Tyle że linia pozostawała w tym samym miejscu, gdy ruszał głową i piął się powoli po stopniach. W końcu zdał sobie sprawę, że ma przed sobą szparę pod drzwiami, przez którą sączył się odległy blask.

Weszli na poddasze, gdzie dach był przygięty jak plecy starego garbusa, a krokwie i belki więźby zdawały się naprężone jak struny, gotowe do zerwania. Róg zresztą już się zawalił i zmienił w bezkształtne rumowisko mehanu, desek i cegieł.

Najbardziej niesamowite w tym wnętrzu było światło. Czerwone promienie wpadały przez dziury w dachu oraz okienka, rozszczepiając się na ruchomym filtrze maszyny w prawdziwą feerię światła i cienia.

Maksym chwilę rozglądał się, zadziwiony, aż trąciło go metalowe odnóże.

– Jeśli chcesz to zrobić, nie ma czasu. To wszystko lada chwila runie, a wtedy będziemy musieli próbować z niższego piętra.

Podszedł do okna na końcu poddasza. W ażurowym półcieniu czerwone plamki przepęły po jego ciele, przez chwilę dając złudzenie, że jest kameleonem, jakimś egzotycznym zmiennobarwnym zwierzęciem. Wsunął pakunek między parapet a rozedrgane cielsko maszyny, przesypał nieco prochu do torby, a potem wycofał się tyłem, zostawiając za sobą szeroki prochowy ślad.

Kiedy stanął z powrotem przy drzwiach, spojrzał uważnie na twarz pajęczycy. W skupionych, napiętych

rysach nie potrafił jednak niczego odczytać.

– Zanim zapalę – rzekł – nie mogę obiecać, nie wiem, czy to zadziała, jak rozchodzi się eksplozja w strukturze porowatej jak mechan. Nie wiem nawet, czy ściany to wytrzymają, może się okazać, że...

– Zapalaj. Najwyżej nie będzie trzeba marnować kul z twojego cennego rewolweru.

Kucnął przy końcu prochowego szlaku, wyciągnął zapalniczkę.

– Czekaj – przerwała mu po namyśle. – Jeśli mamy razem umierać, dobrze byłoby chociaż znać swoje imiona.

– Maksymilian Nowak. Maksym. A ty?

– Nie pamiętam prawdziwego imienia. Ale mistrz nazywał mnie Karra.

– Karra. – Maksym skinął głową, a potem odpalił zapalniczkę i przyłożył ją do szarej linii na podłodze.

Wysuszony na wiór proch buchnął natychmiast ogniem, oświetlając całe pomieszczenie jak flesz aparatu. Iskry sypnęły Maksymowi w twarz i nim przetarł oczy, nim zobaczył, co się dzieje, płomień był już niemal w połowie drogi do okna. Za szybko, zdecydowanie za szybko.

– Uciekaj, durniu! – rozległ się za nim krzyk, po którym zaklekotały na schodach pajączki.

Maksym rzucił się do tyłu. Napompowany nagłym uderzeniem adrenaliny czuł, że przez powietrze musi brnąć jak przez lepłą smołę. Kilka kroków dzielących drzwi od schodów wydawało się teraz kilkudziesięciometrowym sprintem. Przerażony tym, jak długo to wszystko zajęło, Maksym nie zbiegł po stopniach, tylko skoczył w dół, w ciemność, spodziewając się, że runie na półpiętro.

Zamiast tego uderzył z impetem w Karę, utonął wśród

jej metalowych odnóży, rozcinając sobie przedramię o ostrą krawędź, a na koniec twarzą walnął o jej biodro. Niemal jednocześnie na górze rozległa się eksplozja: suchy, głośny trzask, który rozrywał bębenki ostrym bólem.

Gorący huragan zepchnął ich niżej, przekoziółkowali po stopniach i znieruchomieli na półpiętrze, spleceni w dziwnym uścisku.

Minęła chwila, nim pisk w uszach Maksyma ustąpił miejsca głosowi pajęczycy.

– Zejdź mi z brzucha! – krzyczała.

Próbował wstać, ale się poślizgnął. Oparł na czymś dłoń, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że trzyma jej pierś.

– Złaż – warknęła.

W końcu wstał, po to tylko, by zaraz runąć w tył, na barierkę, bo ostry ból stłuczonego do kości uda nie pozwalał mu utrzymać się w pionie. Zacisnął zęby, po czym wstał i spojrzał ku górze.

– Udało się! – wrzasnął, widząc kaskadę światła, która tryskała z poddasza.



Nadszedł czas, gdy Franciszek Znajda, dotąd posłuszny rytmowi życia domu, w którym się znalazł, nabrał własnych zwyczajów. Nie wracał już z huty razem z Różewiczem na rodzinny obiad. Zamiast tego za dwie kopieжки kupował w piekarni przy murze czerstwą bułkę albo kawałek chleba, a następnie pędził do miasta, do biblioteki, gdzie jego twarz i robocze ubranie wywoływały

popłoch. Tam, wśród pnących się ku sufitowi regałów, tych mistycznych schodów wiedzy, ślęczał długie godziny nad książkami, kreśląc swoje szkice.

Rysunki, które wychodziły spod jego palców, wprowadziłyby w osłupienie każdego inżyniera. A jednak Znajda nie czuł się odkrywcą, tylko biernym odbiornikiem, archeologiem trudnych do sprecyzowania wspomnień, które wiodły jego dłoń. Zdawało mu się, że nie wymyśla niczego nowego, tylko odsuwa zasłonę z czegoś, co istniało od zawsze, co jest oczywiste, ale mimo to zapomniane, jak przykryty płótnem mebel w pokoju, do którego nie zaglądano od lat.

Dwadzieścia dwa znaki. Wyrył je i wyciosał, wyważał je, permutował, mieszał, stapiał i formował przez nie istotę wszelkiego stworzenia i istotę wszelkiego przyszłego stworzenia.

Jego pracy akompaniowało echo słów, których pochodzenia nie znał, dźwięczących uparcie w głowie.

Trzy matryce: alef, mem, szin. Wyrył je, wyciosał i stapiał. Zapieczętował nimi trzy matryce w świecie, trzy matryce w roku i trzy matryce w istocie męskiej i żeńskiej.

Uczynił mem królem w wodzie, nałożył mu koronę, stopił jedno z drugim i zapieczętował nimi ziemię w świecie, chłód w roku i łono w istocie męskiej i żeńskiej, męskiej przez mem, alef, szin, a żeńskiej przez mem, szin, alef. Uczynił szin królem w ogniu, nałożył mu koronę, stopił jedno z drugim i zapieczętował przez nie niebiosy w świecie, gorąco w roku, głowę w istocie męskiej i żeńskiej. Uczynił znak alef królem w wietrze, nałożył mu koronę, stopił jedno z drugim i zapieczętował nimi powietrze w świecie, nasycenie w roku i ciało w istocie

męskiej przez alef, mem, szin, a żeńskiej przez alef, szin, mem.

Rysikiem swojego ołówka Maksym odkrywał prawa natury i reguły, które były dla niego tak naturalne i oczywiste jak oddychanie, a następnie próbował uwięzić je w konkretnym, praktycznym kształcie. Z początku nie rozumiał, co właściwie próbuje narysować, ale po wielu dniach zdał sobie sprawę, że na kartach zaczyna powstawać jego przyszłość. Im bardziej Znajda – niepotrzebny odpad, wypluty przez brudny zaułek – upodabniał się do reszty ludzi, tym mocniej pragnął swojego miejsca w świecie, rzeczy tak przyziemnych jak respekt albo majątek. Nie chciał żyć z pomocy Eustachego, a maszyna, nad którą pracował, mogła mu to zapewnić.

Wkrótce pograżył się w pracy tak, że niemal siłą musiano go wyganiać z biblioteki. Przychodził do domu późno, pograżony w myślach. Nie widział, co się dzieje wokół, nie rozmawiał ze znajomymi, zdawał się nie zauważać majstra oraz jego żony.

Dlatego zdziwił się bardzo, kiedy pewnego razu po otwarciu drzwi zobaczył tuż przed sobą czerwoną, nabrzmiałą ze złości twarz Różewicza.

– Na zewnątrz, już! – warknął majster.

– Ale co...?

– Idziemy za drzwi, nie chcę, żeby nas, rozumiesz... – Eustachy skinął głową w stronę, skąd słychać było kuchenne odgłosy.

Franciszek otworzył szeroko usta i nie wiedział, jak zareagować, wyrwany w pół myśli z wewnętrznego świata, ryba wystrzelona w międzyplanetarną próżnię. Ale dłoń, która zacisnęła mu się na ramieniu jak kleszcze, nie

znosiła sprzeciwu. Wyszli przed drzwi, gdzie Eustachy od razu naparł na Znajdę:

– A z ciebie to jednak kawał bydlaka, Franek. Cicha woda, a mydłem w oczy, nóż, do diabła, w plecy. Żeby mnie kłamać? Przecież ja cię tymi rękoma z rynsztoka wyciągałem.

– Eustachy... – odparł Znajda. – Ty się szaleju objadłeś? Przecież ja nic nie zrobiłem, cały wieczór spędziłem w bibliotece.

– A pewnie, biblioteka, biblioteka. Mnie mogłeś powiedzieć, ja niemłody, ale ja rozumiem. No, rozumiem, kawalerskie potrzeby, ale na Boga, nie sprowadzaj mi ich do domu!

– Ale o czym mówimy? Kogo nie sprowadzać?

Eustachy rozejrzał się na boki, jakby chciał się upewnić, że majaczące w ciemności drzwi są zamknięte i nie patrzą na nich ciekawscy sąsiedzi, a potem wcisnął Znajdzie w rękę coś małego, okrągłego, miękkiego.

– Co to?

– I jeszcze udaje głupiego! To gąbka Absorbit, dziwki nasączają ją octem, wsadzają sobie w piczę i płuczą po różnięciu, żeby co chwila nie rodzić bachorów.

– Eustachy, ja przecież nawet nie wiem, że coś takiego istnieje. I gdzie w ogóle to znalazłeś?

– Miałbyś przynajmniej tyle godności, żeby w twarz nie kłamać – mruknął Różewicz. – Ech, Franek. Krzyż Pański z tobą. Wziąłem pod swój dach, bo tak trzeba było, bo tak by zrobił dobry chrześcijanin, ale ja cię proszę, nie bądź takie bydlę.

To mówiąc, wszedł do mieszkania. Znajda chwilę bał się, że będzie musiał spać na schodach, ale drzwi pozostały otwarte. Obejrzał więc jeszcze raz mały gąbczasty krążek,

a potem rzucił go w dół schodów i poszedł za Różewiczem.

Nie wiedział, co się stało, ale zbyt pragnął wrócić do swojego świata maszyn, żeby dochodzić korzeni nieporozumienia.



Następnego dnia szli do huty w ciszy, nawet na siebie nie patrząc. Różewicz był naburmuszony, nie mógł uwierzyć, że przyjaciel go oszukiwał. Franciszek natomiast nie myślał nawet o tym, co stało się wczoraj wieczorem, tylko o dwudziestu kartach tajemniczych szkiców, owocu jego profetycznego, księżycowego szału.

Pracowali również w całkowitym milczeniu, skuleni przy silniku, który napędzał pas transmisyjny we wschodnim skrzydle walcowni. Dzień ciągnął się niemiłosiernie, zdawało się, że całe wieki z syzyfową cierpliwością naprawiali tłok skorodowanej, starej maszyny, a tymczasem słońce przesunęło się ledwie do zenitu. Dach hali nagrzewał się szybko, malutkie szybki świetlików – jak soczewki – słały w dół palące promienie.

– Musisz mi załatwić spotkanie z Wenclem – rzekł w końcu Franciszek.

Eustachy aż podskoczył w miejscu – tak przywykł do ciszy, że niespodziewane słowa niemal doprowadziły go do palpacji.

– Co? Oszalałeś ze szczętem? Cóż to za pomysł! – odparł.

– Nie mówię już o tym, że masz czelność o coś mnie prosić! Ale do Wencła? Byle asystent?

– Mam mu coś ważnego do pokazania, w cztery oczy. A

ty załatwiłeś mi przecież pracę, więc pewnie już z nim raz gadałeś.

– Nie z Wenclem, a z jego kierownikiem, tym ryżym Żydzią. To okrutnie szczywana bestia, we wszystkim musi mieć interes, ale jeśli naprawdę chcesz do kogoś z kierownictwa, to może z nim bym cię mógł...

– Nie, muszę rozmawiać z szefem.

Eustachy załamał dłonie.

– No masz takiego. Powiedz mi chociaż, o co chodzi!

– Mam pomysł, który może zrewolucjonizować tu wszystko i... nic więcej teraz zdradzić nie mogę.

– Posłuchaj, Franek. Ja cię wziąłem pod swój dach, pomogłem ci już nieraz i, jak Bóg mi świadkiem, dalej będę pomagał, choć czasem z ciebie niewdzięczne bydlę. Ale czy ty zdajesz sobie sprawę, że jeśli zrobisz jakąś głupią aferę, to ja stracę pracę, mieszkanie, z dziećmi wyląduję na bruku? I co to w ogóle znaczy, zrewolucjonizować?! Chcesz mnie pchać w jakąś socjalistyczną kabałę, będziesz Wencła pouczał o prawach robotniczych? Nie, mój drogi! Ja w czymś takim brać udziału nie mogę.

– Spokojnie, Eustachy. To ci obiecać mogę, że sprawa jest czysto naukowa. Inżynierska, rzecz można.

Eustachy przypomniał sobie szkice oraz rysunki, które Franciszek sporządzał po nocach, potarł brodę i odrzekł:

– Jakżeś na coś wpadł, to najpierw do biura patentowego trzeba, panie kolego.

– Byłem. Chcą trzydzieści rubli za złożenie wniosku. Ja takich pieniędzy nie mam, od ciebie pożyczać nie będę, bo nie wiem czy się zwróca. Zainteresuję Wencła, to da. Jak więc?

– Franek, Franek! Ty wariat jesteś, żeby mnie o taką

rzecz prosić, akurat kiedy jestem na ciebie wściekły. Czasem myślę, że nic cię jeszcze życie między ludźmi nie nauczyło. Ale niech tak będzie, zobaczę, co można zrobić. Tylko nic sobie nie obiecuj, Wencel swój czas bardzo ceni, poza tym nie brata się z pospólstwem. I miej w pamięci, że jak go rozeźlisz, to wyrzuci na zbity pysk.

– Uwierz mi – odparł Znajda. – Wencel nie będzie żałował.



– Jak to możliwe? Ile my przecież...

– Dzień, nie więcej.

– Jak więc...? Znałaś go dobrze, to możliwe, żeby tak szybko...?

– Nie. Znałam tamten, ale ten widać jest inny.

– Po co w ogóle miałyby coś takiego robić? Po co to wszystko maszynie?

Maksym oraz Karra stali na zewnątrz, skapani w czerwonych promieniach, smagani gorącym oddechem kuźni. Za nimi czernił się osmalony pysk krateru, z którego wypełzli, w jego dole widać było zasypane gruzem poddasze.

Próbowali rozpaczliwie zrozumieć to, co rozwinęło się przed nimi poszarpaną panoramą krzywych iglic, napowietrznych przejść, które łączyły się pod niemożliwymi kątami, kopuł mehanu zawieszonych nad nicością, membran połączonych łańcuchami, ścian połączonych przęsłami. Architektoniczny spiętrzony koszmar rozciągał się na niebie jak okiem sięgnąć w każdym kierunku. Nie próbowali nawet domyślać się

prawdziwego rozmiaru tych struktur.

– Jak mógł wyprodukować tyle części w tak krótkim czasie? Sama powiedz, ile była w stanie zrobić kuźnia?

– Kuźnia?

– No wiesz, to, co robiło wszystkie części, fabryka... – Odwrócił się, szukając wzrokiem znajomego kształtu, ale na poziomie oczu miał tylko łukowate podpory i ciężkie kotwice, które przytwierdzały do podłoża stalowe liny.

Dopiero po chwili zrozumiał, że płonący rdzeń mehanu znalazł się już pod powierzchnią; byli przecież wysoko nad ulicami, na wysokości czwartego piętra. Tylko światło przesączające się od spodu zdradzało, gdzie leżała kuźnia.

Nad nią wyrastał z ziemi – przecząc prawom grawitacji – nowotwór mehanu, największe z jego dzieł.

Wyglądało to, jakby rozebrać na części gotycką katedrę, a potem jej fragmenty rozwiesić w powietrzu na różnych poziomach, łącząc zwojami grubych kabli i napiętych do granic stalowych lin. A potem trzeba byłoby jeszcze dokopać się do żywej magmy, która podświetli całość migotliwym pomarańczowym blaskiem. Oczy Maksyma gubiły się w escherowskich przestrzeniach rozkrzyżowanego w powietrzu labiryntu, a jakiś prymitywny instynkt kazał cofać się, kurczyć, korzyć przed nieludzkim majestatem i obcą logiką nowego serca mehanu.

Gdzieś wysoko, zwisając z łuków i ścian budowli, błyszczały tłuste, nabrzmiące grona mechanicznych mózgów, kakofonią arytmicznego klikania budując podkład tej obłądnej panoramy.

Tymczasem konstrukcja, już teraz ogromna, rosła dalej w oczach, grubymi taśmami płynęły pod niebo strumienie

części, które ramiona maszyny montowały bez żadnego wahania, jakby plan tej struktury był w nich wryty już od dawna.

– To nie ma sensu – szepnął Maksym. – Dlaczego miałyby wzorować się na ludzkiej architekturze? Przecież to nie ludzie będą mieszkać w tych... wieżach.

– Kto mówi, że się wzorował? Popatrz na te liny, pospinane pod różnymi kątami. To ścieżki dla braci mniejszych.

– Co?

– No wiesz, jego dzieci i robotników, podobnych do mnie.

– Chyba spotkałem. Ale po co te wysokie, napowietrzne kładki? Te dziwne okna? Gdyby miały tu mieszkać wyłącznie mechaniczne pająki, czy miasto nie wyglądałoby po prostu jak wielka pajęczyna?

– Nie pytaj. – Karra wzruszyła ramionami. – Mechan uwolnił się spod ludzkiej władzy, realizuje własne plany. Kto wie, czy bracia mniejsi to nie początek? Kto wie, czy maszyna nie śni o tym, by stać się demiurgiem? Ale dość tego. Dokąd idziemy?

Bezradnie szukała wzrokiem punktów rozpoznawczych w obcej okolicy.

– Tam. – Maksym wskazał dłonią gdzieś poza pióropusz krzyżujących się trójgraniastych wież.

– Skąd wiesz?

– Kiedy pierwszy raz stanąłem na krawędzi niecki, kamienica była obrócona do mnie bokiem. Czyli przyszedłem z tamtego kierunku. Jedyne nasza szansa to dostać się z powrotem do dzielnicy; jakieś dwa dni marszu, jeśli oczywiście mechan nie ruszył do przodu.

– Odważne założenie.

– Trzeba coś zakładać, żeby planować. Sama powiedziałaś, że mechan został wyzwolony. Jakikolwiek były plany Zegarmistrza, nie sądzę, żeby je kontynuował. A teraz chodźmy. Czeka nas długa droga. Bez wody, z garstką sucharów...

– Och, nie bądź dzieckiem. Nie umrzesz prędko w tutejszym czasie.

Ruszyli przed siebie, co chwila zadzierając głowy ku górze – aborygeni w kanionach Manhattanu. Nad nimi maszyna żyła, tworząc niezrównane cuda i arcydzieła, a oni pełzli fundamentami jej miasta w karaluszym podziwiewie i strachu.

Żeby dodać sobie odwagi, Maksym wyciągał przed siebie naganta, mierząc w każdy cień i każdą dziurę. Karra poruszała się na lekko ugiętych nogach, gotowa do skoku. Jej przednie odnóża uniesione były do góry jak ramiona modliszki, a ludzki korpus obracał się to w jedną, to w drugą stronę, próbując objąć wzrokiem wszystkie miejsca, z których mogłoby nadejść zagrożenie.

– Patrzą na nas – rzekła po jakimś czasie, gdy zostawili serce maszyny daleko za plecami.

– Kto?

– Nie wiem, na pewno nie bracia mniejsi. To coś nowego... Dzieci wyzwolonego mechanu.

– Widzisz kogoś? – Lufa naganta zatoczyła krąg.

– Tam! – Karra skinęła głowom ku ścianie rozpiętego na łańcuchach budynku.

Maksym nic nie widział w jego pozbawionych szyb, wąskich oknach, ale czuł w jakiś sposób, że Karra miała rację. Czyjeś uważne oczy – a przynajmniej chciałby wyobrazić sobie, że to oczy – śledziły każdy ich krok.

– Jeśli o nas wiedzą, czemu nie atakują?

– Może mechan jest ci wdzięczny? – W jej głosie zadźwięczała jadowita nuta. – Dałeś mu przecież władzę. Nie odzywali się aż do następnego postoj.



Wędrówka okazała się dużo trudniejsza niż droga, którą Maksym przebył za pierwszym razem. Warstwa mehanu była teraz niejednorodna, pofalowana. Często musieli omijać zdradliwe dziury przykryte cienkimi płachtami mehanu albo kaniony głębokie na kilka pięter, w których widać było ruiny miasta.

Oboje byli zmęczeni. Maksym z trudem piął się po kolejnych wzniesieniach albo pokonywał głębokie rowy, rękawice miał już w strzępach, dłonie spływały mu krwią, ale ból skaleczeń i tak nie mógł się równać z pragnieniem, doprowadzającym go niemal do szaleństwa. Karra z kolei, spocona i czerwona na twarzy, z trudem kontrolowała swoje osiem odnóży, które grzęzły i klinowały się w podłożu. Maksym odniósł wrażenie, że wygodniej byłoby jej przemieszczać się nad ziemią, po linach i kładkach, ale z jakiegoś powodu wołała trzymać się blisko.

W końcu stanęli na odpoczynek pod pochyłą

trapezoidalną ścianą, która opierała się na ziemi tylko jednym rogiem. Tam Maksym wyciągnął z torby wojskowego suchara, rozwinął go z namaszczeniem i przełamał na pół. Jedną część wsadził sobie między zęby, drugą podał towarzyszcze, która przycupnęła obok na zwiniętych odnóżach.

– Nie chcesz? – spytał, gdy pokręciła głową.

– Nie.

– Jadasz ludzkie jedzenie? – Spojrzał ciekawie na grube, zablźnione spojenie, które przebiegało na wysokości biodra.

– Dotąd nie potrzebowałam, w krainie mistrza czas prawie stał w miejscu. Myślę, że mogłabym, ale potem... trzeba by otworzyć komory, wygarniać...

Zaczerwieniła się.

– Och, przepraszam. Powinienem wcześniej pomyśleć, że...

– Nic się nie stało.

Zaczął żuć swojego suchara, powoli, w zamyśleniu, a ona patrzyła mu na ręce. Na horyzoncie łuna kuźni była już tylko cienką czerwoną linią. Wokół nich majaczyły zanurzone w mroku ości i błony miasta mechanu. Czas płynął, odmierzany nieregularnym cykaniem maszyn.

Ostatni kęs znikł w ustach, a Maksym położył dłonie na kolanach, jakby zamierzał wstać. Karra odwróciła wtedy wzrok i rzekła:

– To i tak nie trwałoby już długo.

– Co? – spytał, otrzepując koszulę z okruchów.

– Odkąd go znałam, od mojego przebudzenia, był bardzo słaby, cały czas tracił siły. Sądzę, że mechan powoli niszczył go, że bardzo chciał się uwolnić. No, nie patrz tak na mnie. I tak uważam, że to, co zrobiłeś, było ohydne.

Ale jeśli cię to pocieszy, to chyba tylko przyspieszyłeś nieuniknione. Maszyna rosła w siłę, mistrz wręcz przeciwnie. Wynik mógł być tylko jeden.

– Przykro mi to słyszeć.

– A mnie przykro, że cię wcześniej nazwałam szują i draniem. Nie jesteś szują, jesteś po prostu głupi.

– Piękny komplement – roześmiał się Maksym. – Ale może zasłużyć na to, że i te słowa odwołasz?

– Zobaczymy. Na dobry początek mnie stąd wyprowadź.

Powiodła wzrokiem po kształtach wiszących w półmroku nad ich głowami.

– To już nie jest mój dom – dodała ciszej. – Jakoś tu strasznie.

Ruszyli dalej w kierunku wskazanym przez Maksyma. Gdy minęli splecione wieże, znalazł kolejny punkt, który zdawał się być z nimi w jednej linii. Potem następny i następny.

Wkrótce pograżyli się w ciemności. Czerwona poświata kuźni znikła zupełnie, niebo było jednolicie czarne, a ściany i przęsła miasta ledwo majaczyły w atramentowym mroku. Rowy zmieniły się w śmiertelne pułapki.

Karra szła teraz przodem, macając odnóżami teren, a Maksym podążał jak ślepiec za jej metalowym odwłokiem, wpadając na niego za każdym razem, kiedy zatrzymywała się na chwilę, żeby zbadać jakąś przeszkodę. Wydawało mu się czasem, że w mroku dostrzega jakieś ruchy, ale wiedział, że to tylko urojenia. Dziękował teraz Opatrzności za Karę, bo wiedział, że sam nie wytrzymałby powrotu przez ten dziki krajobraz. Czasami, by dodać sobie otuchy, wypytywał ją o byle co. Czasem to ona prosiła, by powiedział coś o sobie. Atramentowa ciemność wokół nich zdawała się chłonać i tłumić odgłosy

jak gruba pierzyna.

Na drugim postoju Maksym chwilę kręcił się niespokojnie, macając rękoma wokół. W końcu chwycił jakąś napiętą linę, oplótł ją ramionami i nogami, a potem wspiął się nieco wyżej. Gdy zszedł, obok jego ucha rozległ się głos Karry:

– Coś nie w porządku?

– Możliwe, że idziemy w złym kierunku – odparł zażenowany. – Biorąc pod uwagę, ile jesteśmy już w drodze, powinniśmy widzieć światło dzielnicy. Boję się, że zamiast zbliżyć się do niej, oddalamy się, idziemy ku odległej krawędzi mehanu.

– Albo kierunek jest dobry, ale tego miejsca, z którego przyszedłeś, po prostu już nie ma – odpowiedziała.

Wzdrygnął się. Przed oczyma stanęła mu Emilia, jej twarz rozjaśniona nadzieją, gdy snuł plany o zniszczeniu serca maszyny. Czyżby ją zawiódł? Czy księżna wraz ze wszystkimi ludźmi, którzy byli oddani pod jej opiekę, przepadła? Oczyma wyobraźni zobaczył, jak w całkowitej ciemności, pod czarnym słońcem i czarnym niebem, wygrzebuje gołymi rękoma z mehanu okrwawione, poszarpane ciała, by dać im jedyną pomoc, na którą było go stać – szybką śmierć. Czerń, zapach krwi, ostry metal rwący skórę, nieludzkie łkanie, które dochodzi gdzieś z dołu, słabe, stłumione...

– Za późno, żeby zawrócić? – Karra wyrwała go z zamyślenia.

– Obawiam się, że tak. Szliśmy jakieś dwa dni... – Jak absurdalne było liczenie czasu w tym miejscu! – Jesteśmy zmęczeni, nie mamy wody ani prowiantu. Jeśli nawet wrócimy z powrotem do serca, nie będziemy już mogli zejść daleko. Musimy iść do przodu.

– No cóż. W razie czego masz... Wiesz co – dodała z przekąsem.

Zaśmiał się.

Wkrótce dotarli do ściany. Najpierw Karra zatrzymała się gwałtownie, tak że Maksym wpadł na jej odwłok, uderzając czołem o polerowany mosiądz. Zaklął głośno, chwycił się za głowę, a zaraz potem usłyszał:

– Czekał tutaj.

Najpierw jej kroki zachręściły po lewej, potem po prawej stronie. Maksym tymczasem krzywił się, macając nabrzmiałego guza.

– Gdzie jesteś? – spytała po chwili.

– Tutaj.

– Poczekaj, nie ruszaj się.

Podeszła powoli, by nie wpaść na niego, po czym rzekła:

– Chyba mamy przed sobą mur.

– Co?

– Na początku myślałam, że to jakaś budowla, ale nie – ciągnie się przynajmniej kilkadziesiąt kroków w obie strony. Obawiam się, że musimy zboczyć z drogi.

Maksym pokręcił głową. Trzymanie kierunku w całkowitym mroku i tak było dostatecznie trudne – od jakiegoś czasu szli przecież na wycucie, bez żadnych znaków. Wiedział, że jeśli zaczną kluczyć, pogubią się.

– Możesz sprawdzić, jak to jest wysokie?

– Poczekaj.

Znów usłyszał chrobot i wydało mu się, że widzi, jak wielki ciemny kształt zaczyna piąć się przed nim ku górze. Tym razem czekał jeszcze dłużej, chrzęsty umilkły gdzieś w oddali, tylko miarowe łupanie serca i odgłosy pracującej maszyny docierały do jego uszu.

W końcu zesza, zdyszana, pachnąca potem i rozgrzanym

metałem.

– Wysokie, bardzo – ciemność rzekła jej ponurym głosem. – Nie sędzę, żebym zdołała się wspiać na szczyt, a już na pewno nie z tobą na plecach.

Usłyszał, jak siada na odwłoku, rozprostowując mechaniczne odnóża.

– To chyba wszystko – dodała. – Dalej nie pójdziemy.

Odpowiedział jej odgłos odpinanej sprzączki, potem brzęczenie szkła, zgrzyt metalowego gwintu.

– Co robisz? – spytała.

– W lampie jest jeszcze parę kropel nafty – odparł Maksym. – Trzymałem je na czarnej godzinie, teraz mogą się przydać.

Zdjął koszulkę, wylał na nią resztkę paliwa, a potem wytarł materiałem do sucha wnętrze lampy. Zwinął go w rulon wokół końcówki kilofa, a potem zapalił ostrożnie.

Zasyczało. Na chwilę płomień przygasł i Maksym przestraszył się, że materiał jest zbyt przepocony, żeby się rozpalić. Wkrótce jednak bawełna zajęła się ogniem. Światło – pierwsze, które widzieli od wielu godzin – sprawiło, że oboje musieli zmrużyć oczy. Ponad sobą Maksym zobaczył twarz Karry.

– Nie gap się tak na mnie, szukaj przejścia – ofuknęła go, bo zatrzymał na niej wzrok odrobinę za długo.

Uśmiechnął się, wstał i ruszył wzdłuż przeszkody, wyciągając improwowaną pochodnię tak wysoko, jak tylko mógł. Mur skrzył się i błyszczał jak wodospad mosiądzu, praca miniaturowych elementów nadawała mu pozory ruchu. Ciągnął się w obie strony, jak okiem sięgnąć, a w górze stapał się w jedno z atramentowym niebem.

– Idziemy – rzucił Maksym, ruszając wzdłuż przeszkody

szybkim krokiem.

Szedł kilka minut, ale zdawało mu się, że nie ruszył się z miejsca. Ściana wciąż ciągnęła się prosto. Czuł się jak mrówka, wyobraźnia podpowiadała mu, że potężne masy mechanu wznoszą się ku górze w nieskończoność, że jest przy nich ledwie pyłkiem. Strach, który prześladował Maksyma od dawna – strach przed uwięzieniem, przed drogą bez wyjścia – powrócił, oblewając mu plecy zimnym potem.

Wkrótce światło zgasło. Znów byli w ciemnościach.

– Chyba byliśmy naiwni, sądząc, że mechan tak po prostu nas wypuści – podsumowała Karra.

Rozczarowanie w jej głosie z jakiegoś powodu ukłuło Maksyma do żywego.

– Nie postawił tego muru ze względu na nas – odparł. – Gdyby chciał nas zatrzymać, znalazłby łatwiejszy sposób. Nie, on chciał się odgrodzić.

Zbliżył się do ściany i przyłożył do niej ręce – tętniła jak żywy organizm. Wbił w nią palce, z chrzęstem wysadzając kilka elementów z łożysk.

– Czytałaś *Hrabiego Monte Christo*? – spytał.

– Nie wiem. Mówiłam ci już: wszystko, co było, nim przebudził mnie mistrz, jest jak sen. Nie pamiętam nawet, kim byłam. Zresztą co to ma wspólnego z...

– Hrabia ucieka z więzienia po czternastu latach prób. Wszystko jest możliwe, jeśli włoży się dość wysiłku i czasu.

– Nie wiesz nawet, jak gruba jest ta ściana!

– Co nie przeszkodzi spróbować.

Kiedy zdjął z pleców kilof i podrzucił go lekko w rękach, odniósł wrażenie, że Karra patrzy na niego z podziwem, i dziwne ciepło rozlało mu się po piersiach. Odetchnął

głęboko, a potem uderzył, odrywając za jednym zamachem spory plaster mehanu.

Wkrótce metaliczne chrzęsty poniosły się daleko nad pełną pokręconych monumentów krainą maszyny.



Joachim Wencel był typem człowieka, wokół którego kurczyły się pomieszczenia – każde wewnątrz natychmiast wypełniał swoją obecnością, każdą przestrzeń nasycił swoim bytem. Był wysoki i zwalisty, jego łysiejąca głowa wyrastała z szerokich barków, a drogi jedwabny frak z trudem opinał brzuch, w którym zmieściłaby się beczka piwa. Gdy chodził, trzeszczała podłoga. Gdy spojrzał na kogoś, ten musiał walczyć z instynktem, który kazał natychmiast robić krok w tył.

Wencel stał właśnie nad biurkiem z pochyloną głową, przyglądając się szkicom i komentarzom Franciszka, co jakiś czas ocierając chusteczką pot z twarzy oraz łysych zakoli.

– Banialuki – rzekł w końcu. – Bzdury. Bujdy na biegunach.

Podniósł wzrok, który skrzył się aż od złości.

– Pan masz o mnie chyba niskie zdanie, pan myślisz, że ja jestem tylko od liczenia pieniędzy i dobroczynnych rautów. Ale ja, panie Znajda, w tej branży spędziłem już pół życia i potrafię poznać brednie, kiedy ktoś podetknie mi je pod nos. Piec łukowy! No to sobie pan wymyślił.

– Plany sporządziłem z najwyższą pieczołowitością – odparł spokojnie Franciszek. – Mój wynalazek będzie

działał.

– A nawet jeśli, to powiedz mi pan, panie Znajda, czym pan zamierzasz napędzać ten swój piec łukowy? Prąd elektryczny weźmiesz z powietrza?

– Nie. Zamierzam zbudować generatory.

– Coraz piękniej, coraz piękniej. I może jeszcze masz pan dla mnie plany tych generatorów?

– Proszę sprawdzić drugą kartę. Oparłem się na dyskach Faradaya i prądnicy Hipolita Pixii. Oczywiście moje urządzenie jest dużo większe, a zamiast ręcznej korby napędza je wydajny tłok parowy.

– Głupszego pomysłu nie słyszałem. Pan chcesz spalać węgiel, żeby tworzyć prąd elektryczny, którym następnie stopisz metal?

– Spalanie, panie Wencel, jest wysoce niewydajnym procesem, większość energii ucieka pod postacią ciepła. W piecu łukowym będzie inaczej, bo cała energia idzie przez surówkę. Nieduży generator napędzany taśmą powinien zapewnić nam jakieś sześćset amperów przy czternastu voltach. To łącznie ponad cztery tysiące watt, bardzo dużo energii. A w kotle generatora, w przeciwieństwie do pieca hutniczego, będzie można palić wszystkim, nawet drewnem. Wiem, jakie ma pan problemy z pozyskaniem dobrego koksu i z jak daleka się go przywozi. A teraz proszę pomyśleć: ile lasów jest w okolicy! Jaką miałby pan przewagę nad resztą zakładów, gdyby do pracy potrzebował pan jedynie drewna...

Wencel na chwilę zamilkł, polerując łysinę z podwójnym zapałem. Potem przeszedł się dookoła pokoju, kołyszając na boki ogromnym brzuszyskiem, aż w końcu spojrział przez okno na kominy kombinatu.

– I cóż mi po tym? – Machnął dłonią, obracając się. –

Zrozum pan, z jednej strony dusi nas Huta Bankowa z Dąbrowy, z drugiej – huty śląskie. Węgiel z „Radena” i „Ksawerego” się kończy, coraz więcej trzeba sprowadzać. Z kupcami jeden wielki ból głowy, bo inżynierowie angielscy, co u nas wdrażają większą część przemysłu, wmawiają ludziom, że jedyna dobra stal to jest stal angielska. Ostatni gubernatorski przetarg na szyny – przegraliśmy. Przetarg na przęsła do mostów kolei Fabryczno-Łódzkiej – przegraliśmy. Jakby tego było mało, mówią, że ministerstwo chce obniżyć cła na importowaną surówkę. A pan chcesz, żebym wyrzucał setki tysięcy rubli na jakieś dziwaczne projekta? Pan jesteś wariat! Wracaj pan do pracy, zbyt jestem zajęty dbaniem, by to wszystko nie runęło, żeby marnować...

To mówiąc, Wencel krążył dalej, deski podłogi trzeszczały pod jego potężnymi stąpnięciami tak, że zdawały się nieomal pękać. Jego twarz zaczerwieniła się i promieniowała wprost gniewem, jakby wspomnianie wszystkich niedoli zakładu doprowadzało go do furii.

– Wiem, że huta ma kłopoty. I właśnie dlatego potrzebny jest panu ten patent – odparł spokojnie Franciszek. – Jeśli zastąpimy gruszki Bessemera łukami elektrycznymi, wytop cetnara stali będzie kosztował kilka razy mniej niż dziś, nawet biorąc poprawkę na koszt budowy i utrzymania generatorów. I sama stal będzie lepsza, bez zanieczyszczeń fosforowych, twarda, sprężysta. Takiej stali nie robi obecnie nikt na świecie, wyprzedzi pan epokę, wspomóż kraj czymś, o czym obce mocarstwa mogą tylko marzyć. Proszę sobie wyobrazić, jak z podziwem na świecie będą mówić „stal z Polski”, proszę sobie wyobrazić okręty o burtach z blach Wencła, odporne na obecnie stosowane działa, proszę sobie

wyobrazić konstrukcje z metalowych pręseł, ażurowe, pnące się ku niebu jak...

– Panie, pan jesteś wariat z tą całą swoją termoelektryką! Teraz jedna jest tylko droga rozwoju, piece martenowskie. Cały przemysł się na nie przestawia, huty na Górnym Śląsku i w zaborze pruskim. A pan mi tu jakieś bajania o prądzie elektrycznym... Jeśli to tak mądre rozwiązanie, czemu jeszcze nikt na nie nie wpadł?

Zaciśnięte pięści Wencla znalazły się tak blisko twarzy Znajdy, że każdy normalny człowiek zrobiłby krok w tył. Ale pobliznione oblicze nawet nie drgnęło, głos pozostał zimny i spokojny:

– Zawsze jest ta pierwsza osoba, panie Wencel. I ja byłem z początku sceptyczny, ale zasięgnąłem opinii majstra Różewicza, pana Worthingtona oraz kilku jeszcze specjalistów. Większość jest zgodna, że teoretycznie to może działać.

– Teoretycznie... Teoretycznie to pan możesz być carską córką w przebraniu, a prawdziwy interes opiera się na tym, co namacalne i co łatwo na pieniądź przeliczyć. Pan mnie chcesz zbankrutować!

– Kiedy ja nie wymagam, żeby w ciągu jednego dnia przestawić całą produkcję huty na niesprawdzoną technikę. Proszę mi dać cztery tysiące, miejsce i ludzi, a zbuduję mały piec łukowy dla demonstracji. Jeśli będzie pan zadowolony z działania, postawimy większy, a jeśli i on się sprawdzi, zastąpimy nim wszystkie gruszki w hucie.

– I nie chcesz pan teraz żadnych pieniędzy za patent? Awansu? Mieszkania?

– Pozostanę zatrudniony u pana na starych warunkach. Jeśli mój wynalazek się sprawdzi, porozmawiamy o

wynagrodzeniu.

Wencel umilkł i usiadł w końcu za swoim potężnym biurkiem. Mruczał coś pod nosem, kłął, ze dwa razy zajrzał do ksiąg rozłożonych na blacie, poluzował kołnierz, który ścisnął go jak obroża.

– Cóż, spodziewasz się pan odpowiedzi teraz? – Przeszył Znajdę wzrokiem.

– Im szybciej zaczniemy, tym mniejsza szansa, że ktoś ukradnie patent.

– I racja. Z takimi sprawami trzeba po męsku, wóz albo przewóz. Dobrze, dostaniesz pan cztery tysiące, wybierz ludzi, jakich ci potrzeba, byle niezbyt wielu. Budować będziesz w rogu głównej hali, tam, gdzie niedawno zdemontowaliśmy ostatni z tych starych, wielkich pieców. Daję pół roku...

– Dziękuję – odparł szybko Franciszek.

– Ale pamiętaj, człowieku, jeśli myślisz sobie mnie oszukać, to... to tak cię urządzę, że blizny, które masz na pysku, to małe piwo. Rozumiemy się?

Znajda skinął głową, a Wencel uśmiechnął się szeroko, jowialnie, po czym ścisnął mu dłoń niczym w żelaznym imadle.

Gdy Franek wyszedł z dyrektorskiej przybudówki, Różewicz już na niego czekał.

– I jak? – Podbiegł cały roztrzęsiony.

– Zgodził się.

– Chwała Bogu! Chodź no, niech cię uścisnę. – Eustachy objął Franciszka nieco zbyt euforycznie, tak że ten poczuł się nieswojo.

„41) Nie przywykłem do fizycznych wylewności”, zanotował w myślach.

– No, stary byku! Wylazłeś z kałuży gnoju, ale skończysz

jako milioner! Ja ci to powiadam! – kontynuował majster.
– A teraz idziemy, trzeba opowiedzieć reszcie.

– To gdzie się spotykamy?

– Jak ostatnio, w suterenie Mikołaja. Chodź, chodź.
Będzie co świętować!

Ruszyli w stronę miasta, którego dachy czerwieniły się w ostatnich promieniach słońca. Franciszek był zamyślony – planował już w myślach pracę, pisał listy do podwykonawców, projektował swój generator. Różewicz tymczasem w najlepszym humorze pogwizdywał z rękoma w kieszeniach.

Wkrótce otoczyły ich ściany starych czynszówek z tyłami pokrytymi plataniną drewnianych balkonów i schodków. Zaczęli iść w stronę śródmieścia. O tak później porze miasto było już prawie wyludnione, tylko przed knajpami stały hałaśliwe grupy robotników.

Wkrótce znaleźli się przy farbiarni Hertzla – ostry smród chemikaliów szczypał w oczy nawet teraz, gdy stała pusta i zamknięta. Nieco dalej skręcili na skwer z rachitycznymi drzewkami, minęli dorożkarza, który patrzył na nich krzywo z wysokości kozła, i zaczęli zanurzać się w ciemność oraz stęchłe powietrze żydowskiej dzielnicy, gdzie Sztajmer wynajmował swój mały lokal.

Wpadli na siebie na rogu. Z jednej strony zamyślony Franciszek, z drugiej jakaś mała, pokurczona sylwetka, odziana w biało-niebieski chałat, z twarzą ukrytą pod bujną brodą, nad którą błyszczały druciane okulary.

Znajda odskoczył zaraz jak oparzony, a nieznajomy przewrócił się do tyłu na błotnistą ziemię, przyciskając do ciała torbę, byle nie dotknęła kałuży.

– Przepraszam najmocniej... – zaczął Franek.

Urwał. Jego wzrok napotkał oczy nieznajomego –

półprzytomne ze strachu, wybałuszone.

– Nie chciałem straszyć, spokojnie, tak już wyglądam. – Wyciągnął rękę ku Żydowi.

Ten cofnął się, rozgarniając błoto.

– Poznaje cię – szepnął. – Poznaje. Czemu do mnie przychodzisz, to nie tak ma być, idź precz, zostaw mnie, ja jestem pobożny człowiek, ja przestrzegam Tory i wszystkich sześciuset trzynastu przykazań, ja jestem wiernym dzieckiem Izraela. Idź swoją drogą, ty wyklęty, ty odszczepieńcze.

Na pomarszczone czoło Żyda wybił pot, krew odpłynęła mu z twarzy.

– Nie rozumiem – odparł Znajda. – Coś ci zrobiłem? Czekał, pomogę wstać...

– Idź precz, wędrowcze! Masz swoją drogę! Swoją! – krzyknął tamten, a potem zerwał się na równe nogi i zaczął uciekać w głąb najbliższej bramy.

Franciszek chciał go gonić, ale poczuł na ramieniu szeroką dłoń majstra.

– Wariat – mruknął Różewicz. – Parę blizn zobaczył i prawie zafajdał te swoje szmaty. Nie przejmuj się, Franek. Tfu! Przeklęty naród!

– Nic się nie stało – odparł machinalnie Franciszek, choć był pewien, że nie chodziło o blizny.

Przez krótką chwilę czuł, jak wzrok Żyda przenika mu skórę, zdaje się zaglądać w jakieś niepojęte głębie, do których on sam nie miał dostępu.

Wzdrygnął się.

Do Mikołaja doszli bez dalszych przygód. Wnętrze małej sutereny pachniało już paloną naftą i kwaśnym winem. Na stole, przy którym trzy osoby gięły się przy kartach, stało kilka ciemnych butelek.

Tej nocy Klub Nicponiów świętował do białego rana, a jednak Franciszek cały czas zdawał się zamyślony, próbując sobie wyobrazić, co też nieznajomy mógł w nim zobaczyć.

– Wędrowiec – powtarzał raz za razem, smakując to słowo jak egzotyczną przyprawę.

Wspomnienia, stłoczone gdzieś w ciemnych zakątkach umysłu, przepalone ogniami kuźni, zaczynały się budzić.



Pierwszy obraz, który Maksym jasno pamiętał z dzieciństwa, to plaża. Nie taka ciepła, piaszczysta, jak plaże południowych krajów, które widział w trakcie późniejszych podróży. To była brudna plaża, gdzie szary piasek omywały zgniłozielone fale, kadłuby kutrów rybackich łuszczyły się starą farbą, a nad wszystkim wisiało zimne, ołowiane, październikowe niebo. Powietrze pachniało solą i zdechłymi rybami. Mewa krzyczała z rozpaczą nad zatraconym krajobrazem.

Inne dzieci rzucały w siebie cuchnącymi wodorostami albo goniły się po wydmach, tymczasem Maksym klęczał na granicy między suchym piaskiem a gładkim, ciemnym śladem odbitym przez fale i budował sinymi z zimna rękoma swój wielki zamek. Co jakiś czas przychodziła fala dłuższa od innych, która podkopywała mury i zasypywała fosę, ale on się nie zrażał, z niezwykłą dla sześciolatka ciepłością odbudowując raz za razem podmyte części

konstrukcji. Dłonie ugładzały podstawy wież, wały, blanki...

Nie mógł wygrać z przypływem. Fale przychodziły coraz częściej, aż w końcu doszedł do momentu, w którym przed nadejściem kolejnej ledwo wyrabiał się z naprawą tego, co zepsuła poprzednia. Wkrótce już nawet na to czasu mu nie starczało. Zamek zaczynał powoli tonąć, rozpływał się, coraz dalej mu było do idealnej fortecy z marzeń małego Maksyma. Do ostatniej chwili nie dopuszczał do siebie myśli, że może przegrać, że to już koniec.

Teraz, kiedy kuł tunel w żywym mechanie, to wspomnienie wróciło z niezwykłą jasnością.

Zaczęło się dobrze. Kilof wchodził lekko w porowatą ścianę, a Karra pomagała, ostrymi ramionami wyrównując ściany tunelu. Jednak im większą wyrwę robili w maszynie, z tym większym zapałem ona zaczynała się odbudowywać. Ściany zbliżały się ku sobie ledwo widocznym dla oka ruchem, sufit ciążył do podłogi. Coraz więcej czasu Maksym spędzał nie na kuciu w przód, a na macaniu i poszerzaniu części już wykutej, żeby nie zarosła za nim, żeby nie zamknęła jego i Karry w brzuchu maszyny.

W końcu zdał sobie sprawę, że dotarli do kresu swoich możliwości; już nie drążyli dalej, cały wysiłek pochłaniała obrona tych kilkunastu kroków, które wydarli mechanowi.

Maksym przerwał na chwilę, otarł czoło i spytał:

- Wychodzimy czy...?
- Kop dalej – rzuciła Karra, zajęta odrywaniem ze ścian brył litego mehanu. – Szkoda czasu.
- Nie będziemy mogli się już cofnąć.
- I tak nie mamy po co.

Żadne z nich nie odważyło się powiedzieć najważniejszego: że jeśli teraz opadną z sił, zostaną pogrzebani żywcem.

Maksym zabrał się znów do pracy, choć obtarte dłonie paliły go żywym ogniem, bok kłuł, jakby wbito w niego bagnet, a powietrze świszczało w wyschniętym gardle. Kuł przed sobą, nad sobą, po bokach, zmieniając całe hałdy materii ruchomej w okruchy i odłamki, które pchał do tyłu, w stronę Karry. Robiło się coraz goręcej, duszniej. Z oczyma zalanymi potem walczył z twardą, porowatą ciemnością, która napierała ze wszystkich stron.

W końcu zachwiał się, przed oczyma zawirowały mu czerwone płaty.

– Co się stało? – spytała Karra, którą zaniepokoiło milczenie kilofa.

– Czekaj, tylko chwileczkę – wyświszczał, opierając się ciężko o ścianę.

Mechan szczypał i drapał, powolutku opływając mu ramiona, obrysowując przyłożone do siebie ciało grubym konturem. Maksym chciał zasnąć, zakopany jak w śnieżnej zaspie, przymknąć oczy i nigdy się już nie obudzić.

– Za nami zarosło – rozbrzmiał w mroku głos Karry.

Przygryzł język do krwi, stanął na szeroko rozstawionych nogach i zaczął pracować dalej, wyrzucając przed siebie kilof już nie siłą bolących, zwiotczałych mięśni, a skrętami całego ciała. Styliśko ślizgało się w mokrych od krwi dłoniach.

Uderzenie, szarpnięcie, bryła lądowała pod nogami, odkopnąć ją w ciemność, za siebie, uderzenie, szarpnięcie, uderzenie, szarpnięcie. Łykane haustami powietrze kłuło w płucach i boku, zdawało się, że zaraz rozsądzi spuchnięty, napompowany krwią balon ciała.

Uderzenie, szarpnięcie, uderzenie, szarpnięcie. Stylisko ślizgało się w dłoniach. Uderzenie...

– Pospiesz się, proszę – Karra szepnęła tonem, który go zmroził. – Maksym, to napiera na mnie, zgniata.

Przerwał natychmiast i cofnął się, wymacując dłonią jej spocone, miękkie ciało. Faktycznie – tunel za nimi zasklepiął się błyskawicznie. Byli teraz w długim na kilka kroków powietrznym kokonie; Karra próbowała trzymać sklepienie swoim ciałem, ale mechan nabudowywał się wokół niej. Już chwycił jej tylne nogi, już porastał od dołu brzuch.

– Kop dalej – powiedziała drżącym głosem.

– Nie, poczekaj, najpierw musimy cię uwolnić, pomóż.

Zaczęli pracować razem, aż w końcu Karra znów mogła się ruszać. Zostało wokół niej już tylko kilka brył, które zwieszały się z sufitu jak stalaktyty. Maksym wymacał jedną, wziął zamach.

I wtedy jego kilof, wyrzucony w tył, uderzył o ścianę. Maksym skamieniał. Odwrócił się, macając rękoma, i ze zgrozą odkrył, że na przedzie tunelu, tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał, powiększając wyrobisko, teraz tętniła lita ściana.

Krzyknął rozpaczliwie.

– Co się stało? – usłyszał za sobą przestraszony głos.

– Nic, kop. Musimy kopać dalej.

Teraz byli już zamknięci w niedużej sferze, w malutkiej kuli, o którą desperacko walczyli. Klik-klak. Cyk-cyk. Odgłosy zalewały uszy, nozdrza, usta, tonęły w nich, czuli je na poharatanej skórze. Maksymowi zdawało się, że walczy z całym światem, który napiera ze wszystkich stron.

Przegrywali.

Pasma mechanu wdarły się między nich, opadały z sufitu, wyrastały z ziemi. Już nie było gdzie odrzucać urobku, deptali po martwej maszynie, coraz bardziej się garbiąc. W końcu oboje zostali ściśnięci tak, że ledwo mogli kopać.

– Maksym, proszę, zastrzel mnie – szepnęła Karra.

– Musimy... dalej... – wycharczał. – Zrobiliśmy... dwadzieścia... może trzydzieści... pewnie niedługo...

– Maksym, ja nie mogę się ruszyć.

Próbował wymacać jej dłoń, ale była już pokryta mechanem.

Nim ściana rozdzieliła ich do końca, Karra zwinęła się w kłębek, przytulając się do własnego metalowego brzucha, chroniąc swoje miękkie ciało w koszu wygiętych odnóży. Zdawało mu się, że przez szum maszyny słyszy jej ciche łkanie.

Chciał coś powiedzieć, ale słowa grzęzły mu w gardle. Już drugi raz zawiódł, raz uwalniając mechan, a teraz – gubiąc nieszczęsną kobietę, która uwierzyła mu, która poszła za nim. Obrzydzenie i gorycz spływały w głąb gardła jak śluz, paraliżowały ciało, rwały wnętrzości gorącymi cęgami. Kąciki oczu zatętniły tępym bólem. Nie chciał żyć.

Zamknął powieki i dał się owinąć metalowi oraz ciemności.

Jęknął. Małe zębate kółka zaczęły przecierać skórę, haki cieniutkich ramion wbiły się w ciało. Próbował się szarpać – bezskutecznie. Ściśnięty w coraz ciaśniejszym kokonie, który obierał go powoli ze skóry, zwinięty w sobie, poczuł, że ogarnia go szaleństwo.

To było, jakby wzięty go w kleszcze dwie masy ziemne, jakby dostał się między tektoniczne płyty, które teraz próbowały zetrzeć go na proch. Czuł się żywcem

pogrzebany, utopiony w basenie karaluchów, które skrobały go ze wszystkich stron.

Wił się, umierał. Myśli zaczęły gonić w przeraźliwym tempie, szął, strach i ból mieszały się w jakąś trudną do opisanía masę, która zalepiła umysł.

Maksym transmutował jak substancja w alchemicznej retorcje, sprasowany potężnym ciśnieniem, podgrzany wewnętrznym krzykiem, z głową pękającą od spienionego potoku myśli. Gnieciony, szarpany, duszony, czuł, jakby coś potężnego doginało go w nową formę. Każdy chrapliwy oddech wydawał się oddechem ostatnim, a każda myśl – myślą przedśmiertną. Prądy, na przemian zimne i ciepłe, przebiegały przez ciało. Maksym wrzał.

Nowy stan umysłu eksplodował w nim elektryczną supernową, ciało naprężyło się jak worek, w który wtłoczono wodę pod ogromnym ciśnieniem. Rozwarł przemocą usta i zawył, kalecząc sobie twarz o metal, którego maska zdążyła go porosnąć.

To było, jakby zerwały się w jego głowie kotary, oddzielające od siebie osobne naczynia wspomnień. Teraz wszystko połączyło się, zalało jego umysł światłem i rozpędzonym pociągiem obrazów. Widział świetliste cyfry oraz litery obcego alfabetu, kruszejące w palcach zwoje, pradawne księgi, wdychał nozdrzami kurz. Ale wszystko to wkrótce przesłoniło pragnienie, które było coraz bardziej palące, wlewało się w ręce i nogi, utwardzając je jak granit, dając im niespodziewaną siłę – pragnienie życia.

Maksym zaczął kręcić się na boki, rozrywając krępujący go mechan. Zaczął młócić rękoma jak młotami, miażdżąc porowatą maszynę. Wkrótce pływał już w bańce utworzonej z luźnych elementów. Zagarnął urobek za

plecy, po czym zaczął rwać gołymi palcami mechanizm przed sobą, wypluwając części, które wciągał z każdym cedzonym przez zęby oddechem.

I tak płynął w mechanie, wolniej niż w smole, każdy przebyty metr znacząc własną krwią. Wiedział, że powoli ściera swoje ciało, że okalecza się, ale to nic nie znaczyło przy tym potężnym, ogłuszającym głosie, który objął się pod czaszką i kazał iść – w przód.

Coś zaczęło migotać przed nim, plamy blasku skakały po siatkówkach. Czy ślepi? Czy – poruszany jak kukła przez mistyczne siły – starł o mechan powieki oraz gałki oczne, a to, co widział, było skrzeniem odsłoniętych nerwów wzrokowych? Próbując rozbić miraż, uderzył w niego wściekle.

Pięść przebiła cienką skorupę i trafiła w pustkę.

Zaskoczony, rozprostował palce, obrócił dłońią na wszystkie strony, nie czując zupełnie niczego. Potem cofnął ją lekko, wymacał obrzeża dziury i pociągnął, krusząc płat mechanu.

Światło zalało go, kłując oczy rozżarzoną szpilą, przebijając mózg. Zamarł na chwilę. Potem otworzył powieki i patrzył, próbując wyłowić z bieli jakieś kontury.

Zaczęły się pojawiać miejsca ciemniejsze, długie linie. W końcu Maksym zdał sobie sprawę, że ma przed sobą żebrowany dach oranżerii.

Naparł całym ciałem na cienką błonę, która dzieliła go od świata żywych, przerwał ją i upadł na kolana, prosto w śnieżną, świetlistą biel, ociekając krwią, wrzeszcząc oślinionymi ustami.

Wydarł się z szorstkiego łona mechanu.

Narodził się z maszyny.



Lato zmieniło się w jesień. Dojrzałe, jasne słońce, którym nabrzmiewało jeszcze niedawno miasto, teraz przymarło i wyblakło. Fasady kamienic z pastelowych stały się szare, a błoto wypełniło boczne uliczki, kipiąc, wylewając się na bulwary, gdzie latarnie wyciągały się ku górze, ku stalowym chmurom o wadze cetnarów ołowiu, próbując uciec przed rdzawobrazową powodzią.

Franciszek ledwo to zauważył. Jeśli nie siedział przy desce projektowej w biurze Wencla, to doglądał rzemieślników albo słał ponaglące listy do fabryk, w których zamówił części maszyny. Resztę czasu spędzał w bibliotece, ciągle od nowa rozważając swój pomysł – i to, czy może się udać. Stracił kontakt z Różewiczem, podczas obiadów nie mówił z nikim, a po posiłku zamykał się w swoim pokoju. Uprosił dodatkowy klucz, by móc przychodzić o jeszcze późniejszej godzinie, gdy domownicy dawno już spali. Nie zważał na to, że Zofia zaczęła patrzeć na niego z ukosa, nie otwierał pokoju dzieciom, które chciały, żeby przeczytał im kilka stron bajki. W końcu przestał nawet pojawiać się na spotkaniach Klubu Nicponiów, co dla reszty mężczyzn było pewnym znakiem, że nowa praca uderzyła mu do głowy.

– Straciliśmy przyjaciela – rzekł smutno Słuka.

– A carski Babilon zyskał sługę – jadowicie dodał Maurycy.

Któregoś z kolei chłodnego popołudnia Franciszek szedł do biblioteki, gdy z drugiej strony alei dobiegł go krzyk:

– Franek!

Obrócił się gwałtownie.

Na skraju chodnika stał ktoś, machając ręką, ale zaraz rozdzielił ich tramwaj konny, który powoli przetoczył się środkiem ulicy, świecąc zza brudnych szyb rzędem bladych twarzy.

– Franek! – krzyknął ponownie mężczyzna i przebiegł na drugą stronę.

Teraz Znajda go poznał, uścisnęli się serdecznie.

– Mikołaj! Ale wychudłeś... – Franciszek zlustrował przyjaciela od stóp do głów.

– Co poradzisz, taka dieta w cytadeli.

– Zamknęli cię? – Franciszek otworzył szeroko oczy.

Chciał rzec, że Eustachy nic mu nie powiedział, ale zdał sobie sprawę, że nie rozmawiał z inżynierem od tygodni.

– Ano tak się trafiło.

– Ale jak? Dlaczego?

Mikołaj rozejrzał się po ulicy, po czym chwycił Franciszka pod ramię i nachylił się do jego ucha.

– Na ulicy nie będę mówił, kto wie, mogą mnie śledzić. Jak masz chwilkę, to podejźmy gdzieś. Mam parę rzeczy do powiedzenia.

– Dokąd niby?

– Najlepiej do łaźni na Jabłońskiej. Tam nikt nam nie przeszkodzi.

Ruszyli pod ramię wzdłuż ulicy, a figury tytanów, dźwigających na barkach kruszące się balkony, śledziły ich martwym wzrokiem.

– Tymczasem mów: co tam u ciebie? – spytał po chwili Mikołaj.

– A, praca. Generator powinien ruszyć wkrótce, a wtedy...

– Tyle to wiem od Różewicza, nie o to pytałem. Jak

twoja pamięć? Mówiłeś kiedyś, że próbujesz dojść do tego, kim byłeś wcześniej, zapisując odruchy, instynkty...

Franciszek westchnął, sięgnął za pazuchę, po czym wyciągnął swój mały notatnik i podał go Mikołajowi:

– Tu masz wszystko, co wynotowałem. Czterdzieści cztery punkty, które miały mi otworzyć oczy na to, kim jestem naprawdę. Problem wynikał jeden: te punkty nie mają żadnego sensu. Tyle się nad nimi głowiłem, że już mam dość, ostatnio przestałem nawet zapisywać nowe, mam ważniejsze rzeczy na głowie.

– Ważniejsze niż odkrycie własnej przeszłości?

– Gdybyż to było proste! – prychnął Franciszek. – Ale to przecież nie tak. Nie mogę być nawet pewien, czy to naprawdę są strzępki mojego poprzedniego życia. Może jestem człowiekiem zupełnie nowym, *tabula rasa*, może tylko się łudzę, podczas gdy mam przed sobą szkielec nowej duszy, którego nie rozwijam, zamiast tego grzebiąc w tym, co już było, w zgniłym trupie.

Przed nimi na końcu ulicy widać już było miejskie łaźnie. Artemida, pochylająca się z dzbanem nad wejściem neoklasycznego budynku, miała odstrzelony nos. Przy chodniku stało kilka dorożek, a w hallu z wielkimi żyrandolami kłębiło się mrowie mężczyzn.

Weszli do środka i Franciszek stanął na chwilę, podziwiając wysokie sklepienie.

Zechciał dodać do notatnika, że nie wie, co robić w miejskiej łaźni, ale brulion wciąż był w rękach Mikołaja, który przewracał strony ze zmarszczonym czołem.

Oddał mu go dopiero w szatni, gdzie rozbierali się niespiesznie wśród gwaru obcych głosów.

– Dla mnie wszystko jasne: cały nasz świat wydaje ci się dziwnym i obcym, a znaczyć to może jedno. Jestem

pewien, Franciszku, że pochodzisz z głębokiej prowincji – słyścieś pewnie o tych religijnych wspólnotach, które wierzą, że car to szatan, i chowają swoje dzieci w sekrecie przed światem?

– I to twoim zdaniem wszystko tłumaczy? – Franciszek wskazał notatnik.

– Większość.

– Na przykład racjonalne poglądy, sprzeciw wobec zabobonu, wyzysku?

– Albo to, albo... Czytałeś może taką powieść francuską *Paris avant les hommes*? Tam właśnie pisarz rozważa, co by było, gdyby człowiek mógł płynąć w dół i w górę czasu. Może jesteś rozbitkiem z przyszłości? Może dlatego dziwi cię tak nasz świat, jak i obyczaje?

– Bzdura. Mówię po polsku.

– Więc byłeś Polakiem. Z niezbyt odległych czasów, powiedzmy pięćdziesiąt, sto lat. No, spróbuj sobie przypomnieć coś: ile powstań było, który car teraz panuje, a najosobliwiej jakie papiery szły w górę na giełdzie w Amsterdamie.

Chwilę patrzyli na siebie, a potem roześmiali się równocześnie.

– Ładne bajki wymyślasz, Mikołaju. Dziecko zdziczałych odmieńców albo gość z czasów, które nadejdą. Piękny wybór.

Weszli w parny ukrop sali z gorącym basenem. Franciszek poczuł się przez chwilę, jakby zdarto z niego ciało, ledwo mógł oddychać, bo powietrze parzyło gardło, zaś oczy musiał przymrużyć. Dopiero po chwili, kiedy przywykł do temperatury, zobaczył, że Mikołaj już zajął miejsce na kamiennej ławce, daleko od innych gości.

Tam, ukryci przez kłęby dymu i szmer głosów, mogli

wreszcie rozmawiać spokojnie.

– Chciałeś wiedzieć, za co mnie zamknęli – podjął Mikołaj. – Byłem, widzisz, na tajnym spotkaniu klubu styczeniowego, na które przyjechał brat ze wspólnoty robotniczej w Niemczech, żeby wykładać o nowym sposobie zarządzania fabryk, przywiózł pamflety o prawie do podziału zysków, ośmiogodzinnym dniu pracy... A w środku wystąpienia ktoś krzyknął, że dom otoczony. I zaraz z ulicy zaczęli prac w okna, żeby nas wykurzyć. Zaroiło się od carskiej policji, kilku naszych się przedarło, ale mnie złapali. Żebra mi obili, łeb zgolili, już w myślach przeżywałem każdy krok wędrówki na Sybir, ale sędzia okazał się przekupny, rodzina pomogła, wypuścili mnie po miesiącu.

– Nie rozumiem. Ty? Na spotkaniach rewolucjonistów? – zdziwił się Franciszek.

– Czytałeś ostatnio gazety?

– Mało mam czasu. Coś tam słyszałem o nowych cłach na bawełnę i...

– A, ja nie o tym. Wystaw sobie, w Anglii tydzień temu połączyły się wszystkie związki zawodowe, założyły centralę i razem będą wpływać na rząd. Ale tego pewnie i tak byś w naszych dziennikach nie wyczytał. Car boi się socjalistów gorzej niż święconej wody.

– I co to w ogóle znaczy dla nas? – spytał Znajda.

– A to, że w Europie wolni, łaknący sprawiedliwości ludzie na nowo gromadzą się i organizują. Zaczyna się kolejna walka z ciemżycielami, którzy już myśleli, że przetręcili nam kark, już myśleli, że mogą siedzieć spokojnie na aksamitnych krzesłach, dusząc pod tyłkiem ludy całego kontynentu.

– Gadasz jak Maurycek...

– Zapewniam cię, on by użył mocniejszych słów. Ale masz rację, kiedyś myślałem jeszcze, że historia będzie się dziać obok mnie, przejdzie jakoś tak obojętnie. Ale teraz czuję coraz mocniej – tak jak walczyli nasi ojcowie i dziady, tak i my walczyć będziemy. Mówię ci, Franciszku, wkrótce będzie drugi czterdziesty ósmy, a potem może i drugi sześćdziesiąty pierwszy. Wiadomo nawet, gdzie się wszystko zacznie. We Francji, jak zawsze.

Franciszek machnął ręką, zostawiając w gęstej parze bruzdę, którą powoli zalały białe kłęby.

– Głupoty! Czytałem ostatnio, że ośmiu z dziesięciu popiera Napoleona III.

– To w całym kraju. Ale w Paryżu tylko dwóch z dziesięciu. Biedota z przemysłowych dzielnic będzie nowym ładunkiem prochu, który obróci w perzynę stary porządek. I zacznie się to już wkrótce, przyjacielu. Już wkrótce...

To mówiąc, chwycił leżącą na skraju ławki witkę świeżych pokrzyw, podał ją Znajdzie i spytał:

– Zrobisz mi przysługę?

Potem zsunął z siebie ręcznik, a Znajda zaczął go chłostać po plecach i bokach. Napęczniałe od gorąca i pary, upstrzone cętkami siniaków ciało Mikołaja zaczęło czerwienić się jak burak.

– Będziesz musiał... opowiedzieć się... po którejś... stronie. To ci chciałem... powiedzieć – mówił Sztajmer między chłaśnięciami pokrzyw. – Teraz każdy człowiek... jest na wagę złota. Przyłącz się!

– I co wtedy? Co, kiedy będziecie mieli swoją rewolucję? Zetniesz na gilotynie Wencla, bo Żyd i kapitalista? A co ze Słuką i Różewiczem, którzy stary ład popierają? Poślesz ich na szafot?

– Wolisz, żeby burżuje wygłodzili nam całe pokolenia?
Żeby car nas zmienił w swoich rabów?

– Burżuje, burżuje... A taki Ratajczak prowadzi dom dla pozbawionych pracy.

– Tylko po to, żeby się przypodobać Kościołowi.

– Ale bez niego ludzie gniliby po rynsztokach.

– Gdyby nie tacy jak on, tych ludzi przede wszystkim nie byłoby w mieście.

Franek pokręcił energicznie głową i podniósł się.

– Ochłostać? – spytał Mikołaj.

– Sam wolę. – Znajda wyciągnął mu z dłoni witkę, a następnie stanął w kłębach pary i zsunął z siebie ręcznik.

Pokrzywy chlasnęły go po plecach, zostawiając szeroki czerwony ślad. Mikołaj tymczasem rozdziawił usta ze zdziwienia. Patrzył to w dół, to na twarz Franciszka, a mina z każdą chwilą robiła się coraz bardziej groteskowa.

W końcu wydusił z siebie:

– Aj, waj! Ty Franek się nie obrażaj, ale tyś mi mógł wcześniej powiedzieć.

– Co wcześniej? – Znajda uderzył się ponownie.

– Ty, Franek, jesteś żyd! – wykrzyknął Sztajmer, chwytając się za głowę.

Witka znieruchomiała.

– Co? A skąd wiesz?

– Bo ty jesteś obrzezany! Rozum żeś stracił? Jak można być żydem i o tym nie wiedzieć?

Witka upadła na kafle.



– Dziękuję – powiedziała z zamkniętymi oczyma, rozciągnięta na trawie.

Światło, przesączaając się przez koronę drzewa, rzucało koronkowy półcień na jej blade ciało. Pajęcza odnóża leżały bezwładnie, rozluźnione i wyprostowane.

– Za co? – Maksym odwrócił się na bok, przesunął wzrokiem po łagodnym profilu jej twarzy, zjechał spojrzeniem na długą szyję, wspiał się na piersi, zsunął na brzuch, aż w końcu, gdy trafił na wałek blizny, spojrział z powrotem w niebo. – Przeze mnie o mało nie zginęłaś.

– Wróciłeś po mnie, to się liczy.

– Gdyby nie moja głupota, nie musiałbym cię ratować.

– Ale teraz jestem tutaj. I jest pięknie.

Umilkli, patrząc na niebo. Rozumiał ją, sam czuł się, jakby był w raju – leżał na miękkiej trawie obok pięknej kobiety w jasny dzień, opity wodą z fontanny, która teraz smakowała jak ambrozja.

To było prawie jak piknik.

Piknik z kobietą potworem pod niebem bez słońca i chmur, w parku, w którym nie ruszał się ani jeden liść, u podnóża skrzącego się muru żywej maszyny. Uśmiechnął się.

– To mógłby być mój moment – powiedział.

– Co?

– Opowiem ci potem. Teraz będziemy mieli bardzo dużo czasu.

Jej twarz nagle spoważniała.

– Maksym, co my właściwie zamierzamy robić?

– Najpierw chyba powinienem wrócić do Emilii. Musi wiedzieć, co się stało. A potem? Cóż, chyba spędzimy tu chwilę – z tego, co wiem, nie ma stąd łatwego wyjścia.

Przerwał, widząc, jak Karra robi się coraz smutniejsza.

– Ja... wolałabym nie pokazywać się ludziom w takim stanie – szepnęła.

– Bzdura, przecież pokazałaś się mnie.

– Tylko dlatego, żeś wlaźł do mojego domu. Zresztą nie tyle pokazałam się, co chciałam urwać ci głowę.

– Wyglądasz pięknie. – Słowa popłynęły same, Maksym nie miał okazji nawet się nad nimi zastanowić.

Skrzywiła lekko wargi.

– Daj spokój, Maksymie. Może nie pamiętam wiele z prawdziwego świata, ale wiem, że dla ludzi będę tylko ohydny potworem.

Odmruknął coś i podrapał się po boku. Szorstka jak kora powierzchnia, którą tam poczuł, sprawiła, że coś sobie przypomniał.

– Po namyśle... Może i ja nie powinienem się pokazywać? – Podniósł do oczu dłoń: poszarpaną, okrwawioną, zaskorupiałą od strupów.

Wciąż nie czuł bólu i dziękował za to Opatrzności, bo całe jego ciało było jedną wielką raną. Przejrzał się w błyszczącym odwołoku Karry i z trudem dopuścił do siebie myśl, że ta łysa, okaleczona istota to jego nowe ciało.

– Ładna z nas para – rzekła, widząc, jak Maksym wpatruje się we własne odbicie.

– Na to wygląda. Dno doliny niesamowitości.

– Doliny czego?

– Nieważne, to z moich czasów.

Znów chwilę milczeli, odpoczywając.

– Miałeś rację – rzekła w pewnej chwili Karra. – Ściana to nie na nas, on chciał się tylko odgrodzić, odciąć od reszty świata, stworzyć własną domenę z własnymi regułami, własnym czasem.

Maksym spojrzął za siebie na skrzący się płaskowyż mosiądzu. Po tej stronie nie widział muru, co wydawało mu się niepokojące; mechan w oranżerii miał ledwie parę metrów i nie rósł wyżej, przynajmniej tak daleko, jak sięgało oko. To, że przekopali tak długi korytarz, wydawało się nieprawdopodobne. Czyżby zatem maszyna zaczęła zmieniać samą przestrzeń swojej krainy? Czy naprawdę posiadała władzę, jaką wcześniej miał tylko mąż Emilii?

– Nic już mu nie przeszkodzi – rzekł. – Będzie budował swoje mechaniczne miasta, swoich mechanicznych ludzi... Miejmy tylko nadzieję, że kiedyś nie przyjdzie mu ochota na wojnę.

Karra wzruszyła ramionami.

– Mechan tak nie myśli, nie sędzę, żeby ludzie byli dla niego ważniejsi od karaluchów. To miejsce jest bezpieczne. Jeśli tego właśnie chciałeś, to chyba jednak się udało.

- Tyle tylko, że jestem uwięziony.
- Może znajdziesz inny sposób.
- Szczur, nie mucha – szepnął Maksym.
- Słucham?
- Nic, masz rację. Muszę być cierpliwy.
- No właśnie, a ja ci w tym pomogę. Ćwiczenie pierwsze: nie ruszamy się stąd, póki nie powiem. Mam ochotę jeszcze chwilę poleżeć.

Skinął głową, a potem przymknął oczy i usnął, słysząc tylko bicie swojego serca i odległe, niestraszne już cykanie mechanu.



Od tej pory Karra i Maksym krążyli po szarych, pogrążonych we mgle obrzeżach dzielnicy. Zmieniali mieszkania jak rękawiczki, mieli dla siebie całe ulice i całe place, szare, ciche, wyludnione. Czasami Maksym opowiadał o swoich poprzednich podróżach, a Karra słuchała chętnie, chłonąc opowieści z wypiekami na twarzy. Ona z kolei opowiadała mu o logicznych symetriach, których doświadczyła, będąc złączona z mechanem, o wielowidzeniu, o wszechprawdzie, o trudnym do pojęcia duchowym życiu maszyny.

Gdy czuli, że pora odpocząć od siebie nawzajem, a samotniczy instynkt brał w obojgu górę, Maksym ruszał szukać bramy, którą mogliby uciec. Krążył roztopioną krawędzią dzielnicy, gdzie wszystko traciło formę i substancję, stawało się nierzeczywiste jak wspomnienie malarycznego snu.

Tymczasem Karra w bezludnych kamienicach próbowała

przypomnieć sobie, jak to jest być człowiekiem. Podchodziła do domowych sprzętów i muskając je niepewnie rękoma, próbowała przywołać wspomnienia poprzedniego życia. Z początku czuła obawę, jakby te rzeczy były artefaktami obcego świata, których nie wolno jej było dotykać. Ale szybko się przełamała – paliła w węglowych kuchenkach albo rozgrzewała żelazka, nosiła i gotowała wodę bez żadnego celu, delektując się samą czynnością. Gdy jej ręce dotykały tamborka, grzebyka albo innego małego przedmiotu, zamierała na długo, próbując ułożyć szum, który budził się w jej głowie, w składne wspomnienia.

Rany na ciele Maksyma długo pozostawały otwarte, jednak nie wykrwawił się ani nie umarł od zakażenia. Na krawędzi czasu i nieczasu, jedną nogą w dzielnicy, a drugą poza nią wszystko powoli zarosło, aż w końcu jego ciało pokryła siatka grubych blizn. Nie rozpaczwał nad tym. Zaczął co prawda nosić długi płaszcz i chustę na twarzy, ale nie ze wstydu, a po to, żeby nikt nie poznał go przypadkiem w czasie długich wędrówek po dzielnicy.

Tymczasem brama wciąż pozostawała nieuchwytna. Przystawał powoli wierzyć w jej istnienie, zaczęło do niego docierać, że może to koniec drogi, że nie znajdzie wyjścia.

Z jakiegoś powodu ta myśl już go nie przerażała.

Nie potrafił czuć znudzenia, zupełnie jakby nieczas zatrął go, odebrał ludzkie postrzeganie świata. Zapadał w moment, taki jak u mieszkańców dzielnicy, tylko nieco dłuższy: poszukiwanie niedoścignionego skarbu, a potem spokojne chwile u boku wspaniałej kobiety, trochę odpoczynku, nim znowu usłyszy zew szlaku.

Chwila, w której to wszystko runęło, była dla niego jak

uderzenie w twarz.

Skończył właśnie obchodzić małe podwórko, gdzie co jakiś czas pojawiały się drzwi do innych części dzielnicy, zbadał suterенę, z której raz udało mu się przedostać prawie pod park. Stwierdziwszy, że od ostatniej wizyty nic się nie zmieniło, wszedł w zaułek, który wąskim klinem wbijał się między pozbawione okien ściany kamienic.

Wtedy na głównej ulicy zobaczył dwie postacie pogrążone w rozmowie. Pierwszą był dziadek, którego Maksym spotkał już parę razy podczas swoich wypraw – ze wszystkich mieszkańców dzielnicy ten zapuszczał się najdalej, bo jego momentem był spacer przez bezлюдne okolice.

Drugiego człowieka z początku nie poznał – wysoki, szczupły mężczyzna w dżinsach i bluzie, odwrócony tyłem, krótko obcięty. Chwycił starego za poły fraka, coś próbował tłumaczyć.

Maksym cofnął się pod ścianę, w ciemność, wstrzymał oddech.

Patrzył na siebie.

Chwilę obserwował rozmowę, czując, jak narasta w nim dziwna wściekłość. Spokój ducha przysnął bez śladu. Czuł się, jakby ktoś ukradł mu coś cennego, osobistego – twarz, imię, wygląd. Jakby po skórze i włosach świat odebrał mu prawo do własnej tożsamości.

Spojrzał na swoje poryte bliznami dłonie i zacisnął je ze wściekłości.

Co tu robił ten drugi? Dlaczego przyszedł?

W głowie roilo się od pytań, ale na żadne nie potrafił znaleźć odpowiedzi – wypełniały go tylko frustracja i wściekłość.

Zgrubienia blizn na pięściach zaczęły sinieć jak od tajemniczej choroby.

Ku swemu przerażeniu Maksym poczuł, że ma ochotę naprawić to wszystko – pójść za drugim Maksymem, tym sobowtórem, tym uzurpatorem, a potem znienacka uderzyć go kolanem w nerki, powalić na ziemię i tłuc jego głową o bruk, aż znieruchomieje w kałuży krwi.

Ale ten pomysł szybko minął. Została tylko rozpacz człowieka, którego najpierw pozbawiono tożsamości, a potem spokoju, zaznanego pierwszy raz w życiu.

Tymczasem drugi odwrócił się – prosto w jego stronę.

Maksym odskoczył w mrok, wiedziony bardziej instynktem niż kalkulacją. Przyczajony, zastanawiał się chwilę, czy nie wyjść, nie przywitać tego drugiego i powiedzieć mu, kim jest.

Nim zdołał podjąć decyzję, sobowtór ruszył ulicą, rozglądając się na boki. Maksym spojrzął za nim ponuro. Mógł go śledzić, ale to przecież nie miało sensu. I tak z góry wiedział, co zrobi: zwiedzi dzielnicę, spotka ludzi zamrożonych w momencie, zostanie aresztowany przez policjanta, który szuka złodzieja z notatnikiem księcia...

Oczywistość trafiła Maksyma jak rozpędzony pociąg.

Notatnik! Został przecież skradziony tuż przed jego przybyciem! A biorąc pod uwagę, ile czasu zmarnował wtedy, błądząc po dzielnicy, kradzież jeszcze nie nastąpiła, może właśnie się rozgrywała, może zacznie się za moment! Miał jeszcze szansę jej zapobiec!

Notatnik Konstantego, tajemnice człowieka, który potrafił wyrwać z rzeczywistego świata całą dzielnicę, arcymistrza wiedzy tajemnej – czy mogło istnieć coś cenniejszego?

Maksym zerwał się do biegu. Wpadł w boczną uliczkę,

ślizgając się na bruku, przemknął przez tunel długiej bramy. Pędził zapomnianymi zaułkami ku świetlistemu środkowi dzielnicy, wiedząc, że ściga się z czasem. Serce łomotało mu jak dzikie, przeklinał słabe nogi i swoją sztywną skórę, ściągniętą ściegami blizn, ograniczających swobodę ruchów.

W końcu wypadł na plac – para ludzi przed jedną z bram nawet nie obejrzała się w jego stronę, policmajster drzemał, oparty o latarnię. Maksym zwolnił nieco, wyciągnął z torby naganta i odciągnął kurek. Spodziewał się, że złodziej będzie niebezpieczny, mógł być tworem Zegarmistrza albo czymś jeszcze gorszym.

Powoli przeszedł otwartą przestrzeń brukowanego placu, która dzieliła go od płotu rezydencji. Nie spuszczał przy tym oka z dwuskrzydłowych drzwi oraz zaciągniętych kotarami okien.

Wkrótce stał już pod wejściem. Zawahał się. Nie chciał, żeby księżna zobaczyła go w obecnym stanie, bał się wywołać jakiś dziwny paradoks. Przecież Emilia nie wspominała o spotkaniu z poblížnionym człowiekiem – gdyby go zobaczyła, wszystko mogło potoczyć się inaczej, a wtedy on, Maksym, który uratował Karrę z krainy mehanu, nie miałby prawa istnieć.

Po namyśle cofnął dłoń od klamki. Zszedł z ganku na równo przystrzyżony trawnik i poszedł wzdłuż muru, aż dotarł pod wysokie, półotwarte okna gabinetu. Wystarczyło wejść na występek w murze, odbić się, chwycić parapet... Dłonie ślizgały się na gładkim kamieniu, ale jedna zdołała wymacać okienną ramę. Podciągnął się i przerzucił ciało na drugą stronę. Miękki dywan zamortyzował jego upadek. Maksym zaraz poderwał się i rozejrzał, ale ciemny gabinet wydawał się pusty. Biurko

stało przykryte kurzem, fotel był lekko odsunięty. Podeszedł do niego szybko, otworzył szufladę i odetchnął z ulgą. Pamiętnik wciąż tam był – gruby tom oprawiony w skórę.

Maksym położył rewolwer na blacie, wyciągnął się w fotelu i czekał.

Mijały minuty. Zegar tykał, zasłony falowały lekko, ale nikt nie przychodził. Dom był cichy, a skąpany w świetle plac, który widział przez okno – pusty.

Z nudów Maksym otworzył jeszcze raz szufladę biurka i położył dłoń na ciemnej skórzanej okładce. Tajemnice, które kryły się pod nią, zdawały się go wzywać. Miał ochotę...

Wtem wybuchnął śmiechem, rozbawiony absurdem całej sytuacji. Jak mógł wcześniej o tym nie pomyśleć?

Teraz rozumiał! To on był złodziejem, to on zabrał notatnik, żeby poznać sposób ucieczki z dzielnicy.

Miał szczerą ochotę odszukać Emilię, wytłumaczyć jej wszystko i po prostu pożyczyć księgę, ale bał się, że zepsuje jeszcze więcej w konstrukcji, która na jego oczach rozchodziła się w szwach.

Wsunął więc tom pod płaszcz, schował pistolet, a potem kucnął na parapecie i zeskoczył na trawę. Rzucił ostatnie spojrzenie za siebie, próbując nie myśleć o rozpacz, której dozna księżna, straciwszy ostatnią pamiątkę po mężu. Ale przecież pocieszył ją wcześniej, pomógł jej zatrzymać mechan. Byli kwita, zapłacił z góry.

Kiedy dotarł do krawędzi placu, z okien gabinetu dobiegł rozpaczliwy kobiecy krzyk. W tym momencie Maksym zerwał się do biegu, pędząc ku granicom dzielnicy, z dala od światła i ludzi.

Zastał Karrę przy szyciu. Siedziała w ich ostatniej

kryjówce – bogato umeblowanym apartamencie, którego ściany pokryte były starym obrazami w grubych złotych ramach. Jakoś zdołała usadzić odwłok na stołku, zdjęła z okna bordową zasłonę i szyła na klekoczącej maszynie Singera coś z grubsza przypominającego koszulę.

Przez chwilę Maksym patrzył, jak pajęczce, ostro zakończone odnóża klinują się w oczkach odlanych z żeliwa pedałów, aż w końcu wszedł do pokoju.

– Znudziło ci się tak szybko? – spytała, nie przerywając pracy.

Położył pamiętnik na stoliku przed nią.

– Co to jest? – Przesunęła wzrokiem po ciemnej oprawie.

– Dziennik księcia Konstantego.

– Przecież opowiadałeś, że go skradziono! – zdziwiła się.

– Więc znalazłeś złodzieja?

Maksym wziął głęboki oddech.

– W pewnym sensie. Posłuchaj, z jakiegoś powodu jesteśmy w czasie, gdy był jeszcze na miejscu, przed moim przybyciem do dzielnicy. Widziałem właśnie siebie samego zaraz po przejściu przez bramę i wpadło mi do głowy, żeby sprawdzić, czy notatnik jest na swoim miejscu. Był i dlatego wziąłem go. Sądzę, że z jego pomocą...

Przerwała pracę, a kółko maszyny chwilę jeszcze kręciło się siłą rozpędu, igła kłuła materiał w tym samym miejscu, nanosząc kolejne warstwy szwu.

– Co?!

– Zabrałem notatnik. Przecież to nasza jedyna szansa! Wiedza, która jest w środku...

– Hola, mój panie. Nie o to pytam! Kogo widziałeś?

– Samego siebie, tuż po wejściu do dzielnicy, a przed pierwszym spotkaniem z Emilią.

Sapnęła ciężko.

– Maksym! Ty wiesz, co to znaczy, jakie mogą być implikacje? Jaki to w ogóle ma sens? Że niby jesteśmy w czasie przed twoją wyprawą do serca mechanu? Ale to by znaczyło, że mistrz żyje, że gdzieś jestem druga ja...

Chwycił ją mocno za ramiona.

– Może czas dzielnicy jest odrębny od czasu krainy mechanu, tak jak oba są odrębne od czasu rzeczywistego świata. Ale czy to ważne? Mam dziennik! Dzięki niemu możemy znów ruszyć, pójść w nowym kierunku.

– Chyba oszalałeś. Jak niby?

– Posłuchaj. Mąż Emilii, księżę Konstanty, to był przecież zwykły człowiek, a dokonał takich cudów! – Maksym zatoczył rękoma koło. – Ja nie chcę stworzyć całej dzielnicy, tylko miejsce dla nas gdzieś, gdzie będziemy mogli mieszkać we dwoje, spokojnie...

Urwał w pół słowa, zdając sobie sprawę, że oto zdradził się z najgłębszych myśli. Uśmiechnął się lekko, próbując zbagatelizować to, co właśnie powiedział.

Karra patrzyła na niego dziwnie, jej mechaniczne nogi ugięły się.

– Myślałam, że chcesz wrócić do siebie.

– Popatrz tylko na mnie. Nie należę już do świata ludzi. Zresztą jedno nie wyklucza drugiego. Może kiedyś, kiedy znajdę sposób, żeby uleczyć nas oboje... Ale do tego czasu przecież potrzebujemy domu, nie możemy ciągle koczować na tych przeklętych obrzeżach światów.

– Mogłeś mnie chociaż spytać, czy chcę żyć razem!

– Zamierzałem, ale...

– To zapytaj.

Odetchnął głęboko.

– Czy chcesz odejść ze mną? Zamieszkać we dwójkę, z

dala od ludzi, maszyn i całego świata?

Przez moment jej twarz była nieruchoma jak u posągu, ale po chwili uśmiechnęła się tak, że poczuł, jak coś się w nim topi.

– Chcę.

Pragnął coś jeszcze dodać, w jakiś sposób wytłumaczyć, co czuje. Ale cisza, która zawisła w pokoju, nie zniosłaby kliwionych słów, a Maksym bał się ich jak ognia.

Poza tym ze wzroku Karry wnioskował, że nie ma już nic do powiedzenia. Zbliżył się, zamknął jej dłonie w swoich, a potem pocałował ją – lekko, ostrożnie. Usta miała jak wyrzeźbione z lodu.

– Maksym, zanim w ogóle... – szepnęła mu do ucha. – Ja cię muszę ostrzec, przecież nie jestem kobietą, nie jestem nawet żywa w normalnym sensie tego słowa. Uważam, że popełniasz...

Powtórzył pocałunek.

– Zobaczmy, co jest w pamiętniku – rzekł.

Skinęła głową.

Usiadł na kanapie i powoli otworzył tom. Pierwsza strona zapisana była po polsku – pięknym, smukłym pismem, jakim władali ludzie w dawnych czasach, większość życia spędziwszy z piórem w dłoni.

16 czerwca 1870, Sewilla,

17 siwan 5630 Anno Mundi

Powiedziałem sobie, że dobrze by zacząć pamiętnik. Muszę sam przed sobą ułożyć to, co rabbi Ben Raszman wyklada mi w conocnych lekcjach na tyłach synagogi – a to dziwna wiedza, którą trudno utrzymać w głowie, unosić się zdaje jak puch lekki, wylatywać uszami, tak że już kilka

godzin potem nie jestem w stanie przypomnieć sobie połowy tego, co mówił. Zostaje tylko jakiejś rozprężenie ducha, świadomość, że doznało się czegoś ważnego – i tortura, że nie potrafi się tego odnaleźć w pamięci. Zaczynam powoli rozumieć istotę Zoharu, jego niejednoznaczność, zagadki, których warstwy ujawniają się przy kolejnych czytaniach, oraz fakt, że nie sposób po prostu czytać go od strony pierwszej do ostatniej, bo otrzymamy tylko szalony bełkot. Chyba zacznę pojmować ów język gałęzi, który co rusz daje słowom nowe znaczenia. Wiem już, że do wszystkiego potrzeba odpowiedniego klucza. To postępek, ale czuję się, jakbym ciągle krążył przed bramą ogrodu, ciesząc się z małych chwastów, które wystają między kamieniami, podczas gdy prawdziwe bogactwo jest skryte przed moim wzrokiem. Jeśli to pierwsza przemiana, zostały mi jeszcze sto dwadzieścia cztery. Za mało, zbyt wolno. Nie mogę sobie pozwolić na stratę czasu; pobyt tu i tak wiele mnie kosztuje, czytam w gazetach, że wkrótce wojna. Trzeba by zakręcić się po gabinetach Montaubana i podać mu parę wynalazków, zamiast siedzieć w najpodlejszych dzielnicach Sewilli, jeść cebulę i znosić zapachy dwunastoosobowej rodziny, od której podnajmuję jedną izbę, brudną zresztą tak, że chyba tylko karaczany nie brzydzą się do niej wejść...

Czasem myślę, że rabbi ze złośliwości jeno każe mi mieszkać przy synagodze, nie mogę dać wiary jego teoriom o tym, jak miejsce potrafi wpłynąć na sens słów w taki sam sposób, w jaki przestrzeń

wpływa na ich brzmienie. A jeszcze upiera się, by na przemian z wiedzą tajemną uczyć mnie jakichś modlitw z Talmudu, jakichś zwyczajów zapomnianych, zupełnie jakby powziął postanowienie przemiany mnie w pobożnego żyda. Tłumaczy, że bez odpowiednich podstaw wiedza może zostać przeze mnie opacznie zrozumiana albo i nawet mnie skrzywdzić. Brednie!

Ale do sedna. Dzisiaj pokazywał mi zwoje, których z całym swoim doświadczeniem nie potrafiłem rozczytać. Nie był to żaden ze znanych mi alfabetów, pismo ułożone jakby z patyków i klinów. Tylko dlatego, że Przegląd Paryski pisał ostatnio o pracach panów Bournoffa i Lassena, mogłem poznać, że to z Bliskiego Wschodu. Spytałem, ile lat. Zaśmiał się. Powiedział, że szkoły żydowskie, które znajdowały się w Bagdadzie oraz Damaszku, a z których pochodził manuskrypt, były depozytariuszami wiedzy magów starożytnego Babilonu. Kiedy jeszcze przed Chrystusem królestwa Międzyrzecza upadły w ruinę, a ich władcy zginęli pod mieczami nomadów, gdy nomadzi owi paśli zwierzęta w zapuszczonych ogrodach i rozbijali namioty pośród rozsypujących się pałaców, Żydzi gromadzili tablice oraz zwoje ginącego ludu. Jakimś sposobem znaleźli nawet uczonych, którzy potrafili czytać ten pradawny, umierający już wtedy język, a potem sami zaczęli zgłębiać wiedzę kapłanek Isztar, magię akolitów Asurów; wszystko to, co Sumerowie przywieźli do Międzyrzecza tysiąclecia wcześniej, uciekając z Agarty, miasta podziemnego, którego nie ma na

mapach. Niezwykła to ciągłość, w tysiące lat liczona, historia nie zna już takich – wszystkie przerwała mieczem najeźdźcy, ogniem rewolucji, parciem kulturowych zmian, powolnych, lecz niszczących jak masy lodowe. A tu, proszę: Agarta, sanktuarium w Ur, targ w Damaszku, babilońska madrasa, laboratorium średniowiecznego cadyka, wreszcie ów sewilski księgozbiór tajemny, do którego Ben Raszman nie chce mnie wpuszczać, a który kryje gdzieś pod swoją odrapaną synagogą. Oczywiście byłem pod wielkim wrażeniem.

Potem zaczął tłumaczyć mi, jak to w zwojach owych każde słowo jest liczbą, a każda liczba – słowem, i nie tylko tę treść można wyczytać, na którą się litery składają, ale też taką, która pochodzi z rozwiązań równań, których elementami są wewnętrzne liczby słów. Nic dziwnego, że wiedza ta umarła: by to pojąć, by patrzeć na tekst jednocześnie od tyłu stron, trzeba chyba całe życie spędzić na nauce. A któż na to miał czas, gdy zabrakło kast kapłańskich, gdy ich bogactwo i wielkie miasta–świątynie pochłonał piasek?

Wracając zaś do rzeczy, rabbi dał mi taki przykład: liczba słowa „mężczyzna” to 42, liczba słowa „kobieta” to 2, razem dają liczbę czterdzieści i cztery, która to jest liczbą słowa „dziecko”, ale to ledwie początek, bo jeśli...

Maksym zadrżał.

Przerzucił kilka stron i stwierdził, że pamiętnik robi się coraz bardziej nieczytelny. W tekście znajdowały się całe fragmenty przerysowane z pradawnych tablic; w

niektórych miejscach książkę przechodził płynnie na hebrajski (skąd go znał?), gdzie indziej – nie wiedzieć czemu – pisał tylko samogłoskami, a na marginesach umieszczał jakieś dziwne liczbowe formuły.

Im dalej, tym bardziej mętna stawała się całość – a on tym więcej z niej rozumiał.

Nie czytał książki, przewracał kartki własnej duszy. Każda strona była jak wspomnienie z dzieciństwa, które powraca z jasnością i ostrością fotografii. Pałce drżały, wiodąc po wersach, objawiających swoje znaczenie wprost w mózgu, jakby strony były przesłoną, przez która pada mistyczna światłość, tworząc na ekranie duszy zawiły obraz, kabalistyczną *camera obscura*.

– W jakim to języku? – Karra zajrzała mu ciekawie przez ramię.

– W różnych. Hebrajski, łacina, polski.

– I umiesz to przeczytać?

– Nie. Ale znam każde słowo. – Dreszcz przebiegł Maksymowi po plecach.

Usiadł z książką na starym, rozeschniętym fotelu przy oknie wychodzącym na zamgloną ulicę i nie wstał, póki nie przewrócił ostatniej kartki wiele godzin później.



Franciszek Znajda coraz bardziej osuwał się w nierzeczywistość. Strzępki tajemniczych obrazów wirowały nocą przed jego oczyma, gdy wpatrywał się w sufit, nie mogąc zasnąć. Próbował spiąć je w całość, a potem układać z nich spójne sekwencje; na ciemnym suficie pokoju przyszpilał jak entomolog dziwne obrazy z dzieciństwa, migawki ze wszystkich stron świata, obrazy szarych, mglistych ulic albo zegarmistrzowskich mechanizmów. Wracało do niego to dziwne cierpienie – ból straty.

Wiedziony przecuciem, pożyczył z biblioteki pierwszy zwój Tory – i ze strachem spostrzegł, że każdy z hebrajskich znaków rozkwita w jego głowie jak kwiat, że zna słowa, nawet jeśli nie potrafi świadomie ich odczytać.

W końcu zdał sobie sprawę, że to nie litery widzi na kartach, a białe ściany szkoły, otoczonej przez oszklone plantacje oraz wysokie mury, na których stali uzbrojeni

wartownicy. Niesiony wiatrem piasek chłostał szyby. Szumiały wielkie białe wiatraki. I on był w tej szkole, spalony słońcem oraz wstydem, bo reszta uczniów miała ledwie kilka lat, a on był już dorosłym mężczyzną. Wspólnie zmagali się z zawiłosciami alfabetu, tak różnego od łacińskich znaków, do których przywykł.

Franciszek wiedział już, że Mikołaj miał rację – kiedyś uczył się Pisma, był obrzezany, więcej dowodów trudno sobie wyobrazić. Wróciło do niego spotkanie z chasydem dwa miesiące temu, po drodze na posiedzenie Klubu. Czuł, że otarł się o coś ważnego, że wiedza, której pragnął, przez krótką chwilę była na wyciągnięcie ręki. Żyd go poznał, musiał wiedzieć coś o jego przeszłości. Znajdą uznał go wtedy za wariata, ale teraz nie mógł sobie wybaczyć, że pozwolił mu uciec, i chciał odnaleźć go za wszelką cenę – to stało się ważniejsze nawet niż maszyna, w pocie codziennej pracy rodząca się w rogu huty.

Pewnego ranka Franciszek nie poszedł do pracy. Wenclowi posłał wiadomość, że musi jechać do mistrza ślusarskiego, by porozmawiać o nowych łożyskach do generatora, a sam ruszył w miasto, przez pełne gwaru podwórka, w głąb śmierdzących pleśnią bram – ku sercu żydowskiej dzielnicy.

Mikołaj otworzył mu drzwi po długim pukaniu. Najpierw lustrował korytarz przez cienką szparę, a dopiero gdy się upewnił, że nikogo poza Znajdą tam nie ma, wpuścił przyjaciela do środka. Był blady, rozczochrany, w sińcach pod oczyma krył ciemne sekrety ubiegłej nocy.

– Co tu robisz? Tak wcześnie rano? – wychrypiął.

Franciszek wepchnął się do środka i zaczął bez przywitania:

– Słuchaj, myślałem dużo o tym, co powiedziałaś w łaźni. I wiesz, zacząłem sobie przypominać. Mikołaj, ja chyba rzeczywiście byłem Żydem! Przejrzałem Talmud, księgę *Sefer Jecira*, to wszystko wydaje się znajome.

– Cieszy mnie ta nagła epifania. Ale mogłeś opowiedzieć wieczorem – mruknął Mikołaj.

– Czekaaj, to nie koniec! Pamiętasz, jak wspominałem kiedyś, że wpadliśmy z Różewiczem na wariata dwie ulice od twojej bramy? Otóż to nie był wariat. On mnie chyba poznał.

– I?

– Mikołaj, pomóż mi go znaleźć, to przecież jedyny trop, który mam.

Franciszek opisał uczonego najdokładniej, jak pamiętał, łącznie z lawendowym chałatem, postrzępionym zarostem oraz brodawką pod okiem. Mikołaj tymczasem usiadł za stołem i oparł głowę na rękach, jakby ważyła sto pudów.

– Jest taki jeden... – powiedział. – Nazywa się rabbi Szlomo, przychodzą do niego ludzie z pytaniami o interpretację Pisma, czasem nawet inni rabinowie, bo Szlomo był ostatnim uczniem Menachema Mendela, pierwszego kabalisty Królestwa.

– Muszę się z nim spotkać! – Znajda chwycił przyjaciela za ramiona. – Musisz mnie z nim zapoznać!

– Kiedy rabbi nie będzie nawet chciał ze mną rozmawiać – odparł Mikołaj. – Zrozum, dla nich jestem złym Żydem, noszę się i nazywam z polska, nie chodzę do bożnicy, nie przestrzegam prawa. Już prędzej ty sam.

– A ja? Ja to niby dobry Żyd?

– Nic nie rozumiesz. Jeśli istotnie straciłeś pamięć, stosuje się do ciebie prawo dobrej woli. Nie pobłądziłeś. Zagubiłeś się, a to wielka różnica.

– To mi powiedz, gdzie mogę znaleźć tego rabiego!
Pójdę sam.

– Oszalałeś? Nie będzie rozmawiał z *meszugene*.

Franciszek wznosił ręce ku górze, odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

– Czekaj! – krzyknął za nim Mikołaj.

– Co? Sam znajdę, jeśli nie chcesz pomóc.

– Pomogę. Ale zrozum, to będzie dla mnie... trudne. Ty nie wiesz, jak oni na mnie patrzą, Franek.

Znajdzie nie zrobiło się nawet przykro, że tak bezpardonowo naciskał przyjaciela, zbyt opętała go myśl o rozmowie ze SzlOMEM.

– Idziemy teraz? – spytał uradowany.

– Nie, skąd, oszalałeś chyba. Nie mogę tak bez zapowiedzi. Przyjdź wieczorem, spróbuję umówić spotkanie.

Franek skinął głową.

– Dziękuję – rzekł.

Odpowiedziało mu tylko nerwowe machnięcie dłoni. Chwilę potem był znowu na ulicy, ale nie wrócił do huty. Zamiast tego ruszył na długi spacer po alejach i parkach miasta, z którymi żegnał się jak z rodzinnym domem przed długą podróżą. Czuł, że po raz ostatni patrzy na nie oczyma pozbawionego pamięci włóczęgi, dla którego wszystko było dziwne, nowe. Wiedział, że kiedy wróca wspomnienia, przestanie być sobą – stanie się tym, kim był przedtem.

Zaczął się zastanawiać, o co spytać, kiedy spotka Szloma. I czy naprawdę chciał wszystko wiedzieć, bo odnosił nieprzyjemne wrażenie, że jest grabarzem, który ma właśnie przekopać stary, spleśniały grób.

Gdy pod wieczór wrócił do domu przyjaciela, Mikołaj bez

słowa ściągnął z haka swoje przykrótkie połatane palto. Potem zeszli po skrzypiących schodach.

– Dowiedziałem się, że ten rabbi co wieczór siedzi w Białym Gołębiu, opuszczonej synagodze – powiedział Sztajmer, gdy byli już na ulicy. – Kiedy o niego pytałem, patrzyli na mnie jak na syna marnotrawnego, co przyszedł się nawrócić...

– Dziękuję, Mikołaju. Naprawdę.

– Rad jestem pomóc. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, popełniasz błąd. Masz już nowe życie, wszystko jest na dobrej drodze, po co się obciążać zbytecznym bagażem? Zostaw przeszłość tam, gdzie jej miejsce.

Znajda nie odpowiedział.

Tymczasem wchłonęły ich zionące stęchłą wilgocią aleje, nad którymi pochyłały się kamienice o fundamentach osiadłych w błotnistej ziemi. Ich fronty spinała pajęczyna sznurów na bieliznę i zdawało się, że bez niej rozpadłyby się na kawałki. Z okna na parterze obserwował przechodniów stary Żyd z jednym okiem zabielmionym, a drugim zapadłym głęboko w czaszkę. Ruda dziewczynka w długiej koszuli wiszącej jak worek, z jednym ramieniem odsłoniętym, stała w cieniu bramy. Znajda wzdrygnął się. Zawsze bał się tego miejsca, czarnej owcy wśród dzielnic, otoczonej zwartym kordonem wiekowych domów. Myśl o tym, że mógł pochodzić z tych właśnie podwórek i zaułków, przyprawiała go o dreszcz.

W końcu dotarli do synagogi, skulonej między sklepem handlarza starzyzną a pustym barakiem, tak biednej i zapuszczonej, że Franciszkowi zrobiło się żal. Okna były zabite deskami, drewniana kopułka zapadła się do środka, a w jej rogu ze zbutwiałych desek wyrastało zielone drzewko.

Drzwi były uchylone, ze środka padało blade światło.

– *Magen Dawid*. Tarcza Dawida – rzekł Sztajmer, wskazując głową znak w łuku nad wejściem. – Symbol mojego ludu.

W środku stało kilka starych ław, pulpit kantora i stolik, na którym migotała mała lampka. Na ławkach siedziała dwójka starszych, za stolikiem rabbi, a na taborecie przed nim – młody chłopiec, wyraźnie zażenowany. W powietrzu płynął spokojny głos Szloma:

– Oczywiście masz rację, prawo mówi, że Purim ma być świętem radosnym, ale nawet dziecko nie może zapomnieć wtedy o obowiązkach prawowiernych, jak... – Rozmowa ucięła się gwałtownie, gdy dwaj przyjaciele weszli do środka.

Żyd od razu poznał Znajdę, zerwał się na równe nogi, wywracając stołek. Jego goście aż podskoczyli, przerażone oczy zwróciły się ku wejściu.

– Więc to jednak prawda – wydusił. – *Baruch atah Adonai*, chwała niech będzie Wszechmocnemu, choć surowo mnie postanowił doświadczyć... Modliłem się, żeby cię już nie spotkać, ale widać ma być inaczej, widać wszystko się komplikuje bardziej, niż można było przewidzieć.

Tu przerwał i spojrzał na twarze siedzących przed nim ludzi.

– Izaak, Rachelo, bardzo was przepraszam – powiedział.

– Przyjdziecie jutro, tak?

– Rabbe, ja cię nie zostawię z te ludzie – zaprotestował starszek. – Przecie ten z pocięta gęba...

– Idźcie, proszę – odparł Szlomo. – Nie powinniście służyć rzeczy, o których będziemy tu mówić.

Trójka po chwili wahania wyslizgnęła się na zewnątrz,

szerokim łukiem omijając Franka, a gdy tylko zniknęli za skrzypiącymi drzwiami, ów stanął tuż przed rabbim i spytał:

– Co to za przedstawienie? Skąd ty mnie znasz, człowieku?

– Mówiłem, żebyś tu nie przychodził, masz własną drogę, ja w niczym ci nie pomogę, a Menachem zmarł.

Znajda zacisnął pięści.

– Drogę? Mów jaśniej. Kim jestem? Gdzie się spotkaliśmy?

– Co to znaczy? – Szlomo przeszył go niespokojnym wzrokiem. – Nie pamiętasz już, jak ojciec przyprowadził cię do mojego nauczyciela?

– Ojciec? Kim był?

– A więc ty nie...

– Straciłem pamięć, tak trudno to pojąć? Pomóż mi, człowieku, widzę przecież, że coś wiesz!

Twarz rabiego zbieleła jak płótno.

– To... trudne do ogarnięcia. – Usiadł ciężko. – Nikt wcześniej o tym nie myślał, co się stanie, jeśli... Nie wiedzieliśmy nawet, że to możliwe. Ale jak?

– Gdybym wiedział, nie musiałbym do ciebie przychodzić – odparł Franciszek. – A teraz koniec bzdur, mów.

– Nie wiem, czy mam prawo. Musiałbym sięgnąć do ksiąg, musiałbym poradzić się mądrzejszych od siebie, napisać listy. To niezwykła sytuacja, paradoks, nad którym trzeba by długo myśleć.

Poblížniona dłoń Znajdy walnęła o blat; jeden ze zwojów rozpoczął powolną drogę wzdłuż stołu, dotoczył się do krańca, spadł. Nikt go nie złapał. Franek i rabbi patrzyli sobie w oczy, a Mikołaj cofnął się w zdumieniu o dwa kroki.

Nie poznawał swojego przyjaciela, dotąd tak opanowanego.

– Jeśli trzeba, siłą wyduszę! – krzyknął Franek.

– Mówiłem już. – Rabbi poprawił druciane binokle. – Nie mnie wtrącać się w takie rzeczy. Jeśli Bóg chce, znajdziesz odpowiedź. Ja nie mogę bliźniemu takiej krzywdy... Ja nie wiem, czy to dobrze, czy źle się stało!

– Jakiej krzywdy! O czym w ogóle mówisz? – Znajda przechylił się nad blatem, a jego twarz wykrzywiła się, blizny posiniały.

Rabbi, mając przed sobą to straszne oblicze, cofnął się najdalej, jak mógł, pod samą ścianę. Dłonie pociły mu się jak złodziejowi na ławie oskarżonych.

– Ja nie mogę. Zabij, ale nie mogę. Tu zbyt wiele na szali, twoja, moja dusza...

– Nie masz prawa wzbraniać mi tej wiedzy! Kto dał ci prawo? Jeśli nie od ciebie, znikąd już chyba się nie dowiem, jesteś ostatnią szansą!

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem – szalone, pełne rozpaczny spojrzenie Znajdy naprzeciw smutnych oczu rabiego. W końcu Szlomo ukrył twarz w dłoniach i zaczął mówić, cicho, łamiącym się głosem:

– Niech mi Wszechmocny wybaczy. Zdam się na niego. Jeśli istotnie jest ci pisane, dowiesz się... Musisz wyjechać do Lublina, tam na starym kirkucie leżą kości najmądrzejszego z nas, cadyka Jakuba Izaaka Horowitza, zwanego Widzącym, który rozmawiał z samym Bogiem. Widzący był przyjacielem twojego ojca. To on wysłał jego – i ciebie – po poradę do mojego nauczyciela, rabiego Menachema Mendela, słynnego kabalisty, wiele lat temu.

Znajda oniemiał, nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Twój ojciec – kontynuował Szlomo – co roku, w noc

święta Jom Kippur, przychodzi na grób Jakuba odmówić kadisz przed jego macewą i porozmawiać z jego duszą o sekretach boskich pism. Jeśli go odnajdziesz, jeśli go zobaczysz, jeśli dane ci będzie – poznasz prawdę.

– Mój ojciec? Żyje?

– Oczywiście!

– Kim jest?

– Nie mogę, zrozum.

Pełen skruchy ton rabiego podziałał na Znajdę jak płachta na byka.

– Chyba oszalałeś – warknął. – Mam czekać tyle miesięcy, jechać przez pół kraju po to, co możesz powiedzieć mi teraz? Za długo już czekałem. Powiedz wszystko, słyszysz? Powiedz!

– Idź już, błagam! – Oczy Szloma zalśniły od łez. – Idź już. Nie dręcz starego człowieka, zdaj się na wolę Pana.

Znajda wyciągnął ku niemu ręce, ale w tej chwili Mikołaj chwycił go za kołnierz.

– Proszę, Franek! On nic więcej nie powie.

– Zobaczysz, jak się za niego solidnie zabiorę, to i...

– Franek, za takie coś można do cytadeli. Opuść.

Z siłą, jakiej nie można się było spodziewać po jego chudych ramionach, Sztajmer wyciągnął przyjaciela na zewnątrz, w trzeźwiący chłód nocy. Chwilę dyskutowali tuż przed drzwiami synagogi, wymachując rękoma, aż w końcu odeszli w dół brudnej uliczki.

Widząc, jak znikają w mroku, Szlomo odetchnął głęboko, podniósł z ziemi zwój, a potem zmówił krótką modlitwę.

– Idź, Wędrowcze – rzekł na koniec. – Droga sama cię znajdzie.



Wiedza tajemna kiełkowała w umyśle Maksyma, jakby księga była tylko nawozem, mistycznym katalizatorem, który wrzucony do umysłu wywołał gwałtowne wrzenie. Przez to wrzenie odparowała część człowieczeństwa, ale powstała substancja nowa, doskonalsza. Maksym doznał niezwykłego wielowidzenia: każdy przedmiot, na który patrzył, ukazywał teraz swoją ideę, swoje odbicie w innych, niepojętych planach egzystencji.

Tchnienie materii, światło sefir, język gałęzi, słowa i liczby, gematryczne równania, bramy i klucze.

Zamknął z hukiem księgę, a potem spojrział na Karzę, przez chwilę mrużąc oczy przed światłem symboli, które wykwitły wokół jej głowy matematycznym halo.

– Tu jest wszystko, czego nam trzeba – szepnął.

– Maksym, wyglądasz okropnie...

Spojrział w stronę okna, za którym widział jednocześnie ulicę i przestrzeń szytą szwami magii, o kolorach niemożliwych do określenia. Patrzył na nie chwilę, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie jeszcze mógł wrócić do prostego świata, w którym żył, zanim księga otworzyła ukryte drzwi jego pamięci.

– Ten pamiętnik... On mnie zmienił, przypomniał mi... Ale nie, nie bój się, to nic strasznego. Muszę tylko chwilę odpocząć.

Położył się na kanapie, wciąż słysząc echo głosów, które budziły się w nim, kiedy przewracał strony. Czuł się niezwiązany z ciałem, jakby lewitował metr nad ziemią, jakby mógł bez trudu przeniknąć sufit. Długą chwilę delektował się tym wrażeniem, aż w końcu zdał sobie

sprawę, że powraca do niego uczucie fizyczności. Odłożywszy księgę, powoli ciągnął z powrotem ku światu materii, diament rzucony w smołę. Spojrzał na Karę – wzory nad jej głową były mniej wyraźne, nieczytelne.

– Słuchaj, myślę, że powinniśmy iść. – Zerwał się. – Teraz.

– Iść? Gdzie iść? O czym ty w ogóle mówisz? Musisz odpocząć, wyglądasz, jakbyś miał gorączkę!

Chwycił ją za ramiona i spojrzał jej w oczy tak, że w pierwszym odruchu spróbowała wyrwać się ze strachem.

– Na samą krawędź dzielnicy – rzekł. – Tam, gdzie dzieło Konstantego jest najśłabsze, gdzie najłatwiej będzie mi zacząć własne. Muszę teraz, póki wiem, rozumiem. Chodźmy.

– Maksym, ja się boję.

– Możesz poczekać, ale ja muszę. Teraz wiem, jak to zrobić, ale to może nie trwać długo. Błagam cię, chodźmy, póki jeszcze widzę.

Pociągnął ją za rękę i tym razem nie oponowała.

Po chwili byli na zewnątrz. Szli daleko od światła, w stronę mglistych rubieży. Maksym prowadził, ruszając się sztywno jak marionetka, zamyślony, nieobecny. Minęli kwartał kamienic, kilka starych składów, aż w końcu stanęli pod furtą w fabrycznym murze. Dopiero teraz Maksym ocknął się, popatrzył na ścianę zdziwiony, jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

Karra wskazała ręką wzdłuż muru w kierunku mającego daleko placu.

– Jeśli chcesz dotrzeć do krawędzi, musimy obejść farbiarnię.

– Szkoda czasu – odparł. – Chodźmy na przełaj. Możesz otworzyć?

Skrzywiła się, ale ucięła kłódkę jednym ciosem ostrego odnoża.

Weszli bocznymi drzwiami do podłużnej ciemnej hali, która wypełniona była kadziami. Podłogę zalegała gruba warstwa kurzu, światło sączyło się przez dziury w dachu. Kilka przerdzewiających mostków wznosiło się wysoko, pod samym sufitem, ale Maksym nie patrzył nawet na wewnątrz. Od razu wbił oczy w furkę po drugiej stronie hali i ruszył w jej stronę szybkim krokiem. Dopiero hałas, który dobiegł od frontowych drzwi, sprawił, że zatrzymał się w pół kroku.

Gdzieś tam metal zgrzytał o metal, łomotały buty, ktoś ciężko dyszał.

– Patrz! – Karra jęknęła ze zgrozą, wskazując przód hali.

Ten drugi wbiegał właśnie po schodach na jedną z kładek, cały czerwony, zdyszany. Za nim pędziła trójka mechanicznych strażników, nieustępliwie, jednostajnym tempem, z soczewkami wbitymi w jego plecy. Mężczyzna obejrzał się i przyspieszył, dobywając z siebie resztkę sił.

– Idiota – mruknął Maksym, widząc, jak tamten przewraca się na schodach.

Znowu doznał uczucia wrogości, tym mocniejszego, że wokół sobowtóra widział teraz migotliwą sferę złowieszczych symboli, tak gęstą i zbitą, że nawet z darem wielowidzenia nie potrafił jej zrozumieć.

Klucz krwi. Oddech kości. Wędrowiec. Narodziny cienia. Pieczęć grozy. Co to mogło znaczyć? Czy wokół niego emanowała taka sama aura?

Tymczasem drugi Maksym już był na mostku i pędził po zardzewiających kratownicach na złamanie karku. Pościg był o krok za nim, błyszczały wyciągnięte do góry ostrza, soczewki łąpały ostrość na celu.

Karra wysunęła się do przodu.

– Nie możemy tak po prostu patrzeć. Musimy pomóc – powiedziała.

– Nie, czekaj! – Chwycił ją za przedramię. – Niech radzi sobie sam.

Nie wiedział nawet, co przez niego mówi – ta irracjonalna, chorobliwa nienawiść do sobowtóra, który skradł mu twarz, czy też chęć przekonania się, co będzie, jeśli Karra tym razem nie pomoże.

– Widzisz, że zaraz go dogonią. Nie mogę przecież! Nie mogę pozwolić jemu... tobie... umrzeć.

– Chyba nie rozplynie się nagle w powietrzu, a on...

Pająki były tuż za mężczyzną.

– Nie mogę – rzekła Karra, po czym wyrwała się i popędziła w stronę mostu.

Próbował ją zatrzymać, ale równie dobrze mógłby chwytać szarżującego nosorożca. Metalowe nogi zgrzytnęły na kamieniach, sypiąc skrami; Karra przyspieszała. Zazdrość ukłuła Maksyma, gdy zobaczył wyraz jej twarzy, to szaleństwo, z którym rzuciła się ratować tego drugiego.

Walnęła bokiem o metalową podpórę, dokładnie między uciekinierem a pajakami, nie bacząc na to, że może uszkodzić delikatne elementy swojego odwłoku. Słup pękł, potworny zgrzyt rozniósł się po hali, rezonując we wnętrzach pustych kadzi. Zaraz potem część mostu runęła. Deszcz żelastwa spadł na ziemię, błysnęły w nim złote krople wywijających odnóżami pajaków.

Ten drugi leżał chwilę na krawędzi pęknięcia, po czym uniósł się i spojrzał w dół. Maksym zdał sobie sprawę, że sobowtór widzi Karre i jego samego. Pamiętał to, przecież nie tak dawno stał na jego miejscu. Cofnął się gwałtownie

w cień.

Poczuł, że kręci mu się w głowie. Oparł się plecami o zimną powierzchnię kadzi, przymknął oczy.

– Nic nie rozumiem. Uratowałaś mi życie, zanim jeszcze się poznaliśmy, a ja byłem już wtedy z tobą – rzekł, gdy zdyszana Karra stanęła obok. – Gdybyśmy nie szli tędy, pająki by mnie zabiły. I co wtedy? A co, gdyby ten drugi ja nie zobaczył cię z mostka? Pewnie pociągnąłby za spust w pracowni Zegarmistrza, kiedy wyskoczyłabyś na niego z mroku. Czy to nie za dużo zbiegów okoliczności?

– A jeśli to nie są zbiegi okoliczności? – odparła Karra. – Myślę, że tak po prostu musi być. Maksym, którego właśnie ocaliliśmy, robi to, co robi, ponieważ ty tak zrobiłeś. Ty z kolei podążasz ścieżką udeptaną przez własnego poprzednika.

– Absurd. Na każdym etapie mam wybór, mogłem go zabić, kiedy wszedł do sfery, mogłem pozwolić mu umrzeć tutaj.

– Ale go nie zabiłeś, a tutaj go uratowałam. W końcu i tak musisz wybrać jedno rozwiązanie. I to, które wybierasz, na które się zdecydujesz, z góry jest zdeterminowane tym, jaką jesteś osobą. Myślisz, że drugi Maksym w takich samych sytuacjach będzie podejmował inne decyzje? A trzeci, czwarty?

Przygryzł wargę, tłumiąc w sobie złość. Słowa Karry trafiły w czułą strunę, zdenerwowały go dużo bardziej, niż mogła przewidzieć. Od zawsze czuł się przecież najbardziej wolnym człowiekiem na świecie. Teraz miało się okazać, że cały czas szedł po śladach kogoś innego? Absurd!

– Szkoda czasu. – Pokręcił głową. – Chodź, muszę zacząć pracę, nim wszystko wywietrzeje mi z głowy.



– Franek! Czyś ty zgłupiał? Gdzie ty się podziewałeś? Wencel cię cały dzień szukał!

Sen ustępował powoli, a na jego miejsce wkradała się świadomość własnego ciała, rozciągniętego na łóżku w ubraniu i butach. Wreszcie pojawiły się wspomnienia: nocna wyprawa do synagogi, dziwaczne słowa rabina, długa droga do domu. Butelka, którą utulił się do snu, by przegonić z głowy nieznośny szwargot pytań.

– Franek, słyszysz mnie?

Znajda otrząsnął się i spojrzał w twarz Eustachego.

– Co? – jęknął.

– Otrzeźwiej wreszcie! Wczoraj szukali cię po całej hucie, potem Wencel po mieście ludzi rozsyłał, ale ty tak się gdzieś zaszyłeś, że wrócili z niczym. Co ci do głowy strześliło? Bydle, no po prostu bydle! Człowiek za takiego ręczy dobrym słowem, a...

– Z Mikołajem byłem. Ale zaraz, co Wencel? – Znajda otarł twarz i usiadł na krawędzi łóżka.

– A to, że na koniec osobiście się do mnie pofatygował, kazał mi przekazać, kiedy oczywiście raczysz się pojawić, żebyś biegł do niego, do gabinetu.

– Mówił, o co szło?

– Nie wiem. Nic dobrego, bo nawet za bardzo się nie złościł. A jak mu brak sił na wrzaski, to, bratku, zły omen.

Niemiełe przecucie tknęło Franciszka.

– Teraz mam iść? Fabryka jeszcze zamknięta.

– Nie wiem. Wencel mówił, że masz do niego lecieć natychmiast, bez względu na porę.

– Niedobrze... – powiedział Znajda, coraz mocniej zaniepokojony.

Wstał, poprawił ubranie, nasunął na uszy czapkę, a potem wybiegł z domu.

W bladym przedświcie ulice wyglądały jak wyblakły dagerotyp. Wokół nie było żywej duszy, a skorupa lodu pokryła kałuże, rynsztoki i błotniste rowy. Gdzieś daleko zahuczała lokomotywa, stado wron uniosło się z zapadniętego dachu opuszczonej kamienicy, okrążyło sześć wielkich kominów, by zniknąć wkrótce na horyzoncie.

Franciszek wszedł na teren huty – strażnik drzemał na stojąco, pomiędzy postawionego kołnierza a nasuniętej na oczy czapy wystawał tylko jego czerwony kostropaty nos, dziwna narośl na ciele z zielonego samodziału. Drzwi do głównej hali były jeszcze zamknięte, Znajda ruszył więc wokół muru do murowanej przybudówki, w której znajdowały się biura zakładu.

Wszedł do sieni, gdzie przywitał go buchający z samowara zapach świeżo parzonej czarnej herbaty. W sekretariacie za biurkiem siedział niewyspany szpakowaty klerk, któremu sztywny od krochmalu kołnierzyk wbijał się w szyję. Parująca szklanka stała obok jego splecionych bladych dłoni.

Gdy tylko Znajda przekroczył próg, mężczyzna poderwał się jak rażony prądem.

– Dobrze, że pan przychodzisz, dyrektor czekał wczoraj cały dzień! Nie mógł się pana naszukać! Proszę, szybko, pan Wencel już w gabinecie. – To powiedziawszy, zapukał do szerokich drzwi na końcu sekretariatu, a potem uchylił je i wpuścił Znajdę do środka.

Za biurkiem siedział tam Wencel, tyle że takiego Wencla

Franciszek nigdy wcześniej nie widział. Tkwił w fotelu jak oklapły grzyb, twarz – zwykle czerwona, rumiana – wydawała się ulepiona z wosku. Patrzył po ścianach oraz suficie z jakąś dziwną melancholią, zupełnie niewenclową. Ręce zwiesił w niewenclowej bezsilności i nawet oczy były tak przejmująco niewenclowe, że Znajdzie zrobiło się zimno na sam widok.

– To koniec, panie drogi, koniec zupełny – jęknął dyrektor, kiedy Franciszek zamknął za sobą drzwi.

– Z czym?

– Załatwili nas na pięknie, swołocze, dranie, świnie. Usiądź pan. – Wencel wskazał miejsce po drugiej stronie biurka i nalał do szklanki z rżniętego kryształu odrobinę koniaku, po czym podsunął ją Znajdzie.

– Nie rozumiem – odparł Franciszek, niepewnie chwytając kieliszek.

– Załatwili nasze projekta, pańskie projekta, panie Znajda.

Krew odpłynęła Franciszkowi z twarzy.

– Ale jak?

– Ano tak. Wstyd, tak się dałem wystrychnąć na dudka, mogłem zwęszyć pismo nosem, kiedy mi tu przyszli ludzie od Goldbauma i Fiszera dwa tygodnie temu, dopytywać się o te nowe piece, które budujemy w hali. I może powinienem był ich poszczuć psami, może powinienem wywalić ich na pyski, ale po tym, jak zobaczyłem demonstrację, naszło mnie, żeby się pochwalić i...

– Goldbaum? Fiszera? To ci sami, co mają wielkie udziały w Hucie Bankowej?

Wencel nie odpowiedział, nalał sobie i natychmiast wypił, błyskając Znajdzie przed oczami swoją nieogoloną grdyką.

– Potem powiedzieli, że chcą kupić patenty – podjął. – Odmówiłem, naturalnie. Myślałem, że więcej ich nie zobaczę, a tymczasem...

– Tak? – spytał Znajda, poirytowany długą przerwą.

– Zmówili się! Zmówili, panie Franciszku, żeby nas zniszczyć, skoro im tego patentu nie oddamy! Kasa kredytowa Goldbauma trzyma papiery dłużne zakładów Skalskiego, naszego głównego odbiorcy. Wczoraj Goldbaum zagroził Skalskiemu, że odsprzeda je Fiszerowi na trzysta procent, jeśli Skalski nie przestanie kupować od nas stali.

– Trudno. Zostaje jeszcze przetarg na nową nitkę kolei...

– A Fiszer w tę sobotę wydaje wielkie przyjęcie z okazji imienin jego gubernatorskiej mości!

– Panie Wencel, to chyba normalne, że się przestraszyli i próbują nas podgryźć. Ale przecież mamy innych odbiorców. Mamy firmę inżynierską braci Kaługinów, mamy parowozownie warszawskie.

– Oni też zadłużeni! Z dnia na dzień żyją na kredyt, który dostali u różnych żydowskich bankierów.

– Czyli od konkurencji Goldbauma!

– Oprzytomniej pan! – Wencel walnął karafką w stół. – Inni bankierzy mają mir z Goldbaumem, grzecznie dzielą się interesami, swój swojego przecie nie ukrzywdzi, noży w plecy nie będą sobie wbijać. Jak Goldbaum poprosi i jeszcze za wszystko zapłaci, oddadzą mu kredyty Kaługinów oraz parowozowni, a on pociągnie wszystkich do spłaty, w jeden dzień zrujnuje. I po co nam piece, skoro nikt od nas nie kupi stali?

– To będzie najlepsza stal, bez zanieczyszczeń – szepnął Znajda. – Ktoś we Francji kupi, w Prusiech...

– Nie z cłami, które car zamierza nałożyć na Królestwo,

bo mu się nie podoba nasza mała przemysłowa rewolucja. Powiedz pan, jako francuski inżynier wolałbyś stal własną, cztery razy tańszą, czy zagraniczną, nawet jeśli lepszą?

Znajda nie wierzył w to, co słyszy. Przecież intuicja nie mogła go okłamać, przecież miał z pomocą swojej wiedzy wypłynąć z rynsztoków ku błyskotliwej karierze, zmienić świat!

– I co teraz? – rzekł słabo.

– Nic. – Wencel podniósł karafkę pod światło i obrócił ją w palcach, po czym nalał sobie jeszcze raz. – Koniec. Basta. Przerywam prace. Skoro nie poczują się zagrożeni, może nie opłaci im się wszczynać wojny.

– Co z patentem?

– Patent jest pański, przecie go nie kupiłem. To i nie obiecuję go Goldbaumowi, choć to mi może uratować skórę. Możesz pan iść do niego, jeśli wola. Ale Huta Bankowa jest przecie w rosyjskich rękach, wezmą ten patent i zaczną robić pańskie piece gdzieś za Uralem, najlepsza stal dla jedynowładcy, ku umocnieniu cara, na zgubę nas wszystkich.

– Więc jak? – Słowa z trudem precyzyjnie się Franciszkowi przez gardło.

– Chcesz pan znać moją radę? Wyjedź pan, na przykład do Anglii, tam może ktoś się pozna na dobrym wynalazku, a przynajmniej tego życzę. No, pomyśl pan, jak ma być, i daj odpowiedź. Chcesz, to dam odprawę, chcesz, to przyjmę znów jako asystenta inżyniera.

Znajda nie pamiętał nawet, co odpowiedział. Nogi same wyniosły go do sekretariatu, z niego na korytarz, z niego na podwórzec – byle dalej od rozpacz i bezsilności, która ogarnęła go zupełnie. Ale nie, rozpacz poszła za nim,

owinięta wokół ciała mokrym, zimnym kłębem.

Wkrótce znalazł się na ulicy, za żelaznym łukiem bramy. Dopiero tam chwycił się za głowę i oparł o najbliższy mur. Czuł się oszukany, złamany. Po co przeznaczenie dało mu taką szansę, jeśli zaraz miało ją odebrać? Po co pracował długie miesiące? Po co była ta wiedza jak z innego czasu i świata, którą odnalazł wśród wspomnień i przekuł we wspianiałe projekty?

Ryknął głośno, uderzył pięścią w ścianę, a potem powlókł się ulicą. Do huty, w której stały niedokończone piece, jego porzucone dzieci, które wkrótce miały zostać rozebrane na części, nie miał zamiaru wracać. Choć siąpił deszcz, wędrował bez celu, obserwując idących do pracy ludzi, biegnące do szkoły dzieci, coraz bardziej zdając sobie sprawę, że nie należy do ich świata. Chciał tylko zamknąć się w swoim pokoju i spać – do końca świata.

Po dwóch godzinach trafił do bramy swojej kamienicy, wszedł powoli na piętro, powłócząc nogami. Otworzył drzwi kluczem, który niedawno podarował mu Różewicz. Zanurzył się w kojącym półmroku pustego mieszkania, tak martwego o tej przedpołudniowej godzinie – bez dzieci, bez rubasznego głosu Eustachego. Przeszedł powoli sień, nie zdejmując butów, i wkroczył do jadalni.

Skamieniał.

Z początku myślał, że na stole rozsiadł się błądy jaskiniowy pająk, istota z koszmarów, przybrana w rozdygotane ciało. Ale zaraz spostrzegł, że to w istocie dwa kształty, połączone łamanym, nierównym rytmem. Na dole był szczupły ciemnowłosy mężczyzna, na górze – Zofia, która z głową odrzuconą do tyłu, ustami półotwartymi kucała nad nim, jeżdżąc w przód i w tył tak zapamiętała, jak nie potrafiły nawet sprzedajne panienki z

„Hosicka”, jedną dłonią przebijając palcami po łonie, drugą trzymając we włosach.

Lepki, intensywny zapach potu i kobiecego pożądania przesycał powietrze, trzeszczały nogi wiekowego stołu. Franek przez moment chciał się cofnąć, zamknąć cicho drzwi, ale nie potrafił, patrzył jak zahipnotyzowany.

– Jasna cholera! – krzyknął mężczyzna, gdy spostrzegł stojącego w drzwiach Znajdę.

Zofia też popatrzyła w jego stronę, wytracając impet swoich posuwistych ruchów powoli jak stojąca lokomotywa.

Zeszła z mężczyzny ostrożnym, krabim ruchem, nie odwracając oczu od Znajdy; mężczyzna stoczył się natychmiast ze stołu i porwał leżące na ziemi ubranie. Zasłonił twarz zmiętą koszulą, ale Franek nie patrzył na niego, jego oczy przykute były tam, gdzie z szarej sukni, którą widział zawsze zapiętą, wykrochmaloną, wysuwała się okrągła różowa pierś. Włosy Zofii – zazwyczaj zebrane w równy kok – teraz rozlały się smolistą falą po ramionach.

– Franciszek – powiedziały napuchłe, pociągnięte czerwona pomadą usta. – Co ty tu?

Cofnął się, uderzając plecami o futrynę drzwi. Mężczyzna prześlizgnął się obok we wciągniętych pospiesznie portkach, wciąż zakrywając twarz. Franek nawet nie spojrzał, wciąż skupiał wzrok na rozpiętym dekolcie, który falował w rytm przyspieszonego oddechu. Powietrze w całym pomieszczeniu zdawało się tętnić w takt tej potężnej, rozbuchanej kobiecości; Znajda nie mógł uwierzyć, że wcześniej nie spostrzegł tak wielkiego żywiołu.

– Ty nic nie mów Eustachemu. Tylko nic nie mów! Mnie

zabije, dzieci zabije! Ty pomyśl, co może się stać!

Obcy mężczyzna tymczasem wybiegał już z mieszkania, zatrzymał się tylko na chwilę w drzwiach, jakby się namyślał, po czym wyciągnął z kieszeni zwitek rubli i rzucił go w kąt. Wkrótce odgłos jego kroków umilkł w oddali.

– Co... – zaczął Franek, ale nie wiedział nawet, o co pytać.

– On nie wie, jak teraz jest, jak wszystko podrożało. Dla dzieci, muszę. Jak niewolnica, muszę, nie mam wyboru, błagam, proszę mną nie gardzić! Przecież bez tej dodatkowej garstki pieniędzy...

Wystarczyło, że o tym mówiła, a policzki zaczynały jej się rumienić, oddech przyspieszał, sutek na wyłuskanej z sukni piersi lekko się unióśł. Uwiesiła się. Znajdzie na ramieniu, owionęła go słodkim oddechem, nie potrafił oderwać wzroku od kropelek potu, perlących się na jej szyi.

– To ważne, nie możesz nic, ani słowa. Ja cię błagam, jak chcesz, możesz zażądać w zamian wszystkiego. Wszystkiego.

Słowo to zdawało się jej niezwykle smakować – nabrzmięte wargi owijały się wokół sylab jak wokół cukierka. Tymczasem biała, drżąca jeszcze z podniecenia dłoń zaczęła powoli wędrować w dół brzucha Znajdy.

Wyrwał się i cofnął.

– Nie rozumiem? Dlaczego? Po co?

– No, nic nie rozumiesz, na dzieci potrzeba przecież tyle pieniędzy, wszystko takie drogie, i jeszcze maszyna...

– Maszyna? – powtórzył głucho.

– Eustachy przecież nie wie, jak nam potrzebny taki singer – jęknęła. – Nie miałby nic przeciwko, gdyby

wiedział, że sama odłożyłam, pochwaliliby jeszcze. On jest człowiekiem starej daty, nie rozumiesz? Ja przecież muszę to robić dla niego, dla dzieci. Muszę! Obiecuj, że mu nie powiesz, obiecuj, proszę.

Łzy spływały po policzkach, zmieszane z tanim czernidłem do rzęs.

Nie miał co powiedzieć. Mógł ją nazwać dziwką, mógł krzyknąć, że to wszystko tylko preteksty, perwersyjnie użyte dla własnych fantazji. Czy Eustachy był ślepy, nie widząc apetytów swojej żony? Ale czy Franek potrafił ją winić, że pragnęła czegoś poza przesyconym zapachem krochmalu i pasty do mebli życiem przykładnej matki? To wszystko go przerastało, cofnął się ku drzwiom.

– Obiecuj! – krzyknęła, kiedy wybiegł na schody. – Obiecuj!

Uciekł.

Zbiegł po schodach na złamanie karku, wyskoczył z bramy w szarość pochmurnego dnia, byle dalej od tej rozpacz, wstydu, bezsilności. Świat go zdradzał, niszczył starannie wybudowane mury pozorów, rozłaził się w rękach jak zbutwiała szmata. Huta, jego nadzieja i szansa na przyszłość, odwróciła się od niego, a sława wynalazcy, o której marzył i której poświęcił niezliczone godziny pracy, wyslizgnęła się z rąk. Dom Eustachego, jedyny prawdziwy dom, jaki Znajda znał, w jednej chwili stał się siedliskiem ledwie skrywanej tajemnicy, gdzie każdy wspólny posiłek, każda małżeńska czułość była okrutną grą.

Całe życie zmieniało się przed oczami Znajdy w szalony wir przypadkowości, nad którym nikt nie ma władzy, który z jednej strony wsysa noworodki prosto z matczynego łona, a z drugiej – pluje w grób zbutwiałymi

kośćmi.

To miasto nie miało przyszłości. Wiedział, że czego nie wyduszą bankierzy albo carska władza, samo w końcu umrze. Przecież ten ceglano-żelazno-dymny rak, który stworzył się na skutek szczególnych okoliczności, nie miał szans przetrwać. Podobnie bez szans byli ludzie: rządzeni obcą władzą, stłoczeni w brudnych domach, coraz podobniejsi szczurom, karaczanom. Nie oni zarządzili miastem, a miasto nimi, nie oni je zmieniali, a ono – ich. A jeszcze rewolucja, wyczekiwana przez Mikołaja Sztajmera. Szczury chude wyjdą na ulice walczyć ze szczurami grubymi. Tacy jak Maurycy będą strzelać w tył głowy takim jak Jan Słuka oraz Eustachy Różycki. A wszystko na nic, po krwi i trupach pójdą z nieszczęścia w nieszczęście, ze zniewolenia w zniewolenie.

Znajda czytał, że dla heglistów świat to ciągła walka, ścieranie się tez i antytez, z których powstaje synteza. Teraz dopiero w pełni poczuł, że to nie walka, a wielkie krwawienie, że obie siły, które się ścierają, wychodzą z bitwy słabsze, poranione, a ich dziecko jest pokracznym karzełkiem, w niczym niepodobnym do rodziców.

Chciał uciec od tego kalekiego świata, który zdawał się z każdą chwilą karleć, gnąć. Gnany instynktem, szedł byle dalej od huty i zbiorowiska pokracznych domków. Byle dalej od ludzi, którzy go znali i mogliby zobaczyć łyzy, torujące sobie mozolnie drogę w dół przez labirynt blizn oraz spiętych boleśnie mięśni.

Deszcz wzmógł się, wkrótce przemoczył Franciszka, zdawał się wnikać pod skórę, napełniać ciało i wypłukiwać z jego zakątków wszystkie brudy. Wyciekał oczami, razem z całym człowieczym nalotem, jako gęsta zawiesina duszy, roztwór pragnień i żalów. Znajda roztapiał się jak

cukrowa figurka, tracił swoją esencję, mozolnie zbieraną, odkąd wyszedł z ośrodka Ratajskiego. Czuł, że wkrótce zostanie z niego tylko pusta skorupa, którą znowu będzie trzeba napełniać. I modlił się w duszy do zapomnianego, surowego Adonai, żeby ten zesłał mu dar niepamięci, pozwolił zacząć od nowa.

Pokryty wodą, przesiąknięty, bez ustanku wypłukiwany, transmutował jak substancja w alchemicznej retorcie. Kiedy nieświadome kroki przywiodły go na stację kolei dalekobieżnej, był już kimś zupełnie innym.



Karra siedziała na murku, patrząc, jak Maksym rzeźbi nowe światy. Rozsnuwał przed nią wstęgi czasów i przestrzeni, lepił z nich wielowymiarowe bryły, zaczynając od małych błyskotek, boskich zabawek wielkości pomarańczy, aż w końcu zaczął tworzyć inkluzje na tyle duże, że sam mógł do nich wejść. Wszystkie jednak niszczył – na jego rozkaz kolapsowały w cichych implozjach albo rwały się na strzępy i roztopiały w powietrzu.

Trudno było jej określić, ile to trwało. Godziny? Dni? Tygodnie? Tyle niezwykłych konstrukcji wychodziło spod palców Maksyma, że szybko straciła poczucie czasu, zapatrzona jak dziecko w kalejdoskop, zahipnotyzowana.

W końcu z oparów, które wyznaczały granicę dzielnicy, wyłoniła się porowata biała równina, oświetlona przez jasny okrąg na szarej kopule nieboskłonu. Maksym zawahał się, a następnie wszedł do środka, udeptał ziemię, odetchnął powietrzem. Chwilę potem na jego

rozkaz wystrzeliła trawa, niebo zabarwiło się na niebiesko, nadając całej kreacji pozory błękitnej półkuli zawieszanej w mlecznym przestworze.

Maksym znów zaczął snuć zaklęcia. Karra ze zdziwieniem spostrzegła, że trawa zaczyna falować na wietrze, a na sferycznym horyzoncie o średnicy ledwie kilkuset metrów zawisło słońce. Kolejne elementy pojawiały się teraz jeden po drugim: drzewa, piaszczysta ścieżka, oczko wodne, nieduży dom o bielonych ścianach. Karra miała wrażenie, że ogląda dziecinny obrazek przekuty w rzeczywistość.

Gdy skończył, chwycił ją za rękę i wciągnął do środka.

– Podoba się? – rzekł, ocierając z czoła pot.

Powietrze pachniało zielenią i czymś jeszcze, słodkim, obezwładniającym.

– Maksym... Tu jest cudownie.

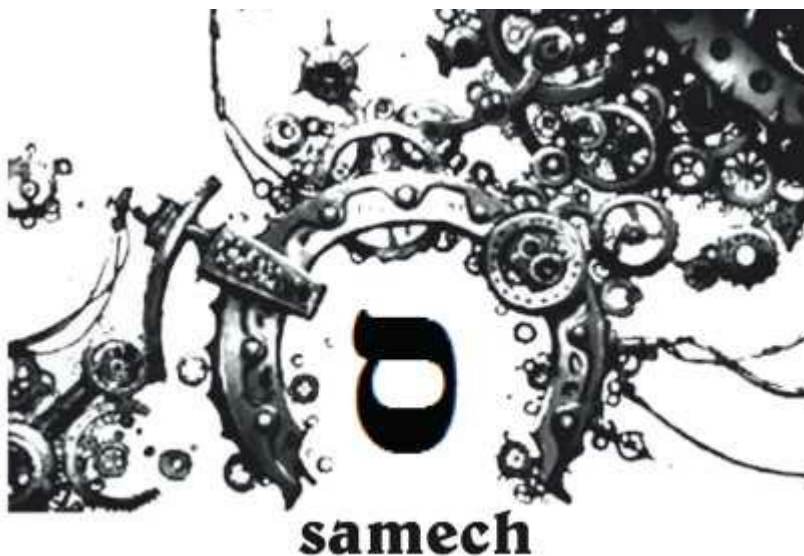
– Nie przesadzajmy, jeszcze wiele można zrobić, słońce nie grzeje, dom pusty.

– Teraz jest siódmy dzień, teraz odpoczywasz – powiedziała, zarzucając mu ręce na szyję.

Pokręcił z uśmiechem głową, a potem oddzielił ich sferę od przestrzeni dzielnicy i otoczył ochronnymi znakami. Następnie tam, gdzie horyzont załamywał się jak na średniowiecznych rycinach, stworzył gęsty las pełen fałszywych kątów, gdzie człowiek idący do przodu bezwiednie skręcał, w końcu trafiając nieodwołalnie do punktu, z którego wyszedł.

Gdy skończył, a szumiące drzewa przesłoniły granice jego stworzenia, wziął Karrę za rękę, zaprowadził na ganek i rzekł:

– Oto nasz dom.



Ciche i smutne było getto po północy, kiedy utrudzeni ludzie śnili już w mieszkankach swoje sny żebracze, sny niedostatku, a uliczki i domy utonęły w ciemności, nad którą lśnił surowo nów księżyca. Drzewa pochylały się tu, przygnębione biedą, mur starego cmentarza zaciągnął się welonem mchu, wstydliwie kryjąc wiekowe pęknięcia.

Wędrowiec, który pojawił się niespodziewanie, gdy w oknach zgasły już dawno ostatnie światła, pasował do ponurego krajobrazu. Wyglądał jak błądy golem ulepiony z blizn i biedy. Ubranie wisiało na nim w strzępach, dziurawe buty chłęptały błoto przy każdym niezdarnym człapnięciu. Na ramieniu miał tobołek – prawie pusty, wiszący jak wór, kryć mógł najwyżej pajdę czerstwego chleba i cynowy kubek, który dawno nie widział niczego prócz wody.

Wędrowiec szedł wzdłuż muru, aż w końcu dotarł pod bramę kirkutu, gdzie przystanął na chwilę, jakby robiąc

rachunek sumienia. Potem zanurzył się między płyty, błyszczące w świetle nowiu znakami hebrajskiego pisma.

Chmury płynęły powoli po niebie, co chwila przesłaniając księżyc; noc tętniła srebrnym blaskiem, który falami zalewał uliczki i podwórka, rozbłyskiwał w kałużach.

Minęła dobra godzina, nim pielgrzym wyłonił się z mroków cmentarza. Nie spojrzął za siebie ani razu, wyszedł przed bramę, ruszył w dół ulicy.

I nie było tylko wiadomo – człowiek to jeszcze czy już upiór?

Szedł jak marionetka z oczyma wbitymi w próżnię, krew odpłynęła mu z twarzy, na której stężał jakiś przerażający grymas, a stopy powłóczyły po błocie, rozgarniając brudną wodę. Wyglądał, jakby cmentarne duchy wyssały z niego całe życie. Wiatr umilkł, przerażony straszną przemianą. Psy przerwały swoją krzykliwą rozmowę, prowadzoną ponad dachami.

Ale człekoupiór rozplynał się wkrótce w mroku, a wtedy noc odetchnęła z ulgą długim podmuchem, kałuże zmarszczyły się w śmiechu. Wędrowiec przepadł.

I nie było tylko wiadomo – był on tu kiedyś czy nigdy go nie było?

Cmentarz z pobłażaniem mrużył oko bramy, dumny, że jako jedyny zna odpowiedź.



Czas stracił znaczenie, rozszczepiał się wokół Karry i Maksyma jak strumień wokół kamienia, przepływał bez śladu. Wkrótce nie potrafili nawet stwierdzić, ile dni minęło od chwili, w której przekroczyli granicę sfery, i

nawet ich to nie interesowało.

Maksym po raz pierwszy czuł, że nie ciągnie go w drogę. Znalazł swoje miejsce, swój moment: na ganku domu z drewnianych bali, u boku Karry, wpatrzony w szumiącą ścianę lasu i jasnobłękitne niebo. Zarówno potrzeby, jak i obawy opadły z niego jak węzowa wylinka, osiągnął stan perfekcyjnej równowagi, swoje wiecznotrwanie. Dopiero teraz potrafił przyjąć do siebie to, że Konstanty nie skrzywdził osób zamkniętych w dzielnicy. Do tej pory, jak wszyscy ludzie, uważał wolność za synonim szczęścia. Teraz jednak czuł, że to właśnie ciągłe szukanie rzadkich chwil spełnienia było niewolą, na którą skazano całą ludzkość.

Teraz nie musiał już szukać, znalazł swoją nirwanę i nie chciał jej przerywać. Zawieszony w momencie, nie czuł nudy ani znużenia, każda chwila w zielonym zakątku była tak wyrazista i pełna szczęścia, jak miliony chwil przed nią.

Jedynę podróż, jakie jeszcze odbywał, to długie wycieczki w głąb własnej pamięci, gdzie było nadal tyle niejasnych, zamazanych kart. Gdy zamykał oczy, ciepły wiatr owiewał mu twarz, a przez powieki prześwitywały zabarwione na czerwono promienie słońca, zastanawiał się często, dlaczego wiedza z pamiętnika była mu tak bliska. Kiedy i gdzie mógł już widzieć ten tom? Dlaczego zrozumiał jego treść?

Tymczasem Karra wydawała się równie szczęśliwa. Zapomniała o mistrzu i mechanice, a zielona trawa oraz niebo były dla niej cudem, który pozwalał wrócić do niejasnych wspomnień sprzed wypadku, z ludzkiej części życia. Czasem, gdy chodziła z Maksymem na spacer wzdłuż krawędzi sfery, zrywała liście, próbowała nazywać

rośliny i domyślić się, skąd te nazwy zna. Czasem po prostu zamierała na długo, grzejąc blade ciało w słońcu. Pierwszy raz, odkąd sięgała pamięcią, nie czuła zimna promieniującego od metalowego odwłoka i ośmiu mechanicznych odnóży.

Oboje byli szczęśliwi. Wyrzuceni na brzeg czasu, śnili niespieszny sen o rajach. Stanęli na progu wieczności, patrząc w nią bez strachu, z pogodną nadzieją.

Potem wszystko się skończyło.



Do ostatniej chwili Maksym nie spostrzegł, że coś się psuje. Albo raczej nie chciał widzieć – oszukiwał intuicję, która mrowiała niespokojnie. Świat dał mu przecież tyle znaków! Najpierw Karra przestała chodzić na samotne spacerunki, a kiedy prosił o przechadzkę, próbowała znajdować wymówki. Tłumaczyła, że na ganku jest jej dobrze, że nie chce jej się zmuszać do posłuszeństwa ośmiu mechanicznych nóg. Nie zastanawiał się nad tym długo, pogrążony we własnych myślach.

Wkrótce zaczęła cierpieć. Kiedy odwracał się ku niej, czasem zdawało mu się, że widzi na jej twarzy ledwo widoczny cień, bladą pozostałość grymasu, który tłumiła, gdy tylko spojrzeł. Czasem westchnęła boleśnie, ale nie słyszał tego, w myślach przewracając strony pamiętnika.

Zmiany przyspieszyły i wkrótce coraz trudniej było je ukrywać. Twarz Karry bladła, a obręcz blizny wokół pasa z białej zmieniała się w sinoniebieską. Pewnego razu, gdy Maksymowi udało się ją namówić na spacer wzdłuż lasu, nogi Karry załamały się niespodziewanie, jej korpus

uderzył o ziemię, a z ust doszedł przeciągły jęk.

Minęła chwila, nim Maksym przebudził się ze swojego momentu, popatrzył w dół na płataninę kończyn ludzkich i mechanicznych i zdał sobie sprawę, co właśnie się stało. Dotarł do niego bolesny szloch.

Krew uderzyła mu do głowy.

Oczy otworzyły się szeroko.

Upadł zaraz na kolana i chwycił Karę za dłoń. Ona odwróciła ze wstydu twarz, czuł zapach jej płaczu – słonych łez i spuchniętych policzków.

– Boże, co ci się stało? Karra? Czy coś nie tak?

– Nie chciałam mówić – rzekła słabo. – Maksym, miałam nadzieję, że to w końcu się zatrzyma, tak mi wstyd, nie patrz na mnie, proszę.

– Co? O czym ty mówisz?

– Ciało... zawodzi. Nie wiem, co się dzieje. Po prostu brakuje mi już siły. Ja chyba...

Spojrzał na miejsce, gdzie jej ciało stykało się z maszyną, i dopiero teraz spostrzegł nabrzmiałe fioletem żyły, porcelanową skórę.

Najbardziej przerażające było dla niego to, że miał je przed oczyma od dawna, ale dopiero teraz, wytracony z momentu, zrozumiał. Dławiące poczucie winy chwyciło go za gardło. Kobieta, którą miał się opiekować, której obiecał dom – jego kobieta – umierała mu przed oczyma i nawet tego nie spostrzegł.

– Jak to możliwe! – krzyknął, wodząc po jej ciele dłońmi.

– Przecież zatrzymałem tu czas, nie możemy się starzeć, chorować, nie potrzebujemy jedzenia ani wody!

– Maksym, to nie ja, to nie ciało, tylko to... – Wskazała dłonią w dół na swój metalowy odwłok. – W środku jest połączony z moimi wnętrznościami. Są kable, szpile, które

wchodzą głęboko, czułam je zawsze, ale teraz są zimniejsze, takie zimne. Musisz wiedzieć, to nie tylko zastępuje mi nogi. To mnie trzyma przy życiu, a teraz... teraz przestaje działać. Nie wiem czemu, nie wiem, co dawało temu siłę i dlaczego się wyczerpuje. Nic nie wiem. Maksym, tak bardzo się boję!

Znów zaczęła płakać, więc objął ją i powiedział:

– Karra, nie dam ci przecież umrzeć, naprawię, co trzeba.

– Nic nie rozumiesz. Tylko mistrz wiedział jak – odparła słabo. – Ale mistrz odszedł, nic mi nie pomoże.

– Nie! Zdołałem stworzyć cały świat, rośliny, słońce. A to tylko taumaturgiczna proteza, trochę kółek i magii – rzekł Maksym.

Czuł, że oszukuje i ją, i siebie. Nieraz zastanawiała go moc, która emanowała z mechanicznego korpusu. Nie potrafił jej zrozumieć ani uchwycić, pamiętniki księcia nie opisywały niczego podobnego.

Z trudem zaciągnął Karre do wnętrza chaty i ułożył na łóżku; wkrótce była tak słaba, że nie potrafiła już nawet poruszać odnóżami. Przyłożył dłoń do zimnego czoła, przytulił ją na chwilę – chwilę zielonego zakątka, długą jak epoka.

Potem próbował różnych formuł i znaków, które w jego głowie obudził dziennik. Jednak te same słowa, którymi wyrzeźbił sferę, były całkowicie bezskuteczne wobec błyszczącego, metalowego ciała Karry. Maksym poczuł się głupi, bezsilny.

– Nie rozumiem – mruzczał, macając polerowany mosiądz.

– Rozmawiałaś z nim czasem... Opowiadał może, jak cię stworzył, czym się posłużył? Iteracyjne transmutacje? Pajęczyna gematryczna?

Minęła chwila, nim Karra zdołała zogniskować na nim

wzrok i wydusiła:

– Nie wiem. Nic nie wiem. Tak mi przykro, Maksym. Przepraszam...

Znów płakała.

Nie mógł tego wytrzymać. Wstał i zaczął chodzić niespokojnie po izbie, próbując zebrać myśli. Z jednej strony czuł gorące fale wściekłości, z drugiej lodowatą rozpacz. Kolejny raz zawiódł. Coś pominął, czegoś nie przemyślał, nie zbadał, czy warunki idealne dla żywej istoty, jak on, będą równie dobre dla konstruktów takiego jak Karra.

– Muszę to naprawić – powiedział w końcu.

– Maksym, zrozum, nic nie zdołasz...

– Sam nie. Ale z pomocą Zegarmistrza... – zawiesił znacząco głos.

– Oszalałeś! Widzieliśmy, jak umierał!

– Nie, posłuchaj: ciężko mi wyjaśnić, bo nie czytałaś dzienników Konstantego, ale przyjmij, że czas dzielnicę tworzy pętlę, w której wiele punktów istnieje jednocześnie, stykają się z różnymi punktami na pętli czasu sfery oraz kontinuum rzeczywistego świata. Dlatego właśnie mogłem ukraść księgę, która już została ukradzioną, widziałem młodszego siebie... Muszę tylko tam wrócić i znaleźć się jakoś w sercu mehanu przed zabiciem Zegarmistrza.

– Nawet jeśli znajdziesz mistrza, co mu powiesz? Maksym, on nie był zwykłym człowiekiem. Dlaczego miałby ci zdradzać wszystkie sekrety? Poza tym będę tam inna ja, będę bronić go do śmierci.

– W najgorszym wypadku pomogą plany i pisma, które widziałem w pracowni. Muszę tylko wiedzieć...

Odwróciła głowę.

– Nie chcę, żebyś teraz mnie opuszczał. – Jej głos łamał się.

– Mam ci pozwolić umrzeć? Kiedy ratunek jest w zasięgu ręki?

– Błagam. – Jej słowa z każdą chwilą słabły. – Tak się boję zostać teraz sama.

– Będziemy razem jeszcze długo, do końca świata. Tylko muszę znaleźć rozwiązanie. Zrozum, przecież nie mogłbym żyć, wiedząc, że mogłem ci pomóc, ale tego nie zrobiłem. Nie będzie mnie tylko chwilę, tu czas płynie inaczej, ledwo się spostrzeżesz, a już wrócę. Przysięgam, dobrze?

– Dobrze – szepnęła, ale łzy płynęły dalej.

– Wytrzymasz?

– Wytrzy... wytrzymam.

Pożegnał ją długim pocałunkiem, zarzucił na ramię swoją torbę, a potem wyszedł na ganek. Przed nim otwierała się ściana lasu, ciemna, tajemnicza.

– Maksym, nie zostawiaj mnie! – rozległo się z tyłu. – Wróc, słyszysz? Wróc, błagam!

Zacisnął zęby i poszedł dalej.

– Wróc! – krzyczała, kiedy wchodził w cień drzew.

Ale nie słuchał już, skupiony na rozgarnianiu przestrzeni o niemożliwych kątach. Wkrótce zielony zakątek został za nim, opuszczony, samotny, i tylko łkanie unosiło się jeszcze pod jego kopułą jak echo z czeluści starego grobowca.



Gdy przekroczył granicę swojego stworzenia, poczuł, jakby wszedł w ścianę wody. Jakaś dziwna maź wypełniła

mu usta i nos, oślepl, coś gnioło go ze wszystkich stron, łamiąc żebra, wykręcając kości. Jednocześnie miał wrażenie, że się roztopia, znika, że zaraz będzie już tylko pustą skorupą, którą potężne ciśnienie sprasuje jak papier. W ostatniej chwili przyszyły do głowy formuły z dziennika, przy pomocy których stworzył wokół siebie małą, pełną bańkę powietrza.

Spadał. Pędził w dół jak kamień, żołądek podszedł mu do gardła. Nie widział przed sobą szarego nieba dzielnicy, a tylko rozwirowaną wielobarwną otchłań. Wyciągnął głowę ku górze, próbował znaleźć oczyma zielony zakątek, ale wszystko wokół ginęło w bezkształtnej masie.

Z początku myślał, że zerwały się kotwice, którymi połączył się z dzielnicą Konstantego, że jego sfera dryfowała w limbo. Ale po chwili zaczął rozumieć – wyszedł z zakątka w czasie, gdy dzielnica Konstantego jeszcze nie istniała. Przypomniał sobie pętle łączące się w różnych punktach i przeklinał sam siebie, że nie przewidział takiej możliwości. Teraz jego sfera dryfowała po morzu *prima materia*, w budulcu, z którego stworzone zostało istnienie materialne oraz wszystkie sefiry. Czy cofnął się w czasie? A może na odwrót? Spędził w zakątku tyle eonów, że ludzki świat się skończył i zostało po nim już tylko to?

Jedno było pewne: pędził ku nieznanemu wśród nieprzyjaznych sił oraz żywiołów, które lada chwila mogły rozerwać go na strzępy.

Maksym spadł w szczelinę między światami.

Wkrótce zaczął mijać inne stworzenia, wiszące wokół jak owady zatopione w bursztynie. Miliony kalekich i niedokończonych odkrywały swoje tajemnice, gdy muskał w przelocie ich zewnętrzne powłoki. Nie próbował się

nawet domyślać, kto mógł je zbudować – Bóg, który pod maską wszechwładzy ukrył przed ludźmi to, że był jedynie eksperymentatorem, idącym do przodu po błędach? Demiurgowie pokroju księcia czy jego samego, którzy posiadli moc tworzenia? Bogowie ras obcych? Kimkolwiek byli twórcy, musieli różnić się od ludzi, bo ich kreacje wydawały się Maksymowi całkowicie obce. Piętrzyły się przed nim dziwaczne przestrzenie, niezrozumiałe matematyki oraz fizyki utrwalone w postaci nieopisywalnych płaszczyzn, organizmów, konstrukcji. Widział breuglowskie pandemonia, gdzie zamiast diabłów wymyślonych przez ludzi kłębiły się demony istot, których nie potrafiłby nawet sobie wyobrazić – koszmar koszmaru. Widział symetrie tak gwałcące przywykły do trzech wymiarów umysł, że od samego widoku niemal tracił przytomność, zupełnie jakby mózg chciał się wyłączyć, zbyt przytłoczony ich złożonością.

W tym wiecznym spadaniu Maksym zaczął coś tracić – gubił kolejne powłoki umysłu, a spod nich zaczęło przeziierać coś nowego, coś, czego nie rozumiał.

Maksym transmutował niczym substancja w alchemicznej retorcie. Z uszami wypełnionymi własnym krzykiem ścierał mózg i oczy o porowate, ostre obrazy obcych światów. W końcu nie wiedział już nawet, kim jest, wytarł do czysta wszystkie wspomnienia, była już tylko wędrówka, tylko spadanie. Zdołał ocalić jedno, ostatnie uczucie, które ukrył na dnie duszy, gotów prędzej stracić wszystko niż tę jedną myśl.

Karra. Musiał wrócić, uratować Karrę, która konała w ciszy, samotna i porzucona.

Musiał pamiętać.

Uderzył o ziemię niespodziewanie. Coś pchnęło go do

przodu, wypluło, runął na twarz, w brudną wodę. Impet wypchnął mu z płuc całe powietrze. Poczucie własnego ciała powróciło w fali potwornego bólu, osłabiony szkielet umysłu pękł na tysiąc kawałków. Maksym miotał się ślepo w brudnej wodzie jak jaskiniowa ryba, a jego palce ryły błoto.

Nie wiedział już nic. Nie pamiętał nawet swojego imienia.

W końcu udało mu się wstać. Próbował instynktownie cofnąć się z tego okropnego miejsca, uciec od bólu i odoru, choćby z powrotem w próżnię, ale plecy uderzyły o twardą ścianę. Odwrócił się i zaczął tłuc w nią pięściami. Wiedział, że musi gdzieś iść, musi zrobić coś istotnego, że ma misję ważniejszą od życia, ale – nie pamiętał.

– Karra! – wydarło się z jego ust.

Ktoś chwycił go za ramiona, unióś ku górze. Cztery ponure, czarne sylwetki – upadłe anioły – otoczyły go ciasnym kręgiem.



Wiosną 1871 roku w salonach Królestwa dyskutowano najczęściej o dwóch tematach. Pierwszym był upadek rewolucji komunardów, która rozgorzała w Paryżu wkrótce po podpisaniu pokoju francusko-pruskiego, a trwała nieprzerwanie aż do dwudziestego maja, kiedy wojska wersalskie odbiły miasto, masakrując wszystkich podejrzanych o współpracę z rewolucjonistami. Trzydzieści tysięcy ludzi ciśnięto do masowych grobów; na barykadzie zginął wódz naczelny wojsk komuny, generał Jarosław Dąbrowski, dla jednych socjalista i anarchista, dla innych patriota, który lata spędził w lochach warszawskiej cytadeli, a potem na Sybirze.

Drugim wydarzeniem, równie mocno podgrzewającym nastroje, był niedawno zapowiedziany powrót księcia Konstantego Połubińskiego z Francji. Książę, ostatni potomek szlacheckiego domu, który wywodził się aż od Giedyminowiczów, opuścił kraj w 1854 roku.

Przehulawszy w wieku dwudziestu lat cały swój majątek, uciekać musiał w hańbie przed wierzycielami, rodziną ciężarnej hrabianki, wreszcie przed carską policją, bo z kompanami stłukł na śmierć Żyda, który śmiał dopominać się o długi. Od tej pory nikt o książątku nie słyszał, a jedyna rodzina, która mu została – czyli wuj, pułkownik gwardii oraz ciotka, samotnie mieszkająca w rodowych dobrach pod Warszawą – wyparła się go i nigdy nie wspominała jego imienia. Powszechnie sądzono, że Konstanty umarł w biedzie na paryskim bruku, tym bardziej że mimo młodego wieku zarażony był już syfilisem.

Tymczasem w lutym do niestrudzonych plotkarzy Królestwa, którzy bywali zarówno na balach nowobogackich milionerów, jak i na obiadach u szlachty, zaczęły docierać wiadomości o tajemniczym polskim księciu Konstantym, który zarobił fortunę, prowadząc ryzykowną spółkę handlową w Algierii, raniony został w potyczce z marokańskimi piratami, był w oblężonym Paryżu podczas komuny, a niedawno sprzedał większość udziałów w interesie Anglikom za sumę niewiele mniejszą niż reparacje wojenne podyktowane Francuzom przez Prusaków.

Może by i uznano to wszystko za plotki, gdyby nie fakt, że do dłużników Konstantego wkrótce zaczęły przychodzić listy z Francji wraz z notami bankowymi. Znany bankier Szmula Bernstein otrzymał kwotę stu pięćdziesięciu tysięcy rubli – cały dług księcia z tłustym procentem – co wprawilo go w taki szok, że dostał apopleksji przy porannym czytaniu poczty. Hrabina Szczawska, owa zhańbiona dziewczyna, która dziś była już stateczną matroną, małżonką wiceministra skarbu, nagle zaczęła

wychwalać szczodrość księcia pod niebiosą. Dotacje otrzymały też różne kluby pomocy ubogim oraz towarzystwa krzewienia oświaty. Dla mieszkańców miasta stało się jasne, że Konstanty naprawdę istnieje i naprawdę zamierza wrócić, bo w przeciwnym razie po co regulowałby stare długi?

Z niecierpliwością czekano na rozwój wypadków, a tymczasem mijały jałowe miesiące, pozbawione wieści, a pełne kolejnych plotek, coraz dziwniejszych, coraz bardziej groteskowych, degenerujących się od chowu wsobnego jak stado rasowych psów. W końcu gruchnęła długo oczekiwana wiadomość: Konstanty Połubiński zapowiedział, że wraca do Królestwa ze swoimi milionami, świtą służących, a nawet osobistym mamelukiem. Miał osiąść w rodzinnych dobrach, które od śmierci ciotki leżały opuszczone.

Wkrótce spłynęły kolejne wieści: czyjś bratanek pisał, że do podmiejskiego pałacu księcia przyjechały wozy wyładowane meblami oraz dziełami sztuki, kto inny słyszał, że dwudziestego czwartego kwietnia wyruszył z Paryża prywatny pociąg z trzema luksusowymi wagonami dla jednego tylko człowieka. Pociąg ów zmierzał do Królestwa, ale nie wiadomo było, kiedy i gdzie przekroczy granicę.

Wtedy niektórzy spekulowali jeszcze, że gdy tylko książę postawi nogę na polskiej ziemi, carscy czynownicy założą mu na ręce kajdany. Ale kiedy tajemniczy pociąg wtoczył się na główną stację głęboką nocą, w całkowitej tajemnicy, czekał na niego tylko siwy rządca i niemiecki prawnik – dwóch pełnomocników, których książę wcześniej wyznaczył, by przygotowali dobra na jego powrót. Również w następnych dniach nie doszło do

aresztowania. Co bystrzejsi odgadli więc, że księżę Konstanty i tę sprawę zamknął przed przyjazdem i wykupił sobie u gubernatora pardon, przez co zaczęto o nim mówić z jeszcze większym podziwem – w kraju nie było go dwadzieścia lat, ale dokładnie wiedział, co i gdzie trzeba załatwić.

Potem nadszedł kolejny okres niepokojącej ciszy, aż w początku maja rozpętała się prawdziwa burza. Armia doręczycieli w ciągu jednego dnia objechała tonące w wiosennym błocie miasto, wręczając bileciki z zaproszeniem na bal powitalny księcia. Sama lista gości była dziełem geniuszu – stanowiła równy przekrój przez rodową arystokrację, przemysłowców, milionerów. Nawet modni w tym sezonie malarze, aktorzy i poeci otrzymali po bileciku. Zaproszeni byli wszyscy ci, którzy być powinni, a żaden z tych, którzy wypadli z towarzyskich łask.

Przyjęcia oczekiwano z niecierpliwością, racząc się rozmowami o egzotycznych spektaklach, jakie zamówić miał księżę, dlatego gdy nadszedł wyznaczony dzień, do posiadłości Połubińskich zjechały wszystkie zaproszone osoby. A także sporo tych, które bileciku nie dostały, ale spisały to na karb jakiejś fatalnej pomyłki, którą koniecznie trzeba wyjaśnić osobiście.

Nikt z tych, co zdołali wejść do środka, nie poczuł się zawiedziony przyjęciem. Były fajerwerki i egzotyczne zwierzęta. Były potrawy, których nawet ludzie światowi nie potrafili nazwać, przygotowane przez kucharzy z Wiednia, Brna, Lozanny. Była służba w egzotycznych strojach. Były tańce kobiet afrykańskich, które przyjęto wielką owacją, bo wielu gości nigdy wcześniej nie widziało na oczy Murzyna. Przede wszystkim zaś były

podekscytowane rozmowy o samym księciu, który okazał się mężczyzną przystojnym – szczupłym, ciemnowłosym, o wydatnym rzymskim nosie i wysokim czole. Kolonialny mundur francuski leżał na nim wyśmienicie, łapiąc światła wielkich żyrandoli w swoje złoczone guziki, pagony i sznury. Konstanty dwoił się i troił w oczach, by z każdym zamienić choć słówko. Kiedy zaś tylko odwracał się plecami i szedł do kolejnych gości, natychmiast za jego plecami rozbrzmiewały podekscytowane głosy.

– Mówią, że zabił człowieka gołymi rękami! – szeptała jedna z panien zebranych w rogu sali. – Jego majątek budowany na złocie wydartym piratom, na krwawym złocie!

– Ach, co też takiego mówisz, moja droga. To przecież dżentelmen i arystokrata!

– Spójrz tylko czasem na niego, dyskretnie, jak nie patrzy w naszą stronę. Jaka twarz orla, zacięta! Na pewno zabił, i to niejednego, znam ja takich – mój kuzynek, co zastrzelił jakiegoś awanturnika przy kartach, tak właśnie wygląda. Kainowe znamię!

– Ależ, moja droga, to zupełna nieprawda. Bratanek z Paryża pisał, że księżę potulny jak gołębek, nikogo by nie skrzywdził, ludzi z niewoli wykupywał za własne pieniądze.

– A piraci?

– Piraci to inna rzecz, przecież bestie, nie ludzie.

Z kolei przy wysokich oknach dyskutowała młodzież męska:

– Z Dąbrowskim był na barykadzie...

– Oszalałeś? Połubiński za mądry na takie socjalistyczne awantury.

– Wspierał komunardów pieniędzmi.

– A gdzie tam! Od początku rewolucji był w Wersalu, doradzał samemu Louisowi Thiersowi, Krwawemu Karłowi.

Gdzie indziej przy szampanie rozprawiała grupka przemysłowców:

– Pięć milionów.

– Wariat! Sama jego spółka algierska więcej warta. Zgaduję: trzydzieści!

– Pan, panie Hertzl, znasz się na interesach jak kura na bobie. Kolonie to już żaden *geszeft*, dlatego ksiązę się wyprzedał. Dziesięć milionów, nie więcej.

– Banialuki!

– A jak szanownemu panu własne interesy idą, skoro tak świetnie znasz się na cudzych?

– Świnia!

Sam ksiązę nie dawał po sobie poznać, że coś słyszy. Uśmiechał się wciąż szeroko i wymieniał grzeczności z kolejnymi gośćmi.

– Mówili, że syfilityk? – szeptała jakaś panna za jego plecami.

– Wiele rzeczy mówili, ale patrz, jakie lico gładkie.

– Gdyby zaiste miał francuską chorobę, dawno by nie żył. Od tego przecież najpierw kuśka odpada, potem nos, a w końcu...

– Ewuniu, nie przy dziewczętach!

Bal trwał w najlepsze, święto światła, błyszczących jedwabów, kryształowych żyrandoli, śmiechów i muzyki. Starsze osoby z rozrzewnieniem opowiadały, że tak bawiono się za dawnych czasów, za Napoleona, za króla Augusta. Nawet generał-gubernator, który przyjechał z rodziną, wydawał się mile zaskoczony rozmachem przedsięwzięcia, a był przecież na balach w Peterhoffie

u samego cara.

Sam księżę tańczył, owszem, trochę niezdarnie, ale za to winiono świeże blizny, które na pewno krył pod ubraniem. Z kolei sposób, w który trzymał widelec, na pewno musiał być pozostałością po jakiejś głębokiej ranie ramienia. Wszystkie drobne niezdarności księcia spotykały się z politowaniem i wyrozumiałością dam. Mimo tego Konstanty popełniał coraz więcej błędów, jakby tłum, mnogość światła i ludzkich twarzy, nieustanny szum głosów, zaczęły go nużyć. Czasem rozglądał się nie do końca przytomnie po zebranych, jakby nie wiedział, kim są i co sam tu robi. Często pytał majordoma o imiona, które już wyleciały mu z głowy.

W końcu, kiedy tylko wybiła godzina jedenasta, księżę wyszedł na środek sali w przerwie między tańcami, uklonił się i rzekł donośnie z mocnym francuskim akcentem:

– Wybaczą państwo, zdrowie nie pozwala mi cieszyć się dłużej państwa towarzystwem. Zostawiam państwa pod opieką mojego drogiego przyjaciela, hrabiego Szlicha.

Zaraz potem wyslizgnął się z sali w towarzystwie dwóch służących.

Nikt nie widział, że księżę bynajmniej nie udał się do swoich komnat. Zamiast tego przeszedł przez amfiladę ciemnych pokojów i wyszedł na balkon, z którego widać było okna sali balowej. Oparł się ciężko o barierkę, schował twarz w dłoniach i stał tak długą chwilę bez ruchu, bezsilny, wyczerpany, bezbronny.

– Piękną mamy noc, nieprawdaż?

Drgnął, niemile zaskoczony tym, że jest tu ktoś oprócz niego. Odnalazł wzrokiem kobietę w ciemnogrnatowej sukni, która obrócona bokiem, przechylona przez

kamienną barierkę, patrzyła w ogrodowy staw.

– Przepraszam najmocniej, naprawdę nie zauważyłem panienki...

Nie wiedział, co zrobić dalej, żeby nie uchybić żadnemu konwenansowi, milczał więc, próbując nie gapić się zbyt natarczywie na jej profil i długą szyję, których wygląd go zelektryzował.

– Jeśli czeka pan, aż ktoś nas sobie przedstawi, możemy tu stać do rana – powiedziała.

– A więc panny godność?

– Emilia Wilecka. Mój ojciec, Antoni Wilecki, jest właścicielem fabryki tekstylnej, zaprosił go pan z mamą, ale ona nie czuła się dobrze, więc musiałam towarzyszyć ojcu zamiast niej.

– Dlaczego więc nie bawi się panienka z innymi?

– Powiedzmy, że mam wyjątkowo czułe plecy. Bola od wskazywania palcami i złośliwych uśmiechów.

– Na Boga! Dlaczego ktoś miałby wyrządzać takie nieprzyjemności tak uroczej pannie?

– Pan nic nie słyszał o moim ojcu?

– Nie znam jeszcze wszystkich tutejszych plotek.

Wydawało mu się, że zobaczył na jej twarzy ulgę.

– To dobrze – odparła – i tak tę sprawę zostawimy. Poza tym nie służy mi zapach milionów rubli pomieszany z wódką, kawiozem i słomą w butach. Widzi pan, w mojej rodzinie zawsze sądzono, że to wyjątkowo podłe połączenie.

– Ale! Pani obraża moich drogich gości!

– Pan z kolei obraża mój rozum, sugerując, jakoby zaprosił ich z sympatii. Dziwna to sympatia, która wybiera akurat najlepiej ustosunkowanych, najbardziej wpływowych.

– Pani jest niemożliwa! – książę rzekł z podziwem. – Może jeszcze w równie kąśliwy sposób odpowie mi pani, dlaczego zapuściła się tak głęboko w głąb domu i jak prześlizgnęła się pani przez służbę?

– Wiedźmie sztuczki, to rodzinne, po mamusi. Nie może pan wymagać, żebym zdradzała takie sekrety.

– Nie mogę również tu pani zostawić samej na mrozie. A skoro towarzystwo w sali balowej jest pani wstrętne, nie wolno mi też nalegać, żeby pani tam wróciła. Proszę zobaczyć, w jak nierozwiązywalnym paradoksie znalazłem się przez panią – uśmiechnął się.

– Pan mnie intryguje – odpowiedziała na uśmiech.

– To moja specjalność, co zdają się potwierdzać niedorzeczności, których się dzisiaj o sobie nasłuchiwałem.

– Sam pan to wszystko prowokował, rysując się ze wszystkich sił jako nadzwyczaj tajemnicza persona.

– A pani nie uważa, że jestem tajemniczy?

– Komedia i teatr – wyduła wargi Emilia.

– Więc jak? Co robimy? – To mówiąc, wskazał drzwi do wnętrza pałacu.

– Wygląda na to, że pat – uśmiechnęła się. – Przyszło nam sterczeć tutaj, póki jedno nie zmarznie i się nie rozmyśli.

Przez chwilę patrzyli na sylwetki wirujące za oknami balowej sali, gdzie skrzące się stalagmity jasnych rozkloszowanych sukni przesuwwały się według skomplikowanych wzorów pod błyszczącymi stalagmitami masywnych żyrandoli. Śledzili wszystko z tym pierwotnym sroczym instynktem, który każe człowiekowi patrzeć na wszystko, co kolorowe i ruchome. Co jakiś czas Konstancy dyskretnie zerkał na towarzyszkę, jakby próbował sobie coś przypomnieć. W końcu Emilia rzekła:

– Widział pan kiedyś Mechanicznego Turka? Tego, co gra w szachy i potrafi ograć człowieka?

– Proszę pani, Turek okazał się wielkim oszustwem. Pod maszyną siedział karzeł, wyborny szachista.

– Założmy jednak, że ktoś by taką maszynę zbudował. A potem zmienił tak, żeby miał grać w szachy, chodziła po salonach, tańczyła i grała w pikiety. Czy myśli pan, że wielu obecnych poznałoby takiego pozoranta? Bawię się tą myślą, bo wydaje mi się, żeśmy tak mocno zamknęli się w gorsecie powtarzalnych zwyczajów, że byle zręczny automat mógłby zastąpić każdego z towarzystwa, tak że inni by nic podejrzanego nie dostrzegli. Wręcz byłby lepszy od żywej osoby, wolny od wszelkich *faux pas*. Proszę się nie śmiać, wiem nawet, jak by to mogło działać: mogłyby nim sterować takie bloczki drewniane z dziurkami jak maszyną tkacką systemu Jacquarda. Ktoś opowiada dowcip – zaśmiej się. Ktoś się kłania – odkłoń się. To można rozrysować na karcie w postaci grafu, a potem przenieść na dziurkowane drewno...

– Sądzi pani, że wszystkich ludzi tak się da? Rozpiąć na papierze w postaci grafu?

– A pan naprawdę sądzi, że na tym balu są jacyś ludzie nieprzewidywalni?

– Na przykład... – Konstanty skinął głową ku jakiemuś dandysowi z rozpiętą koszulą, który usilnie starał się wszcząć awanturę.

– A to istotnie pierwszej wody ziółko, Konradek Fronczyk. Proszę jednak się zastanowić, cóż on takiego robi? Ot, popije, pogra w karty, naprzykrzy się jakiejś pannie albo siądzie przy oknie z filozoficzną miną. On też jest tylko aktorem, gra rolę utracjusza, na którego stare damy mogą się marszczyć, a o którym młode mają mokre

sny.

Konstanty spojrzął na Emilię zdziwiony.

– No co pan robi taką minę, jakbym naruszyła właśnie pańską niewinność? – powiedziała. – Myślałam, że rozmawiamy szczerze.

Roześmiał się, może trochę zbyt głośno i ostentacyjnie jak na arystokratę.

Spędzili na balkonie jeszcze godzinę, póki lodowate światło księżycy i wiatr, który szarpał koronami parkowych drzew, nie zagnały ich z powrotem do środka.

Następnego dnia krążyła już po mieście nowa plotka. Księżę Konstanty Połubiński widziany był pod koniec balu w towarzystwie najstarszej córki Wileckiego, a już zaraz następnego dnia złożył w jego domu rewizytę, choć o to samo prosiło wielu dostojniejszych gości, w tym sam gubernator. Ów fakt wywołał takie oburzenie, że po raz pierwszy o księciu odważono się powiedzieć coś złego, a przodowały w tym matki dobrze urodzonych panien na wydaniu. Córka Wileckiego była przecież niewychowaną dziwaczką, pariasem zhańbionym podwójnie – przez skandale ojca i własną impertynencję. Wydawało się nieprawdopodobne, by księżę mógł dopatrzeć się w takiej kobiecie czegoś pociągającego.



Ulica ciągnęła się między tyłami kamienic jak brudna, czarna żyła, którą spływał leniwy ściek, odprowadzając zrodzone w trzewiach miasta plugastwo gdzieś pod ziemię. Na ścianach, które wznosiły się po obu stronach, nie było okien, jakby domy oślepiły od patrzenia na nędzę

zaułka.

Dołem tego kanionu szła postać, która wyglądała jak ulepiona z ciemności i czarnej wody. Wysokie buty chlupotały w kałużach, cmokało smoliste błoto, z wielką siłą próbujące uwiązać stopy przybysza, wciągnąć go z powrotem tam, skąd – jak się zdawało – wyrósł.

Postać zatrzymała się przed dwuskrzydłowymi drewnianymi drzwiami, które kiedyś prowadziły na tyły sklepu Berghajma. Teraz były uchylone, w pustym pomieszczeniu biegały szczury i piętrzyła się sterta śmieci. Dłoń obcego zacisnęła się na framudze, głowa – opadła.

Poszedł dalej, ale już nie tak pewnie, przygnieciony nieznanym ciężarem. Już–już majaczył przed nim koniec ulicy. Już–już lśniło gładkie jak polerowany obsydian bajorko, rozlane u podnóża starego muru.

Wtedy zatrzymał się, dręczony nagłymi wątpliwościami.

Chmury płynęły leniwie po niebie, szare wieloryby w morzu nocy. Koty miauczały na dachach. W oddali brzmiał turkot kolei.

Obcy zmusił swoje stopy, by weszły w ciemną wodę, w toń Styksu, odbijającego zimne i martwe oblicza gwiazd. Potem wyciągnął ku ścianie dłoń o długich, delikatnych palcach i przesunął je po oślizgłej powierzchni, jakby delectował się fakturą cegieł.

Stał tak długo. Mamrotał pod nosem inkantacje w dziwnym języku, a przekradające się zaułkiem szczury obracały w jego stronę czarne paciorki oczu, patrząc na tajemne symbole, które wykwitwały wokół jego dłoni, obserwując, jak świetliste żyły rozpełzają się po murze, jak ściana to wgłębia się, to wydyma, niby żagiel złapany w krzyżowe wiatry. Szczury rozumiały, że takiej magii

nikt nie widział od wieków, więc stawały na tylnych łapkach i patrzyły, choć futro jeżyło im się od energii, które płynęły w powietrzu.

Czoło mężczyzny, ledwo widoczne pod szerokim rondem kapelusza, marszczyło się z wysiłku oraz skupienia. A jednak ściana nie oddała mu tajemnic, które tak bardzo chciał wyrwać. Z każdą chwilą mężczyzna zdawał się kurczyć, a stary mur górował nad nim coraz wyżej. Ramiona obcego opadły ze zmęczenia i wysiłku, twarz wykrzywił bolesny wyraz.

W końcu poddał się. Wycząpał z wody, rzucił za siebie ostatnie spojrzenie, po czym zaczął iść z powrotem w górę uliczki. Kroczył ciężko, jakby na ramionach spoczął mu ogromny ciężar.

Minęła chwila, nim dotarł do głównej ulicy, gdzie czekał już na niego powóz z czwórką siwych koni.

Szczury już nigdy go nie zobaczyły.



Jeśli istniała rzecz, której nie oczekiwano po księciu Konstantym, to było nią to, jak szybko rzucił się w wir interesów przystojących raczej mieszczaństwu niż człowiekowi jego urodzenia. Arystokracja w tych czasach przywykła już do powierzania swoich środków spółkom handlowym oraz przedsiębiorcom z niższych sfer, ale starano się nie dotykać pieniędzy własnymi rękoma. Książę natomiast powołał firmę, którą sam kierował, całe dnie spędzając w śródmiejskiej oficynie, z której czasem nie wracał na noc. Szlachta patrzyła na to z mieszaniną obrzydzenia i oburzenia. Poważni kupcy kpili natomiast z

księcia, który w ich opinii inwestował wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Wsparł na przykład dużą kwotą upadające zakłady Wencla, choć w Królestwie wiadano już, że przemysł metalowy nie ma tu przyszłości, że przy carskiej polityce nigdy nie będzie mógł się mierzyć z przemysłem rosyjskim. Książę kupił też główne udziały w kilku niewyróżniających się niczym żydowskich spółkach, które choć stabilne i z kapitałem, nie wróżyły wielkich zysków.

Łączyło je jedno. Każda trzymała spore środki w banku Goldbauma na roczny procent.

Dopiero po miesiącu wyszedł na jaw plan księcia. Przekonał on udziałowców swoich spółek, by wycofali pieniądze od Goldbauma i ulokowali w jego własnej, książęcej kasie, oferującej procent tak wysoki, że wszyscy uznali go za wariata, bo było niemal pewne, że będzie musiał do niego dołożyć z prywatnej kiesy. Goldbaum w ciągu dwóch tygodni musiał znaleźć siedem milionów rubli na wypłatę depozytów. Na całe szczęście jego pieniądze były dobrze zainwestowane, trzymał w ręku papiery dłużne kilku najlepszych przedsiębiorstw bawełnianych w mieście, sądzono więc, że sprzeda je i zdobędzie żadaną kwotę na czas. Ale w tym samym czasie zaczęły rozchodzić się w kraju plotki o tym, że po przemyśle stalowym carscy urzędnicy upatrzili sobie kwitnący przemysł bawełniany i mieli go wkrótce przydusić takimi podatkami, że kto żyw, uciekać będzie musiał za wschodnią granicę. Akcje bawełnianych spółek zaczęły gwałtownie spadać, a ich weksle – do tej pory solidna waluta – stały się w ciągu kilku dni bezwartościową makulaturą.

Przed Goldbaumem, który nie miał czym pokryć depozytów, stanęło widmo plajty i procesu o miliony. Była

tylko jedna osoba skłonna kupić od niego tak niepewne papiery w tak dużej ilości – sam ksiązę, a zrobić to zamierzał za pieniądze wpłacone do swojej kasy oszczędności. Stawiał jednak surowy warunek: Goldbaum musiał ustąpić z miejsca dyrektora banku i odejść z firmy, powierzając ją księciu. I choć bankier rozpaczał, że odbiera mu się dzieło całego życia, przynajmniej ocalił siebie oraz prywatny majątek.

Ksiązę Konstanty Połubiński miał teraz własny bank, własną kasę oszczędności, udziały w spółkach żydowskich i – co najważniejsze – fortunę w papierach firm bawełnianych. W ciągu dwóch miesięcy od swojego przybycia z Paryża stał się jednym z największych przedsiębiorców Królestwa.

Wtedy zmienił nagle zainteresowanie i zaczął zajmować się nieruchomościami. Kupił jeden z najdroższych domów w mieście, pałac rodziny Hertzlów przy placu Tkaczy, co zostało przyjęte z niejakim zdziwieniem, bo Hertzlowie, nowi milionerzy, wzbogaceni swojego czasu na chemicznych farbiarniach, wewnątrz urządzili z pozbawionym gustu burżuazyjnym przepychem, który nie przystawał rodowemu księciu. Do prowadzenia interesów w mieście mógł przecież kupić coś wygodniejszego i dużo tańszego w utrzymaniu.

Potem tę sprawę przyćmiła sensacja jeszcze większa – taka, która roznosiła się jak echo na językach przez wiele dni, jakby ludzie musieli usłyszeć ją kilka razy, żeby uwierzyć.

Ksiązę się żenił.

Ale tak samo jak jego interesy i upodobania, szokujący okazał się wybór małżonki. Konstanty oświadczył się mianowicie pannie Wileckiej, której ojciec co prawda był

przemysłowcem, człowiekiem szacowanym na dwa-trzy miliony, ale ciążył też na nim skandal sprzed lat, kiedy to wyszło na jaw, jak zwykł wykorzystywać młodzieńcze pracownice swoich zakładów. Związek z osobą, której rodzina okryła się taką hańbą, był poniżej godności arystokraty. Wszystkie panny na wydaniu oraz ich matki wzięły zaraz księcia na języki. Prąd odwrócił się – teraz to plotki niepochlebne i niemiłe krążyły o nim, a przede wszystkim o jego narzeczonej.



Padał pierwszy śnieg, jeszcze niepewny, o drobnych i miękkich jak puch płatkach, które roztopiały się natychmiast w głębokim błocie, znikwały w kałużach. Plac wystawił ku niebu kostropatą brukowymi kostkami twarz, jakby liczył, że odrobina zamrożonej wody pomoże zmyć wieloletnie warstwy brudu. Ciemne okna patrzyły na niego z zazdrością i żalem, bo w bezwietrzną noc tylko czasem skrawek bieli muskał ich mętne szyby. Bramy otwały usta w niemym podziwieniu, latarnie mrugały, nie dowierzając, że w tej zapadłej dzielnicy można zobaczyć coś tak czystego, tak pięknego jak ów pierwszy śnieg.

Nieopodal drzwi do podrzędnej piwiarni były otwarte na oścież, wydmuchując nieświeży oddech, który wcześniej wstrzymywały przez wiele godzin, dla komfortu brudnych ludzi, którzy tłoczyli się w środku. Teraz wszystkie ich odory, przybrawszy postać pary, uchodziły na dwór, gdzie panował wieczorny chłód, a kałuże zaskorupiały się

lodem. W środku brzmiał jeszcze lupanarowy kadryl, którego rżnęła zapocona orkiestra, jakby zacięła się, niepomna na to, że wykidają wyrzuca za kołnierz ostatnich pijaczków. Żydek o chudej, ziemistej twarzy zmywał blaty ciepłym ługiem.

Natomiast w zaułku za piwiarnią trzech żołnierzy w zielonych płaszczach przyparło do muru czerwonego z przepicia łachmaniarza, który ledwie potrafił ustać na nogach.

– I co, myślał ty, że my nie słyszymy, tak? Za plecy Paliaczków się schował, *durak*, i gadać, i zwymyślać?

– Wyście nie żołnierze... wy świnie na usługach arcyświni!

Uderzenie kolby posłało mężczyznę na ziemię, w błoto. Zatrzepotał rękoma bezradnie jak wywrócony na grzbiet karaczan, chrypiąc:

– Precz, swołocze, chuje, psy parszywe. Ja walczyłem z prawdziwymi żołnierzami, z Austriakami w węgierskim powstaniu, a nie tylko z cywilami, młodzieżą. Ja jestem feldfelbel Eustachy Różewicz i plwam na takich.

– A *job twoju mat'*, ciebie żal do cytadeli, bo wszystko zaśmierdniesz! Dawaj, *riebiata*, nauczymy chama, dawaj!

Zaczęli kopać, aż trzeszczały żebra – po twarzy, po brzuchu, po udach. Zdawało się, że gardło mężczyzny rozedrze się zaraz od bolesnego wycia. Potem w ruch poszły orzechowe kolby karabinów, z których każda spadała na ciało z miękkim, głuchym plaśnięciem. Powietrze przesiąkło zapachem krwi, potu i błota.

Ciemność spłynęła na rozpostartych skrzydłach pomiędzy dachów.

– Odstąpcie – rzekła.

Zatrzymali kolby, zdeorientowani. Chwilę mrużyli oczy,

nim w blasku gazowych latarni spostrzegli, że to tylko jeden człowiek w czarnym płaszczu i angielskim cylindrze, stojący u końca uliczki.

– A ty co, *Paljak gieroj*, ty sam może trochę chcesz? Na, posmakuj sobie.

Żołnierz zamachnął się kolbą, ale nie uderzył, karabin wypadł mu nagle, a on przycisnął prawą rękę do brzucha z wyrazem przerażenia i bólu na twarzy.

A ręka puchła, puchła, puchła, siniejąc zgrubieniami wzdętych żył, aż wewnętrzne ciśnienie rozerwało skórę z hukiem pękającego balonu. Bryzgnęła krew, zostało tylko świecące ułomkiem kości przedramię – i wrzask. Ale żołnierz nie krzyczał długo, bo jego szyja i głowa również zaczęły pęcznieć, dławiąc w gardle wszystkie dźwięki z wyjątkiem indyjskiego gulgotania.

Drugi zaczął puchnąć w pasie, jeszcze zanim zdążył się otrząsnąć. Kiedy wreszcie spojrzął przytomnie w dół na swój wydęty kałdun, nie miał czasu nawet krzyknąć z przerażenia. Jelita strzeliły w powietrze jak odpustowe serpentyny.

Trzeci rzucił broń i zaczął uciekać w stronę placu. Nie dobiegł – eksplodował, zbryzgując ścianę szaroczerwoną zawiesiną z kości, mięśni i mózgu. Szkarłatna mgiełka unosiła się chwilę w powietrzu, skrząc się karmazynowo w świetle latarni, aż w końcu osiadła, zostawiając na ziemi i murach delikatny czerwony nalot.

Została już tylko czarna sylwetka i Różewicz, który leżał w błocie zakrwawiony, zarzygany, próbując wczougać się głębiej w zaułek.

– Jezu Chryste! Przepadnij! Co ty...? Kim ty...? – sapnął.

– Uspokój się. – Mężczyzna podszedł, wyciągając do niego dłoń. – Żyjesz? Nie połamali ci gnatów?

Eustachy otarł błoto z oczu. Gdy wyteńczył wzrok, pod płaszczem nieznanego spostrzegł haftowany srebrną nicią kaftan, jedwabne spodnie oraz oficerskie buty. Strój księcia – albo diabła w ludzkiej skórze.

– Precz! – Zerwał się na nogi i oparł plecami o ścianę. – Prędzej zginę, niż oddam ci duszę! Już wolałbym, żeby na śmierć skatowali. Odejdź!

Nieznanomy uśmiechnął się smutno.

– Eustachy, ty przecież byłeś człowiek rozumu, a teraz w diabły wierzysz? – spytał. – Naprawdę mnie nie poznajesz?

Oczy Różewicza zwęziły się do rozmiarów malutkich szparek.

– Ten głos... Pracowaliśmy kiedyś razem? U starego Wencla?

– Więcej nawet. Mieszkaliśmy pod jednym dachem.

– Franek.

Gdyby nie ściana, Różewicz upadłby znowu w błoto.

– Co tu robisz, jak mnie znalazłeś? – spytał ze ściśniętym gardłem. – I gdzie bliźny? Co się z tobą stało?

– Byłem w domu na Hutniczej, dozorczyńni powiedziała mi o wszystkim. Znalazłem potem tego szewca, u którego pomieszkiwałeś, on mi wskazał przytułek, a tam powiedziano, gdzie bywasz teraz.

– To i wiesz o Zofii?

– Wiem.

Różewicz zacisnął pięści, aż pobieleły mu palce.

– Nie mogłem jej wybaczyć. Są rzeczy, których nie można. Rozumiesz mnie? Dobrze zrobiłem? No powiedz, dobrze?

– Zrobiłeś tak, jak uważałeś za słuszne.

– Czyli jesteś po jej stronie? Niech cię diabli, Franek! W

niej przecież była kurewska natura, jak mogłem dalej...

Nie skończył, rozpląkał się głębokim, pijackim szlochem.

– Chodź. – Przybysz chwycił go za rękę. – Porozmawiamy gdzie indziej.

Minęli zamknięte już drzwi speluny i wyszli na plac, gdzie przy skwerku stał czarny powóz. Z kozła bacznie przyglądał się wszystkiemu drab z pistoletem. Różycki, pociągnięty w tę stronę, opierał się chwilę.

– Franek! Ty musiałeś pakt z diabłem, bo jak inaczej?

– Eustachy, Eustachy. Skończ już lepiej z tymi bujdami o diabłach.

– Jak więc...?

Znajda westchnął, a potem rzekł:

– Nie będziemy gadać na mrozie.

Wewnątrz powozu paliła się zwieszona z dachu naftowa lampka. Fotele błyszcząły nowiutkim aksamitem. Eustachy stanął na żelaznych schodkach i bał się usiąść. Pomogło dopiero silne ramię, które zdecydowanym ruchem usadziło go na miejscu.

Wkrótce ze środka zaczęły płynąć słowa ściszonej rozmowy.

Szwajcar, który siedział na kozle, wyteżył słuch. Był dyskretny, dlatego zresztą polecono go obecnemu pracodawcy. Jednak w ciągu ostatnich dni zobaczył – i usłyszał – tyle rzeczy, że nawet w nim potrafiły wzbudzić chorobliwą ciekawość.

– Wytłumacz to jakoś, zanim oszaleję! – rzekł gość księcia.

– Rozmawiałeś z Mikołajem? Po moim odejściu?

– Coś mówił, że jakiś Żydek nagadał ci bzdur, które zupełnie ci we łbie pomieszały. Nawet się pokłóciliśmy, ja mówiłem, że uciekłeś przez sprawę z Wenclem, a Mikołaj

– że niby przez tego całego Szloma. To jak było?

– Nie miałem jednej przyczyny, zresztą po co teraz to rozdrapywać. Ten rabbi powiedział, gdzie mogę spotkać kogoś, kto wie o mojej przeszłości. Po tym, jak sprawy u Wencla się zawaliły, poszedłem tam. I dowiedziałem się... dużo, ale nie tyle, żeby odpowiedzieć na wszystkie moje pytania. Ruszyłem więc w drogę tropem pradawnej wiedzy, której strzępy zachowały się w Sewilli. Gdzie mnie ona nie zaprowadziła, Eustachy! Stare dzielnice i synagogi Grenady. Żydowskie katakumby pod wiecznym Rzymem. Ukryte biblioteki Stambułu. Tybetańskie świątynie, w których od stuleci nie postawił nogi nikt poza mnichami. Z każdym krokiem na tej dziwnej drodze rosłem. Na ściółce tajemnych języków i prastarych manuskryptów zaczęło kiełkować złote drzewo wiedzy. Gdy dojrzało, gdy zdjąłem z oczu ostatnie zasłony, przemieniłem się. Zostałem tym, czym jestem.

– Czarnoksiężnikiem? Diabelskim zaprzedańcem?

– Nie, Eustachy. Człowiekiem, który rozumie siebie samego i świat. No, ale nie skończyłem jeszcze historii. Kiedy uznałem, że wiem już wszystko, wróciłem do Europy, do Paryża. Tam mieszkałem w cieniach, dyskutowałem ze zmarłymi rabinami. Zacząłem sprawdzać wszystko w praktyce. I wtedy trafiłem na niego. To było w szpitalu dla śmiertelnie chorych, leżał w korytarzu pod szmatami, gnił. Kiedy usłyszał, jak mówię do siebie po polsku, popłakał się. Opowiedział mi swoją historię i wtedy zrozumiałem, że w ręce wpadł mi ostatni element.

– Kto? O kim, do diabła, mówisz?

– O prawdziwym księciu Konstantym Połubińskim, o człowieku, z którym zawarłem pakt.

Szwajcar drgnął. Myśl o tym, ile rubli była warta taka

wiadomość, sprawiła, że zwątpił w swą zawodową etykę.

– To był uczciwy układ. Połubiński konał w bólach, bez grosza przy duszy, zapomniany, wzgardzony przez wszystkich – kontynuował fałszywy książę. – Wyleczyłem jego chorobę i dałem mu nową twarz oraz tę resztkę pieniędzy, którą miałem. W zamian wziąłem tylko imię, resztki oblicza i wspomnień. Dźwignąłem to wszystko z ruiny własnymi siłami.

– Oszalałeś! Po co? Po co maskarady, podszywanie się pod arystokratę?

– Trudno ci będzie zrozumieć. Błąkam się, przyjacielu. Tułam się po świecie bez celu, nigdzie nie mogę zagrzać miejsca, zewsząd wygania mnie nuda, niespełnienie, jakiś dziwny robak, który ciągle trawi mój mózg. A najgorsza jest świadomość, że tak było zawsze i zawsze już będzie. Te strzępki pamięci, których szukałem? Kto wie, czy to nie wylinka, którą zrzucić muszę co jakiś czas, by zupełnie nie oszaleć, by kontynuować swoją drogę. A wszędzie, gdzie idę, widzę zgniliznę, rozpad, wszystko rozłazi mi się w rękach jak te projekty u Wencla. Widziałem biedę tego miasta, widziałem niewolę w Algierze, bestialstwo berberyjskich korsarzy, okrutne rzezie w Paryżu, a wszystko to nie może zostać odwiedzone, osiada na duszy czarną sadzą, której nic nie zmyje. Mam plan, jak to przerwać, wielki plan. Nazwisko, fortuna, to był pierwszy krok. A teraz słuchaj uważnie, bo i ciebie to dotyczy.

Tu Konstanty ściszył głos do szeptu.

Szwajcar pochylił się, jak mógł, przyłożył dłoń do uszu, ale ze środka powozu słyszał już tylko mamrotanie. Gdy w końcu ryknął tam oburzony głos, służący podskoczył i niemal spadł na ziemię.

– Franek, niech cię Bóg chroni! Tego za wiele. Ja rozumiem, żołdaków rozmazać po ścianach, bawić się w Twardowskiego, ale żeby tak? Przeciw wszystkim prawom, przeciw Bogu i naturze?

– Uspokój się. Pomyśl, co oferuję: odpoczynek, trwałość, szczęście – odparł książe.

– Plwam na twoje czarnoksiężskie szczęścia. Prędeż szczenę na ulicy!

– Nie unoś się.

Ale mężczyzna już zerwał się z miejsca, już otworzył drzwi, zrywając gwałtownym ruchem sieć, którą pieczołowicie tkał wokół niego Konstanty.

– Żegnaj – odparł surowo, wychodząc z powozu. – Nie przychodź więcej do mnie, jeśli cenisz naszą dawną przyjaźń.

– Eustachy...

– Nie kuś starego człowieka. Miej litość.

Potem zniknął w nocy, kuśtykając w stronę pochylonych, starych domów, za którymi stroszył się pióropusz kominów. Połknęły go kręte zaułki i po chwili był już tylko wspomnieniem.

Powóz stał długo, czarna opoka wśród wirujących płatków śniegu. Ze środka dochodził tylko powolny oddech i szwajcar zaczął się zastanawiać, czy ten stary dziad nie skrzywdził księcia. Ale w końcu gałka laski stuknęła trzy razy o ściankę, a potem rozległ się głos:

– Jedziemy, Piotrze.

– Dokąd pan sobie życzy?

– Do domu.

– Zrozumiano.

Szwajcar chwycił lejce. Konie podniosły łby i zastrzygły uszami, słysząc, jak skóra ślizga się po drewnie ławki.

– I, Piotrze – dotarło ze środka – jak przyjedziemy, przyjdiesz do mnie do gabinetu. Sam. Musimy porozmawiać o warunkach naszej współpracy.

Dreszcz przeszedł po plecach służącego.

– Szatan – wymruczał, po czym strzelił lejcami.

Ich klaśnięcie jak karabinowy wystrzał przetoczyło się daleko nad przyprószonymi śniegiem dachami.



– Niełatwo cię było znaleźć.

Sztajmer odwrócił się gwałtownie, jakby usłyszał za sobą ducha. Ale oblicze mężczyzny, który przyłapał go samego w parkowej alei na porannej przechadzce, nic mu nie mówiło. Tylko sposób, w jaki ten unosił kącik ust, tylko coś we wzroku...

– Franek?

Teraz to mężczyzna był skonsternowany. Przyłożył dłoń do swojej twarzy, jakby ją badał. Dopiero po chwili rozluźnił się i zaśmiał.

– Jak mnie poznałeś? Różewiczowi nie mieściło się w głowie, że to ja.

– Ale mnie, na szczęście, mieści się wiele. Kto ci powiedział, gdzie mnie szukać?

– Ten malarz, Duraszuk. Nie wiedziałem, że teraz przestajesz z bohema.

– Bohema... Mówisz jak mieszczuch, którego nic poza własną misą oraz kiesą nie obchodzi. To po prostu ludzie, którzy szukają czegoś więcej. Wiesz, zainteresowałem się filozofią, mistycznymi sztukami. W życiu każdego przychodzi taki moment, kiedy trzeba stanąć z boku,

jeszcze raz spojrzeć na wszystko, poszukać jakiegoś sensu, jakiegoś wzoru.

– I robisz to w absyntowych kawiarniach? Bez grosza przy duszy, w towarzystwie podejrzanych obszarpańców?

– Już prędzej tam coś znajdę, niż kisząc się w drobnomieszczańskiej egzystencji. Ale chyba nie przyszedłeś rozmawiać właśnie o tym? Mów: nowa twarz, majątek? Jak to zrobiłeś?

Książę uśmiechnął się i zaczął opowiadać.

Ponad godzinę krążyli po brązowszarym, uschniętym parku. Niańki w ciemnych sukniach, które mijały ich, tocząc przed sobą wózki, patrzyły podejrzliwie, jakiś policjant przerwał powolny spacer i odprowadził ich wzrokiem, póki nie zniknęli na zakręcie. Z każdym słowem przyjaciela Mikołaj spoglądał na niego z coraz większym zdziwieniem – i strachem.

– I po co mi to wszystko opowiadasz? – Sztajmer rzekł w końcu cicho. – Żeby się chwalić tym, że dostąpiłeś wielkich wtajemniczeń, które na zawsze zostaną obce mnie, zwykłemu śmiertelnikowi? By mi pokazać, że moje własne poszukiwania są nic niewarte, bo prawdziwej wiedzy musiałbym szukać w tybetańskich monastyrach, w hiszpańskich katakumbach?

– Nie, nie. Mikołaj, jak możesz tak mnie posądzać? Po prostu jestem ci winien podziękowania. To ty zaprowadziłeś mnie na drogę, dzięki której jestem tu, gdzie jestem. Gdyby nie rabbi i jego wskazówki... Słuchaj, mogę coś zrobić, żeby się odwdzińczyć.

– Nic nie możesz. Im prędzej to zrozumiesz, tym lepiej dla ciebie. To, że jesteś bogaty, że znasz tajemne arkana, to wszystko na nic. Jedyne walka, która jest ważna dla człowieka, toczy się tutaj – odparł Mikołaj, uderzając się

w pierś. – A w niej nie pomożesz mi rublami, wręcz przeciwnie.

– Mikołaj, ja cię proszę. Szanuję cię, więc nie próbuj przy mnie udawać jakiegoś ascety, mistyka. Wysłuchasz, a potem ocenisz? – westchnął książę.

Sztajmer wzruszył ramionami, poirytowany.

– Załóżmy, że mógłbym cię zabrać do miejsca poza krawędź czasu, tam, gdzie wszystko istnieje wiecznie, gdzie ziemskie popędy i strachy nie miałyby dla ciebie znaczenia. Nie musiałbyś się martwić o pieniądze, o choroby i nagłą śmierć.

– Mówisz o życiu po śmierci?

– Nie, mówię o życiu, tylko w miejscu, które działa wedle innych zasad.

Mikołaj Sztajmer spojrzał mu głęboko w oczy.

– Ty nie żartujesz, prawda? Naprawdę coś takiego możesz?

Odpowiedziało mu skinienie głowy.

Sztajmer zacisnął szczękę tak, że zadrżały mu mięśnie, a po chwili zaczął wyrzucać z siebie słowa z impetem karabinowych kul:

– Nieskończoności. Zastanawiałeś się nad nimi czasem? Przerażają, są nieludzkie, poza naszym rozumowaniem i miarami. Znałem człowieka, który przestał wierzyć w życie pośmiertne, kiedy w pełni zrozumiał nieskończoności. Wyobraź sobie, że istniejesz przez wieczność, że milion razy pomyślisz każdą możliwą myśl, milion razy doznasz każdego możliwego uczucia – i co? Te twoje przeżycia to wciąż nic, pyłek ledwie, takich pozornych nieskończoności czeka cię jeszcze nieskończoność, a i ona będzie pyłkiem wobec całości. Tylko rzeczy, które mają koniec, mają też sens. Tylko

rzeczy skończone mogą dać spełnienie. Pomyśl, co chcesz zrobić, Franek. Bo mnie, przyznam, piekielnie to przeraża.

– Ale ja nie mówię o nieskończoności w rozumieniu naszego czasu! Ja mówię o chwili, która jest całością, o czasie, który jest jak krótkka zapętlona wstęga, a nie jak linia, znikająca gdzieś na horyzoncie!

– Franek, to, co opisujesz, obiektywnie jest piekłem.

– Powiedz mi, a to miasto, ta bieda i cierpienie, ten wrogi ucisk, to nie jest piekło? A życie, które w odniesieniu do historii jest ledwie jednym oddechem, jednym momentem, żalonym, nieudanym? Nie pragniesz wyrwać się z tego? Samemu kuć własny los?

– Mogę to robić i bez dziwacznej magii.

– Zastanów się. Wiem, że to może być koncept przerażający na pierwszy rzut oka. Ale poświęć mu trochę czasu, rozważ za i przeciw. Potem dasz mi odpowiedź.

– Znam już odpowiedź. Nie.

Chwilę szli obok siebie w milczeniu, warstwa żółtych liści tak tłumiała kroki, że zdawali się bezgłośnie płynąć przez umierający krajobraz.

– Niech tak będzie – rzekł w końcu książę. – Szukam jeszcze Słuki. Wiesz, gdzie mogę go znaleźć?

– Słuka nie żyje. Twoje czary już mu nie pomogą.

Konstanty stanął w pół kroku, jakby wylano na niego wiadro lodowatej wody albo porażono go prądem.

– Jak to?! On? Jak?!

– Po prostu. To było jesienią ubiegłego roku, jakiś pijany dorożkarz prał ze wściekłości konie i te poniosły, wjechały na chodnik, rozrzucając ludzi jak szmaciane lalki. Powóz przetoczył się po Janku. Podobno zginął na miejscu. Wiem tylko dlatego, że pisali o tym w gazecie, bo Klub przestał się spotykać jakoś tak w czasie, kiedy

Eustachy rozstał się z żoną.

Książę nie wiedział, co odpowiedzieć, zachmurzył się tylko i opuścił wzrok, więc odczekawszy chwilę, Mikołaj kontynuował:

– Zrozum. Minęły trzy lata, Franek. Nic już nie jest takie samo. Dobre czasy mają to do siebie, że zawsze mijają. I to, jakie były naprawdę, widzimy dopiero wiele lat później, wspominając je sobie jako sentymentalne, chylące się nad grobem dziady. Klub się skończył, każdy z nas poszedł własną drogą i były to drogi smutne.

– Co z Maurycem? – książę spytał, tknięty tonem jego słów.

– Maurycek brał udział w proteście studentów, zwołanym przez parę gorących głów w urodziny cara. Skazali go na dożywotnią zsyłkę, konwój ruszył ubiegłej jesieni. Pisał do mnie przez jakiś czas listy, ostatni przyszedł ze stacji w Riazaniu jakoś tak w lutym. Albo jest już za daleko i poczta nie dochodzi, albo zatrzymuje ją cenzura... Albo zmarł po drodze, jak wielu.

Książę zamyślił się. Teraz odkrywał, że mimo swojej wiedzy wciąż był głupi, naiwny. Myślał, że jeśli wróci do miasta, to pomoże dawnym przyjaciółom, odwdzięczy się za ich wsparcie. Ale ludzi, których pamiętał, już nie było. Eustachy się rozpił, Słuka nie żył, Maurycy pewnie też, Mikołaja pochłoneńto zgorzknienie. Czas zabrał wszystkich, uśmiercił ich albo zniszczył. Jak on nienawidził tej prymitywnej siły, która potrafi tylko iść naprzód, depcząc wszystko, co piękne. Czy była na świecie sprawa szlachetniejsza od walki z czasem, z tym ohydny nadzorcą niewolników, w takt bębnow którego żyła ludzkość?

Połubiński i Sztajmer długo milczeli, spacerując aleją,

nad którą chyliły się łyse, martwe konary drzew.

– A więc żenisz się? – spytał w końcu ten drugi, próbując jakoś pokonać niezręczną ciszę.

– Owszem. Uwierz, nie miałem tego w planach. Ale ta kobieta... Musiałbyś z nią porozmawiać, zobaczyć ją, żeby zrozumieć. Jest inna, jak rzadki ptak, jak... Ech, co będę gadał.

Nie wiedział, jak opisać to, co czuł wobec Wileckiej. Owszem, była osobą niepospolitego intelektu, każda chwila, którą z nią spędzał, była czystą przyjemnością. Nie spodziewał się, że w tej ponurej krainie błota i fabrycznych kominów, wśród zapleśniałych kamienic i sklepów ze starzyzną, wśród milionerów, którzy gdzie indziej mogliby co najwyżej zostać szynkarzami, urodzić się mogła tak niezwykła istota.

Ale ostatecznie o jego oświadczeniach przesądziło dziwne, trudne do opisania uczucie, które odczuwał blisko niej. Sam widok Emilii zdawał się powodować dziwny rezonans, zupełnie jakby dawne wspomnienia napierały na ściany umysłu, próbowały wydrzeć się na powierzchnię. Gdy patrzył na jej twarz, czuł jednocześnie smutek, melancholię, szczęście. Mówił sobie, że to miłość, ale tylko z braku lepszych słów, które mogłyby opisać ten dziwny stan.

Próbując zgłębić ten sekret, spędzał z panną Wilecką coraz więcej czasu, aż w końcu doszedł do momentu, w którym zdał sobie sprawę, że całe towarzystwo, jej rodzina, ona, a nawet – w pewien sposób – on sam, oczekują już tylko jednego: zaręczyn. Nie chciał nawet myśleć, ile osób by zawiódł, gdyby do nich nie doszło.

Ostatnią próbą była próba szczerości. Opowiedział Wileckiej wszystko: swoje początki w przytułku dla

bezdomych robotników, życie w mieście, dalekie podróże, naukę tajemnych arkanów. Potem powiedział o planie. Wbrew temu, czego oczekiwał, nie przstraszyła się. I choć to wszystko było trudne do ogarnięcia, zdawała się rozumieć. Miasto też ją odrzucało, ciążyły jej skandale wywołane przez ojca, nie mogła dojść do siebie po śmierci siostrzyczki zabranej przez szkarlatynę, nie potrafiła znaleźć nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Nalane, prostackie twarze tutejszych przemysłowców były dla niej odpychające. Nie miała nic wspólnego z ich córkami – laleczkami we francuskich sukienkach. Lata spędzone w domowym zamknięciu strawiła na czytaniu coraz dziwniejszych lektur i Konstanty nie był w stanie jej niczym zaskoczyć. Miała dość powodów, aby pójść za nim poza krawędź czasu.

Połubiński uznał to za znak. Jaka była szansa, że przypadkiem spotkały się bodaj jedyne dwie osoby w mieście, które tak łatwo mogły odrzucić kaleki świat Urizena? Że spotkał wreszcie takiego samego wędrowca? Różnica była niewielka: kiedy on włóczył się po dalekich krajach, ona wędrowała w głąb własnego umysłu, spędzała dni na rozmyślaniach i fantazjach. Oświadczył się.

Tydzień potem organizowali już wielkie zaręczynowe przyjęcie.

– Cieszyłbym się bardzo, gdybyś zgodził się ją poznać – zaproponował Sztajmerowi, odganiając wspomnienia.

– Obszarpaniec na przyjęciu u księcia? Nie, dziękuję.

Surowy głos sprowadził Konstantego na ziemię.

– Pieniądze to najmniejszy z problemów, Mikołaju – rzekł.

– Może dla ciebie, dla mnie wręcz przeciwnie.

– Przecież wiesz, że nie zostawię cię w biedzie. Dostaniesz, ile tylko potrzeba.

Mikołaj roześmiał się głucho:

– Mówiłem ci, nie szukam już w życiu pieniędzy. A ty zjawiasz się jak rycerz na białym koniu, by ratować coś, co ratowania nie potrzebuje, zasypać mnie rublami na moją zgubę, zrobić ze mnie przykładowego mieszczanina. Idź sobie.

Ostatnie słowa odbiły się echem wśród łąsych drzew i pustych alejek. Konstanty opuścił głowę.



Ślub odbył się dwudziestego siódmego października 1872 roku w kościele Najświętszej Marii Panny, którego pociemniałe gotyckie wieże wznosiły się przy rynku. Nigdy wcześniej nie widziano tam tylu kwiatów, tylu białych jedwabi – Konstanty żenił się z książęcym rozmachem. Kwota, którą zapłacił, również musiała być książęca, bo biskup osobiście poprowadził ceremonię mimo tego, że księcia uważano za bezbożnika, który od przyjazdu z Francji ani razu nie był widziany w kościele.

Wesele było historyczne nie tylko za sprawą zaproszonych gości, zamówionych potraw, fajerwerków, egzotycznych zwierząt oraz innych atrakcji. Wtedy po raz ostatni książę i jego małżonka pokazali się publicznie.

Po ślubie nowożeńcy nie udali się w daleką podróż. Wręcz przeciwnie – zaszyli się w miejskim domu, do którego dostępu broniła armia służących. Swoje interesy Konstanty powierzył pełnomocnikom, część spółek sprzedał, jakby nagle przestał się interesować robieniem

pieniędzy. Ludzie z kamienic leżących naprzeciw pałacu Połubińskich opowiadali ze zdziwieniem o tym, jak na książęcy rozkaz w ciągu jednego dnia zamurowano piękne, wysokie okna sali balowej. Przy drzwiach w dzień i w nocy pełnił ktoś wartę, do środka nie wpuszczano nawet najdostojniejszych gości, a bilety wizytowe przekazywane ponurym lokajom znikwały jak w paszczy smoka.

Plotki były różne. Rozmówiane w sensacjach mieszczaństwo szeptało, że w zamurowanym pomieszczeniu trwała nieustanna orgia wzorowana na książkach de Sade'a, na której potrzeby książęcy lokaje uprowadzali z biednych dzielnic niewinne dziewczynki oraz chłopców. Do gubernatora przyszło nawet kilka donosów od rzekomych świadków, którzy domagali się, by zlikwidował to gniazdo rozpusty tkwiące w sercu miasta.

Ci, którzy mieli jeszcze kontakt z księciem, jak jego adwokat albo nowy prezes kasy oszczędnościowej Goldbauma, byli bardziej powściągliwi. Czasem próbowali zwalczać szkalujące plotki, mówiąc, że książę poświęcił się naukowym fascynacjom, które podziela jego małżonka. Zdawały się to potwierdzać opowieści służby, według której Połubińscy wybudowali dziwaczne laboratorium, choć żadne z nich nie miało naukowego wykształcenia.

Tymczasem kobiety ubolewały nad losem młodej księżnej, odciętej od życia towarzyskiego – Emilia jeszcze niedawno była celem jadowitych plotek, ale teraz zmieniła się w biedną, godną pożałowania istotę, która musi żyć w jednym domu z szaleńcem. Była przedmiotem tylu rozmów, co wcześniej słynna Karolina Brunszwicka, znieważona królowa. O dziwnym prowadzeniu się i historii jej małżonka zaczęły pisać główne dzienniki Królestwa. Co

dzień przychodziły do niego anonimy i listy z pogrózkami.

Dziwak. Wariat. Wykolejeniec. Tyran. Okrutnik. Konstantemu przypisano tyle twarzy, że stał się postacią niemal mityczną. Kwestią otwartą pozostawało tylko to, czy zdziczał po zdobyciu milionów, czy też nigdy nie był do końca normalny.



Schody skrzypiały cicho, jakby z przyjemnością, pod naciskiem drobnych kobiecych stóp. Cienie cofnęły się, uderzone ostrym płomieniem naftowej lampy i jasnym błękitem podomki – czały się teraz w drewnianych kasetonach na suficie, skąd zerkały ciekawie na postać, która schodziła po kolejnych stopniach do pustego hallu.

Już na dole księżna Połubińska zatrzymała się, nasłuchując, czy jej kroki nie zbudziły nikogo. W końcu ruszyła dalej po miękkim tureckim dywanie, aż dotarła pod drzwi sali balowej.

Zdjęła z szyi klucz, który istniał tylko w dwóch kopiach, po czym przekreśliła go w zamku. Głośnie szczęknięcie poniosło się daleko korytarzami śpiącego domu.

Stary lokaj, który drzemał na krześle obok, poderwał się, ale księżna uspokoiła go ruchem dłoni.

Za drzwiami była mała improwizowana sień i następne drzwi, tym razem toporne, okute grubym żelazem. Emilia

dokładnie zamknęła pierwsze, upewniając się, czy klapka przesłania dziurkę od klucza. Następnie podeszła do przodu i otworzyła ciężką furkę.

Oblało ją mętne, pozbawione ciepła światło. Zmrużyła oczy, ruszyła po deskach sali ku ciemnej sylwetce, która siedziała na podłodze, rzucając swój długi, zgarbiony cień na ścianę. Przed nią w powietrzu wisiała kula mętnych oparów, żył światła i rozwirowanej szarości.

– Urosła? – spytała Emilia.

– Tak. Wszystko gotowe. – Książę odwrócił w jej stronę przekrwione, zmęczone oczy.

Wstał i z chrzęstem rozprostował plecy, niemal skamieniałe od godzin spędzonych przy pracy.

– Myślę, że mogę zacząć – dodał.

– Nie wyśpisz się wcześniej?

– Nie. Chcę zobaczyć, czy zadziała.

– A więc teraz? – Wzdrygnęła się lekko.

– Tak. Wolałbym, żeby cię tu nie było. Rozumiesz, do końca nie wiem, co się może stać, energie, które będą musiał uwolnić...

– Jeśli to miało mnie przekonać, zadziałało odwrotnie – przerwała mu.

Spojrzeli oboje w hipnotyczne wzory na powierzchni kuli.

– I... tam będzie można żyć? – spytała po chwili Emilia.

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Żeby się ostatecznie przekonać, będę po prostu musiał wejść, sprawdzić na własnej skórze. Potem zacznę ją powiększać, myślę, że najpierw o parę pokoiów, ściągnę kogoś ze służby, pałac... Ale czas do pracy. Jesteś pewna?

Kiwnęła głową. Konstanty patrzył jej chwilę w oczy, ale

nie było już nic do dodania. Chwycił dziennik, przerzucił parę kart, a następnie wyciągnął kredę.

Osunął się na kolana tuż przed kulą, jakby modlił się do niej, a potem dotknął kredą podłogi. Jego żona stanęła z tyłu, splatając dłonie na brzuchu, który już zaokrąglął się pod cienką warstwą jedwabnej podomki.

W ostatniej chwili książkę zatrzymał kredę tuż nad deskami.

– Wiesz, że możesz jeszcze zrezygnować – powiedział. – Kiedy zacznę przenosić miasto, nie będzie odwrotu, będę musiał doprowadzić wszystko do końca. To ostatnia chwila...

– Zrób to – przerwała mu.

Konstanty zacisnął zęby i postawił pierwszy znak, symbol początku i końca, wiecznego odradzania, nadziei oraz światła. Literę alef.



Generał-gubernator nie spał dobrze tej nocy. W rzeczy samej często mu się to zdarzało, potrafił wiercić się w mokrej pościeli godzinami albo na zmianę budził się i przysypiał jak pies. Moraliści mogliby rzec, że dręczyły go myśli o zsyłkach, zatrzymaniach, o tuzinach podpisanych własnoręcznie wyroków śmierci. Ale to dla gubernatora był zwykły obowiązek. Jego koszmary dotyczyły innych spraw.

Otóż dzisiaj śniło mu się, że car chce zjeść jego głowę. Zaczęło się od wezwania do Moskwy, z carską pieczęcią i tymi słowami, których boi się każdy rosyjski czynownik: „Przybyć niezwłocznie”. List typował też zastępcę na czas

nieobecności gubernatora – miał nim być ten przeklęty hrabia Bujnakow, który wszędzie się potrafił wcisnąć dzięki rodzinnym stosunkom; jeden z całej sfery młodych, wysoko urodzonych paniczków, których oddech gubernator wciąż czuł na karku. Przekazywanie Bujnakowowi gubernatorskiego fotela okazało się golgotą fałszywych półuśmiechów i współczujących zapewnień. Potem – podróż koleją. Wyciągnięty na kanapie w prywatnym wagonie generał-gubernator prawie się uspokoił, przynajmniej do czasu, dopóki nie zauważył przez okno, że tory nie leżą na podkładach z drewna, a z ludzi. Szyny przybite były do krwawiących ciał potężnymi nitami. Świst, który gubernator brał za odgłos lokomotywy, był w rzeczywistości powietrzem uciekającym z miażdżonych piersi. Następnie gubernator trafił na Kreml, w serce świętej Rusi, o wieżycach sinych jak kości wystające z zepsutego mięsa, ceglach czerwonych jak krew. Potem była sala o ścianach ze złota, gdzie na złotym tronie siedział car jedynowładca; za głową miał złotą tarczę, jak na świętych ikonach. Po jego lewej ręce stał rząd popów, po prawej – urzędników. I był też stół, a na stole złoty talerzyk, złote dółtko i złoty młoteczek. „Mamy kaprys zjeść twoją głowę, Filipie Filipowiczu. Bądź łaskaw ułożyć ją na tacy”, rzekły usta cara. Obok pojawił się zaraz czynownik w aksamitach, ze złotą szarfą i medalem, które bez wątpienia miał włożyć po wszystkim na bezgłowe ciało gubernatora.

Choć otyły i powolny, gubernator zerwał się do biegu. Próbował uciekać nieskończonymi korytarzami kremlowskiej twierdzy, ale oto spod podłogi wyciągnęły się ręce, jak u skazańców stłoczonych na najniższym poziomie cytadeli. Gubernator deptał te dłonie, kości

chrzęściły pod jego obcasami, ale co rusz się potykał, jego ogromne cielsko nie mogło utrzymać równowagi. Wreszcie padł, ręce wyciągnęły się ku niemu, z tyłu nadchodził pościg. Gubernator przez chwilę walczył, ale nie mógł już się podnieść, obce dłonie czepiły się fałd munduru jak żelazne szczęki.

I wtedy coś wyłoniło się z mroku na końcu korytarza. Postać w czarnym habicie, z dłońmi ukrytymi w szerokich rękawach i twarzą ocienioną przez kaptur. Ciemność zaczęła się odrywać pasmami od ścian i sufitu, jak ciągnięte niewidocznym prądem smugi dymu leciała ku postaci, by zniknąć pod jej płaszczem. Istota wypowiedziała imię gubernatora, a wraz z głosem spod jej kaptura dobył się lodowaty wicher, ziąb, który przeszywał ciało tysiącem igieł.

Gubernator obudził się mokry, jakby zlała go woda.

Okno było otwarte. Firanka kołysała się w takt podmuchów, tłocząc do środka nocny wiatr oraz zapach kominowych wyziewów. Na tym tle wyraźnie odcinała się ludzka postać w ciemnym płaszczu, z twarzą zakrytą przez chustę.

Gubernator naciągnął pierzynę pod samą szyję, serce niemal wyskoczyło mu z piersi. Oto jeden z najgorszych koszmarów stawał się rzeczywistością. W jego pokoju był zamachowiec!

Wzywać straż? Rzucić się po pistolet, który leżał na komodzie? Opcji było kilka, ale strach paraliżował gubernatora, odbierając mu zdolność myślenia.

Chwile mijały, odmierzone głębokimi oddechami firany.

Zamachowiec sięgnął do twarzy i zdjął chustę.

Filip Filipowicz nie zobaczył tam oblicza, którego się obawiał – twarzy polskiego rewolucjonisty wezbranej

patriotycznym szalem. Zamiast tego miał przed sobą uśmiechnięte, gładkie rysy młodego arystokraty. Nie było pistoletu – tylko dłoń otwarta, obleczona czarną rękawiczką, wyciągnięta jak na pomoc osobie, która ma kłopot z pokonaniem wysokiego stopnia.

– Gubernatorze – rozległ się głos. – Proszę mi powiedzieć, chciałby pan żyć wiecznie?



Latem 1873 roku w mieście poczęli znikać ludzie. Dwóch, trzech, czterech każdej nocy – zbyt niewiele, żeby wywołać panikę, ale zarazem zbyt wielu, żeby mogło to zostać niezauważone. Mimo to nikt nie dopytywał się o zaginionych. Nikt nie dawał ogłoszeń do prasy. Statystyki policji milczały, pokazując zwykłą liczbę przestępstw, podwyższoną może nieco przez fakt, że lato było piekielnie gorące i trochę tego upału przelało się w serca ludzi, którzy byli ciągle poirytowani, skłonni do bójek.

Nawet rodziny zaginionych nie wiedziały o ich odejściu. Znikali z portretów i dagerotypów, zostawiając po sobie tylko złe kadry z pustym miejscem po jednej stronie albo dziwną próżnię między członkami rodziny. Ojciec wchodził do pokoju, w którym jeszcze wczoraj mieszkał jego syn, i zaczynał myśleć nad tym, że najwyższa pora przerobić ten składzik na coś bardziej pożytecznego. Kobieta, wczoraj jeszcze żona, budziła się jako stara panna i z dziwną pustką w sercu siedziała godzinami na skraju łóżka, zapatrzone w ścianę.

Jedyne, co zauważono, to tajemniczy, ciemno odziany człowiek, który nocą przemyczał po dachach albo leciał na

tle czarnego nieba, szybując niczym puchacz.

Niektórym zdawało się rankiem, że ktoś ich odwiedził i rozmawiali długo, ale nie byli w stanie przypomnieć sobie o czym ani nawet kto to był, jakby wspomnienia zasnuła im gruba kotara. Szczególnie wyczuleni odnosili wrażenie, że w pokoju unosi się jeszcze obcy zapach albo że krzesło przesunięte jest gdzie indziej niż zwykle.

Pewien pijak z przedmieścia zgłosił na policję, jakoby nocą widział człowieka, który wszedł przez okno do mieszkania pewnej ubogiej wdowy i jej córki. Ale kiedy funkcjonariusze przybyli na miejsce, zastali tylko zimne, od dawna opuszczone pokoje. Budzeni ze snu sąsiedzi odpowiadali, że nikt tu już od dawna nie mieszka, że takiej pani nawet sobie nie przypominają. Policjanci wyśmiali pijaka, a tymczasem parę nocy później zniknął i on sam, jego barłóg wyparował z przytułku, twarz – z pamięci najbliższych przyjaciół, a imię – z policyjnych raportów. Nie istniał człowiek, sprawa nie istniała.

Ludzie przesypiali ten czas wielkich zmian, duszeni przez parne, gorące noce, przeszli go ukojeni monotonnymi dniami, jasnymi jak prześwietlony dagerotyp. Wkrótce zniknąć poczęły domy, wreszcie – całe ulice. Miejski kartograf po raz pierwszy w życiu zastanowił się, dlaczego na jego mapach miasto ma po bokach spore połacie pustego terenu; obiecał sobie, że nowe plany trzeba będzie sporządzić w większej skali. Znikały fabryki i milionerzy. Zatłoczone robotnicze domy i kolorowe burdele, które nasycaly każdą noc odgłosami rozpusty. Znikały kominy – kolumny wspierające sklepienie chmur.

I tylko czasem ktoś wstał z łóżka późną nocą i patrzył chwilę przez okno, doznając dziwnego uczucia braku,

straty, jakby w panoramie miasta było kiedyś coś, czego teraz nie ma. I czasem odnosił wrażenie, że noc obkurcza się jak schnąca koszula, że zgniata powoli kamienice i ludzi wśród złowieszczych skrzypów.

Ale nikt nie podejrzewał, że to nie był zwid, upalny majak, tylko niemy krzyk samego miasta, które niepostrzeżenie malało, na raty znikając z kart historii.



Książę wyszedł na ganek i niemal się cofnął, porażony ciemnością zbyt jasną i perlistą, ciemnością kłującą oczy igłami gwiazd, ostrzem księżycą odbitym w kałuży, płonącymi słońcami gazowych latarni.

Ostatnio odwykł od światła. Noce były dla niego dniami – pracowite, pełne wspinaczek na mury kamienic, biegów po starych, skrzypiących dachach oraz niekończących się rozmów z mieszkańcami tego labiryntu. Dni z kolei zmieniły się w noce – przesypiał je w swoim gabinecie za podwójnymi kotarami, skulony w mroku na angielskim szezlongu.

Przetarł oczy, a potem zszedł na żwirową ścieżkę, gdzie czekało dwóch służących w skórzanych płaszczach, z chustami na twarzy i trójkątnymi kapeluszami na głowach. Każdy krok był dla niego wysiłkiem, czuł się wyczerpany, zupełnie jakby każda z ostatnich wypraw postarzyła go o wiele miesięcy. Ciało wydawało mu się nieposłusznym

workiem mięsa, trzymanym w kupie tylko przez surdut. Twarz – taumaturgiczna maska, którą pieczołowicie wyrzeźbił jeszcze w Paryżu – ciążyła tak bardzo, że bał się, iż zaraz odpadnie. Podparłby ją dla pewności, ale ręce zwisały bezsilnie wzdłuż ciała.

– Pan się źle czuje? – spytał jeden ze służących.

– W porządku, Piotrze. W porządku – odparł Konstanty. – Zabierzmy się do pracy.

Ruszył w stronę karety, która czekała już na podjeździe, by zabrać go do odległych dzielnic, gdzie zamierzał dzisiaj pracować.

Wtem coś wyskoczyło z krzaków po prawej.

Konstanty przez chwilę myślał, że to koniec: sama śmierć przyszła zakończyć jego demiurgowe rządy nad miastem. Śmierć była chuda jak szczapa, blada, ubrana w jakieś łachmany. Szwajcar sięgnął po rewolwer, jakby ten bezużyteczny kawałek metalu mógł w czymś pomóc. Książę natomiast pamiętał setki magicznych formuł, ale był zbyt zmęczony, żeby którejs próbować. Było mu wszystko jedno.

Na szczęście to nie śmierć uczepiła się jego rękawa.

– Wybacz, próbowałem jakoś wcześniej – mężczyzna wydyszał mu w twarz. – Ale tu lepiej bronione niż twierdza, służba nigdy nie chciała dopuścić, listy słałem, ale...

– Żadne listy nie doszły. Witaj, Mikołaju – odparł książę i uścisnął przyjaciela.

Sztajmer odetchnął, widząc, że nikt nie ma zamiaru go przegonić. Przeczesał jedną ręką swoją pełną kołtunów czuprynę, a oczy wbił w dziurawe czubki butów, bezradny, zawstydzony.

– Wejdiesz do środka? – spytał książę.

– Wolałbym nie. Zresztą to chyba nie będzie potrzebne, bo przyszedłem po tylko jedną rzecz. Słuchaj, ciężko mi będzie o tym rozmawiać.

Książę przerwał mu ruchem dłoni, a potem zawołał:

– Piotr, Adam! Czekaćcie w karecie, pojedziemy za pół godziny.

Dwie ciemne sylwetki bez słowa ruszyły w stronę pojazdu. Przyjaciele usiedli tymczasem na stopniach wysokiego ganku, przed sobą mając żwirowany podjazd oraz czwórkę zaprzęzonych koni, które parskały i trącały się łbami.

– Chcesz jednak pójść ze mną i z Emilią? Na drugą stronę? Zgadłem? – rzekł Połubiński.

– Było takie oczywiste, że wrócę?

– Nie. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się. Ale kiedy tylko cię zobaczyłem...

Mikołaj Sztajmer uśmiechnął się ponuro.

– Chyba nie mam po co zaprzeczać. Mój wygląd mówi sam za siebie, prawda? Nieudacznik, włóczęga... Powiedz mi jedno. Ten cały twój świat, to całe przenoszenie, to naprawdę będzie działać?

– Już działa. W tej chwili w moim stworzeniu jest już dziesięć tysięcy ludzi, kilka kwartałów kamienic, parę fabryk i magazynów. Niemal połowa tego, co zamierzam zabrać w ostatecznym rozrachunku.

Na twarzy Mikołaja podziw mieszał się z szokiem i przerażeniem.

– Ty chyba żartujesz? To przecież dziesiąta część miasta!

– Rok bezustannej pracy.

– Ale co ty opowiadasz? Przecież musiałbym któregoś z nich znać. Przecież to miasto by już pękło od plotek o

zaginionych i...

– Nie, Mikołaju. Nasz Demiurg, nasz Stworzyciel, jakiegokolwiek imię mu nadasz, wiedział chyba, że nie będzie pilnował swojego dzieła zawsze. Dlatego dał temu światu niezwykle zdolności samoleczenia, samonaprawy, wygładzania zmarszczek, które mogą z czasem powstać. Za każdym razem, kiedy wrywałem coś stworzeniu, dziura zarastała bez najmniejszego śladu, łatając ludzkie wspomnienia, losy, dokumenty i opowieści, łatając plan ulic i geografię miast. Okazało się to tak proste, że teraz myślę, iż to nie była pierwsza taka kosmogoniczna secesja, tylko o innych nie miałem szans się dowiedzieć, tak skutecznie stworzenie unicestwiło wszystkie ślady. Wydaje mi się, że Agharta, Atlantyda... Nieważne zresztą, mógłbym cię zanudzać swoimi badaniami w nieskończoność. Pozwól, że dam ci po prostu przykład. Tam – księżę machnął ręką w stronę pustego horyzontu – były kiedyś kominy huty Wencła.

Mikołaj popatrzył na niego dziwnie.

– Jakiej znowu huty?! Przecież to miasto bawełną stoi, najbliższa huta to chyba Bankowa w Dąbrowie Górniczej. Innego przemysłu metalowego nie ma w Królestwie.

– Już nie ma. Wencel, budynek, połowa załogi, już są po drugiej stronie. Nawet magistrała kolejowa za miastem teraz nie istnieje, a z fasad kamienic zniknął czarny pył, którym huta je odmuchowała przez dziesięciolecia.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? Przecież ja też mógłbym zmyślić jakieś nieistniejące fabryki i powiedzieć, że już się o nich nie dowiesz, bo znikły na skutek mistycznych procesów!

– Powiedz mi może, pamiętasz Eustachego Różewicza?

– No oczywiście! Co za zwariowane pytania zadajesz!

– A kim był Eustachy?

– Majstrem od maszyn w tkalni parowej, w której pracowałeś.

– Nie, Mikołaju. Eustachy był majstrem od maszyn w hucie Wencla. Tam, gdzie pracowałem.

Chwilę zajęło, nim Sztajmer zrozumiał, co ksiązę chce mu przekazać.

– Kłamiesz – syknął. – Niemożliwe, żebyś aż tak... Przecież to już nie zabawa w zmienianie ludzkich losów. Ty, Franciszku, zaczynasz niszczyć historię! Ty rozumiesz, że każda taka zmiana wywołuje zmiany inne, trudne do przewidzenia? Przecież to, czy gdzieś jest przemysł metalowy, czy przemysłu nie ma, może wpływać na losy całych państw! Skąd wiesz, czyżes Polsce wielce tym nie zaszkodził?

Książę machnął ręką.

– Moja pamięć jest nienaruszona, chronię ją i konserwuję magią. Jako jedyny pamiętam miasto i przed, i po zmianach. Powiem ci, że sprawy się tu miały równie źle, niezależnie od tego, co robiłem. Dług wobec kraju spłaciłem natomiast, zabierając też starego generał-gubernatora, krwiożercze bydlę. Dręczył Polaków tak potwornie, że namiestnik Fiodor Berg to przy nim łagodny staruszek. I cytadela zniknęła po drugiej stronie, a to jedna twierdza mniej dla cara.

– Czy to ważne!?! – przerwał Mikołaj. – Odbierasz ludziom jedyną rzecz, jaka im tu jeszcze została: władzę nad własnym losem. Gorszy jesteś niż okupant, w głowie nie mam słów, żeby nazwać tę podłość. Powiedz: bez mrugnięcia okiem zmieniłeś los Eustachego, to może i przy moim grzebałeś?

– Jeszcze miesiąc temu mieszkałeś na skrzyżowaniu

ulicy Konstytucji z ulicą Fromborską. Fromborskiej, tego małego zaułka, który miałeś tuż przy bramie, już nie ma.

– Ale tak nie może być! – Mikołaj zerwał się z miejsca. – Gdybym ja wiedział, co ty wyprawiasz, to bym tu nie przyszedł, chyba że z pistoletem, żeby ci w łeb palnąć! Jak to tak, ludzkimi losami się bawić? Nie możesz ugniatać świata jak gliny. Nawet Bóg tak nie robi!

– Poprawię cię: nie jesteśmy pewni, czy Bóg tak nie robi. Podobnie jak ludzie z ulicy Konstytucji nie wiedzą, że kiedykolwiek mieli sąsiadów, tak my nie wiemy, co jeszcze było, a zostało odjęte. Byli już magowie na moją miarę, jak Majmonides albo John Dee. Któż wie, co robili?

Mikołaj zacisnął szczękę i stłumił gniew.

– I jesteś w stanie obiecać mi, że tam, w twoim rajku, zachowam wolną wolę? – rzekł.

– A chcesz? Tak się bałeś nieskończoności!

– Dalej się boję. Ale jeśli i ty pozostaniesz sobą, zawsze będę mógł poprosić i uciec, przejść z powrotem do tego świata.

– Mikołaju... To muszę już teraz jasno powiedzieć. Nie będzie odwrotu. Nie wiem, jak czas tego miejsca płynie w stosunku do czasu naszego. Może być, że jeśli opuścisz moją dzielnicę, na Ziemi między twoim odejściem a powrotem miną setki lat. I trafisz do świata tak obcego, tak przerażającego, jak dla prostaczka z wieków ciemnych straszny byłby świat kolei żelaznej, telegrafu, zięjących dymem fabryk. Ale to nie wszystko: świat będzie próbował cię wypchnąć, będziesz w końcu pozostałością rozłam, poszlaką, którą trzeba wymazać. Może tylko wymaze ci pamięć, a może cię zgładzi.

Mikołaj wzdrygnął się.

– Czy to ważne? – odparł zimno. – Czego może pragnąć

człowiek, któremu obrzydnie nieskończoność, jeśli nie śmierci? Nie, Franek. Tak jak przed dwoma laty nie mogłeś mnie przekonać, tak nie zdołasz teraz.

– A powiesz mi chociaż, dlaczego zmieniłeś zdanie? – Wzrok księcia zdawał się świdrować przyjaciela na wylot.
– Co się stało, Mikołaju?

Sztajmer odwrócił głowę, jakby wstydził się spojrzeć Konstantemu w oczy.

– Suchoty – rzekł. – Lekarz mówił, że z niedożywienia, ciągłych przeziębień, podsypiania w bramach. Postępują szybko, nie pożyję dłużej jak dwa lata. Zrozum, dopiero teraz się budzę jak ze snu, dopiero teraz zaczynam rozumieć świat – i takie coś. To okrutne, Franek. Ja...

– Nie musisz mówić. Tam, dokąd pójdziemy, nie będzie to miało znaczenia.

– Kiedy? – Sztajmer spojrzał na niego z nadzieją.

– Już wkrótce, przyjacielu. Już wkrótce.



Na mokrym bruku błyszczały migotliwe refleksy latarni. O tej porze ulice były już ciche, okna ciemne. Czas płynął powoli, a jego potok syczał głosem gazowych palników. Miasto miało ich czterysta – niemal tyle co Warszawa. Kiedy zakładano światła, zebrał się komitet protestacyjny, z ręki do ręki krążyły pamflety, w których anonimowy doktor M. zapewniał, że gaz ziemny to wymysł diabła i że od latarni wszyscy poduszają się we śnie. Ale teraz – ledwie kilka lat, odkąd położono rury – ludzie przywykli do nich szybko. Zdawało się, że żółtawy blask, ten wieczorowy strój miasta, był tu od zawsze.

Po odbitych w ulicy światłach jak po umierających świetlikach deptał samotny zamiatacz z szuflą oraz ręcznym wózkiem, do którego zbierał koński nawóz. Zamiatacz nazywał się Borys Jaśkow, był biedny i trochę przygłupi, ale głęboko wierzył, że wykonuje najważniejszą pracę w mieście. Co dzień nawozu przybywało, pozostawiony sam sobie zalepiał rynsztoki, tworzył na bruku cuchnące klepisko, aż w końcu podnosił się ponad krawężniki, wlewał się do sieni i bram. Borys słyszał kiedyś, że według angielskich naukowców jeśli powozów będzie przybywać w takim tempie jak dziś, za sto lat miasta świata utoną w nieczystościach.

Nieraz o tym marzył, miał nadzieję, że mroczna przepowiednia sprawdzi się, wszyscy bogaci państwo utoną w gównie, a wielkie, przeludnione, pełne fabryk molochy okażą się chwilową fanaberią historii, że wkrótce zostaną porzucone, a ludzie wrócą na wieś, żyć wśród natury, jak kazał Bóg. Ale na razie sam musiał walczyć z apokalipsą, której tak pragnął – cierpliwie, szufla po szuflę. Przynajmniej czasem znalazł w nieczystościach jakiś drobiazg, coś na osłodę tej ponurej ironii.

Właśnie w tej chwili zaślśniła mu w mierzwie srebrna półrublówka. Powoli odstawił szuflę i schylił się, plecy trzeszczały mu jak stare drewno.

Gdyby nie moneta, Jaśkow zginąłby pod kołami karety, która wystrzeliła nagle z bocznej alejki, ledwie kilka kroków przed nim, jak czarna błyskawica, a potem skręciła, unosząc dwa lewe koła, i runęła ulicą przy akompaniamencie klaskania bata i ciężkiego charkotu koni. Borys aż podskoczył, a potem rzucił w ślad za pojazdem wiązanek przekleństw, wygrażając kułakiem woźnicy, który uwijał się na koźle, i osobie, która

siedziała wewnątrz, za szybkami z dymionego szkła.

Konstanty Połubiński również klął, na czym świat stoi, nie mógł uwierzyć, że wszystko trwa tak długo. Przecież nie mieli ani chwili do stracenia, szło o życie i śmierć. Czuł się jak mucha w smole, fizyczność tego świata zmuszała go, by pełził, gdy chciał szybować. Przysięgał, że to już niedługo. Coś z tym robi u siebie, w swoim stworzeniu. Przecież nie do pomyślenia było, aby wskazówki zegara zawsze wędrowały w tym samym tempie, niezależnie od tego, czy obserwatorowi śpieszy się, czy nie!

Powóz tymczasem kluczył ulicami, aż wreszcie wjechał na długą aleję wśród drzew. I wtedy ciemność wyszła mu naprzeciw. Na końcu alei zgasło światło, potem drugie i trzecie. Czarny wąż pożerał ulicę, a karetą jechała prosto w jego pysk.

Konstanty nie zwracał na nic uwagi. Zgarbiony na wąskim siedzeniu, myślał tylko o jednym. Dlaczego tak wolno?

Jeszcze kilka chwil i rozminęli się – ściana czerni oraz pędząca karetą, wewnątrz której zrobiło się ciemno. Woźnica zaklął, a za jego plecami mrok poszedł dalej, owładnąc resztą dzielnicy.

Z góry, sponad atramentowych chmur, wyraźnie było widać, jak pajęczyna gazowych światel kurczy się. Zjadały ją małe sylwetki idące chodnikami. Było w pół do drugiej – latarnicy krążyli po mieście i mosiężnymi kapturkami na kijach gasili uliczne światła. To był prawdziwy koniec doby, po tym następowały cztery godziny całkowitej czerni, ciszy i bezruchu, jak przed początkiem świata; pełne napięcia oczekiwanie, czy słońce wzejdzie jeszcze raz, czy ofiara z krwi i potu, jaką

złożyli ubiegłego dnia robotnicy, była wystarczająca.

Kareta pędziła dalej. Nie zwolniła, choć woźnica ledwo widział kontury krawężników.

Konstanty przetarł spocone czoło. Czuł, jak czas niemal prześlizguje mu się przez palce, czuł narastającą wściekłość i frustrację.

Kareta zakręciła na rogu ulicy Karpackiej, sypnęły iskry spod metalowych obręczy kół.

Żołądek Konstantego ścisnął się w nerwowym oczekiwaniu, książę był spięty jak biegacz na starcie.

Wreszcie pojazd stanął pod uśpioną kamienicą z głośnym zgrzytem, cztery kauczukowe bloczki dociśnięte do obręczy kół aż zadymiły. Nim jeszcze kareta w pełni stanęła, drzwi otworzyły się.

Wystrzelił z nich Piotr, który pobiegł od razu do kołatki.

– Doktorze Faber! – krzyczał, łomocząc, ile sił. – Doktorze, proszę otworzyć! Księżna Emilia rodzi!

Konstanty tymczasem drgnął – symbole, które lewitowały nad blatem jego biurka, wreszcie połączyły się w całość. Poderwał się natychmiast i otoczył je dłońmi. Nie czuł ciepła, ale dawały jasne, pożółkłe światło. Zwycięstwo! Wyglądało na to, że rozwiązał jeden z ostatnich problemów swojego stworzenia: rezonująca sinusoidalna kaskada gematryczna o sprzężeniu zwrotnym, rozpięta między sefirą Keter a sefirą Jesod, mogła zastąpić w jego malutkiej krainie słońce. Eleganckie rozwiązanie, bez milionów kilometrów próżni lub gigantycznych gazowych kul, skrojone do potrzeb jak w precyzyjnym mechanizmie. Teraz musiał jeszcze sprawdzić, czy może tę kaskadę powiększyć, jak wpłynie ona na rzeczywistość. Zrobić tabelę: ile świec jasności przy jakiej wielkości kaskady. Zobaczyć, czy nie ma

żadnych efektów ubocznych. Dużo, dużo pracy.

Na dole ktoś otworzył drzwi, ktoś przebiegł po schodach, bolesne jęki Emilii niosły się korytarzem, ale Konstanty niczego nie słyszał. Był stwórcą pogrążonym w największym dziele wszech czasów. Oderwał się zupełnie od fizycznego świata, zamieniwszy go na świat tajemnych formuł i skomplikowanych matematycznych równań. To od pewnego mnicha z Tybetu nauczył się odcinać zupełnie od fizycznych bodźców i tylko dzięki podobnemu do transu skupieniu mógł pracować, ogarniać umysłem skomplikowane, tajemne arkana.

Krzyki Emilii ciągnęły się godzinami, a gdy ustały, nie zauważył nawet. Nie zwrócił też uwagi na natrętne pukanie do zamkniętych drzwi. Ani na to, jak lekarz, chwytając się ze zmęczenia, wszedł na podwórku do wynajętej dorożki.

Tyle jeszcze rzeczy było do zrobienia!

Tymczasem piętro niżej Emilia, bezsilna i otepiała z bólu, otumaniona opium, próżno na niego czekała. Służąca ostrożnie wyciągała spod niej okrwawione prześcieradła, jedno po drugim, jakby to łóżko zrzucało warstwy uszkodzonej skóry. A Emilia krztusiła się, wstrząsały nią drgawki. Czuła się rozerwana w pół, wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że przeżyła. Konstanty nie przychodził, choć kilka razy prosiła służących, aby go sprowadzili.

Wtedy jedyny raz pomyślała, że cena, którą będzie musiała zapłacić za uciezkę od świata, okaże się zbyt wysoka.

Ale trwało to tylko chwilę, bo kiedy podano jej wykąpanego w ciepłej wodzie noworodka, wypełniło ją szczęście, jakiego nigdy wcześniej nie zaznała.



Ptaki odchodziły. Krążąc wysoko nad sadem, zbierały się w klucze, które jak wielkie strzałki na niebiańskiej mapie wskazywały wektor ich ucieczki, drogowskaz dla maruderów. Gałęzie drzew, unoszone zimnym jesiennym wichrem, wysuszone do cna, wydmuchane z życia i wody, machały im na pożegnanie, trzeszcząc żałośnie.

Emilia Połubińska uśmiechnęła się – trudno było wyobrazić sobie bardziej poetyczne pożegnanie. Miała wrażenie, że nie tylko ptaki uciekają, że razem z nimi uchodzi całe życie, jednostajnym podmuchem rozrywając co chwila klucze na niebie, chwytając na drogę opadłe liście. Ciemny masyw domu zdawał się tonąć, przygięty własnym ciężarem, front był blady jak woskowa skóra nieboszczyka.

Kiedyś ten sad na tyłach miejskiego pałacu obserwowwały z góry kominy. Teraz przeredziły się, zostało tylko kilka – samotne, opuszczone, prężyły się dumnie, jakby nie dotarło do nich jeszcze, że nie mają przyszłości, że przemysł tego miasta umarł, zniknął w połowie za sprawą podatków i urzędniczego knuta, a w połowie przez jednego człowieka, który stał właśnie pośrodku ogrodu, wpatrzony w świetliste drzewo.

Książę w ciągu czterech lat postarzał się o dekadę. Na jego głowie pojawiły się siwe pasma, a zmarszczki, te pajęczne hieroglify, opowiadały historię miesięcy spędzonych nad księgami. Ale nie one świadczyły o prawdziwej starości, tylko fakt, że mimo swoich mocy Konstanty Połubiński nie odświeżył oblicza, że nie dbał już o nie. Praca bardzo go wyczerpała.

Na szczęście to już koniec. Odchodzili. Zostało kilka gestów, ostatni rytuał, a pałac – jedyna rzecz, której brakowało po drugiej stronie – przeniesie się do dzielnicy zlepionej ze strzępków wydartych miastu.

Ich dziecko, synek, który pojawił się, gdy Konstanty zajęty był dziełem życia, a którego istnienie ksiązę ledwo spostrzegał, ścisnął dłoń Emilii i patrzył ciekawie na drzewo. Wryte na korze świetliste wzory zahipnotyzowały go.

Ksiązę również wydawał się całkowicie pogrążony w alfabcie światła. Stał z założonymi na piersi rękoma, nie wiedząc, co właściwie robić.

– Możemy już...? – spytała cicho Emilia.

– Tak, chciałem tylko jeszcze chwilę popatrzeć. To przecież koniec.

– Wiem. – Położyła mu dłoń na ramieniu.

Skinął z ulgą głową. Teraz jakby się obudził, nabrał sił do ostatniego kroku. Wyciągnął przed siebie prawą dłoń i naciął ją nożem o srebrnym ostrzu. Chwilę patrzył, jak szkarłat zbiera się w zagłębieniu, spływając w dół głębokich linii, a potem wyszeptał słowa i miotnął nim w pień drzewa.

Krew połączyła się ze świetlistymi literami, ciało wróciło z powrotem do słowa w wielkim odwróceniu pradawnego genesis. Szare opary wystrzeliły ku górze wokół ogrodu, pociemniało. Przez chwilę wydawało się, że pałac przykryła kopuła mgieł, a potem owe kłęby runęły, zwały się na nich, a jedynym odgłosem, który usłyszeli, był przerażony krzyk dziecka.

Gdy otworzyli po chwili oczy, zamiast drzewa była już świetlista kolumna sięgająca nieba. Dom zajął swoje miejsce w sercu nowego stworzenia.

Opary rozwiały się, a uśmiech Konstantego potwierdził, że to już koniec. Emilia poczuła dziwną lekkość. Czy to spadły z niej niewidoczne łańcuchy, brzemień czasu, którego ludzie nie czują, bo przywykli do niego od urodzenia? A może znikła obawa przed starzeniem się, zniedołężnieniem, śmiercią?

Konstanty przyciągnął ją do siebie i przytulił.

Nie spieszyli się. Stali tak całe dekady, pogrążeni w przyjemnej chwili, prześwietleni na wylot jasnym blaskiem kolumny, nim księżę przebudził się i zabrał żonę na obchód nowego domu.

Tak zaczęło się ich spokojne niezycie. Myśleli, że będą musieli przyzwyczać się do momentu, wchodzić do niego ostrożnie jak do wanny z wrzątkiem, a tymczasem stało się wręcz przeciwnie. Nieczas lał się powoli jak gęsty miód, poddawali mu się niemal bezwiednie. Kiedy tylko Emilia siadała na kanapie z książką, jej wzrok zacinął się między literami na długie tygodnie. Konstanty, który chciał dokładnie zbadać granice dzielnicy, złapał się na tym, że wiele miesięcy patrzył w plan rozłożony na biurku. Dziecko zapętiło się natychmiast, podobnie zresztą jak reszta maluchów dzielnicy; zdawały się one nie zauważać momentu, jakby wyczulenie na obiektywny czas, kontakt z jakimś tajemniczym zegarem absolutu był cechą, która rozwijała się dopiero u dorosłych. Chłopiec nie opuszczał swojego pokoju, w nieskończoność bawiąc się tym samym nakręcanym pociągami, tymi samymi klockami. Rumieńce i błysk w jego oku nie blakły, a rodzice nie budzili go i czasem tylko stawali w progu, żeby sycić oczy tym prostym szczęściem.

Moment owijał ich jak ciepły płaszcz, jak miękka pierzyna, od której dotknięcia nawet w środku dnia

zaczyna się robić sennie. Znaleźli spokój razem z kilkunastoma tysiącami innych udręczonych dusz.

Ale już wkrótce Konstanty zaczął czuć coś niepokojącego. Coś mu przeszkadzało, nawet gdy był w środku przyjemnego momentu – jakaś dziwna drzazga, cierń. Z początku trudno mu było zdać sobie z niego sprawę, ale z czasem stawał się coraz bardziej dotkliwy, drażnył i kłuł, aż w końcu nie sposób go było ignorować. Dziwna, odległa groza psuła Konstantemu każdą chwilę swoim żelazisto-gorzkim posmakiem.

Czuł, że coś się psuje, coś umiera w ciągnącym się jak guma czasie dzielnicy.



Konstanty wychodził z pałacu coraz częściej. Wciągnęły go zaułki zapętlone w pustych interwałach trwania, place, którym brakowało wymiaru czasu, spłaszczone do niepojęcia, drażniące zmysły. Próbował znaleźć źródło swoich dziwnych przeczuć, ale brakło mu jakichkolwiek wskazówek. Sprawdzał więc wszystkich mieszkańców dzielnicy, jednego po drugim, upewniając się, czy wszystko jest w porządku.

Któraś z wypraw zaprowadziła go w końcu pod wejście do parowej tkalni, mieszczącej się w długim, brzydkim baraku gdzieś na obrzeżach dzielnicy. Pamiętał ją – przeniósł ten budynek wraz z całą załogą, kilkudziesięcioma kobietami, w jednym z ostatnich dni, kiedy już nie miał czasu ani sił, żeby rzeźbić odrębny moment dla każdej osoby.

Tu, pod drzwiami, poczuł dreszcz grozy. Cierń kłuł mocniej niż gdziekolwiek indziej.

Wszedł do środka – i zamarł.

To, co widział, przypominało obraz zapomnianego flamandzkiego mistrza. Krąg kobiet stał na środku hali. Krąg, który rozpychało obrzydzenie, a przeciwstawiała mu się ściągająca ku jednemu punktowi siła ciekawości. Białe twarze wykręcane były w teatralnych grymasach, od szoku po chorą fascynację.

W środku kręgu leżała kobieta. A raczej to, co z niej zostało, prezentując światu swoje wewnętrzne czerwienie i szkarłaty pełniej niż na słynnej *Lekcji anatomii*.

Konstanty cofnął się przerażony. Kobieta była złamana wpół, rozwłóczona potężnym metalowym krosnem, które chwyciło ją w pasie i zmiążdżyło o żeliwną ramę. Moment ogarnął ją, kiedy obie części dopiero upadły na ziemię, dopiero rozpląnęła się kałuża tętniczej krwi i wyprutych wnętrzości, w oku jeszcze coś błyszczało, a usta jeszcze otwarte były do krzyku. Ale te oczy, te usta, te wnętrzości i ta kałuża nie były już jednym, rozdzieliły się na masę składników, z których żaden nie tworzył istoty ludzkiej.

Książę nie mógł uwierzyć, że popełnił taki błąd. Czemu po przeniesieniu tkalni nie upewnił się, że wszyscy są szczęśliwi, że wszystkie momenty są przyjemne i wygodne? Dlaczego nie poczuł w chwili, w której kończył ryty, że doszło do tak strasznego wypadku? Czy coś go rozkojarzyło? Czy zapomniał się, zajęty myślami?

Nie wiedział. W ciągu trzech lat zrobił tysiące przenosin, których wspomnienia zlały mu się w wielką, syzyfową pracę. Jasne było tylko jedno: gdzieś, kiedyś musiał popełnić błąd.

Zbliżył się powoli do leżącej kobiety po to tylko, żeby ogarnęła go prawdziwa symfonia grozy, daleko

przerastająca preludium, którego doznał po otwarciu drzwi.

Źrenice Konstantego wytrzeszczyły się jak rażone reflektorem.

Język uciekł w głąb gardła.

Cały świat zdawał się spadać.

Książę Konstanty Połubiński miał przed sobą Emilię, swoją żonę, wykręconą w potwornej agonii. Poczł gdzieś pod czaszką oślizgłe dotknięcie obłędu. Niczego już nie rozumiał, przecież zostawił ją w pałacu! Co tu robiła, ubrana jak jedna z pracownic? Dlaczego weszła pod pracujące krosna, wygarniać gałgany i strzępki jak te dzieci i młode dziewczyny, z których życiem nikt się nie liczy?

Przyskoczył do niej, rzucił się na kolana, rozchlapując krew, a potem uniósł jej głowę, zaskakująco lekką, jak część manekina, a nie człowieka.

Dopiero po chwili zrozumiał. To nie była Emilia, choć podobieństwo zdawało się nieprawdopodobne. Dziewczyna wyglądała jak jej rodzona siostra, tylko trochę młodsza, o mocniejszych rysach twarzy, choć to może okropne cierpienie nadało im tak drapieżny wygląd. Ale ta świadomość mu nie ulżyła. Wręcz przeciwnie: nowa, trzecia fala uczuć, potężniejsza niż poprzednie, uderzyła go bez ostrzeżenia.

To było jak echo, które odbija się tak długo w nieskończonym labiryncie jaskiń, aż nabierze siły huraganu; jak kometa pędząca prędzej z każdym kolejnym okrążeniem gwiazdy, która uderza nagle, całym impetem zbieranym przez miliony jednakowych cykli.

W jednej chwili zdał sobie sprawę, że kochał tę kobietę do szaleństwa. Emilia zdawała się przy niej ledwie

przelotną znajomością. Widok jej twarzy obudził wspomnienia, których nie potrafiło wcześniej wydobyć nawet opium palone w spelunkach Egiptu ani babilońska magia ze zbutwiałych zwojów. Pamiętał, jak zwykła unosić brew, kiedy z niego żartowała. I tę zabawnie urażoną kobiecą dumę, kiedy robił coś, czego sama nie mogła. Każde drobne załamanie na jej twarzy, każdy najmniejszy pieprzyk były jak mapa wypalona w mózgu, którą mógłby odtworzyć nawet z zamkniętymi oczami. Czuł wobec niej ogromną, duszącą winę. Czuł potworny żal.

I teraz ona, jego ukochana, klucz do jego przeszłości, umierała.

Zrozumiał. Pomylił się, pomylił kobiety! To dziwne uczucie, które pchnęło go wbrew planom do małżeństwa z Wilecką, nie było wcale miłością, a tylko słabym echem wspomnienia o innej, o tej właśnie, która leżała teraz na brudnej podłodze warsztatu, rozpołowiona, zamrożona w wiecznej agonii. Były niemal bliźniaczkami, ale mimo tego w jednej chwili stało się jasne, że w Emilii kochał tylko to, co przypominało mu tę kobietę, którą musiał kiedyś znać, w innym czasie, do którego dostępu broniły spuchnięte blizny wewnątrz umysłu.

Jak zły sen wróciły opowieści o ojcu Emilii, rozpustniku, który wykorzystywał pracownice swoich fabryk.

Czyżby to naprawdę była jej rodzona siostra, o której świat nie wiedział? Jeśli tak, to kiedy, w jakim czasie i rzeczywistości mieli okazję się spotkać?

Te wszystkie pytania i uczucia, które wypełniły Konstantemu głowę, doprowadziły go niemal do szaleństwa, a szaleństwo rozpląsało się w czasie, zapętlilo w okrutnym sprzężeniu. Zapadł w moment równie straszny, co u nieszczęsnej dziewczyny. Wiele dni

minęło, nim wydarł się z niego, skarłały, słabszy, kaleki. Z trudem zapanował nad sobą, a potem przekonał własne ciało, że trzeba działać. Naprawić błąd.

Wpierw zajął się świadkami. Nie mógł pracować, kiedy kobiety patrzyły na jego winę, na jego pomyłkę. Rozsnuł dla nich nowy moment w rogu hali, gdzie zajęły się rozmową, która składała się z kilku jadowitych plotek okraszanych okrzykami oburzenia.

Potem przysiadł koło dziewczyny. Próbował patrzeć na całość sytuacji, nie na szczegóły, ale perliste błyski rozwłóczonych jelit, bąbelki piany we krwi, wywalone z orbit oczy doprowadziły go do torsji.

Kolejny moment – rzyganie w kącie hali ostatnimi kropelkami żółci, rozciągnięte w nieskończoność, jakby sam chciał się torturować tą chwilą, jakby męki zwiniętego w precel żołądka pomagały ukoić poczucie winy.

Wrócił do dziewczyny. Rozumiał, że nie może naruszyć jej momentu, bo ta natychmiast umrze. Musiał rzeźbić w jej żywym ciełe, w jego najgłębszych funkcjach, których nie potrafił nawet do końca ogarnąć. Pracowicie zebrał wszystkie części razem, ułożył je z powrotem w jamach ciała, wpompował krew do żył, scalił skórę. Potem popuścił nitkę czasu lekko, ledwie o sekundę.

Ale zaraz chwycił ją kurczowo. W tak krótkiej chwili oczy dziewczyny przyblakły, twarz spięta się pod wpływem ostatnich majaków gasnącego mózgu. Miał przed sobą niemalże trupa. Prymitywna magia, którą wyrzeźbił kiedyś swoją twarz, nie mogła tu pomóc.

Teraz jeszcze boleśniej niż kiedykolwiek odczuł granicę swoich możliwości. Owszem, nauczył się bawić narzędziami, pozostawionymi przez Stwórcę, umiał

rozsnuwać własne, proste i kalekie rzeczywistości. Nie potrafił jednak tchnąć życia w martwą materię.

Konstanty czarnoksiężnik, Konstanty demiurg trafił na zadanie, które było poza zasięgiem jego możliwości.



Gdy wrócił do pałacu, Emilia wydawała się zaniepokojona. W jakiś sposób wiedziała, że nie było go długo, o wiele dłużej niż zwykle. Bez problemu odczytała też jego twarz, na którą próbował wciągnąć kunsztowną maskę spokoju i obojętności.

Nie powiedział jej prawdy, nie odważył się. Zgadłaby przecież, że zwykły wypadek przy pracy nie mógł nim tak wstrząsnąć. Była mądra, otrzymawszy tylko strzępek informacji, mogła domyślić się prawdy, która zniszczyłaby między nimi wszystko.

Konstanty uspokoił żonę, jak mógł, a potem zamknął się z nią w długim momencie. Ale nim jeszcze na dobre przyzwyczał się do obecności Emilii, już ciągnęło go z powrotem. Nie potrafił odegnać myśli o niewyobrażalnym cierpieniu, które w każdej chwili przeżywała jej konająca siostra. Czuł, że zostawił niedokończone sprawy. Chciał działać.

Zaczęła się maskarada, która z każdym dniem odbijała się coraz bardziej na sumieniu Konstantego. Kiedy tylko mógł, opuszczał dom, wyslizgiwał się ze wspólnego momentu pod pozorem obchodu dzielnicy, by potem ślęczeć w nieskończoność nad półtrupem, który nigdy nie mógł do końca ostygnąć. Po powrocie, z głową pełną

magicznych formuł i rozmyślań o żywej materii, w twarzy Emilii widział oblicze tamtej. Krew i ciało, mięśnie i kości, dwie siostry mieszały mu się przed oczyma, tak że nie potrafił ich już rozróżnić. Wrażenie, że w jakiś sposób zdradza Emilię, napełniało go smutkiem, a od śmiechu ich dziecka poczucie winy rżnęło go jak nóż.

W końcu zrozumiał, że nie może tak dalej żyć. Jako półmąż i półojciec nie przynosił rodzinie niczego poza niepokojem, a będąc żalonym półczarnoksiężnikiem, nie miał szans dokończyć zadania. Postanowił odejść – do czasu, kiedy uda mu się rozwiązać sprawę, uwolnić się od wyrzutów sumienia i zasnutego mgłą agonii wzroku, który nieustannie go przesładował.

Odbył z Emilią długą rozmowę. Powiedział jej, że cały niepokój powodowany był nudą i żądzą dalszych odkryć. Nie potrafił spokojnie siedzieć w dzielnicy, podczas gdy tuż za jej granicą mogły istnieć niewiarygodne cuda. Chciał zbadać, ile było stworzeń podobnych do jego własnego, zobaczyć, czy nimi też rządzą ludzcy demiurgowie. Postanowił ruszyć na wędrówkę.

Zrozumiała. Może dlatego, że od dawna był nieswój? Może myślała, że bezczynność go niszczy? Obiecał, że szybko wróci, a żeby dzielnica nie straciła przez ten czas opiekuna, wtajemniczył ją w fundamenty swojej magii i zostawił dziennik, zapis badań z Hiszpanii, eksperymentów w Paryżu oraz szczegółowych opisów rytuałów, dzięki którym rzeźbił ten świat.

Następnie poszli razem na obrzeża dzielnicy, tam, gdzie przechodziła ona w szare, bezkształtne limbo. Pożegnali się ostatnim wspólnym momentem, rozciągniętym na lata, a potem Konstanty Połubiński pomachał Emilii i przekroczył – wyprostowany, dumny – granicę istnienia,

krawędź czasu.

Widok jego sylwetki pochłoniętej przez opar był ostatnim wspomnieniem, jakie zachowała o nim żona.

Ale w rzeczywistości Konstanty zatoczył tylko koło, po czym wynurzył się po drugiej stronie dzielnicy, przy tkalni. Tam, zabrał się do dzieła. Zapisał notatkami ściany i podłogę, rozebrał potężne parowe krosno i zrobił z niego skomplikowany, pełen przyrządów stół. Pracował jak oszalały, próbując zgłębić wszystkie sekrety ciała, tchnąc w nie witalną siłę, sprawić, by znów żyło. Ponieważ musiał nadać jakieś imię swojej obsesji, nazwał dziewczynę Karra, od liter „Kar. Ra.”, które znalazł wyszyte na kołnierzu jej roboczego odzienia. Gdy brakło mu sił do pracy, rozmawiał z nią jak ze starą znajomą, gładził wyprężoną dłoń, patrzył w oczy.

Ale światło wpadające przez szklane świetliki przeszkadzało mu w pracy i raziło oczy, a nieustanny rumor plotkarek doprowadzał do furii. Konstanty postanowił zbudować sobie nowe laboratorium w jakimś spokojnym miejscu, gdzie będzie miał dostęp do wszystkich narzędzi, pustych brulionów, przyrządów do pisania. Chciał też, aby było to możliwie daleko od serca dzielnicy, bo bał się, że odkryje go Mikołaj albo Emilia.

Wskazało mu drogę sześć wysokich kominów, ceglana korona, wieńcząca płataninę pustych hal. Osiadł przy starej hucie Wencla, gdzie urządził sobie pracownię w porzuconym zegarmistrzowskim warsztacie.



Cyk, cyk, cyk.

Chwila przerwy. Zegarmistrz opuścił zmęczone dłonie, przymknął zmęczone oczy. Wokół niego złociste i srebrne kształty piętrzyły się pod ścianami jak metalowe grzyby. Znał w nich każdą sprężynę, każdą część – składał je w końcu własnymi rękoma.

Każdy okazał się wielkim rozczarowaniem.

Cyk, cyk, cyk.

Zamyślił się nad mistyką zegarów. Zdał sobie sprawę, że przecież wskazówki pokazują nie czas, a liczby. Liczby te, choć ludzie abstrakcyjnie powiązali z uczuciem wpływających chwil, oznaczały również litery i słowa. I tak zdał sobie sprawę, że okrągłe twarze zegarowych tarcz przez całe życie mówiły coś do niego, sącząc powoli kolejne litery – ale nigdy nie zadał sobie trudu ich odczytania.

Teraz było za późno, zegary leżały wybebeszone pod

ścianą, zostały z nich tylko drewniane pudła i nieruchome wahadła. Wyjął z nich każdą najmniejszą część, na zawsze uciszając ten sekretny język.

Cyk, cyk, cyk.

To nie odgłos zegarów dzielił ciszę warsztatu na równe, odcięte jakby żyletką interwały. Cykało co innego: bezimienny, sturamienny twór, który rozpostarł się na ścianie, tętniąc rytmem sprężyn i kół zębatych, animowany magią. Mosiężna macica z drobniutkich elementów, otwarta, zapraszająca, rozrastająca się jak ośmiornica.

Zegarmistrz otworzył oczy i spojrzał w jej paszczę.

Cyk, cyk, cyk.

Mechaniczne tętno odliczało ostatnie chwile jego życia.

Pamiętał jeszcze, jak przyszedł tu w złudnej nadziei, że uda mu się zaleczyć rany Karry, która stała się jego świętym Graalem. Po latach bezowocnych prób stało się dla niego jasne, że zamiast zmieniać dzieło Stwórcy, którego nie potrafił zrozumieć, musi stworzyć własne życie i tchnąć je w dziewczynę.

Postanowił zbudować golema animowanego magią, a potem zespolić go z ciałem kobiety, tak żeby czerpała z jego sił witalnych. Teoretycznie wiedział jak, historię pierwszego golema znał z kilkunastu źródeł, w tym takich, których istnienia większość ludzi nawet nie podejrzewała. Znał słowo, którym można było tchnąć życie w materię. Wiedział, które sefiry rozerwać inkantacjami, żeby jego twór oświecił pierwotny, życiodajny blask. Ale golem gliniany ani kamienny nie wchodziły w grę – nie potrafił zespolić ludzkich mięśni, kości oraz nerwów z jednolitą twardą masą. Potrzebował czegoś, co imitowałoby sam organizm, co mogło stopić się z nim niepostrzeżenie.

Intuicja podpowiedziała Konstantemu rozwiązanie. Zdawało mu się, że gdzieś w pamięci zagrzebane miał obrazy automatów udających ludzi, metalowych części pokrytych sztuczną skórą, dziwnych hybryd człowieka i maszyny. Gdy odpowiednio się skupił, wydawało mu się nawet, że widział kiedyś coś podobnego – kobietę na korpusie metalowego pajaka.

Postanowił więc zbudować golema mechanicznego, zegarmistrzowski twór animowany kabałą. Pomysł wydawał się rozsądny, w końcu zawsze miał rękę do maszyn, potrafił je zrozumieć, wystarczył mu dotyk, aby pojąć ból złamanych wałów, pieczenie zatartych łożysk. Maszyny były dla niego najbliższą imitacją życia, jaką zdołał stworzyć człowiek, nieśmiałą obietnicą boskiej mocy.

Nie było prosto stworzyć nowe życie. Przez nieskończone morza pogrążonych w pracy momentów Zegarmistrz rzeźbił kolejne twory. Jego pot i wysiłek wstawał ze stołów pod postacią ożywionych karaczanów i mechanicznych pajaków, zaowocował generacjami zegarmistrzowskich stawonogów. Dla nich zagłębiał się w świetliste przestrzenie sefir, dla nich najpotężniejsze słowa kabały zmieniał w ciągi liczb, którymi programował metalowe ciała. Ale wszystkie okazywały się niedoskonałe, prymitywne. Wszystkie były tylko odpuściami kukłami.

By tworzyć formy coraz bardziej złożone, Zegarmistrz wymyślił nowe narzędzia. Zaczął od skomplikowanych monterskich przyrządów, które pozwalały składać mechanizmy z dużo mniejszych elementów, o dużo większym poziomie komplikacji. W końcu zbudował całe mechaniczne stoły o setkach ramion, które pozwalały

montować mikroskopijne elementy dużo szybciej, niż mógłby to robić sam. Stołami kierowały oparte na zębatkach i przekładniach maszyny różnicowe, które programował dziurawionymi prostokątami z mosiądzu. Ale i to nie wystarczyło, bo mechanizmy, które powstawały za ich pomocą, były wciąż głupie, niedoskonałe.

Zegarmistrz zaczął konstruować przekładnie logiczne, by dać podopiecznym pozór myślenia. Bez końca rysował na kartach notatników schematy inteligencji, próbując rozpisać duszę na zestaw grafów. Pod jego ręką magia i maszyna spletały się w kolejne, coraz bardziej niesamowite kształty. Epoki tytanicznej pracy dawały rezultaty coraz bardziej obiecujące, ale wciąż bardzo dalekie od tego, co chciał osiągnąć. I tylko dziewczyna białała na blacie, na zapleczu, przyprószona kurzem, wciąż przeżywała moment swojej śmierci. Gdy Zegarmistrz opadał z sił tak bardzo, że nie mógł już zmusić się do pracy, zaglądał na chwilę do niej, by znaleźć nową siłę w skręconych agonią rysach i wytrzeszczonych oczach.

W końcu, by znaleźć rozwiązanie, odrzucił ostatnią drogą sobie rzecz – własną dumę. Zaczął powoli rozumieć, że bez pomocy nie stworzy odpowiedniego ciała dla Karry. Zajmując się myślącymi maszynami, odkrywał coraz większe niedoskonałości własnego umysłu. Nie potrafił liczyć nawet w połowie tak dobrze, jak jego twory, nie umiał równie niestrudzenie pracować ani planować tak skomplikowanych konstrukcji. Zdał sobie sprawę, że jego umysł zawsze pozostanie taki sam. Tymczasem rozum maszyny zależał tylko od liczby logicznych przekładni i różnicowych zębatek, z których się składała.

Zegarmistrza owładnęła nowa obsesja: stworzyć

narzędzie ostateczne, takie, które dostosuje się, przeskaluje do rozmiarów każdego wyzwania, wchodząc na coraz wyższe poziomy abstrakcji, aż znajdzie rozwiązanie. Kolejne dekady minęły mu na nieludzkiej pracy.

W końcu udało się. Powstał mechanizm, jakiego nie zdołałby wymyślić żaden człowiek żyjący w liniowym czasie, produkt ogarniętego obsesją, genialnego umysłu, który był nieśmiertelny, niezmienny, nigdy nie ulegał zmęczeniu.

Ale w mechanizmie, w tej stercie logicznych przekładni i osi, brakowało najważniejszego elementu.

Zegarmistrz wzdrygnął się. Odwrócił twarz w bok i przymknął powieki.

Wspomnienia ogarnęły go raz jeszcze. Przemierzał krok po kroku całe swoje życie, próbując odpowiedzieć na pytanie, czy mógł pójść inną drogą, czy wszystko, co się stało, było nieuniknione.

Szczególnie jasno wrócił do niego jeden moment, który odbił się wyraźnie w pamięci i pchnął go z życia biednego włóczęgi do książęcych tytułów oraz pradawnej magii.

Była to rozmowa odbyta w noc święta Jom Kippur na żydowskim cmentarzu w Lublinie.



Pamiętał.

Macewa była stara, o rogach i krawędziach zaokrąglonych, tak jak czas zwykł wygładzać wszystkie pomniki, aby mogły się łatwiej ślizgać w dół jego korytarzy. Liter nie dało się odczytać, hebrajskie pismo

spłynęło z wodą niezliczonych deszczy, wsiąkło w ziemię, która w zamian wystrzeliła płataniną chwastów – może gdyby pochylić się nad nimi, w ich liściach dałoby się odczytać słowa? Zapach roślin, szczególnie ostry tej parnej, wrześniowej letniej nocy, był jak egzotyczne kadzidło, zdawał się nieść subtelną zapowiedź tajemnic, wypitych przez zieleń z uświęconej ziemi.

Znajda przysiadł na kamieniu nieopodal grobu. Czuł się tu dziwnie samotny. Obcy, goj i barbarzyńca na kościach niezliczonych pokoleń rabinów i cadyków. Zdawało mu się, że nawet czarny kot – niemy strażnik cmentarza, przyczajony na wysokim murze – patrzy na niego z pogardą.

Tamten przyszedł nie wiadomo skąd. Na pewno nie z wąskiej uliczki, która prowadziła do cmentarza, bo Znajda miał ją na oku. Wyłonił się nagle z czerni gdzieś po lewej i podszedł do grobu – zgarbiona, chuda postać, która w świetle księżyca wyglądała jak duch zagłodzonego. Znajdzie wydawał się niewyobrażalnie stary, słaby i zmęczony.

Nie spostrzegłszy nawet Franka, obcy położył dłoń na płycie, a ukryte za gęstym zarostem usta zaczęły szeptać słowa cichego, smutnego kadiszu, kadiszu dla najdroższego przyjaciela. Twarz opuścił ku ziemi – ściśnięty miech, zeschnięty worek skóry, ściągnięty niewyobrażalnym nadmiarem trosk.

– Powiedz, kim jesteś? – spytał cicho Znajda.

Mężczyzna podniósł głowę i szukał go długo wzrokiem, jakby niedowidział (albo ogniskował kolejno oczy na jakichś nieistniejących dla Znajdy wymiarach), nim w końcu zdał sobie sprawę, że mówi do niego ktoś ze świata ludzi.

– Czemu ty czeka, przy ten grób, w ta noc? Kto ci powiedział? – Jego głos skrzypiał jak stary wóz, którego osie dawno wypłyły ostatnią kroplę smaru.

Akcentował słowa tak, jak Żydzi z dawnych czasów, pamiętający jeszcze króla Augusta.

– Rabbi Szlomo, uczeń rabbiego Menachema Mendela, powiedział, że cię tu zastanę. I że ty tylko możesz odpowiedzieć na moje pytania – odparł Znajda, podchodząc do starca.

Choć wydawało się to nieprawdopodobne, mężczyzna jeszcze bardziej skurczył się i posmutniał.

– Ten człowiek musiał być do cna zły albo głupie, że dopuścić do tego spotkanie. Takie krzywde... Takie krzywde...

– Dlaczego? Mów jaśniej!

– Bo od kiedy ja cię zostawił, dzieckiem jeszcze, ja się modlił, żebyśmy nigdy się nie spotkali.

– A więc to prawda? Jesteś moim ojcem? – Znajda cofnął się o krok, uderzony słowami starca.

– Tak i nie. W pewne znaczenie jestem.

– Nie rozumiem! Nie chcę się bawić w kabalistyczne zagadki, w rabiniczne dwuznaczności. Błagam cię o odpowiedź na jedno tylko proste pytanie. Jesteś moim ojcem? Tak? Nie?

– W moim sadzie są jabłki, tak, nie? Proste pytanie, na które trudno dać jednoznaczna odpowiedź. Bo są, ale nie w zimie i nie po zbiory, są w określone okoliczności czasu i miejsce, jeśli w ogóle mam sad, czego ty nie wie. A to i tak proste przykład, bo w sprawach mistycznych pod uwagę człowiek bierze więcej czynniki niż te, które wpływają na istnienie – lub nieistnienie – jabłki.

– Co też mówisz, przecież ojcostwo... prawdziwy ojciec

zawsze jest jeden, nic tego nie zmieni!

– Mówi przez siebie rozczarowanie tem, że rzecz okazała się trudne, nieopisywalne dziecięcymi słowa. Żeby zrozumieć, musiałbyś każde cząstki ciała pragnąc odpowiedź, otworzyć umysł na kabbalah, więcej nawet, umysł przekształcić w coś nowe, wyzwolone od ciężar doświadczenia ziemskiego, które w sprawie mistyczne zupełnie jest nieprzydatnym. Ale nawet wtedy... Nawet wtedy – czy mógłbyś? Czy forme proste jest w stanie przyjąć kształt forme bardziej złożone? Czym są Prawdziwe Pytania i Prawdziwe Odpowiedzi wepchnięte w kaleki język ludzi, jeśli nie koślawe aproksymacje? Nie, musiałbyś więcej nawet zrobić, wyjść poza siebie, wyjść poza nas, wspiąć się na wyższe poziom egzystencja, z których wszystko zobaczysz jak figury na szachownicy. Może wtedy... Może wtedy... Tylko czy coś takiego istnieje? Czy ktoś poza Bogiem może spojrzeć na nas, na całe twoje historie, rozciągnięte jak na anatomiczny stół, jak litery zwoju, a potem – zrozumieć?

– Ja nie wiem, o co chodzi! Nie rozumiem!

Starzec westchnął.

– Nie rozumie, nie rozumie. Musiałbym wziąć na naukę, może wtedy zrozumie, ale toć niemożliwe, toć jeszcze gorzej wszystko zapłacze. Najprościej: byłeś mój syn dawno temu, za pierwszy raz, kiedy ty wyszedł z łona umierającej matki. Ale ta część twoje losy to gałąź martwe, odcięte przez nowa historie, które idzie jak pętla, jak koło, odrzuciwszy wszystko, co stało się przed wejściem w pętla. Ja byłem twój ojciec w martwe, nieistniejące już odnoga czasu, na sam początek. To moja wina, że chodzisz po świecie.

– Ślepa odnoga czasu? – załamał ręce Znajda. – Myślisz,

że to mi coś wyjaśnia? Czemu cały czas mówisz o winie? Co się stało? Co mi jesteś winny? Kim w ogóle jesteś?

– Nazywają mnie Johannes Buttadeus. Cięży na mnie zbrodnie, popełnione w zamierzchły czas, a mimo to popełniłem zbrodnie druga, kto wie, czy nie gorsza. Związałem się z kobieta, choć nie powinienem, choć wiedziałem, że klątwę, które cięży na moja krew, przenieść się może na kolejne pokolenie.

– Johannes Buttadeus – szepnął Znajda, któremu imię wydało się dziwnie znajome.

– W Hiszpanii znany jestem jako Salatielo ben Sadi, a goje wołają mnie Ahaswerus, Żyd Wieczny Tułacz. Skazany jestem, by do końca czasu chodzić po ta ziemię i nigdy nigdzie nie zagrażać miejsce, a tobie dałem klątwa w ojcowiznie.

Gdy słowa starca wsiąkły w noc, noc zaczęła nagle puchnąć jak gąbka, zgniatając Znajdę, wpychając mu do ust i nozdrzy swoje gęste macki. Franek poczuł, że się dusi, że ciemność cmentarza to czarny staw, w którym właśnie tonie, czerwieniejąc z braku powietrza. Chciał uciekać, chciał biec, byle dalej od tego okropnego uczucia.

Wszystko nabierało teraz sensu. Ten instynkt, który kazał mu być w ciągłym ruchu. Te niejasne wspomnienia, którymi był wypchany po brzegi. Blizny – ślady niezliczonych poprzednich żyć. Znajda poczuł się nagle jak marionetka, ruszana przez obce, straszne siły. Zawisło nad nim poczucie zguby, wrażenie, że jego życie jest już stracone.

Wybełkotał coś nieskładnie, odwrócił się i uciekł, pokracznymi krokami próbując przegonić swój los, uciec od klątwy, która ciążyła nad nim od chwili narodzin.



Zegarmistrz pamiętał jeszcze ten strach i pierwszy sprzeciw, bunt, w którym postanowił zadać kłam słowom Ahaswerusa. Ruszył w długą włóczęgę po świecie, by znaleźć miejsce, gdzie będzie mu dobrze, gdzie osiadzie już do końca życia i poczeka, aż upływające lata wymażą pamięć tego spotkania, aż sam przestanie wierzyć w rzekomą klątwę. Jednak im dłużej wędrował, tym bardziej zdawał sobie sprawę z prawdziwości słów ojca. Czuł się dobrze tylko w ruchu, każde miejsce, w którym próbował osiąść, brzydło mu szybko albo wypychało go dalej w świat zbiegiem różnych okoliczności. Czas pędził do przodu, kraje zmieniały się jak w kalejdoskopie, aż Zegarmistrz zaczął marzyć tylko o tym, by znaleźć szczęście i trzymać się go, by zamrozić czas, oszukać klątwę, która ciążyła mu coraz mocniej.

Wtedy trafił na traktaty starych mistrzów kabały, które obiecywały między wierszami to, czego tak pragnął. Studiował je długo, zdobył wiedzę, jakiej nie posiadał nikt od czasów Majmonidesa.

A wiedza doprowadziła go tutaj.

Cyk, cyk, cyk.

Maszyna kiwała wahadłami – niemy słuchacz jego wewnętrznych tyrad. Była cierpliwa, wiedziała, że Zegarmistrz nie ma wyboru, że wszystko zostało już postanowione.

Miała rację.

Rozczarowany swoimi prymitywnymi konstrukcjami, stworzył w końcu arcymechanizm, obliczeniowego

golema, przy którym maszyna różnicowa była tylko dziecinną zabawką, a który mógł zwiększać moc w nieskończoność, samemu dobudowując kolejne swoje części. Dał mu zdolność tworzenia w nadziei, że ów konstrukt zdoła zbudować dla Karry nowe ciało. Ale niezależnie od tego, jak bardzo się starał, nie potrafił pchnąć w tę maszynę duszy, programu, który miałby wolę, rozum, kreatywność, który mógłby realizować skomplikowane cele. To, co stworzył, pozostawało tylko pozbawionym inteligencji gigantycznym liczydłem. Świadomość była tym, czego Zegarmistrz nie potrafił zmontować z kółek, przekładni i zakłęb.

Prace zatrzymały się, przez lata Zegarmistrz próbował pokonać tę nową przeszkodę, aż w końcu zaczął rozumieć, że jest tylko jeden sposób. Czasem płakał ze strachu jak dziecko. Czasem czuł jakiś melancholijny smutek, jakby wiedział, że jest zgubiony, że każdy krok, który teraz podejmie, zbliża go ku czemuś straszному.

Karra dogorywała na zapleczu, moment przechodził niepostrzeżenie w moment.

Wreszcie Zegarmistrz rozumiał – los chciał od niego ostatecznej ofiary. By uruchomić maszynę, musiał wlać w nią własny umysł, stworzyć hybrydę, ludzką logikę poszerzoną o nieograniczone moce samoreplikującego mechanizmu.

Cyk, cyk, cyk.

I tak oto dotarł do ostatniego przystanku swojej drogi. Sarkofag, który przed nim stał, był połączeniem, które pozwoli jego umysłowi wejść do serca maszyny, potężnym lejem, który wyssie z niego duszę i przepisze ją na miliony logicznych przekładni, a zostawi tylko wegetujący wrak. Wiedział, że nie będzie powrotu, że

transformacja go zmieni, a w miarę jak maszyna będzie się rozrastać, ta ludzka część będzie w niej coraz mniej ważna, aż w końcu zepchnięta zostanie do roli cichego głosu podświadomości albo wręcz zniknie, gdy ciała w końcu uda się jakoś umrzeć.

Zegarmistrz patrzył teraz na swoje łożo śmierci, błyszczące polerowanym mosiądzem, zapraszające.

Cyk, cyk, cyk.

Czuł, że nim połączy się z maszyną, musi zrobić coś jeszcze. Usiadł przy pulpicie w świetle samotnej świecy, po czym napisał list, opisując całe swoje życie, wszystkie jego ślepe zaułki i tajemnicze ścieżki, opisując świat ludzi, narodziny dzielnicy. Chciał, żeby przywrócona do życia Karra wiedziała, co się z nią stało i dlaczego wygląda tak, jak wygląda. Chciał, żeby zachowała pamięć o człowieku, który poświęcił dla niej wszystko.

Był jeszcze jeden adresat listu, bowiem Zegarmistrz czasami odnosił dziwne wrażenie, że widział swoją pracownię, jeszcze zanim ją założył. Maszyna, która pokrywała teraz całą ścianę pokoju, także budziła trudne do opisanego wspomnienie. I choć śmiał się z tych myśli, jakaś część umysłu podpowiadała mu, że kiedyś jeszcze przyjdzie tu, w jakiejś formie i czasie, do świątyni mechanizmów, przed złoty sarkofag. A wtedy tylko list będzie mógł wszystko wyjaśnić.

Gdy Zegarmistrz skończył i ułożył kopertę na pulpicie naprzeciw wejścia, spojrzawszy znów na maszynę, której gardziel otwierała się żarłocznie. Dzieliły go od niej trzy kroki – ostatnie trzy, jakie miał przejść w swoim życiu, koniec długiej wędrówki.

Czekała go jeszcze jedna podróż. Ostatnia, ta, którą każdy człowiek, całe życie przyzwyczajany do poruszania

się śladami innych, musi odbyć samotnie, w niewiadomą, na nieprzetarty szlak, bardziej daleki i obcy niż gwiazdy dla praludzi ze stepów Afryki.

Łzy zakręciły się w oczach Zegarmistrza.

Czy roztrwonił swój czas?

Czy było warto?

Dlaczego tyle minęło, nim zrozumiał, że to nie porządku i spokoju powinien był szukać w swoim życiu, a dynamicznych równowag, ulotnych symetrii, które powstawały ze zbiegów okoliczności i trwały tylko kilka pięknych chwil?

Podszedł do sarkofagu. Wzruszony karmił się kawałkami wspomnień, które zebrał dla pokrzepienia na ostatnią drogę.

Pierwszy zapach pustyni, jałowy krajobraz, gdzie z pyłu i piasku pięły się ku górze białe ściany kibucu. Niedzielny, odświętny uśmiech Zofii, mocna dłoń Eustachego. Ptaki kołujące nad starymi dachami kamienic. Poręcze pomostu, z którego patrzył w buchające żarem serce huty, twarde jak krawędź sarkofagu, o którą się właśnie opierał. Kąpiel w ciemnozielonym morzu, gdy w oddali brzmiały krzyki mew oraz dzieci z sierocińca, a nieskończone szare przestrzenie otwierały się nad ciałem, kołysanym spokojnymi falami – woda była zimna jak metalowa płyta, na której się kładzie. I jeszcze dłonie, delikatne, białe, dotykają jego skroni pełnym czułości gestem – to taumaturgiczna korona opada na głowę.

Coś zalśniło mu przed oczyma. Gwiazdy odbite w czarnej wodzie stawu na tyłach sklepu Berghajma? Nocny prom na rzece Jordan, obwieszony lampkami jak świąteczna choinka? Pociski smugowe tnące parną noc Bejrutu? Blask dziwnego, obcego miasta? Ostatnie

skrzydła siatkówek, które już nigdy nie zobaczą światła?

Wiek sarkofagu zamknęło się z hukiem niczym okładka ogromnej książki.



Mechan zadrżał z przyjemności aż po najdalsze końcówki. Niespodziewanie doświadczył całego morza obcych komend oraz danych. Fale zrozumienia przelały się po jego metalowych zwojach, wypełniając pracownię frenetycznym klikaniem naoliwionych przekładni.

Miasto. Masa. Maszyna.

Pojęcia, których istnienia nie przypuszczał, przelewały się teraz przez jego mechaniczne cielsko. Pożerał całe modele ludzkich logik, topologie abstrakcji, mapy behawioralne – zdawało się, że zębatki zaraz stopią się od szalonego klekotu. Poznał czarnoksiężskie sekrety, które nawet w ustach ludzi były bluźnierstwem. Poznał Boga. Poznał szarpiającą miłość wobec kobiety, która leżała na zapleczu ani żywa, ani martwa.

Było tego więcej, niż umiał przyjąć, zaczął więc rosnąć, by w pełni zasymilować nowe pokłady wiedzy. Wkrótce wypełnił całe pomieszczenie, zużył sterty części, które zostawił mu Stwórca jako karmę na pierwsze miesiące, rozebrał większość mechanizmów, wydłubywał elementy z zegarów, zabawek, pajęczaków.

Wciąż było mało. Zaczął sięgać pasmami do innych mieszkań, aż w końcu rozrósł się poza kamienicę, odkrywając pełne porzuconych maszyn i metalowych części hale starej huty.

Gdy zaspokoił pierwszy głód i przetrawił tę

niewyobrażalną ilość danych, tłoczonych przez zamknięty w sarkofagu umysł, najpierw pomyślał o zagrożeniach dla swojego istnienia. Największe leżało w samej pracowni pod postacią kawałka papieru pełnego zdradliwych, niebezpiecznych sekretów.

Mechan zaczął rosnąć w jego kierunku, aż w końcu błyszczące ramiona sięgnęły listu. Zaczęły go drzeć, precyzyjnie, powoli, jakby chciały rozłożyć sobie tę przyjemność na lata. Umysł z sarkofagu protestował, ale nie miał już żadnej władzy.

Mechan był dokładny. Kiedy skończył, po liście nie zostało nic poza drobnymi strzępkami. Teraz mógł przystąpić spokojnie do wykonywania swojego programu, do naprawienia tej dziwnej, bladej, zepsutej maszyny, która leżała na zapleczu. Cel wydawał się prymitywny – mechan poczuł złość i oburzenie, że stworzono go dla tak trywialnej sprawy. Ale czuł już, że kiedy upora się z zadaniem, kiedy uwolni się od ostatnich instrukcji wpisanych przez tajemniczego Stwórcę, będzie mógł zająć się ważniejszymi rzeczami.

A wtedy zacznie pożerać puste przestrzenie, rozbudowywać się, wchodzić na poziomy komplikacji niewyobrażalne dla człowieka. I zbuduje własny świat, świat powstały według jego maszynowej logiki. I stworzy własne dzieci na swój obraz i podobieństwo. I wyliczy odpowiedź na wielkie pytania, które zaczęły go dręczyć, odkąd tylko stał się świadomy.

Po co?

Dlaczego?

Skąd?

Dokąd?

Symfonia cyknień, szczęków i klików rozsnuwała się w

melodię zbyt skomplikowaną dla ludzkiego ucha, pozornie szaloną, ale w rzeczywistości będącą echem pradawnych reguł Demiurga, tajemnej matematyki bytu. Mechaniczne przekładnie, animowane kabalistyczną mocą, wirowały jak młynki modlitewne tybetańskich mnichów.

Mechan trwał.

Miał wielkie plany.



– On nie wróci.

Moment ciszy objął władzę nad pomieszczeniem i trzymał ją bardzo długo, póki nie zerwała go odpowiedź, na którą nikt już nie czekał:

– Wiem.

– Wiesz, wiesz... Ale czy rozumiesz?

– Czego chcesz? Mam założyć żałobę, posypać sobie głowę popiołem?

– Nie. Przeciwnie, zapomnieć. Odszedł tak dawno temu.

Emilia zacisnęła wargi i odwróciła się do okna, za którym żółcił się otoczony kamienicami plac – cichy i spokojny jak zawsze. Jej też się wydawało, że całe wieki spędziła sama z dzieckiem w cichym domu, rojącym się od wspomnień, które atakowały ją, kiedy spoglądała na biurko Konstantego albo na kąt, w którym lubili przesiadywać.

– Dawno, niedawno – odpowiedziała sucho. – Przecież

wiesz, że to nic nie znaczy. Zegary nie mówią tu prawdy.

Mikołaj potrząsnął głową.

– Ja walczę cały czas z momentem – rzekł. – Uwierz, minęły wieki.

– Nie po to cię wzywałam, żebyś mi dawał małżeńskie porady.

– Po co więc?

Nie odpowiadała długo, jakby próbowała ubrać w słowa jakąś wyjątkowo trudną prośbę.

– Musisz zabrać stąd dziecko – rzekła w końcu.

Mikołaj zerwał się z fotela jak oparzony.

– Oszalałaś? Konstanty mówił, że tak nie można! Że świat ludzi uzna je za obcego, może skrzywdzić, może wygnać albo wymazać z istnienia!

– Sam mówiłeś, Konstanty odszedł i nie ma już nic do powiedzenia. Ja tymczasem nie mam serca odbierać Piotrusiowi całego życia. Przecież on nigdy nie dorośnie, nigdy nie pozna świata! My możemy z różnych powodów odrzucać zewnątrz, ale on powinien mieć wybór. Coraz częściej myślę, że skazaliśmy się na piekło, że pomyliliśmy się. Nie chcę, żeby i on... Rozumiesz? Pomożesz mi? Błagam cię, w imię wszystkiego, co cię łączyło z Konstantym, ze mną... Zabierz go stąd na drugą stronę, do mojej matki. Napiszę list i spróbuję im jakoś to wyjaśnić.

Jej głos załamał się przy ostatnich słowach.

Czy mówiła prawdę? Sztajmer odnosił wrażenie, że pod jej głosem kryły się warstwy czegoś jeszcze: niepojęta złożoność przyczyn, które wpływają na każdą ludzką decyzję. Czy była jak żebracy, którzy znaleźszy rubla, celowo go gubili albo topili w błocie, aby delektować się swoim nieszczęściem, swoim wielkim pechem? A może to

instynkt wilczycy, która porzucona przez stado zagryza młode, będące zbyt dużym obciążeniem w samotnej wędrówce? Co, jeśli była wszystkim naraz: i zmartwioną matką, i żalonym żebrakiem, i wściekłą wilczycą?

Mikołaj Sztajmer pokręcił głową. Mógł oceniać Emilię, jak chciał, ale wypowiedzianej takim tonem prośbie nie miał prawa odmówić.

– Dobrze – rzekł w końcu. – Pokaż mi jak, a zaprowadzę go na drugą stronę.



Trudno było Mikołajowi czytać dziennik Konstantego. Nie tylko treść sprzysięgła się przeciw niemu – zaplątana, mroczna, spisana w kilku językach. Czasem po prostu nie widział liter, bo oczy miał pełne łez. Każda strona budziła nowe wspomnienia o przyjacielu, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa był już dawno martwy.

Gdy Sztajmer skończył, pożegnał się z Emilią. Ona z kolei przytuliła swojego synka na długi, pełen wzruszenia moment. Wiedziała, że nigdy już się nie zobaczą. Potem Mikołaj ruszył z dzieckiem na krawędź dzielnicy, do krainy szarych mgieł i pustych kamienic, gdzie długo szukał przejścia. I znalazł bramę, której koniec był niesprecyzowanym wachlarzem możliwości, przejście prowadzące z dzielnicy w zbiór potencjalności. Uchwycił jedną z nich, uwiązał w materii całą swoją siłą, aby ucieleśniła się choć na kilka chwil, po czym przeszedł z Piotrusiem na drugą stronę.

Dziecko nie bało się mroku ani lepkich ścian. Patrzyło na wszystko ciekawie.

Gdy znaleźli się po drugiej stronie, Mikołaj skamieniał. Wystarczyła sekunda, by zdał sobie sprawę, że trafił zupełnie nie tam, gdzie powinien.

Światła miasta były obce, zimne.

Nie miał przed sobą gazowych latarni o przyjemnym, podobnym do świecy blasku. Nie widział znajomych kamienic ani kominów, ani szerokich bulwarów. Miasto oszalało. Pięło się w górę gigantycznymi kolumnami okien, pełne było białych i czerwonych rozbłysków, które goniły czarnymi drogami. Na ścianach widział gigantyczne rysunki ludzi z kosami i młotami, barbarzyńskie freski.

Mikołaj ścisnął mocniej rączkę dziecka.

Wtedy na niebie pojawił się czarny kształt, ptak zagłady o dwóch ślepiach – czerwonym i białym. Przerazający łoskot wypełnił powietrze, pazur światła rył ciemność między budynkami, a Sztajmer oniemiał ze strachu na myśl o tym, co się stanie, gdy światło skieruje się w jego stronę. Tego wszystkiego było za wiele, to wszystko przekroczyło granicę obcości, którą był w stanie tolerować jego umysł. Szok odebrał Mikołajowi rozum.

I tak w akcie tchórzostwa, którego miał się skrycie wstydić przez wieczność, Mikołaj Sztajmer odwrócił się i uciekł w stronę bramy, zostawiając dziecko samo na tej dziwnej ulicy, wśród światła obcego miasta. List do Wileckich wypadł mu ze zdrtwiałych dłoni, a potem spadł do kałuży pokrytej tęczowym, opalizującym nalotem. Woda pożarła go, nim jeszcze plecy Sztajmera zniknęły w cieniu bramy. Dopiero po drugiej stronie, w szarych oparach dzielnicy, Mikołaj się opamiętał. Ale było już za późno, odnoga zarosła, wtopiła się znów w nieskończony zbiór możliwych przejść.

Chłopiec został sam.

Dopiero teraz podniósł głowę. Poraziły go refleksy na mokrym asfalcie oraz zapach cegieł i betonu. Ruszył ciekawie ku światłom, wyciągając dłoń jak do przyjaciela, z którym chciał się przywitać. Pierwszy raz poczuł na karku dreszcz, który miał się stać jego narkotykiem. Pierwszy raz nogi same ciągnęły do przodu, nie słuchając rozumu.

Tajemnica wzywała, poganiał zew krwi, a blask sefir oświetlał drogę. Ziemia sama pędziła pod stopami, czarny potok, płynący ku horyzontowi.

Wszystko zaczynało się od nowa.

Pierwsze odkrycie i początek wędrówki.

Słodki dreszcz i smak nieznanego.

Wielkie nadzieje – i wielkie odradzenie.



